Antologia Opowiadań Science Fiction

Czarna Msza

Pod redakcją Wojtka Sedeńko

Wojtek Sedeńko

Wstęp

We wstępie do „Wizji alternatywnych” wspomniałem, że w razie powodzenia antologii — idea wydawania zbioru utworów oryginalnych będzie kontynuowana. Jeszcze przed pokazaniem się na rynku „Wizji” zaczęliśmy w gronie autorów oraz przyjaciół i kibiców spekulować nad kształtem drugiego tomu. W grudniu 1990 roku, na konwencie w Gdańsku, w trakcie burzliwej dyskusji grupa pisarzy zdecydowała, że ma to być zbiór monotematyczny, a Bóg, religia i Kościół mają być leitmotivem. Temat ten stawał się wówczas coraz częściej drążony, żeby nie powiedzieć lansowany przez polskich fantastów. Był mi również na rękę, gdyż stanowił spoiwo łączące tom drugi z „Wizjami alternatywnymi”, które sygnalizowały rosnące zainteresowanie autorów tematyką religijną (Ziemkiewicz, Dębski, Inglot, Jabłoński).

Mistycyzm, religia, metafizyka towarzyszyły fantastyce od początku, wbrew temu, co próbowali nam wmówić różni teoretycy SF, jak James Gunn, który w „Drodze do SF” pisał: *Nie można pisać science fiction przyjmując postawę religijną. SF kwestionuje wszystko, niczego nie przyjmując na wiarę… Religią SF jest sceptycyzm w sprawach wiary* [*1]).

To właśnie dyskusja nad wyborem: religia czy nauka stała się kołem napędowym wielu tekstów SF, które dzisiaj uważamy za kanon tej literatury. Tak się złożyło, że w 1991 roku mieliśmy okazję poznać niektóre najsłynniejsze utwory SF poruszające tematykę religijną — „Kantyczkę dla Leibowitza” Millera i „Pana Światła” Żelaznego. Znamy dwa tomy trylogii Perelandra Lewisa, a wkrótce ukażą się polskie edycje „Behold the Man” Moorocka i „Childhoods End” Clarke’a.

Zainteresowanych głębiej tematyką religijną w science fiction odsyłam do szkicu Toma Woodmana „Science fiction, religia i transcendencja”[*] oraz artykułów Lecha Jęczmyka „Bóg w science fiction” i Macieja Parowskiego „Boże igrzyska”.[*]

W kraju zainteresowanie fantastów tematyką religijną i eschatologiczną zauważyły szybko oba czasopisma SF i nie ma obecnie numeru „Nowej Fantastyki” czy „Fenixa”, aby nie rozprawiano tam o Bogu, Kościele i religii. Nie trwało długo, jak odezwali się czytelnicy zarzucając jednym klerykalizm i fideizm, a drugim, anty klerykalizm. Zastanawiam się, komu potrzebne są owe kłótnie. Od lat karmiono nas historyjkami, jacy to Polacy są tolerancyjni i wyrozumiali na zwyczaje innych (za przykład podawano zwykle przyjęcie do Polski arian i pozostałych innowierców, zapominając o kontrreformacji, która trwała u nas dłużej niż w jakimkolwiek innym państwie), ale wystarczy rozejrzeć się wokoło, aby stwierdzenie to włożyć między bajki. Pieniactwo, obojętność na krzywdę, totalny tumiwisizm, nienawiść wobec wszystkiego, co trąci innością, niezależnie czy chodzi o kolor skóry czy poglądy lub wyznanie, zawiść o urodę, pieniądze czy stanowisko. Krótkie zrywy i klepanie się po plecach nie zmienią faktu, że uczestnicząc w dyskusji, na nasze argumenty słyszymy najczęściej „Won!” i widzimy plecy szanownego rozmówcy, dumnego, że do niego należało ostatnie słowo. To tyle o naszej słynnej wyrozumiałości, czasem zdaje mi się, że jedynymi tolerancyjnymi ludźmi w Polsce są

1[*] James Gunn „Droga do SF”, tom 2, Warszawa 1986; James Gunn „Droga do SF”, tom 3, Warszawa 1987.

* „Spór o SF”. Antologia szkiców i esejów o science liction. Poznań 1989.

* oba w: „Nowa Fantastyka” nr 12/1990

fryzjerzy. Spory toczymy już nie tylko na ulicy czy w pracy, ale w łóżku i przy barze (nota bene, w rasistowskiej i potępianej przez świat RPA istnieje w pubach wysoce według mnie cywilizowany zwyczaj zakazujący rozmów o polityce i religii przy kuflu piwa), i dodatkowe kłótnie teologiczne przy fantastycznym stole wydają się zupełnie niepotrzebne. W tym miejscu przypomina mi się pyszna kwestia, jaką wypowiada w filmie Alana Parkera „Heart Angel" główny bohater: *Mówią, że religii na świecie jest wystarczająco dużo, by ludzie się nienawidzili, a za mało, by się kochali.*

W wyniku tych i innych sporów pojawiają się opinie o rozłamie wśród polskich pisarzy SF. Uważam je za bezpodstawne. Dla dobrego autora nie powinien istnieć żaden temat tabu, terra incognita, której nie penetruje, gdyż zabraniają mu przekonania lub opinia otoczenia. Oramus napisał, nie pamiętam już z jakiej okazji:

…cała fantastyka to jedna herezja wobec tzw. normalnego świata — i słusznie, a oburzanie się na nieortodoksyjne widzenie świata przez autorów SF, prawienie, że coś jest słuszne lub nie, jest retoryką, którą większość pisarzy fantastów (zjednoczonych) wyśmiewała zaledwie przed paru laty.

Większość poniższych opowiadań fantastycznych wzięła się ze spontanicznej reakcji na to, co dzieje się w kraju. Wybrałem moim zdaniem najlepsze, przy doborze unikałem jak ognia kryterium: pro czy anty. Tekst miał być przede wszystkim dobry, a to czy miał wymowę prokatolicką, czy był pochwałą krwawej dżihad było mi obojętne. Jesteśmy społeczeństwem, w którego świadomość katolicyzm zapuścił korzenie bardzo głęboko i jeśli któryś z autorów atakuje Kościół, to czyni to nie z mody czy koniunktury, lecz z potrzeby zareagowania na zmieniającą się rzeczywistość. Prymas Glemp w wywiadzie telewizyjnym podzielił przeciwników duchowieństwa na trzy kategorie: komunistów, pragnących podporządkować sobie Kościół, liberałów i katolików, którzy uważają, że chcąc zbudować nowoczesne państwo, nie powinniśmy pozwolić na dominację Kościoła. Ta obawa przed klerykalizacją państwa jest dość powszechna (z pewnością wpłynęły na to ostatnie spektakularne sukcesy Kościoła, jak powrót do szkół religii, odzyskanie olbrzymiego majątku w nieruchomościach, stanie się czynnikiem opiniotwórczym w wielu dziedzinach życia) i tu też trzeba szukać przyczyny zainteresowania pisarzy tą tematyką. Nie bez znaczenia jest również fakt, że polska fantastyka zawsze szybko reagowała na wszelkie zmiany w życiu codziennym, a że SF lubi zajmować się skrajnościami, stąd nie dziwię się, że kilka spraw mogło autorów poruszyć. Na przykład widziałem w telewizyjnym programie katolickim dla młodzieży szkolnej, jak katechetka tłumaczy słuchaczom, skąd biorą się dzieci: *Czy widzicie ten dołek między nosem a ustami? To jest miejsce, gdzie dotknął was palcem anioł i tak sprowadził na ziemię.* Później powstają opowiadania o teokracji i nadejściu wieku ciemnoty. To był przykład skrajny.

Nie trzeba być psychologiem, aby zauważyć, że ludziom którym świetnie działający propagandowo–edukacyjny walec systemu totalitarnego wyprał mózgi, po wyjściu ze słoja i pierwszym łyku świeżego powietrza grozi zachłyśnięcie. Wpadają w konsumpcję bez granic, w wir tego, co wcześniej zakazane lub szukają środka zastępczego — ot, brak im kogoś, kto za nich pomyśli i poda na tacy gotowy światopogląd i system wartości w miejsce poprzedniego, szybko i jednogłośnie przeklętego. W taką niszę wszedł Kościół ze swoją sprawną organizacją, potężną mocą oddziaływania i opromieniony chwałą wiecznej ostoi prawdziwej wolności i demokracji. Stąd wziął się chyba jego sukces, zagubieni i niepewni jutra obywatele, nie nawykli do samodzielnego myślenia znaleźli oparcie, jakiego szukali. Potem wykorzystują nabyte przez czterdzieści lat doświadczenia i sądząc, że krajem rządzi Kościół, piszą dziwnie znajomo brzmiące hasła:

Ojcze Święty, drogowcy Warmii i Mazur pozdrawiają cię!

Sam widziałem. Takie rzeczy kłują w oczy uważnych obserwatorów. Czterdzieści lat minęło, jak z knuta strzelił, i ludzie boją się wpaść z jednej skrajności w drugą, co ponoć leży w naszym narodowym charakterze. Czas pooddychać pełną piersią. Nie dziwię się więc fali antyklerykalizmu, uważam ją jednak za chwilowy odruch bezwarunkowy, choć tematyka religijna w fantastyce z pewnością nie zniknie tak szybko. Nie szukałbym w owym zainteresowaniu żadnej sensacji — to tematyka bardzo nęcąca i z taką mnogością możliwych interpretacji, że starczy jej na pokolenia. Potężna organizacyjnie instytucja kościelna kusi, aby zaatakować ten monolit, rozpoczynając atak najlepiej od podstaw, czyli dogmatów wiary. To już specyfika fantastyki i za to ją kocham.

Pytano mnie, dlaczego antologia nosi tytuł „Czarna msza", który czuć zapachem czarnych świec i niektórym autorom kojarzy się z zaproszeniem na bal satanistów. Tytuł zaproponował na wspomnianym już spotkaniu w Gdańsku Andrzej Sapkowski, tam też uzgodniliśmy, że w zbiorze nie będzie miejsca na żadne satanika, które przy poruszanej w antologii tematyce religijnej jakby same się narzucały.

Przyznam, że mimo propozycji ASa, zwlekałem z podjęciem ostatecznej decyzji, aż któregoś dnia przeczytałem krótki esej Jacka Inglota pt. „Wariat z pochodnią", w którym rozwodził się, najogólniej mówiąc, nad upadkiem fundamentu kultury, jakim jest *sacrum* i zniknięciem z życia ludzkiego wszelkiej duchowości. Uznałem wówczas, że „czarna msza" będzie bardzo dobrym, komercyjnym tytułem dla tej antologii i o tyle przewrotnym, że zgadzam się w całej rozciągłości z Inglotem, który termin „czarna msza" potraktował jako ponurą metaforę upadku kultury na rzecz wszechogarniającej i ogłupiającej, komercyjnej właśnie, pop kultury. Zapatrzenie na produkty zza oceanu i kanału widać i na interesującym nas poletku SF, gdzie popularni skądinąd autorzy przybierają brzmiące z angielska pseudonimy w obawie, że nikt nie weźmie już ich książki do ręki.

Zestaw autorów „Czarnej mszy" w znacznej mierze różni się od tego z „Wizji alternatywnych", powtarzają się Dębski, Inglot, Grzędowicz, Ziemkiewicz (powoli przechodzi na pisanie tylko do antologii — czego absolutnie nie mam mu za złe) i Jabłoński. Ten ostatni, rocznik 1955, jest najstarszym wiekiem autorem w zbiorze, co dobitnie świadczy o dokonanej zmianie warty. Po długim milczeniu odezwali się Drukarczyk oraz Drzewiński i pomimo przerwy utrzymali poziom i styl. Debiutuje, nie licząc tekstów zamieszczonych w almanachu „Voyager", Oszubski; jeżeli Almapress stanie na głowie, to antologię może wyprzedzić zapowiadana od lat jego powieść dark fantasy „Twierdza nienawiści". Mocnym punktem są także najmłodsi wiekiem i dorobkiem autorzy — Dukaj i Sobota, lansowani przez Parowskiego jako czołowi przedstawiciele najmłodszej, piątej generacji.

Zbiór miało pierwotnie zakończyć opowiadanie Grzędowicza „Dom na Krawędzi Światła" z motywem Chrystusa zstępującego do Piekła i niosącego nadzieję skazanym na wieczne potępienie. Tuż przed oddaniem wydawcy antologii nadeszło opowiadanie Piekary, będące suplementem do tekstu Grzędowicza (nawiasem mówiąc są współautorami pomysłu) i odbierające, już jakby „zza grobu" nadzieję grzesznikom. W ten sposób to dwuczłonowe opowiadanie zgrabnie zamknęło antologię.

Oprócz trzech, wszystkie opowiadania powstały specjalnie do „Czarnej mszy". Niełatwo jest napisać tekst na zamówienie, biorąc jeszcze pod uwagę goniące terminy. Temu trudnemu zadaniu kilku uznanych autorów nie sprostało, rezygnując w przedbiegach lub po krótkiej walce. Dlatego właśnie niniejsza antologia stanowi wiarygodny sprawdzian kondycji polskiej fantastyki i może jej przynieść skautowską sprawność „system wczesnego reagowania". Taki był cel drugiej i myślą że nie ostatniej antologii opowiadań oryginalnych.

Wojtek Sedeńko

Olsztyn, 31 grudnia 1991 roku

O „Raju utraconym”

Ktoś, kiedyś, gdzieś, z jakiegoś powodu powiesił na drzewie kawałek skóry i trzy zęby, po czym zaczął *się temu kłaniać i prosić o deszcz wierząc, że ten spadnie z czystego nieba. Wiara w spełnienie nadziei, którą wyklucza rozum, urosła do rangi instytucji i jeżeli nie przeszkadza tym, którzy własne myślenie powiesili na kołku ofiarnym ołtarza, to resztę poniższy tekst powinien skłonić do refleksji i zastanowienia. Dlaczego wziąłem się za ten właśnie temat? To po prostu jeden z nieskończonej ilości wariantów szukania początku, próba postawienia jakichś pytań bez liczenia na odpowiedź inną niż godzinna lektura, podczas której Czytelnik będzie zmuszony do śledzenia jeśli nie własnych myśli, to przynajmniej autora.*

A później, no cóż… pozostanie mu dalej wierzyć, albo zacząć pytać innych.

Grzegorz Drukarczyk

Raj utracony

To było tak…

Stworzyłem Kobietę.

Najpierw, z mozołem skoncentrowanej aż do absurdu myśli, wykreowana została twarz. Piękna twarz. Wiele czasu i wysiłku pochłonęło wybranie z tysięcy najlepszych wzorów tego jedynego zestawienia, przy którym proporcje wszystkich elementów składają się w przedziwną harmonię kształtu.

Dałem jej włosy jak przędzy doskonały puch — z sześciu odcieni brązu — przetykany nitkami złotych słońc z sześciu układów, zanurzony w sześciu strumieniach orzechowych planet, wysuszony spiekotą sześciu podmuchów rdzawego żaru. Kazałem im zwiewnie falować przy najlżejszym ruchu, tworzyć rozmigotane załamywanym blaskiem mgliste formy puszystych skojarzeń.

Dałem jej oczy czarne jak bezkresna pustka wszechświata, głębokie niczym niezmierzone przestrzenie wieczności, mądre wiedzą niezwykłych przypadków losu od czasu poczęcia, z magią czarowną i nieodpartą, oczy w których można utonąć w poczuciu własnej nicości — pełne najprzeróżniejszych niespodzianek, upojnego zapomnienia i świętokradczej zachłanności. Rozpaliłem w toni tęczówek gwiazdy srebrzyste, sypnąłem garścią jasnych ogników, rozmigotałem symfonią błysków gorących.

Dałem jej usta przepyszne, o linii czarownej jak przebieg pól płynnych, o cudownym owalu nieistniejącej formy, o obfitości jędrnej roztętnionym ciepłem, o powabie tajemniczym opuszczonych warg, o opalizującej wilgoci uwalnianego oddechu; tchnienie rozpaliłem żarem ogromnym, którego muśnięcie woalką szalonego oddania zasnuwało bezwolną rzecz wszelką.

Dałem jej róż policzków cienisty, wyniosłe łuki brwi, alabaster dumnie wypiętrzonego czoła, linię nosa najdoskonalszą z możliwych, śliczne konchy uszu skryte pod rozmigotanym tańcem włosów, szyi wyniosłą kolumnę, co wyrasta jak pokorne dłonie gotowe do przyjęcia ofiary najcenniejszego ciężaru.

Kiedy ta praca została ukończona, nadszedł czas kształtowania dalszych form — by piękne były jako i twarz, by godnie jej towarzyszyły, by ziścił się ulotnych wyobrażeń ideał.

Ofiarowałem jej ramion cudowne przęsło, wsparte na kości stelażu podwójnym, wspaniałe w napięciu gładkiej skóry, rozmigotane leniwą grą ścięgien ukrytych, zwieszone rąk gestem błogosławionym. Dłoniom nadałem smukłości światła; o dotyku niczym muśnięcie cienia, o ruchach w płynną melodię zmienionych, promienne o pieszczot tajemne zjawisko, rozszeptane chwilą palców zbliżenia.

Ofiarowałem jej piersi wyniosłe świątynie, co kopuł modlitwą w niebo godzą zuchwałe, bujne obłym kształtu wzniesieniem, wypchnięte mocą pragnienia nienasyconego, nabrzmiałe krwi gorącym rytmem, żądzą obfitą bez miary wezbrane; rozfalowane czasze atłasowym wołaniem kuszące do zagubienia się w upojnym tknięciu świata nierealnych doznań; porowatych stożków dwa dzióbki nieświadomym wyzwaniem burzące spokój zwykłego istnienia.

Ofiarowałem jej krągłość bioder uroczą, w spadzistą formę odlaną — spiżową, gładką, olśniewającą — pierścień zaczarowanego załamania jednolitej powierzchni; krąg tajemniczego ruchu po miękkim obwodzie, przed którego powabem nie ma ucieczki w niepamięć czy świadomą niewiedzę; delikatny taniec rozpłomienionej skóry na podanym do przodu płynnym owalu brzucha; klejnot diamentowego wzgórka łonowego magicznie absorbujący wyobraźnię,

przysłonięty rozedrganą powłoką niepojętej tajemnicy: od której całe galaktyki ginęły w wirze zwariowanego pędu, od której miliardy nowych wybuchały w czarnej nicości, od której rozbudzone niewyobrażalne siły mknęły ku granicom pojmowanych obszarów.

Ofiarowałem jej nóg przepiękne kolumny, toczone według form dla wyobrażenia najdoskonalszych, bałwochwalczo wyzywające strzelistą prostotą, zwodnicze nieuchwytną zagadką, dla wejrzenia pod niedostępną gardą obłędnego zachwytu ukryte; ud woal natchniony potępieńczym wołaniem, rozkołysany ospałym mięśni wyprężeniem, matowy kanki materią, przyzywający nieznacznym linii rozchyleniem; kolan pętle wiążące smukłe konturów rysy; łydek oszałamiającą płynność; drobne i filigranowe stawy kostek; stopy małe o prześlicznych łukach, zwiewne tak, by ślad po nich nie pozostawał na cienistych szlakach.

Ofiarowałem jej figurę, jakiej nie ma od krańca do krańca istnienia, sylwetkę wymodelowaną z niezwykłym pietyzmem, postać ucieleśniającą najwyższe wzloty fantazji — prężną, gibką jak skojarzenia śmigły bieg, wdzięczną niczym zaczarowany taniec gwiezdnego pyłu — kształt będący objawieniem kanonu absolutnej harmonii.

Stworzyłem ciało, ale na tym nie koniec.

Wypełniłem cudowną głowę zapisem skoncentrowanej wiedzy, mądrością przeszłych czasów, pamięcią od chwili poczęcia, zdolnością samodzielnego myślenia, łatwością kojarzenia najdziwniejszych zajść, chłodną logiką wyboru wariantów optymalnych, wnioskowaniem bezsprzecznym, analitycznym podejściem do każdego zagadnienia.

Wówczas stało się coś niedobrego. Cudownie miękkie rysy stwardniały, profil wyostrzał, wargi zeszły się w prostą kreskę, oczu tajemniczy czar prysł, a jego miejsce zastąpiło zimne wyrachowanie i żądlące wejrzenie dociekliwych źrenic.

Wykreowałem krwi wrzącą czerwień, serca misterny kielich, nerwów niezwykłe sploty. Dałem jej głos śliczny — niski i spokojny — mamiący melodii natchnionym brzmieniem, kuszący nutkami wewnętrznej radości; śmiech perlisty i pełny, otwarty i szczery, prawdziwie beztroski i wolny od wszelkich zmartwień. Tak powstała Ona i już tylko jednego podarunku brakło, by całość zakończyć.

Wziąłem część samego siebie i tchnąłem w nią Duszę. I znów piękną formę twarzy wzbogacił nastrój ulotnej zagadki, rozchylone wargi zwilżył języka różowy koniuszek, oczy przyzywały blasku niezwykłą prośbą, policzki okrasił rumieniec delikatny, nabrzmiały czary piersi wspaniałe, złożyły się jak do modlitwy rąk upojne kształty. Teraz istniała naprawdę Na szóstej planecie układu żółtego słońca, zagubionej wśród mrocznej pustki, powstała Kobieta.

Kazałem jej żyć. Przez twarz przeleciał nagły grymas, ciałem wstrząsnęły kurcze rozbudzonego ruchu. Z namaszczeniem wzniosła ręce, jakby chcąc objąć rozgwieżdżone niebo, rozchyliła wargi i cicho wyszeptała:

— Dziękuję ci, Panie…

Wolno ruszyła w kierunku, gdzie zza linii horyzontu wynurzała się ogromna kula słońca.

Żeby stóp jej delikatnych nie ranić, rozsnułem na żwiru ostrych odłamkach trawy zielony kobierzec, ubarwiony kwiatów upojnie pachnących ornamentem, chylony wiatru lekkimi muśnięciami, roziskrzony migotem rosy klejnotów. Roześmiana biegała po tym aksamitnym, miękkim dywanie, zbierając naręcza kwiatów o kielichach błękitnych, strzepywała niewinnym ruchem ze źdźbeł wysmukłych kropelki wilgoci z uwięzionym wewnątrz światła promiennym błyskiem, wystawiała twarz zaróżowioną na podmuchy wietrzyka, a on rozwiewał jej wspaniałe puszyste włosy, targał nimi w niewinnej zabawie roztańczonego falowania. Śliczne palce splatały kruche łodyżki bajecznie kolorowych roślinek w wianek dziewczęcy, by po czasie potrzebnym zwinnym dłoniom na nadanie mu kształtu niezwykłego, przyozdobić nim skroń wyniosłą.

By mogła się przejrzeć, otworzyłem oko lustrzanej toni — jeziorka krystalicznie czystego, o

chłodnej wodzie ulgę przed słońcem przynoszącej, z wysadzanym migotliwymi kamieniami dnem. Ona aż klasnęła w dłonie i zaraz też tanecznym krokiem zbliżyła się do zaklętego zwierciadła i uklęknąwszy wejrzała w swoje odbicie. Ileż było radości, ile śmiechu beztroskiego, ile niedowierzania na widok kolejnych obrazów twarzy, ile zabawy przy układaniu włosów niesfornych, ile minek wdzięcznych, ile gestów dłoni składanych w formy urocze, ile ustawień ciała gibkiego tak, by piękno jego jeszcze bardziej upięknić. Aż wreszcie Kobieta nasyciła wzrok postaci swojej doskonałą proporcją, uśmiechów nawet najbardziej niezwykłym odbiciem oczu zmienionym odcieniem. I powstawszy znad wody błękitnej po raz drugi wyszeptała:

— Dziękuję ci, Panie.

Wówczas przywołałem do niej zwierząt najprzeróżniejszych liczne zastępy. Kazałem lwom grzywiastym, olbrzymim, groźnym, łasić się u jej stóp, ocierać z błogim pomrukiwaniem, wiernopoddańczo oczekiwać na pochwałę czy przyganę. Kazałem słoniom mocarnym ugiąć karków w pokorze, by po ich głowach mogła dosiadać tronu wzniesionego na grzbietach, by jeśli taka będzie jej wola podróżowała bez zmęczenia w najdalsze zakątki. Kazałem antylopom zwinnym bawić się z nią, znosić śmigłe wieści ze wszystkich stron; żyrafom długoszyim wypatrywać ciekawych rzeczy, tańczyć w rozwahanych pląsach; ptakom kolorowo upierzonym wyśpiewywać szczebiotliwe melodie, cieszyć rozmigotanym wirowaniem, koić trzepotem maleńkich skrzydeł.

Kobieta w zachwycie obserwowała cały ten korowód zwierząt, urzeczona ich różnorodnością i okazywanym przywiązaniem. Gładziła płowe lwów grzywy, a te upojone pieszczotą prężyły z rozkoszą silne cielska, mruczały sennie ukojone łagodnym dotykiem. Ptaki siadały na jej ramionach, a Ona ze śmiechem i udawaną złością oganiała się od nich, czasami brała którąś z kruszynek w dłonie i uniósłszy na wysokość twarzy przekomarzała się z nią. Żyrafy pochylały wysmukłe szyje, by nozdrzy mechatą materią otrzeć się o jej rozwiane włosy, by spojrzeniem bezbronnym prosić o odrobinę czułości. Kiedy pierwsza radość minęła, euforia zabawy wesołej opadła, Ona poskarżyła się:

— Jestem głodna, Panie…

Stworzyłem więc gaje palmowe obficie obsypane owocami wszelakimi, zielone, o koronach strzępiastych, w baldachim cienisty ułożonych, o pniach brunatnych, strzelistych. Były tam bananów żółtych naręcza, dojrzałych tak, że aż miękka skórka rozpęknięta na końcach odsłaniała apetyczną zawartość; orzechów kokosowych szaro—brązowe bulwy, wypełnione wyśmienitą miękiszu tkanką i białym sokiem wspaniale gaszącym pragnienie; pomarańcz kule dorodne o wnętrzu soczystym i zapachu niezwykłym; słodkie daktyli wrzeciona, co usta napełniają rozkoszą niewysłowioną. Zmusiłem je, aby na skinienie ręki osypywały się na ziemię, spadały deszczem pożywnym, by drzewa roniły łzy swoich dzieciątek dla tej, która była teraz ich szczęściem i przetrwaniem.

Kobieta z rozbrajającą ciekawością zaspokajała głód, kosztując wszystkich darów, po kolei delektowała się każdym najdrobniejszym kawałkiem. Ruchy jej były przy tym tak wdzięczne i pełne gracji, że olbrzymią przyjemność sprawiała obserwacja swoistej gry dłoni, gracji z jaką ręce wykonywały płynnych przejść ewolucje, twarzy przeróżnych obrazy — począwszy od roześmianego skrzywienia na kwaśny smak cytryn żółtawych, aż po zdziwienie mączystą słodyczą bananów dojrzałych. Jadła, a mnogie zwierząt sylwetki zastygły w bezruchu, obserwując ją z uwielbieniem i zachwytem. Nawet ptaki ucichły, by szczebiotem nie naruszać błogiego spokoju rytuału spożywania darów Pańskich. Jadła, a kiedy minęła pora wieczerzania, senne powieki poczęły opadać na oczu jagody.

— Jestem zmęczona, Panie — wyszeptała jakby niepewna, czy tak być powinno.

Wykreowałem pałacu kryształowy obelisk, co tęczą rozszczepionego blasku wyrasta nad traw

falowanie i palm strzępiaste korony; opromieniony aureolą nierealnego migotania, lśniący polerowaną płaszczyzną, konturze wymodelowanym kreską połączonych łuków — niczym dłonie złożone do modlitwy. Wewnątrz rozesłałem posłanie puchowe, obszerne i wygodne tak, że nawet najdrobniejsze ziarnko piasku nie uwierało delikatnego jej ciała. Uchylone złote podwoje zapraszały do wejścia, szeroko rozwarte cztery platynowe okiennice godziły w cztery strony świata.

Kobieta niespiesznie zagłębiła się w rozigraną wśród kryształowych ścian symfonię fantastyczną Z cichym westchnieniem podziwu, klęknąwszy na podłodze aksamitną materią pokrytej, unosząc głowę ku błękitnemu sklepieniu przemówiła głosem tłumionym wzruszeniem:

— Panie, dziękuję ci za ten czas tak cudownie przeżyty, za twoją dobroć i miłosierdzie, za wszystko co dotąd dla mnie zrobiłeś. Bądź błogosławiony.

Zgasiłem słońca oślepiający blask, by otulić ją atłasem ciemności cichej, przyjaźnie osłonić kurtyną czarną — rozjaśnioną tylko plamkami gwiazd. Uspokoiłem wiatru lekkie podmuchy, gaju szum spokojny, ptaków czarowny śpiew — by nocnej ciszy nie naruszać, by piękne ciało mogło trwać pogrążone w błogich snu objęciach, by rankiem znów wstała tak urocza i piękna jak przed zamknięciem oczu. Mrok okrasiłem orzeźwiającym chłodem, który daje wytchnienie, pozwala myślom uciec w krainę niepamięci, a ciało masuje leczniczym dotykiem. Pozwoliłem cykadom grać na swoich bajecznych instrumentach, tak by słodka muzyka kołysała ją do snu. Powieki przysłoniły blask źrenic. Spała.

…Minął dzień pierwszy. Ja muszę czuwać. Obarczony bagażem bezwzględnych Myśli nie mogę zmrużyć powiek. Nie mam ani źrenic, ani oczu. Nie mogę ciała użyć do spoczynku. Nie mam ciała. Kobieta jest moją cząstką i ja jestem cząstką niej. Razem władamy rzeczą wszelką. Zawsze trwałem. Gdzie? — w nieistniejących granicach pojmowania.

Dlaczego? — bo tak być musi. Dokąd? — dotąd, gdy czasu nie będzie. Kim jestem? — sobą. Co robię? — trwam. Od kiedy? — zawsze. Istniałem, istnieję i istnieć będę. Muszę czuwać nad spokojnym i równym oddechem Kobiety, niewidzącym wejrzeniem oglądać cudowną postać zamkniętą w kryształowej szkatułce, muszę myśleć nad nowym prezentem dla niej…

Rozpaliłem świtu oślepiającą łunę, która na powrót wydobyła kontury świata spoza kurtyny nocy. Zagrawszy na wierzchołku pałacu różnokolorowo rozszczepionym promieniem, legła w wydłużonych cieniach palmowych zarośli. Pobudzone ciepłą jasnością zwierzęta gromadnie poczęły ściągać do złotych wrót i oczekiwały tam na ukazanie się ich wybranki. Trawy łan chylony łagodnym, dopiero co rodzącym się wiatru powiewem płynnie falował, ptaków chóry pogodną wrzawę podniosły i furgały napełniając powietrze migotliwym ruchem. Wszystko wyglądało chwili, w której Ona wyjdzie ze swojego lśniącego domu.

Wreszcie piękna postać wyłoniła się spoza łuku rozwartych podwoi, przez moment czarne oczy chłonęły cud nowego dnia, po czym z wolna uśmiech okrasił usta. Pierwsze kroki skierowała w stronę jeziorka błękitnego, by ujrzeć swoje odbicie doskonałe i dokonać rytuału obmycia ślicznej twarzy, uporządkowania włosów rozwichrzonych, odświeżenia całego ciała kroplą z czary chłodnego ruczaju, odpędzenia ostatnich mar nocnych.

Baraszkująca wśród feerii wilgotnych perełek, roztańczona beztrosko w orzeźwiającej wodzie, nie zwracała na nic uwagi, jakby cały świat nie istniał — pomijany przez świadomość rozkoszującą się toni chłodnym dotykiem.

…Szczęście. Czy tak wygląda szczęście. Nie wiem. Brak uściśleń. Analizuję nowe pojęcie. Czarne jest przeciwieństwem białego. Jeżeli jest tylko czarne, to może być również białym. Ja jestem wszystkim. Ale wszystko egzystuje tylko w zestawieniu z niczym. Jestem i niczym. Istnieję i nie. Możliwe to niemożliwe. Niemyślenie jest absolutem myśli. Byt przeobraża się w niebyt. Wiem wszystko, choć nie wiem niczego. Szukam. Powoli, systematycznie, uparcie

szukam. Tworzę, by znaleźć rozwiązanie. Poznaję nowe pojęcia z zamiarem odkrycia zagadki..

Ofiarowałem jej prezent — Mężczyznę. Wysoki, mocny, twardy, mądry. Taki, jaki powinien być On — przeciwieństwo Kobiety, ale na tyle tylko, by dwie połowy pasowały do siebie krawędziami, tworząc nierozerwalną całość.

Ciała nie miał miękkiego jak Ona, był zbrylony masywem mięśni, zwęźlony krzyżującymi się wstęgami ścięgien, spiętrzony złomami kościstych dźwigarów. Silny i potężny tak, by każdą przeciwność pokonać, przygotowany barbarzyńską zuchwałością na najgorszy losu przypadek. Otrzymał umysł zdolny osiągnąć najwyższe szczyty dostępne dla skojarzenia.

Kobieta skończywszy beztroską kąpiel, otrząsając się z ostatnich kropelek wody, wyszła na brzeg trawą bujną pokryty i przystanęła zdumiona —— widząc wyniosłą sylwetkę Mężczyzny. Przez chwilę przyglądali się sobie z mieszaniną zdziwienia i ciekawości.

— Ktoś ty? — przemówiła jako pierwsza głosem, w którym drżała nuta napiętego oczekiwania.

— Jestem twoim Mężczyzną — odrzekł pewnie.

— Czy ja jestem twoją Kobietą?

— Tak.

Z całej jego postawy biło zdecydowanie i poczucie siły, zadowolenia z panowania nad myślą i ciałem. Zbliżył się energicznym krokiem i położył dłoń na jej ramieniu. Dłoń, która przykryła całą krągłość delikatnego barku, dłoń o palców sękatych gałęziach, dłoń porytą arteriami żył, dłoń ciężką, choć w tym momencie — gdy spoczywała na ramieniu — prawie nieważką, dłoń zdolną do kruszenia kamieni, choć w tej chwili łagodnie gładzącą atłasową skórę.

— Czy ty także zostałeś stworzony przez Pana? — zapytała ciekawie.

— Przez jakiego Pana? — podniósł niebieskie oczy.

— Tego, który wykreował mnie, dał łąki, gaje, wodę, zwierzęta i schronienie, zrobił noc ciemną dla wypoczynku i dzień jasny do życia. Czy to on?

— Nie wiem. Ale powiedz, wszystko wokół jest jego dziełem?

— Tak, ja czczę go i błogosławię.

— Czy to prawda? — w jego głosie czuło się niewiarę.

— Najszczersza — odrzekła z dziwną mocą.

Przygarnął ją ramieniem. Wtulona w potężne ciało, maleńka, bezbronna cichutko popłakiwała. Było coś dziwnego w tej scenie, jakaś nieuchwytna nuta czaru. On — duży, silny, zwalisty — gładził delikatnie puszyste włosy rozwiewane przez wiatr, a Ona niemalże schowana w objęciu muskularnych ramion, wpatrywała się w niego z bałwochwalczym podziwem. Trwali w takiej pozycji przez czas dłuższy, po czym Mężczyzna przerwał milczenie.

— Jak długo czekałaś na mnie?

Nie znała odpowiedzi, bo tylko jeszcze mocniej przytulona, jakby z odrobiną ociągania odrzekła:

— Jesteś taki, taki… — przez chwilę szukała odpowiedniego określenia — taki trwały… Nie, nie to miałam na myśli — nerwowo uprzedziła jego zdumienie — jesteś mocny, pewny siebie, zdecydowany i jesteś tworem Pana.

Świat zewnętrzny przestał dla niego istnieć — oczy niewidzące, choć szeroko otwarte, wyraz błogiego zadowolenia na twarzy. Niezgrabnie schylony nad kruchą postacią spróbował złożyć pocałunek na czerwonych, nabrzmiałych ustach.

— Jesteś piękna — ze ściśniętej podnieceniem krtani głos dobywał się niski i chrapliwy — jesteś cudowna i moja, tylko moja.

— Nie… — przerwała. — Jest jeszcze Pan, do którego należy wszystko. Ja i ty również. — Unosząc głowę ku błękitnemu niebu spróbowała zaintonować pieśń modlitewną.

On przerwał brutalnie — na powrót zmieniony w mocarza. Schwyciwszy ją za rękę okręcił wokoło, wyciągniętym palcem godząc kolejno we wszystkie strony.
— Gdzie jest twój Pan, gdzie?!
— Tam — pokazała w górę — i tu — pokazała siebie — i tu — pokazała jego — i wszędzie — zakreśliła dłonią szeroki łuk.
— Jak to jest możliwe? — złagodniał.
— Nie wiem.
Długo myślał, próbując dociec prawdy obiektywnej. Ale zagadnienie przerastało możliwości pojmowania.
— Wierzę, wierzę dlatego, że tak cudowna istota jak ty nie mogła powstać normalnie. Wierzę, bo stworzył także mnie. Wierzę, bo przeznaczył nas sobie i wolą jego jest, abyśmy byli razem.
Przytuliła się podając do pocałunku gorące usta — wpatrzona w Mężczyznę jak w święty obraz, całym napiętym w oczekiwaniu ciałem gotową do spełnienia każdego życzenia…
Posłanie kwiecistej łąki przyjęło ich w gościnne objęcia. Spleceni w miłosnym uścisku z jakąś niewytłumaczalną zachłannością pili z siebie rozkosz zbliżenia, chciwie sycili się najdrobniejszym dotykiem, najniewinniejszą pieszczotą, najintymniejszym gestem. Ona już nie patrzyła w niebo, wzrok z dziękczynnym zadowoleniem poświęcony został jemu — nowemu twórcy niewyobrażalnych doznań. Oboje w dziwnej ekstazie, jakby na przekór zwykłej zdarzeń zmienności, nie rezygnowali z dobrodziejstw swoich ciał, nie mogąc nacieszyć się wzajemnym oddaniem, tym zaklętym kręgiem, w którym przestają obowiązywać prawdy zewnętrzne. Było w nich coś pięknego, nie dlatego, że ciała zostały stworzone według kanonów najdoskonalszych, nie, to coś ukryte było w nastroju obojga, w mglistej i nieskrystalizowanej więzi, w szczególe nieuchwytnym, w milczeniu, w czułym geście muskularnego ramienia, przyczajone w zagryzieniu warg…
Kobieta leżała ze spokojnym uśmiechem, głowę ufnie złożyła Mężczyźnie na piersiach. Śliczne, białe ramiona oplatały potężny tors z jakąś lubą, leniwie nasyconą błogością, a kształtne palce delikatnie muskały mocarny kark.
— Kocham cię — wyszeptała unosząc lekko głowę.
— Ja też cię kocham — odparł poważnie.
…To jest miłość, więź między Kobietą i Mężczyzną. Tak wygląda miłość. Ten blask wewnętrzny, który promieniuje z rozpalonych ciał, ta gorączka rozmarzonych oczu, wargi spierzchnięte żarem posiadania, bezwiedny ruch dłoni ślizgającej się po jędrnej piersi, spokój, kiedy u boku leży najdroższa osoba, ta rozmowa, w której słowa są zbyteczne, radość oddania aż do zupełnego zatracenia się. To wszystko razem jest kochaniem. Chwila dawno przeszła, a jednak wciąż obecna w ich zachowaniu. Niby niematerialna, ale mocna i trwała jak żadna z rzeczy uściślonych. Nie rozumiem. Ale zdaje się, że właśnie niezrozumienie jest tutaj miarą. Muszę wprowadzić nowe elementy. Dla pełnego poznania Muszę…
Stworzyłem Drugiego — też mężczyznę, ale postaci mizernej, o szpetnej twarzy, cherlawej budowie. Był przeciwieństwem Mężczyzny, brakło mu wszystkiego, co tamten miał aż w nadmiarze. Uformowałem go niechętnie, bo ranił poczucie piękna niekształtną sylwetką, przygarbioną linią pleców, płochliwym, rozbieganym spojrzeniem, kikutami chudych rąk i nóg, zapadniętą piersią. Umysł nie mógł być inny niż ciało — jedna i nierozerwalna całość — biegły i sprawny, ale pozbawiony głębokiej mądrości i umiejętności sięgania rzeczy wzniosłych.
Kazałem mu zbliżyć się krokiem niepewnym, niezgrabnym, poleciłem przemówić głosem piskliwym, ostrym, nieprzyjemnym.
— Bądźcie pozdrowieni o wspaniali dobroczyńcy moi — zgięty w pokornym pokłonie rozpoczął powitanie — pozwólcie biednemu samotnikowi, który szuka odrobiny ciepła i

współczucia, pozostać przy was i radować wzrok obrazem tak doskonałych postaci. Nie odganiajcie żebraka, nakarmcie mnie i napójcie, a będę najwierniejszym towarzyszem, jakiego świat widział…

Kobieta jako pierwsza przerwała potok słów Drugiego.

— Ależ nikt cię nie wygania. Spocznij obok i opowiedz, skąd przybywasz. Poczekaj chwilę — zwróciła się do Mężczyzny — czy mógłbyś przynieść naszemu gościowi owoców z gaju?

On zerwawszy się, natychmiast chętnie pospieszył po kiście dorodnych bananów, czerwone kule pomarańcz, kokosów przepysznych bryły, daktyli słodkich moc.

Nie minęło wiele czasu, gdy objuczony owocami wrócił nad brzeg błękitnego jeziorka.

— Posil się, gościu, nim opowiesz nam swoje dzieje — zaprosiła go szerokim gestem — to pożywienie mniemam, że i tobie przypadnie do gustu.

Drugi przystąpił do uczty z niezwykłą łapczywością. A kiedy wreszcie odłożył niedojedzonego daktyla i odsunął mleczka kokosowego pełną skorupę, otarłszy owłosionym przedramieniem usta, rozpoczął opowieść.

— Przybywam z dalekich stron, ze stron tak dalekich, że aż trudno będzie wam zrozumieć sens moich słów — ze spokojem przystąpił do przedstawiania faktów, które nigdy miejsca nie miały, a są jedynie wytworem jego wyobraźni.

…To było kłamstwo. Moje twory pozwalały sobie na działanie daleko wybiegające poza dany stereotyp. Nienormalne, choć właśnie przez to w niewytłumaczalny sposób prawdziwe. Dalej śledziłem przebieg zdarzeń…

— Ileż to rzeczy niezwykłych, przerastających wyobraźnię widziały oczy moje, aż trudno opisać — ciągnął zupełnie niespeszony brakiem jakiejkolwiek rzetelności. — Wy żyjecie tutaj tak szczęśliwie i beztrosko, że uwierzyć nie mogę wspominając własne dzieje…

— Czy i ciebie stworzył Pan? — przerwała Kobieta wpatrzona w Drugiego z napięciem.

Mężczyzna chciał uciszyć ją ruchem ręki, ale tak prosząco spoglądała na niego, że dał spokój i tylko przygarnąwszy ją do piersi ucałował ciemne włosy delikatnie.

— A ciebie, o piękna, on stworzył? — odpowiedział pytaniem na pytanie, z głową pochyloną, jakby szukając czegoś w trawie.

— Tak. Mnie, Mężczyznę i to wszystko wokół…

— Widziałaś go? — zagadnął unosząc spuszczony wzrok.

— Nie, ale wiem, że jest.

Drugi przez chwilę udawał zastanowienie. Myślał bardzo szybko i myślał bardzo dobrze. Pozbawiony wzniosłych ideałów, a przez to daleki od operowania jedynie czystymi pojęciami, potrafił wykorzystać swoje ułomności dla celów zupełnie materialnych i wymiernych.

— Ja widziałem Pana — wyszeptał z namaszczeniem.

…Oszustwo. Pochodna kłamstwa, tak jak spryt, chytrość i przebiegłość. Obserwowałem dalej…

Oboje zamarli w bezbrzeżnym zdumieniu. Kobieta otrząsnąwszy się ze zdziwienia, z hamowanym podnieceniem, z oczami rozgorzałymi jak dwie gwiazdy, przymilnie poprosiła:

— Opowiedz o nim, jaki jest, jak wygląda, czy podobny jest do nas, czy…

— Przybyszu — wtrącił Mężczyzna — jesteś oto najmilszą osobą, bo kto widział go, należy do najszczęśliwszych. Odtąd nasz dom będzie twoim domem. Mów.

…To jest naiwność. W dążeniu do ideału można popełnić błąd. Mężczyzna przyjął wniosek bez przeprowadzenia dowodu. Nie miał cienia wątpliwości co do słów Drugiego. Naiwność…

— Otóż — z namysłem rozpoczął Drugi — on jest do nas niepodobny ani z wyglądu, ani z zachowania. — Niespiesznie sięgnąwszy po skorupę z mleczkiem kokosowym obserwował ich reakcje. — Jest ogromny, tak wielki, że najwyższe korony palm sięgają mu zaledwie do kolan,

największe wody przebywa nie zanurzając się nawet po pas, najrozleglejsze przestrzenie przemierza kilkoma krokami, ramiona kryją chmury. Ma dwanaście nóg… — z ust Kobiety wyrwał się jęk niedowierzania — a tak — ciągnął Drugi zadowolony z efektu — ma dwanaście nóg, dwanaście rąk i sześć głów… — dramatycznie podnosząc głos rzucał im ukradkowe spojrzenia.

Mężczyzna zerwał się z trawy i nerwowym krokiem począł chodzić tam i z powrotem, zaszokowany zasłyszanymi rewelacjami, z trudem panował nad okrzykami grozy, których nie szczędziła Kobieta. Drugi milcząco wpatrzony w jej twarz — wyrażającą teraz jedynie bałwochwalczy podziw — z udanym smutkiem kiwał potakująco głową.

— Tak, tak, sam widziałem. Jak w tej chwili wasze postacie. Wszystko jest najszczerszą prawdą. Zaklinam się, że żadne ze słów nie wyolbrzymia obrazu. Ale to dopiero początek…

Kobieta była myślami w odległych zakątkach, gdzie według słów dziwnego przybysza można zobaczyć Pana. Nareszcie poznać wszechpotężnego, któremu zawdzięcza się istnienie i wszystkie dobrodziejstwa. Wyobraźnia przywoływała obraz odległych stron, jeszcze wspanialszych i jeszcze bardziej pociągających niż ich okolice, bajeczne miraże krainy zamieszkiwanej przez tajemniczego stworzyciela. Chciała tam być.

…Tęsknota. Analiza logiczna tak jak i w innych, podobnych przypadkach, niemożliwa. Jeden element więcej…

— Ale to dopiero początek — powtórzył Drugi.

Mężczyzna na powrót usiadł i z uwagą oczekiwał następnych słów, zmieniających jego poglądy na wiele spraw w zadziwiający sposób.

— Na każdej głowie ma po trzy pary oczu, przed których bystrym wejrzeniem nic się nie ukryje, choćby nie wiem w jakim głębokim zakątku schowane. Widzą one równie dobrze w dzień i w nocy, potrafią dostrzec najmniejszego ptaka nawet na drugim końcu świata — wiódł zmyśloną opowieść. — Potrafi wyrywać drzewa. Kiedy śpi, to jakby wiatr dął. Jeżeli ktoś czci go i miłością otacza, jest szczodry i dobry, tworzy najprzeróżniejsze cuda, których nie sposób opisać — z pochyloną głową i kornie spuszczonymi oczami wyglądał jak wcielenie pobożności — bywa w takich razach miłosierny, a hojność jego nie zna granic. Natomiast biada niepokornym! — podniósł głos, starając się, aby piskliwy ton przybrać w groźne brzmienie — bo wówczas jest bez umiaru w karach. Potrafi zabrać wszystko…

…Umysł niedoskonały potrafi obracać się tylko w granicach niedoskonałych pojęć. Nie można stworzyć wyobrażeń wyższych ponad zakodowane. Jedynie modelować. Notowałem. Z punktu widzenia funkcji Drugi miał najwyższe parametry. Co dalej, przyszłość pokaże…

Tymczasem zaczął zapadać zmrok i trzeba było przerwać opowieść gościa. Kobieta jeszcze niezupełnie wyzwolona spod wrażenia zasłyszanych dziwów z ociąganiem powstała z murawy i przeprosiwszy gościa spiesznie ruszyła, by przygotować posłanie. Słońce niknęło w purpurowej poświacie nadając krajobrazowi tajemniczy wygląd. Korony palm jak gdyby gorzały krwawym płomieniem, z oddali dochodziło senne porykiwanie lwa, ostatnie ptaki kwiliły coraz ciszej, ustępując miejsca rozpoczynającemu się koncertowi cykad.

Mężczyzna ująwszy Drugiego pod ramię wolno poprowadził go do domu.

— Powiedz mi, drogi gościu, dlaczego opuściłeś taką wspaniałą krainę, gdzie jest się blisko Pana?

Drugi przez moment wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku. Zlustrował Mężczyznę spłoszonym spojrzeniem, ale uspokojony ufnością i ciepłem bijącym z jego oblicza, z dobrze udawanym zaufaniem szepnął:

— Przybyłem tutaj specjalnie dla utwierdzenia waszej wiary, aby uradować duszę twoją i twojej Kobiety opisem Pana, aby zawsze przypominać o obowiązkach, jakieśmy mu winni, aby

czuwać nad ofiarnym oddaniem.

Mężczyzna pokornie kiwał głową, dziwnie potulny wobec karykaturalnej postaci chudego towarzysza. Od pewnego czasu, a dokładnie od momentu zakończenia opowieści o odległych stronach zamieszkiwanych przez Pana — od chwili, w której bez żadnych zastrzeżeń uwierzył w jego istnienie — nie był już całkowicie sobą, świadomość przeszła ogromną metamorfozę, której następstwa miały zaowocować w nadciągających dniach. Kiedy doszli do kryształowej siedziby w geście szacunku przepuścił gościa przodem, a sam — zaczekawszy, aż Kobieta wprowadzi go do wspaniałej sali — zawarł złote wrota.

…Wiele nowych pojęć. Wiele złożonych czynników. Trudno dojść do wymiernych relacji. Brak skali stopniującej wielkość. Jestem obserwatorem. Modyfikuję sytuację zwiększając stopień złożoności. Informacje są niezbędne do ostatecznej pracy…

Tuż przed świtem rozdmuchałem potężne wiatry — huragan, który postrącał owoce z palmowego gaju, powalił liczne drzewa wyrywając je z korzeniami i niosąc po równinnej płaszczyźnie w dal. Rozpędziłem zwierzęta, zbiesiwszy je i pozbawiwszy tej łagodności danej na początku. Niebo przysłoniłem peleryną ciężkich, sinych, ponurych chmur. Ten ranek nie był piękny, świat pogrążony w mglistej wilgoci nie nastrajał radośnie.

Jako pierwsza wstała Kobieta. Po rozchyleniu platynowych okiennic mimowolny jęk grozy wyrwał się z jej ust budząc Mężczyznę i Drugiego. Wyrwani ze snu półprzytomnym spojrzeniem błądzili po zmienionej nie do poznania okolicy. Kiedy wreszcie upewnieni o całkowitej realności oglądanych widoków poczęli spoglądać na siebie z niemym pytaniem, przemówił Drugi:

— Oto dzieło Pana — a gdy oboje wbili w niego zdziwiony wzrok, dodał — tak karze nieposłusznych, którzy nie potrafią uszanować woli jego.

— Ależ przybyszu — zaoponowała — czym mogliśmy narazić się, że zsyła taką klęskę?

— Nie wiem, nie wiem — kiwał energicznie głową, ale wyraz twarzy przeczył słowom.

— Ty widziałeś Pana — On potulnie prosił — na pewno umiesz wyjaśnić przyczyny, dla których zostaliśmy dotknięci tym nieszczęściem. Bądź miłosierny i nie ukrywaj ich, abyśmy mogli przebłagać Stwórcę i wystrzegać się w przyszłości podobnych błędów.

Drugi zastanawiał się przez chwilę.

— A jak dotąd okazywaliście wdzięczność za powołanie do życia i hojne dary?

Wyglądali na mocno speszonych, bo rzeczywiście, jaką formę przybrały dziękczynne modlitwy? — żadnej. Święcie przekonani, że wystarczy wierzyć, że myślenie o Stwórcy jest jedynym sposobem okazywania przywiązania i miłości, że niekonieczne są jakiekolwiek inne działania, nie czynili żadnych kroków ani wysiłków, by zademonstrować głęboki podziw i uwielbienie. A teraz przyszły skutki owej bezmyślności.

— Co radzisz, drogi gościu? — błagalnie spytał Mężczyzna. — W jaki sposób naprawić pomyłkę i udobruchać Pana? Bądź tak dobry i nie skąp mądrej wskazówki.

— No cóż — Drugi z ociąganiem rozpoczął przemowę — znam metodę, która powinna odwrócić niechęć Stwórcy, ale o jej skuteczności nawet mnie trudno wyrokować.

— Mów, jeżeli ci nasze dobro leży na sercu — Kobieta prosiła kładąc piękne dłonie na ramionach Drugiego.

— Mężczyzna musi naznosić kamieni na wielki kopiec, który będzie świątynią, miejscem kultu i ofiar składanych Panu. Powinien być usypany, o tam — wskazał ręką niewielkie wzniesienie w połowie drogi między kryształową siedzibą i gajem — aby należycie okazać wiarę musimy każdego dnia składać dary z owoców i zwierząt. Ja będę czuwał nad tym ceremoniałem, gdyż najlepiej, a właściwie jako jedyny znam Stwórcę i jasne są dla mnie jego wyroki. Będę więc pośrednikiem między nim a wami. Nazywajcie mnie Kapłanem… — zakończył dumnie wypinając pierś.

Coś na kształt sprzeciwu mignęło w oczach Mężczyzny, ale tylko przez moment, bo spokojnie zrezygnowanym głosem zapytał:
— Czy pracę mam zacząć od zaraz?
— Kapłanie… — przypomniał Drugi sycząco.
— Kapłanie — dodał Mężczyzna, chyląc głowę w przepraszającym geście.
— Tak dobrze — zamruczał odsłaniając w uśmiechu długie zęby — najpierw muszę przynieść zrzucone przez wiatr owoce, byśmy mogli posilić się należycie.
Mężczyzna odwróciwszy się na pięcie bez słowa opuścił kryształową siedzibę. Szedł krokiem sprężystym, szparkim, z osobliwą gracją i wdziękiem. Kobieta odprowadzała go rozmiłowanym spojrzeniem, dopóki zgrabnej sylwetki nie wchłonęły zarośla. Jeszcze przez jakiś czas wpatrzona w gmatwaninę pni i pozrywanych koron czekała, czy nie mignie gdzieś droga postać.
— Kobieto, czy ty go kochasz? — zapytał Drugi.
— Tak — padła natychmiastowa odpowiedź — bardzo go kocham.
— Za co darzysz Mężczyznę miłością? — ciekawie indagował dalej.
Ona na dłuższą chwilę pogrążyła się w zadumie, by po jakimś czasie bezradnie rozkładając ręce odrzec:
— Nie wiem. Tego nie opiszą żadne słowa, ani też żadnych przyczyn uczucia nie potrafię znaleźć, ale nie potrzeba, bo to tkwi głęboko wewnątrz i po prostu jest.
— A czy kochasz Pana? — Drugi najwyraźniej zadawał pytanie nie tylko z czystej ciekawości.
— Tak, Pana też kocham…
— Czy również miłujesz wszystko, co stworzył? — ciągnął coraz bardziej zadowolony z siebie.
— Kocham wszystko, co on stworzył.
— A czy i mnie też kochasz? — prędko wyrzucił z siebie, z napięciem lustrując jej oblicze spojrzeniem bladozielonych oczu.
— Tak, ciebie również kocham.
Pochyliwszy się tak, że przyspieszony oddech muskał ciemne włosy, z chytrym uśmiechem zapytał:
— Kochasz mnie jak i Mężczyznę?
— Nie…
— Dlaczego?! — Nieomalże krzyknął, porzucając maskę dobrodusznego opiekuna, z grymasem niepohamowanej złości nadającej jego obliczu odpychający wyraz. — Jestem w czymś gorszy od tego głupca?!
— Czy wiarę, dobroć i uległość nazywasz głupotą?
— Nie, nie to miałem na myśli — wycofywał się spiesznie, już na powrót spokojny i opanowany — wybacz ten błąd, który popełniłem zupełnie mimowolnie i bez złej intencji.
— Ależ… — i po zastanowieniu — Kapłanie, wiem, że nic zdrożnego nie chciałeś rzec. Kocham Mężczyznę. Przy nim czuję się bezpieczna i całkowicie ulegam jego opiece. Nie wyobrażam sobie dnia bez obrazu tej barczystej postaci, bez ciągłej obecności, bez ciepłych spojrzeń, bez uśmiechu zdobiącego szczere i proste oblicze, bez delikatnego dotyku mocarnej dłoni, bez uroczej pieszczoty, bez chwil zbliżenia. Ciebie natomiast kocham jako twór Pana, jako istotę tego samego gatunku. Ale nie jesteś podobny do Mężczyzny. Nie, nie zrozum mnie źle — przeczyła widząc Drugiego z mieniącą się twarzą — ty wspaniałością może nawet go przewyższasz. Widziałeś przecież Stwórcę i mądrością wyrastasz nad nasze skromne osoby, nazywamy cię Kapłanem…
Drugi obserwował Kobietę z uwagą o wiele większą, niżby można było przypuszczać, patrząc

na opuszczone powieki i twarz okrytą maską powagi. Zadowolenie z górnolotnych pochwał nie osłodziło goryczy zniewagi i ośmieszenia. Chociaż Ona mówiła najwyraźniej szczerze i z głębi duszy — po prostu tak jak czuje i myśli — nie ufał ani jednemu słowu.

…Zawiść. To była zawiść. Nowe określenie. Zakodowałem w zachłannej świadomości. Niezwykle interesujące…

Akurat w złotych wrotach stanął On — obarczony owocami, których kolory wyblakły przez noc. Ostrożnie złożył wszystkie na podłodze, tak aby wyglądały jak najokazalej i zbliżywszy się do Kobiety delikatnie ucałował jasne czoło. Drugi z wyrazem upokorzenia ukradkiem obserwował czułą scenę. Wyglądali na szczęśliwych — absolutnie i bezgranicznie — rozradowani wspólnym zbliżeniem, obecnością, dotykiem spragnionych ciepła dłoni.

Jest przecież Kapłanem, wyrocznią, którą należy traktować z należytym szacunkiem. Sięgnął po pomarańczę i obdzierając skórkę z dziwną zaciekłością zapytał:

— Kiedy masz zamiar zabrać się za budowę świątyni? — zjadliwy komentarz przerwał czułą wymianę pocałunków. — Dopiero wówczas, gdy kolejna klęska zostanie zesłana przez Stwórcę?

— Chyba krótka chwila nie ma znaczenia — zadrgały nerwowo zaciśnięte mięśnie szczęk — nie spożyłem jeszcze posiłku.

— Kapłanie! — wyrzucił Drugi piskliwie, z krtanią zdławioną ledwie hamowanym krzykiem.

— Kapłanie!

— Zapamiętaj sobie, że masz zawsze odzywać się, używając tego zwrotu. Bo jeżeli pomijasz go i uwłaczasz godności mojej, to tym samym wznosisz bezbożną dłoń na majestat Pana.

— Dobrze, dobrze, przepraszam i obiecuję, że na przyszłość będę uważał — Mężczyzna wyraźnie zniecierpliwiony zakończył spór potakiwaniem. Następnie, jakby zawstydzony zbytnią zuchwałością, ani nie skosztowawszy przyniesionych owoców, opuścił kryształowy dom.

Tam, gdzie rumowisko skalnych odłamów wyrastało z zieleni łąk, skierował swoje kroki i już po niedługim czasie, przygięty pod ciężarem pierwszego kamienia, zmierzał w kierunku przyszłej świątyni. Uporna wędrówka tam i z powrotem rychło przestała budzić zainteresowanie Drugiego.

— Kobieto, czy i piękno ciała zachowujesz jedynie dla niego? — ruchem głowy wskazał Mężczyznę, który uwolniony od kolejnej bryły, wracał nad skalne usypisko.

Milczała, jakby nie rozumiejąc sensu dziwnego pytania.

— No powiedz, ja też mógłbym skorzystać z dobrodziejstw twoich cudownych kształtów? Mógłbym?!

— Nie. — Ze zgrozą kręciła głową. — Nie. Nawet Kapłan…

Śmiał się rechotliwie, nieprzyjemnie — zgrzyt wyrwany z głębi gardła szydził ze zdumionej miny. Niezbyt wspaniała postać, daleka od wyidealizowanej doskonałości, na pewno nie wzniosłe cele kierują postępowaniem mizernej osoby: chyba że użyteczność można nazwać wartością wyższą. Chichotał aż do łez płynących z zapadniętych oczu, aż do szalonego tańca grdyki, aż do strużki śliny spływającej z kącika ust. Rozbawiony jej zdumieniem, giął się w paroksyzmach powracających napadów śmiechu. Ale to nie była wesołość, to nie radość ani swobodny i beztroski nastrój — bez żadnej wątpliwości nie.

— Nawet Kapłanowi, powiadasz? — nieomalże dusząc się własną śliną pytał ze złym błyskiem źrenic — nawet Kapłanowi?

— Nawet.

— Więc zaryzykowałabyś opór przeciwko woli Pana? Bo wszystko co stworzył — już bez cienia uśmiechu ciągnął dalej — jest wspólne i przykazano, by między dziećmi Stwórcy nie było różnic ni podziałów na lepszych i gorszych. Spróbowałabyś oponować tak podstawowym prawidłom? Możliwe jest, by ktokolwiek śmiał sprzeciwić się bezwzględnym wyrokom? Kobieto, twoje ciało nie może być własnością jednej osoby, ty o tym nie decydujesz!

— Kapłanie — zaczęła po dłuższej chwili zastanowienia — mówisz, że wszystko jest wspólne. Ale czyż Pan nie kieruje losem, czyż nie on świat cały ma we władaniu, czyż nie rządzi najdrobniejszymi zdarzeniami? — pytające spojrzenie spoczęło na twarzy Drugiego.

— Owszem, masz rację, dlatego…

— Poczekaj — przerwała — chcę zakończyć. Otóż jeśli tak jest, to powinnam i do ciebie, Kapłanie, żywić podobne co do Mężczyzny uczucia. A tak nie jest.

Został pokonany własnymi argumentami, delikatnie, a jednocześnie bezwzględnie. Jego, Kapłana, nauczono, co wolno robić, a czego nie, dlaczego Stwórca postępuje tak a nie inaczej, jak wyglądają Pańskie wyroki i jak należy je rozumieć. Tego było mu za wiele, czerwony ze wściekłości, tocząc dziko oczami krzyknął:

— Ja tu jestem od wydawania sądów!!!

…Złość. Wściekłość. Gniew. Dalsze trzy wnioski. Coraz więcej informacji. Coraz bardziej skomplikowanych i złożonych. Uczucie będące wypadkową upokorzenia, poczucia własnej słabości, ośmieszenia, poniżenia, niemożności osiągnięcia upragnionego celu. Niemożliwa analiza przyczynowo–skutkowa. Zbyt mało danych. Trzeba pełniej wymodelować zdarzenie…

Stworzyłem Trzeciego — jeszcze jednego mężczyznę, jeszcze jedną osobowość. Pięknego niczym Kobieta, urodziwego aż do granic oznaczonych męskimi cechami, wiotkiego i prostego jak źdźbło bambusowego pędu, zgrabnego i harmonijnie uformowanego. Był dopełnieniem dwóch pozostałych. Powołałem go do życia i spokojnie śledziłem dalszy rozwój wypadków…

Drugi rzuciwszy przelotne spojrzenie w okno natychmiast pohamował gniew i pokazując Kobiecie coś niezwykłego, wybiegł szybko z kryształowej sali. Spojrzawszy we wskazanym kierunku ze zdziwieniem spostrzegła, że Mężczyzna kogoś prowadzi. Z tej odległości trudno było jeszcze dostrzec jakiekolwiek szczegóły. Pospieszyła więc w ślad za Kapłanem i już po chwili, oboje przysłoniwszy oczy wzniesionymi dłońmi, spoglądali w stronę nadchodzących.

Gdy wreszcie stanęli przed nimi — On i Trzeci — Kobieta w niedowierzaniu kręciła głową, nie mogąc oderwać rozgorączkowanego spojrzenia od ślicznej sylwetki. Było na co popatrzeć — wyjątkowo udany twór.

— Spotkałem go nad brzegiem jeziorka, od strony kamiennego usypiska — relacjonował Mężczyzna z przejęciem. Niewielkie grono powiększyło się o jeszcze jedną osobę, więc nietrudno zrozumieć, z jakim zaciekawieniem cała trójka obserwowała nowego.

Patrząc w dal nad ich głowami i zwracając się jakby do przestrzeni wokół, a nie do konkretnych postaci, przemówił:

— Witajcie, przyjaciele. Czy udzielicie schronienia przybyszowi?

Bez żadnej troski o odpowiedź obserwował ich obojętnie, zatrzymując jedynie dłużej spojrzenie na cudownej twarzy Kobiety.

— Czy wiesz, że jesteś piękna? — zagadnął, nim ktokolwiek miał czas rozwiać wątpliwości poprzedniego pytania.

Spłonęła rumieńcem i spuszczając głowę zerkała płochliwie na boki. Nie śmiejąc otwarcie utkwić wzroku w twarzy Trzeciego, rzucała mu spod powiek ocienionych długimi rzęsami ukradkowe spojrzenia.

…Wstyd. Nieśmiałość. Skrępowanie. Zażenowanie. Kokieteria. Zadziwiający efekt. Doświadczenie trwa. Dobrze. Doskonały materiał do pracy ostatecznej…

— Jakie dobre wiatry przywiały cię do nas? — z przekąsem wycedził Kapłan. Z rozognionymi ślepiami sprawiał wrażenie zwierzęcia gotowego do raptownego ataku.

— Ani dobre, ani złe, nieboraku…

…Złośliwość. Kpina. Ironia. Kolejne informacje. Kolejny element układanki…

Drugiego wściekłość o mało nie rozniosła. Zgrzytając zębami z jakąś dziwną zachłannością

napawał wzrok obrazem prześmiewcy, jakby dla wyrycia w pamięci wiernej kopii tej sylwetki. Było w jego zachowaniu coś niepojętego, ukryta groźba, zapowiedź przyszłego odwetu.

— To jest nasz Kapłan — niespodziewanie Kobieta przyszła mu z pomocą. — On widział Pana. Wszyscy jesteśmy powołani do życia przez Stwórcę, więc okazując szacunek Kapłanowi, zachowujemy należytą powagę względem naszego dobroczyńcy.

— Dobrze, czarowny kwiecie, jeżeli ty tak chcesz, mogę mówić nawet: Wielki Kapłanie. Twoje słowa będę traktował jak rozkaz.

Mężczyzna od niejakiego czasu zachowywał się dziwnie. Prostoduszne oblicze wyrażało pierwsze objawy zaniepokojenia.

— Możesz tu zamieszkać nawet na stałe. Nie musisz szukać własnego domu… Chyba, że chcesz — zastrzegł się pospiesznie, choć czuło się w jego głosie, że właśnie z całego serca pragnąłby pozbyć się kłopotliwego przybysza.

— Utrafiłeś w samo sedno, czcigodny mężu — pokłonił się Trzeci z udawanym szacunkiem — chcę mieć własne miejsce do spoczynku, które wolnym będzie od widoku osób mi niemiłych.

— Bój się gniewu Pańskiego! — Drugi ponurym głosem spróbował ukorzyć zuchwalca. — Bo za swoją bezbożną mowę i myśli zostaniesz srogo ukarany. Bacz, by na twą głowę nie spadło nieszczęście, którego odwrócić niepodobna.

Trzeci zaniósł się dźwięcznym śmiechem. Po dłuższej chwili, uspokoiwszy rozbawiony głos, z niedowierzaniem kręcąc głową odparł:

— Kapłanie, jesteś durniem. A do tego jeśli twój Pan jest tak brzydki i pokraczny jak ty, to nie chcę i nie mam najmniejszej ochoty wierzyć — to mówiąc szybkim ruchem wyciągnął rękę i poklepał go po policzku niczym posłusznego zwierzaka.

Mężczyzna, zupełnie zaszokowany zadziwiającymi wydarzeniami, nie mógł wykrztusić ani jednego słowa, nie wspominając już o jakiejkolwiek reakcji, Kobieta natomiast z rosnącym podziwem wpatrywała się w Trzeciego.

— Kobieto, powtarzam, jesteś piękna. Zarumieniona z zadowolenia, aż łuna biła od jej lica, próbując za wszelką cenę rzecz całą w żart obrócić — by Mężczyzny jeszcze bardziej nie drażnić — z zachwycającym wdziękiem złożyła ceremonialny ukłon.

— Ach, cóż ja niewiasta pokorna mam rzec? Czyż wszyscy nie jesteśmy piękni jako twory Pana? Czyż i ty nie jesteś ucieleśnieniem idealnego kształtu?

— Należysz do Mężczyzny? — wtrącił pozornie niedbale, ale znać było, że bardzo uważnie oczekuje odpowiedzi.

Traktowany jak powietrze, pomijany całkowicie przy rozmowie, lekceważony od momentu pojawienia się nowego .gościa On — głosem schrypniętym od skrywanej złości — uznał wreszcie za stosowne przemówić.

— Tak, kochamy się… — i tu zabrakło mu odwagi, bo wypowiedziane słowa zabrzmiały jakoś fałszywie, zbyt twardo i bardzo przyziemnie, jakby nie były określeniem wzniosłego uczucia, wręcz profanowały chropawą szorstkością i zupełnym brakiem echa: zawieszone w powietrzu stwarzały wrażenie nieprzyjemnego zgrzytu.

— Czy to prawda?

— Tak — padła odpowiedź, ale zdawała się być równie wymuszoną co i wcześniejsze wyznanie…

— Ojej! — Kobieta zabawnie złapała się za głowę. — My tu stoimy w progu, zamiast zaprosić do środka i poczęstować owocami. Jesteś głodny? — zwracając się do Trzeciego jednocześnie zaprosiła wszystkich do kryształowego wnętrza.

— Nie, nie, dziękuję za zaproszenie, ale na razie nie skorzystam. Chciałbym jeszcze dzisiaj wybrać miejsce pod budowę swojej siedziby. Wróciłbym przed porą spoczynku.

— Może pójść z tobą — zaproponował On zapominając o urazie — będzie potrzebna pomoc.

— To później, przy samym wznoszeniu. Wówczas poproszę o wsparcie nie tylko ciebie, ale i — tu zawahawszy się chwilę, z krzywym uśmiechem dodał — waszego Kapłana. Natomiast teraz chcę być sam.

Rzuciwszy Kobiecie przeciągłe spojrzenie odwrócił się i ruszył płynnym krokiem w stronę gaju. Nie odchodząc daleko, zwolnił trochę, po czym przez ramię krzyknął w ich stronę:

— Nazywajcie mnie Patronem!

Stali bez ruchu niezupełnie oprzytomniawszy po rozmowie z Patronem. Każde z nich myślało o nim, ale całkowicie w innych kategoriach.

Kobieta z rozmarzonym wyrazem twarzy, błędnym wzrokiem i całkowitym brakiem zainteresowania dla otoczenia, dumała nad urodą niezwykłego towarzysza, nad dziwną obietnicą czającą się w każdym spojrzeniu. Ona już nie należała do Mężczyzny, nie tak bezgranicznie jak dotąd, zaczynała odczuwać ochotę na nieokreśloną zmianę, zdarzenie jeszcze nie w pełni uświadomione, tajemniczą przygodę.

O przybyszu rozmyślał też On, ale jakże inaczej. Tego, co było jej tęsknotą, Mężczyzna zaczynał się bać, trudno mówić o przeczuciach, choć właśnie podobne określenie pasowałoby najbardziej. Rozumiał, że istnieje gradacja wartości, a jest nią piękno, która zestawiając go z Trzecim gasi wszelkie zalety. Nawet z pobieżnej obserwacji wynikało, jak bardzo Kobieta została zauroczona przez nowego i jak bardzo przypadł jej do gustu…

Drugiego do wściekłości doprowadzało lekceważenie jego osoby. Urażona duma Kapłana, przed którym winno ukorzyć się wszystko, co żyje, judziła do czynów mogących przywrócić zachwianą pozycję. I on zauważył, z jakim uwielbieniem Kobieta wpatrywała się w Trzeciego, i jemu nie w smak było to zainteresowanie…

— Chodźmy, pokażę ci, jak powinna wyglądać świątynia — zaproponował Mężczyźnie.

— Tak, zaniedbaliśmy nasze obowiązki — chciała widocznie zostać sama — ja tymczasem przygotuję kryształową siedzibą do przyjęcia naszego gościa.

— No to chodźmy — Mężczyzna zgodził się z ociąganiem.

Oddaliwszy się od domu wystarczająco daleko, by głosy nie mogły być słyszane, Drugi przemówił zgryźliwie:

— Piękny jest nasz towarzysz, aż trudno uwierzyć… Twarz, cóż za cudowne rysy. Oczy, w które można patrzeć bez pamięci — ciągnął hymn pochwalny przy całkowitym milczeniu Mężczyzny — my jesteśmy tylko mizernymi stworzeniami, tak dalece mizernymi, że nie wiem, w jakim celu nasz Pan wykreował podobne istoty. Tak, nietrudno zrozumieć Kobietę, która od pierwszej chwili zapałała do niego chyba czymś więcej niż tylko sympatią…

— O czym mówisz, Kapłanie? — On przerwał, raptownie stając.

— Ja tylko opowiadam, co sam zauważyłem. Patron podoba się jej bardziej, niźli wynikałoby to ze zwykłej ciekawości. Zresztą trudno się dziwić, jest naprawdę piękny… — judził z obliczem przybranym w maskę zrezygnowania.

— Przecież mnie kocha! Sama potwierdziła… — Mężczyzna tracił stoicki spokój.

— Nie rozumiesz dlaczego?

— Nie.

— Żebyś nie poczuł się urażony, żeby cię nie ośmieszyć, żeby zachować twoją przychylność i jeszcze drugie tyle „żeby”, o których tylko Ona wie.

— Niemożliwe. Kapłanie, ty po prostu kłamiesz. Może nieświadomie — łagodził wymowę słów — ale nie mówisz prawdy. Nie wierzę, aby takie uczucie nie miało dla niej nic znaczyć. Z pewnością nie.

— Tak sądzisz? A widziałeś, jak na niego patrzyła? A zwróciłeś uwagę na ich

porozumiewawczą wymowę spojrzeń? A zrozumiałeś, dlaczego nie zdawała sobie sprawy, co się wokół niej dzieje? A pojąłeś zdawkowe i jakby wymuszone potwierdzenie tej wielkiej miłości? A dotarło do ciebie znaczenie braku jakichkolwiek przejawów czułości w ciągu całej rozmowy? Ani razu nie przytuliła się, nie uśmiechnęła, nie uraczyła miłym słowem. Uważasz, że jeszcze mało?

Mężczyzna kiwał głową jakby zamroczony, starał się za wszelką cenę znaleźć błąd w klarownym wywodzie. Najwyraźniej świadomość nie przyjmowała nieprawdopodobnego — w jego mniemaniu — wniosku, jedynego z możliwych i jedynego nie do zaakceptowania.

— Kapłanie, wszystko, o czym wspominałeś, to tylko pozory — dowodził bardziej sobie niż Drugiemu — wyjątkowy splot okoliczności powodujący, że mylnie rozumiemy znaczenie obserwacji. Ona ma prawo interesować się nową postacią. Zresztą czy i my nie czyniliśmy podobnie wpatrując się w niego niczym w zaczarowany obraz? — Głos nabierał mocy wraz z wypowiadanymi słowami. — Jest tak piękny, że byłoby dziwne, gdyby Kobieta nie przejawiała żadnego zainteresowania. Nie ma powodu do obaw, sytuacja powinna wyjaśnić się w ciągu kilku najbliższych dni. Wtedy zobaczysz, że podejrzenia twoje były bezpodstawne.

— Jesteś naiwny, Mężczyzno — Kapłan przerwał ze złością — nie rozumiesz, że dalej trwając w wygodnej niewiedzy, nie podejmując zdecydowanych kroków, stracisz ją w krótkim czasie: na zawsze i nieodwołalnie.

— Dość. Już za dużo powiedzieliśmy, nie mając ku temu najmniejszych podstaw. Zabierzmy się wreszcie za budowę świątyni, bo o nią ci chyba chodzi, Kapłanie?

Drugi nie próbował więcej poruszać drażliwego tematu. Nie trzeba było wytrawnego obserwatora, by pojąć stan, w jakim znajdował się Mężczyzna.

Dalszą część drogi do wzgórza, na którym miała stanąć budowla, przebyli w zupełnym milczeniu. Na miejscu, gdzie leżało już kilkanaście głazów zwalonych w nieregularny kopiec, rozmowa toczyła się jedynie o świętym placu. Wybrany był korzystnie — na niewielkim pagórku o ściętym wierzchołku i łagodnym stoku otwierającym się na kryształową siedzibę.

Drugi podniósłszy podłużny, ostro zakończony odłamek kamienia, począł kreślić na trawie tajemnicze znaki. Najpierw, zrywając zieloną pokrywę aż do ziemi, wytyczył ogromny kwadrat, w którym z niemałym trudem wpisał koło, a w to z kolei drugi kwadrat. W środku tych figur zbiegły się przeprowadzone z wierzchołków proste linie.

On obserwował niezrozumiałe poczynania ze zdumieniem graniczącym wręcz z podziwem. Zupełnie niepojęta kombinacja rysunku wzbudzała respekt i szacunek tym większy, że Drugi wykonywał wszystkie czynności z powagą świadczącą o celowości każdego kroku. Wreszcie ukończywszy, odpowiedział na nieme pytanie, malujące się w oczach Mężczyzny, głosem zabarwionym nutą wyższości. Począł wyjaśniać:

— Ten okrąg symbolizuje świat. Popatrz — powiedział wskazując dłonią na horyzont — nasz świat jest okrągły, okrągłe jest słońce, po okręgu też porusza się. Ten kwadrat na zewnątrz jest przedstawieniem Pana, który ma we władaniu całość. Kwadrat wewnątrz jest również jego obrazem, bo przecież razem z nami żyje tutaj: w środku swojego królestwa. Każda z linii przedstawia jeden z darów Stwórcy: życie, ziemię, wodę, powietrze, rośliny, zwierzęta, dzień i noc, a wszystkie przecinają się w środku i my nim jesteśmy, jako że dla nas zostały wykreowane owe wspaniałości. Tu dokładnie musi stanąć ołtarz, na którym składane ofiary będą oznaczać wdzięczność i szacunek, jaki żywimy dla Pana.

— Kapłanie, twoja mądrość jest zdumiewająca. Potrafisz zrozumieć najskrytsze zagadki losu.

— Dlatego wymagam uznania i miłości. — Drugi aż pokraśniał z zadowolenia. Dumnie napuszony prawie uwierzył we własną siłę i wspaniałość.

— Jaką pracę dla mnie przeznaczyłeś, czcigodny Kapłanie?

— Trzeba ułożyć kamienie na wyrysowanych liniach, a później przystąpić do budowy ołtarza i kryjącej go kaplicy.

Zabrali się do pracy. Szare głazy powoli pokrywały zewnętrzny obrys figur. Wiele wysiłku kosztowało Mężczyznę dźwiganie ogromnych kamieni, a wymagania nadzorującego Drugiego były bardzo wysokie — albo nie taki kształt, albo za małe odłamy, albo zbyt popękane: tak, że obok pagórka rosło drugie wzniesienie z odrzuconych brył. Ale wysiłek odnosił błogosławiony skutek, bo na razie w niepamięć poszły wydarzenia z Kobietą i Patronem. Spływający obficie pot: po mocarnym karku, po ramionach, po torsie, wyzłocił ciało Mężczyzny połyskliwym blaskiem, stwarzając ułudę wewnętrznej jasności.

Kiedy czwarta część okręgu została obłożona skalnymi złomami, zaczęło zmierzchać i Kapłan, jakby z odrobiną żalu, zakomenderował:

— No, koniec na dzisiaj. Pora wracać do domu. Kobieta czeka pewnie z przygotowanym posiłkiem.

Co dziwniejsze On również odchodził od pracy z ledwie tajoną niechęcią. Jeszcze raz przyjrzawszy się rozpoczętemu dziełu niespiesznie ruszyli w kierunku kryształowej siedziby. Na chwilę chmury odsłoniły kawałek nieba i gasnące za horyzontem słońce zajaśniało ostatnim, krwawo–czerwonym promieniem.

Dotarłszy na miejsce zastali wewnątrz Patrona. Był niezwykle zajęty rozmową z Kobietą. Na ich widok urwali natychmiast i zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je dopiero Kapłan.

— Jesteśmy bardzo głodni. Czy przygotowałaś posiłek? Bez słowa wskazała przeciwległy kąt pomieszczenia, gdzie leżały rozłupane orzechy kokosowe i rozłożone na liściach banany. Przystąpili do uczty i po niedługim czasie po owocach nie pozostało śladu.

— Znalazłeś odpowiedni zakątek pod budowę domu? — odezwał się Mężczyzna, ocierając usta.

— Tak, trafiłem na polanę. Tam gdzie gaj styka się ze ścianą rumowiska. W pobliżu leży mnóstwo powalonych pni akurat na budowę.

— Kiedy masz zamiar rozpocząć pracę? — zagadnął Drugi.

— Nie martw się, Wielki Kapłanie, nie zabraknie jej i dla ciebie. Oczywiście jeżeli zechcesz wesprzeć mnie swoim silnym ramieniem…

— Chętnie, bardzo chętnie — nie podjął zaczepki — a o czym tak miło rozmawialiście przed naszym przyjściem? — zapytał od niechcenia.

Nowy rzuciwszy Kobiecie przelotne spojrzenie, z udaną obojętnością odpowiedział:

— O takich nieistotnych sprawach. Zwykła gadanina, nic interesującego.

— Jednak chętnie posłuchamy…

— Niech ci powie twój Pan, wszechwiedzący! — Patron stracił spokój.

— Rozmawialiśmy o budowie domu, urokach okolicy i podobnych rzeczach. Rzeczywiście nic ciekawego — Ona przyszła mu z pomocą.

Mężczyzna przysłuchiwał się temu z pozorną nieuwagą, ale sztuka ukrywania uczuć była mu na tyle obca, by bystry obserwator bez trudu odgadł wewnętrzną rozterkę.

Niewątpliwie Drugiego można nazwać spostrzegawczym i on też dyskretnie śledził wyniki swoich przedsięwzięć. Patron natomiast zachowywał się wręcz wyzywająco, jakby chciał pokazać, jakie to z nich marne istoty i czego potrafi dokonać.

…Duma. Pycha. Zarozumiałość. Kontury wypełnia coraz pełniejsza treść, krystalizując obraz końcowego dzieła…

Gdyby nie samouwielbienie, Trzeci zrozumiałby, że najwyższa pora opamiętać się lub przynajmniej zachować pozory. Ale Piękny był tylko piękny i żaden racjonalny argument nie docierał do zarozumiałej świadomości. Natomiast Kapłan wiodąc zaplanowaną akcję,

przewidywał finał z niezwykłą wprost pewnością…

Kolejnego dnia słońce wzeszło w całej okazałości, niebo bez jednej chmury radowało czystością błękitu. Beztroski gwar ptactwa niósł się w ożywczym chłodzie poranka.

Rozbudzeni panującą jasnością spoglądali wokół z zachwytem — tym większym, że nieoczekiwanym po wczorajszej niepogodzie. Wyglądało, jakby los znów uśmiechnął się do nich, a niepokój o gniew i niełaskę pańską był sprawą bezpowrotnie przeszłą. Ucieszeni takim obrotem rzeczy pospiesznie szykowali się do czekającej ich dzisiaj pracy. Zaspokoiwszy głód opuścili kryształowy pałac, by wyruszyć na miejsce budowy siedziby Patrona. Tym razem Kobieta postanowiła im towarzyszyć.

Polana w istocie okazała się być uroczym zakątkiem wręcz wymarzonym do zamieszkania. Zwaliste, poszarpane urwisko z jednej strony kontrastowało z czystą zielenią z drugiej. Postanowiono chatę przylepić jednym bokiem do skalnej ściany, wspaniale chroniącej od wiatrów w czas niepogody i zapewniającej miły chłód podczas zbyt upalnych chwil.

Drugi okazał się być doskonałym budowniczym, znakomicie rozwiązującym każdy problem. Jako pierwszy podsunął myśl, aby pnie palm umieścić na ułożonej z głazów podstawie, pokazał, jak można ostrym odłamkiem obrabiać drewno, żłobiąc w nim wgłębienia zazębiające całość niezwykle trwale. Wreszcie, po kilku próbach, wpadł na pomysł transportowania co cięższych pni na wałkach z bambusowych pędów. Ktokolwiek próbowałby sądzić, że żywi do Trzeciego urazę, musiałby znać jego myśli. Ale kiedy słońce zbliżywszy się do najwyższego punktu swojej wędrówki pozwoliło zasiąść do południowego posiłku, z obojętną miną zagadnął Kobietę:

— Czy po skończeniu domu masz zamiar zamieszkać w nim razem z Patronem?

Pytanie padło tak nagle i niespodziewanie, że wszyscy zamarli w zdumieniu, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Ona, zupełnie zaskoczona i nie przygotowana na odpowiedź, w milczeniu błądziła wzrokiem od jednego do drugiego.

— No tak, rozumiem — ciągnął z niezmąconym spokojem — jest rzeczywiście piękny i Mężczyzna nie może się z nim ani równać.

— Ależ nie, nie — zaprzeczyła, dopiero teraz zrozumiawszy, do czego zmierza — skąd ci, Kapłanie, przyszła do głowy taka myśl?

Widać było, jak On traci spokój, jak poczynają drgać mięśnie twarzy, żłobiąc w niej grymas wściekłości. I jeszcze ten zadowolony uśmieszek Patrona. Zaiste lepiej byłoby dla niego, gdyby nie okazywał swojego zadowolenia aż tak wyzywająco.

— Dlaczegóż by nie?! — wykrzyknął z zachwytem. — Kapłanie, czasem lęgną ci się całkiem dobre pomysły!

Mężczyzna z zaciśniętymi zębami trwał jak martwa figura, pięści same złożyły się w kułaki, spojrzenie stwardniało i nawet iskierka dawnej uległości nie rozjaśniała czarnej toni źrenic.

A dzień był taki pogodny…

…Zazdrość. Powstaje przy utracie własności. Układanka kompletowała się sama…

— Nie, nie! — prawie krzyczała — nigdy podobna myśl nie przyszła mi do głowy. Nigdy!

Nerwowo latała mu powieka, potężne mięśnie zbryliły sylwetkę, nadając jej drapieżny wygląd. Oddech miał płytki i szybki — powietrze ze świstem wydobywało się ze ściśniętej krtani.

— Takie są prawa natury, mój drogi — kpiąco judził Patron.

Jeszcze w niewyobrażalnej naiwności nie rozumiał, ku czemu zmierza bieg zdarzeń, jeszcze świadomość bagatelizowała dziwne zachowanie. Powinien był przewidzieć…

— Zaklinam na wszechmocnego Stwórcę, że nie odejdę od ciebie! — Ona natomiast przeczuwała doskonale. — Uwierz, ja chcę być tylko z tobą!

Mężczyzna odwróciwszy się, ruszył wyciągniętym krokiem w stronę kryształowego pałacu, a

za nim prawie biegnąc podążał Drugi. Patron i Kobieta pozostali na miejscu.

A dzień był taki pogodny…

— Widzisz, mówiłem o jej uwielbieniu — Drugi szybko wyrzucał z siebie słowa — na pewno odejdzie, jeżeli nie dziś, to jutro, pojutrze, za trzy dni. Obudzimy się któregoś ranka, a łoże obok będzie puste.

Nawet jeden dźwięk nie wychodził poza barierę kurczowo zwartych szczęk. To było coś więcej niż tylko wściekłość, coś więcej niż zapalczywość, coś więcej niż zawiść — coś więcej…

— Ale nie jej wina, że jest taki cudowny. Może gadam od rzeczy, ale podobnej urodzie trudno stawić opór. Pamiętasz — zmienił nagle temat — jak wróciliśmy wczorajszego wieczoru?

On sprawiał wrażenie, jakby ani jedno słowo doń nie docierało, ruchy choć gwałtowne miały w sobie jakąś niesamowitą precyzję, kryła się w nich zapowiedź działania. Niby w transie odmierzane kroki, regularny oddech urywany chrapliwym jęknięciem, wyprężone mięśnie, nabrzmiałe żyły i ten wzrok upiornie wbity w jeden punkt nad linią horyzontu.

— Mówię o tym, jak urwali rozmowę, kiedyśmy weszli. Chciałem poznać jej treść, ale Patron wymigiwał się od odpowiedzi. Nie twierdzę — ciągnął nieubłaganie, z osobliwą satysfakcją obserwując, jak argumenty trafiają wreszcie na podatny grunt — że jest w tym choćby odrobina jej winy, skądże, wręcz przeciwnie! — Zakrzyknął z uniesieniem, po czym złagodzonym głosem ciągnął dalej. — Ona jest nieświadoma, nie rozumie, na czym polega zło, a jedynie za sprawą podszeptów Patrona czyni właśnie tak. Odkąd pojawił się wśród nas, w zapomnienie poszedł spokój. Wierz mi — zaklinał składając ręce na piersi — i mnie żal chwyta, kiedy widzę to bezbronne maleństwo we władzy opętanego Patrona. Biedna, biedna, po trzykroć biedna — dramatycznym głosem zawodził na wysokiej nucie.

Kwadratowa twarz posępniała coraz bardziej, coraz bardziej też uporczywie oczy patrzyły w dal, coraz bardziej bielały kostki zaciśniętych pięści.

— Nie ma ratunku, nie ma — Drugi wyduszał z siebie autentyczne łzy — już stracona bezpowrotnie. Nikt nie pomoże. Opanował, zmusił do kłamstwa, zabronił miłować ciebie, zniewolił haniebnie, uczynił narzędziem powolnym swej woli. Nieszczęsna, jakiż to los jej przeznaczony. Nie ma sposobu uwolnienia, nie ma żadnej nadziei…

W tym momencie usłyszeli wołanie. Kobieta co sił biegła w ich stronę. Mężczyzna zatrzymawszy się raptownie, czekał bez ruchu, aż podejdzie bliżej. Wreszcie zdyszana, nie mogąc wykrztusić ani słowa, stanęła obok.

On wpatrzony w cudowną postać, z posępną miną, głosem twardym i zmienionym nie do poznania, wolno wykrztusił:

— Ma piękną twarz? — złowrogie tony sprawiły, że jakby powiało chłodem. — Ma piękną twarz?! Ma! Wspaniała twarz! Cały jest piękny, prawda? Jest! Odejdziesz z nim? Odejdziesz?! Odejdziesz! — krzyczał tak, że skulili się pod wpływem huku wściekłych słów. — Nie. Ty nie możesz… — cichy szept brzmiał jeszcze gorzej niż poprzedni wybuch gniewu.

A dzień był taki pogodny…

Biegiem ruszył w kierunku polany. Pierwszą chwilę stracili, śledząc w zdumieniu szaleńczy pęd. Drugą, kiedy wymieniwszy trwożliwe spojrzenia nie mogli uwierzyć w ewentualność niesamowitego czynu. Później przyszła chwila strachu — już trzecia niepotrzebnie zmitrężona.

…Strach. Bojaźń. Trwoga. Przerażenie. Zapamiętanie…

W czwartej oboje puścili się w pościg za Mężczyzną. Nie poruszając się tak szybko i tę chwilę zaprzepaścili.

Dopadając polany wiedzieli, że jest już za późno — za późno dokładnie o cztery chwile. Słaniając się na nogach Drugi patrzył na makabryczny obraz szeroko rozwartymi oczami. Do tego przecież cały czas dążył, powinien być dumny i zadowolony, na razie jednak bojaźliwy

umysł wzdragał się przed wymową przerażającej sceny. Kobieta przymknąwszy powieki bezwolnie opadła na ziemię. Błoga nieświadomość omdlenia oszczędziła jej okropnych szczegółów.

A dzień był taki pogodny…

Krew na rękach Mężczyzny wyglądała normalnie — jasnoczerwona, jakby nierealna i trochę nie na miejscu — w blasku rozmigotanych promieni nie sprawiała groźnego wrażenia. Umazane dłonie, pochlapane ciało, zroszona trawa — wszystko to zakrawało na żart. I jeszcze jasność pogodnego dnia, to niesamowicie rozpalone słońce, wesoły śpiew ptaków, zieleń palmowego gaju. Powoli i opornie rozum zaczynał przetwarzać na myśli opowieść oczu. Trawa była zapaskudzona, a czym i co to oznacza po raz pierwszy uderzyło Drugiego. Zaczął wymiotować.

On stojąc nieruchomo patrzył wokół niewidzącymi oczami. Wyzute były ze wszelkich uczuć, bezgranicznie puste i bez najmniejszej iskierki świadczącej, że zdaje sobie sprawę, czego dokonał. — Straszliwe dzieło, choć rzecz dziwna: raczej budziło wstręt i odrazę niż grozę. W mocarnej dłoni kurczowo zaciśnięty skalny odłamek, ten sam, którego używali do obrabiania pni — teraz oblepiony kosmykami włosów i krzepnącą krwią.

Kapłan krztusił się zwracanym jedzeniem. Jeszcze nie starczyło mu odwagi, by spojrzeć niżej, tam, gdzie u stóp Mężczyzny leżała ofiara makabrycznej zbrodni… Strzępy, jedynie strzępy — krwawa miazga — pozostały z pięknej twarzy Patrona. Teraz nie była już urocza, teraz prawie w ogóle jej nie było. Roztrzaskana głowa w niczym nie przypominała dawnego, doskonałego kształtu — zmasakrowana, rozgruchotana potężnymi uderzeniami kamienia, zmiażdżona w napadzie mściwej furii. Widok wywołujący dreszcz niedowierzania, że oto jedna istota pozbawiła drugą daru najcenniejszego — życia. W imię własnych interesów, dla zdobycia wymiernych korzyści — Kobiety. Bezwładnie leżący korpus, utaplany we krwi trup — bez głowy, której szczątki rozbryzgane są wokół — jeszcze do niedawna był jednym z nich. Teraz jest martwy. I zamiast żalu tylko potworne obrzydzenie, trwoga przed wstrętnym koszmarem, jaki niesie widok zmasakrowanych szczątków.

A dzień był taki pogodny…

Mężczyzna niepewnym krokiem podszedł do zemdlonej Kobiety. Pochyliwszy się nad bezwładnym ciałem, wyciągnął umazane krwią ręce — z tą samą, pustą i pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą. Drugiemu ciarki przebiegły po krzyżu. Cofając się, szeptał bojaźliwe zaklęcia. A On opasawszy ją mocarnymi ramionami, nadzwyczaj delikatnie, jakby w obawie przed uronieniem cennego ciężaru, uniósł i przytulił do piersi skalanej ciemniejącą czerwienią. Niespiesznie, z dziwnym namaszczeniem ruszył w kierunku kryształowego pałacu. Uważnie stawiał stopy, oczy wzniósł do czystego błękitu.

Sunęli ponurą, trzyosobową procesją, oddalając się od ołtarza potwornej ofiary, która brzemieniem zapamiętanego obrazu miała ciążyć już na zawsze.

A dzień był taki pogodny…

Do jasnej, rozmigotanej tęczowymi blaskami siedziby dotarli w zupełnym milczeniu. Jedynym tematem, który przesłaniał wszystkie inne, aż pierś rozrywał, chcąc wolności szalonego wrzasku, była dokonana zbrodnia, a o niej, choćby cichym szeptem wspominać wara. On ostrożnie ułożył nieczułe ciało na posłaniu.

W tym momencie — czy to od delikatnego dotyku, czy też organizm zwalczył słabość — Kobieta ocknęła się z omdlenia. Popatrzyła wokół bezrozumnym spojrzeniem. Kiedy jej wzrok padł na Mężczyznę umazanego krwią, na dłonie czerwono splamione, wyciągające się nad nią w geście czułości — te dłonie, które skalny odłamek wraziły w twarz Patrona po raz pierwszy, i które jeszcze po wielokroć makabryczną czynność powtarzały: dopóki z głowy nieszczęsnej ofiary nie pozostało nic, co przypominałoby dawną postać — kiedy dłonie te spostrzegła nad

sobą, w zbliżeniu grożącym pieszczotą, zerwała się z histerycznym krzykiem:

— Nie!!! Nie dotykaj mnie! Morderco!!!

…Nienawiść. Obrzydzenie. Niechęć. Dobro Drugiego. Dobro Kobiety. Dobro Mężczyzny. Dobro Patrona. Które jest właściwe. Żadnych uogólnień. Trzeba zakończyć tę kreację. Skompletować wszystkie obserwacje. Jeszcze tylko parę szczegółów…

— Nie zbliżaj się — w odruchu panicznego strachu osłaniała twarz przedramieniem. Oczy gorzały obłąkańczym ogniem. — Zabiłeś go!

Stał w pozie znamionującej bezradność i całkowite zdumienie. Wyglądało tak, jakby wykrzykiwane słowa nie dotyczyły jego osoby. Wciąż — mimo jej potępieńczego krzyku — trwał z wyciągniętymi w niemym błaganiu rękami. Niewiele pozostało z obrazu Mężczyzny jeszcze jakiś czas temu mogącego wyzwać do walki świat cały, uformowanego z Pańską pomocą w kształt krzepki tak, że jedynie podziw i zachwyt mogły go otaczać. Teraz już nie ten sam, teraz z pokorą zastygłą w rysach prosił Kobietę o jedno dobre słowo.

A Ona wtulona w załamanie ściany i posłania, osłaniając dłońmi twarz w podświadomym geście obrony, kuliła się targana spazmatycznymi wstrząsami szlochu. Jednak ni jedna łza nie spływała po bladych policzkach — dziwna rozpacz, która nie rodzi kropli przynoszących ulgę w cierpieniu. Wyglądało to niesamowicie, w niewytłumaczalny sposób drażniło, uwierało kolcem sprzeciwu. Płacz bez łez, o tyle nieprawdopodobny, co i straszny — dla Mężczyzny przygiętego brzemieniem wyrzutu był to wyrok okrutny i bez odwołania. Jeszcze próbował zmienić coś oczu błagalnym opuszczeniem, jeszcze chciał prosić dłoni gestem, jeszcze usta pobielałe złożył w modlitewny ton, jeszcze…

— Potworze! — Głos jej okrzepł w powagę i zdecydowanie. — Nie chcę cię znać. Boję się, przerażeniem napełnia mnie twoja postać, brzydzę się dłońmi splamionymi krwią, jesteś mi wstrętny. Odejdź, jeżeli jakiekolwiek uczucia pozostają w duszy twojej, oddal się, nie dręcz mnie widokiem bolesnym, nie prześladuj wspomnieniem tamtej chwili. Precz!!! — krzyknęła, widząc jak pochyla się, próbując pogładzić ją po włosach.

Trwała w pozie wyrażającej strach i obrzydzenie. Widocznie jej postać tchnęła wystarczającym potępieniem — choć można było wyczuć w tym całym przedstawieniu fałszywą nutę — bo Mężczyzna ze zwieszonymi bezsilnie rękami wyszedł z kryształowego pałacu. Echo ciężkich kroków zamarło po chwili — wskazując obrany przez niego kierunek: niedokończoną świątynię. Drugi niepostrzeżenie przysunął się do okna i stojąc tak, aby samemu nie być widzianym, obserwował poczynania Mężczyzny.

Wlokąc nogi szedł wolno. Nic nie pozostało ze sprężystego chodu, który w taki podziw wprawiał ich niegdyś. Smutny obraz, przygnębiający wniosek, jak szybko i łatwo można zmienić twór pozornie doskonały w lichą pozostałość. Po niedługim czasie On dotarł do wzniesienia z kamiennym obrysem Domu Pańskiego. Wspiąwszy się na ścięty wierzchołek opadł na kolana i unosząc dłonie nad głową pozostawał tak bez jednego drgnięcia.

— Straszne — Drugi przemówił schrypniętym głosem. Nie wiadomo, czy chodziło mu o dokonaną zbrodnię, czy o to, co dzieje się z Mężczyzną — okropne, aż uwierzyć nie mogę… Patron leży tam martwy, z roztrzaskaną głową, a sprawcą jest nasz towarzysz. Zupełnie nie znajduję powodów, dla których dopuścił się takiego okrucieństwa… — widząc ją milczącą ciągnął dalej — a przecież biedak był z nami dopiero drugi dzień. Taki piękny, taki mądry, taki wspaniały. Jakąż krzywdę wyrządził, by odebrać mu życie? Czyż tak trudno radować się wspólnie cudownym światem, w miłosierdziu i miłości budzić się każdego dnia i mozołem rąk pomnażać dobro nasze, w porze spoczynku podziwiać dzień dobrze spędzony…

Mówił z przekonaniem. Gdyby nie wcześniejsze postępowanie, można by uwierzyć natchnionym słowom. Godna podziwu gra. Drugi potrafił wypowiadać zdania przeciwne jego

naturze z taką uduchowioną powagą, że aż wzruszenie chwytało za gardło.

— On nie powinien był postąpić w taki sposób — teraz wyglądał na współczującego towarzysza — bo od chwili dokonania owej strasznej zbrodni klątwa Pańska wisi nad głową jego i dzień gniewu blisko… A przecież kocham go mimo rąk bratobójczych, mimo ich potwornego dzieła, mimo krwi niewinnie przelanej.

— Kapłanie — wtrąciła Kobieta wyrwana z odrętwienia — i ty masz w tym swój udział…

— Ależ chyba…

— Nic nie łączyło mnie z Patronem, nic co usprawiedliwiałoby podejrzenia. A ty, Kapłan znający najskrytsze tajemnice, nie potrafiłeś zrozumieć tak oczywistej prawdy.

Drugi odetchnął z widoczną ulgą. Przez moment zdawało mu się, że Ona przejrzała niecne zamiary. Ale na szczęście sądziła jedynie z zewnętrznych pozorów. A przecież dążył do konkretnego celu. Zemsta, odzyskanie utraconej pozycji, odpłacenie pięknym za nadobne — ale to jedynie część prawdy. Najważniejsza była Kobieta, dla niej rozpoczął tę ryzykowną batalię i nie miał zamiaru rezygnować prawie u końca drogi. Rozkręcone koło intrygi toczyło się samo.

— Rzeczą naturalną jest mylić się — powiedział spokojnym głosem — ale zważ niewiasto, że w staraniach miałem jedynie na uwadze wasze dobro, utrzymanie tej wzniosłej miłości, którą podziwiam i popieram z całego serca. Występowałem z czystymi intencjami i jeśli błądziłem — ze smutkiem spuścił głowę — to nieświadomie, jako rzecznik łączącego was uczucia. Nie czyń więc wymówek, nie potępiaj za chlubne chęci, nie żyw skrytej urazy, bo ja za wydarzenia dzisiejsze odpowiedzialności nie ponoszę.

— Nie, nic takiego nie chciałam powiedzieć — zaprzeczyła bez przekonania — oboje jesteśmy poniekąd winni…

Słońce powoli chyliło się za linią horyzontu, mrok kurtyną cienia otulał świat. Mężczyzna, z tej odległości wyglądający jak ciemna plamka na tle palmowego gaju, trwał nie—poruszenie przed niedokończoną świątynią. Niczym jeden z martwych głazów — jak i one nieruchomy, milczący, wrośnięty w brunatną ziemię. Nadchodziła noc…

Drugi leżąc obok Kobiety nie zmrużył oka. Nie śmiał drgnąć ani zmienić niewygodnej pozycji. W ciemności słychać było jej nierówny oddech, czasem ciche jęknięcie śpiącej świadczyło, że i koszmarny sen przypomina dzisiejszą tragedię. Ostrożnie przysunął się do rozpalonego, nagiego ciała. Nadeszła chwila urzeczywistnienia najskrytszych pragnień, celu, do którego dążył przebiegle i z takim uporem. Oto Ona leżała ciepła, bezbronna, całkowicie zdana na jego łaskę. Mógł wreszcie dotknąć cudownego ciała, objąć i przycisnąć je do piersi.

Trochę niepewnie wyciągniętą dłoń złożył na owalu biodra. Kobieta poruszyła się niespokojnie. Palce Drugiego delikatnie sunęły po aksamitnej skórze uda, muskały przelotnie czarowną wypukłość łona. Oddech Kapłana stał się przyspieszony, chrapliwy. Nie panując nad szalonym podnieceniem, które falą żaru ciągnęło od lędźwi, przywarł do jej ust namiętnym pocałunkiem. Dopiero wówczas się obudziła. Trzymał ją w obezwładniającym uścisku, nerwowo błądząc po nabrzmiałych piersiach. Oprzytomniawszy próbowała wyrwać się, ale ani szarpanie, ani nagłe zrywy nie mogły uwolnić jej od gniotącego ciężaru. Drugi sapał coraz szybciej, bełkotliwie szeptał miłosne zaklęcia, podczas gdy ręka uparcie wędrowała wzdłuż wewnętrznej strony uda.

— Nie!!! — w krzyku tym było tyle przerażenia, odrazy, sprzeciwu, że i śmierć nie mogła wywołać podobnego strachu.

Kapłan przekroczył już dawno barierę, za którą — przez mgłę zaślepiającego podniecenia — do świadomości nie docierają żadne bodźce. Zakrył jej tylko usta dłonią, nie przestając drugą błądzić po całym ciele. Ale nie chciała ulec, w ostatnim akcie rozpaczy wbiła zęby w jego nadgarstek. Ryknął z bólu, odrywając się od niej na chwilę. Później, z premedytacją i ogromną

siłą uderzył Kobietę w twarz — raz, drugi, trzeci…

Zrezygnowała z oporu. Zapłakana, rozbitymi wargami szeptała słowa modlitwy. Pochylony, z okrutnym uśmiechem rozchylił jej uda otwierając drogę do całkowitego posiadania.

Było to już ostatnie zwycięstwo Drugiego, bo w tym momencie potworna siła uniosła go i rzuciła na ziemię. Nim miał czas pojąć, co się dzieje, sękate palce Mężczyzny poczęły miażdżyć krtań, odbierając płucom oddech. Czas Kapłana uciekał do wtóru przeraźliwego krzyku myśli o jeden łyk powietrza. Oczy wychodziły z orbit, twarz siniała, ręce i nogi poczęły w szalonym tempie uderzać o podłogę. Jeszcze w ostatnim błysku świadomości zanotował, jak Ona szarpie Mężczyznę, ale słów już nie słyszał…

— Nie! Puść go! Dosyć jednej zbrodni! — próbowała oderwać dłonie zaciśnięte na gardle. — Nie zabijaj! Proszę… — szlochała.

Niechętnie, ociężale rozgiął palce i Drugi mógł zakrztusić się pierwszym, zbawczym haustem powietrza. Kiedy oprzytomniawszy zrozumiał, że jest w niewytłumaczalny sposób ocalony, słysząc ciężki oddech Mężczyzny nad sobą zerwał się do panicznej ucieczki. Szybki tupot nóg i trzaśniecie drzwi oznajmiły koniec jego kapłańskiej misji.

Od strony palmowego gaju niosło wściekłe porykiwanie lwów, coraz bliższe i coraz mocniejsze. Dołączały nowe rozjuszone głosy płowych mocarzy i wkrótce okolica grzmiała hukiem ogromnym. Raptem wszystko ucichło i w dali rozległ się przeraźliwy, przedśmiertny krzyk Drugiego — krótki, urwany wpół tonu. Dokonało się nieuniknione…

Kobieta bezwiednie przytuliła się do Mężczyzny. Działy się straszne rzeczy, ten wymarzony i doskonały świat przestał być przyjazny, przestał budzić ufność i bezgraniczny podziw. Coś się popsuło.

Prawie przez całą noc nie zmrużyli oka. Nie mogli uwolnić się od wspomnienia o Kapłanie rozszarpanym przez dzikie bestie. Dopiero tuż przed świtem Ona zmęczona czuwaniem zasnęła.

Mężczyzna przez czas dłuższy wpatrywał się w cudowne ciało, po czym zdecydowanym krokiem wyszedł z kryształowego pałacu. Dniało…

Obudziła się, gdy słońce stało już wysoko na niebie. Wzrok na próżno szukał Mężczyzny. Nawoływanie nie przyniosło rezultatu, więc spiesznie opuściwszy dom, ruszyła na jego poszukiwanie. Wczorajszy gniew i uraza minęły bezpowrotnie, pozostało tylko dawne uczucie ustokrotnione jeszcze litością, współczuciem i przywiązaniem, jakie rodzi wspólne przeżycie strasznych chwil. Chciała mu powiedzieć, że już nie ma żalu, że kocha wciąż tak samo, że nigdy więcej nie skrzywdzi go złym słowem, że żałuje… Teraz będzie dobrze, koszmar minął, świat wróci znów do dawnej postaci…

Znalazła go na skraju zarośli. Wyglądał prawie jak za życia — spokojny, milczący, nieruchomy. Można by sądzić, że stoi z przymkniętymi powiekami, oczekując na przybycie Kobiety. Stopy tylko w dziwny sposób nie dotykały ziemi, zawieszone swobodnie tuż nad kobiercem trawy. Pęd bambusowy — smukły, wysoki, twardy — utrzymywał ciało w pozycji pionowej: ciało nabite, nawleczone na prosty pręt, którego koniec wyrastał z barku Mężczyzny okrwawionym ostrzem. Słońce wesoło igrało wśród płowych włosów, rozświetlało poskręcane kosmyki, oświetlało twarz skrzepłą w maskę spokoju. Niepomne czci oddawanej zmarłym profanowało majestat śmierci.

Kobieta złamana wewnętrznym nakazem, wolno opadając na kolana, ze wzniesionymi rękami godzącymi w niebo, z ogromną siłą rozrywającą krtań krzyczała:

— Nienawidzę cię, Panie!!! Bądź przeklęty!!! …Dobiegł kresu dzień szósty i ostatni. Dzieło zakończone.

Zamknięty rozdział obserwacji. Model wykreował dokładne uogólnienia. Koniec…

Zabrałem pałacu kryształowy obelisk, co tęczą blasku wyrasta nad traw falowanie,

opromieniony aureolą nierealnego migotania.
— Bądź przeklęty!!!
Zabrałem gaj palmowy obficie obsypany owoców wszelakich dobrem, zielony, o liściach strzępiastych w baldachim cienisty ułożonych, o pniach brunatnych, strzelistych. Nie było już bananów żółtych, orzechów kokosowych, słodkich daktyli.
— Bądź przeklęty!!!
Odwołałem zwierząt najprzeróżniejszych liczne zastępy. Rozwiały się lwy grzywiaste, olbrzymie, silne, nie łasiły się już u jej stóp. Nie było słoni mocarnych z karkami ugiętymi w pokorze, zniknęły antylopy, żyrafy, umilkły ptaki kolorowe.
— Bądź przeklęty!!!
Zabrałem ze żwiru ostrych odłamków trawy zielony kobierzec, ubarwiony kwiatów upojnie pachnącym ornamentem, chylony wiatru lekkimi muśnięciami, roziskrzony migotem rosy klejnotów. Zgasiłem oko lustrzanego jeziorka — krystalicznie czystego, o chłodnej wodzie ulgę przed słońcem przynoszącej.
— Bądź przeklęty!!!
Już tylko pustka pozostała i nic prócz wichru hulającego wśród przygnębiających masywów skalnych nie ożywiało ponurej przestrzeni obramowanej linią horyzontu. Ostatnie promienie umykały przed nadciągającą nocą — po raz ostatni obdarzając pieszczotą rozwiane włosy Kobiety. Klęczała nieczuła na ostre odłamki kaleczące ciało, na przejmujące podmuchy zimnego wiatru, na groźbę złowieszczych, kamiennych cieni. Tylko jedną myślą opętana, jednym wnioskiem nakazującym trwać w potępieńczym uporze, jedną potrzebą rzucenia klątwy straszliwej, jednym pragnieniem odwetu…
— Nienawidzę cię, Panie!!! Widowisko skończone, ale ja ciebie nienawidzę!!! I będę nienawidzieć!!!
Zniszczyłem Kobietę, jej piękną twarz o włosach jak przędzy doskonały puch, o oczach czarnych jak bezkresna pustka wszechświata, o alabastrze dumnie wypiętrzonego czoła, o wyniosłych łukach brwi, jej figurę jakiej nie ma od krańca do krańca istnienia, sylwetkę wymodelowaną z niezwykłym pietyzmem, kształt będący objawieniem kanonu absolutnej harmonii. Zniszczyłem ją całą.
…Czas nadszedł dzieła ostatecznego. Wiedza dokonanej kreacji jest nareszcie pełna. Teraz mogę zmienić własne istnienie…
To było tak…
Stworzyłem samego siebie…
CZŁOWIEKA?…

Grzegorz Drukarczyk

Urodził się w roku pańskim 1959, mieszka przez pięć miesięcy w roku w Koszalinie, a przez pozostałe tuła się po świecie za chlebem. W trakcie przygotowywania antologii dzwonił lub pisał do mnie z Norwegii i Niemiec. Ze szkół ukończył tylko podstawówkę i LO, bo z Politechniki Wrocławskiej wyrzucono go na trzecim roku, a z Wyższej Szkoły Inżynierskiej na czwartym. Nie może więc poszczycić się żadnymi tytułami, jeśli nie liczyć oczywiście tytułów opublikowanych opowiadań i książki.

Jego dorobek twórczy to zbiorek opowiadań „Reguła Baśniowego Mroku" (Almapress, 1986) oraz dosyć ostra w wymowie społecznej i religijnej powieść „Zabijcie Odkupiciela", którą już trzy wydawnictwa kupiły, lecz z różnych przyczyn nigdy nie wydały. Poza tym ma w dorobku ze trzy szuflady różności, których — znając swoje nie anglosaskie nazwisko i gehennę wydawniczą — nawet nie próbuje ruszać.

Parę lat wcześniej — otrzymawszy nagrodę „Fantastyki" za najlepsze opowiadanie roku („Reguła przetrwania"), nagrodę czytelników (Polcon 86), trzecią nagrodę za debiut publikowany w prasie Pomorza i parę pomniejszych wyróżnień — uważał, że droga do publikacji książkowych, przynajmniej dla niego została wyasfaltowana. Teraz już wie, że to nawet nie „kocie łby", a bycie grzecznym i koniunkturalizm mu nie pasują.

Jeździ więc po świecie i ciężko pracuje na chlebuś, ja zaś mam niewątpliwą przyjemność przypomnieć jego twórczość i spróbuję spowodować, aby co nieco z tych szuflad różności ujrzało światło dzienne, m.in. po pół roku zabiegów znalazłem odważnego do wydania powieści „Zabijcie Odkupiciela".

O „Interregnum”

Magia liczb… Upływ czasu miał dla człowieka wszystkich epok bardziej lub mniej uświadamiane magiczne znaczenie. Czyż nie czujemy tego, że nadchodzi nowa era, nowe tysiąclecie? Gwałtownie zmienia się obraz świata i jest w tym ślad tajemnej prawidłowości. Czyż jakieś siły nie wymazują spośród żywych (choć nie z kart historii) imion szaleńców usiłujących wieść ludzkość (choć nie ludzi) ku szczęśliwości? 1 nie jest tu ważne, czy owa szczęśliwość ma być ziemską, czy też nie z tego świata. Faktem jest cykliczne pojawianie się wśród przywódców politycznych różnych patologicznych uszczęśliwiaczy, a także upadek wznoszonych przez nich imperiów. To rozbudza wyobraźnię, ów siódmy zmysł wymykający się na szczęście fizykalnemu poznaniu. Pobudza do dociekań, odkrywania nieznanych nam dotąd obrazów kształtu świata. Trawestując w tym miejscu słowa Wiktora Hugo, można by rzec, iż fantazja jest dla słabych czymś nieosiągalnym. Dla bojaźliwych czymś nieznanym. Lecz dla odważnych jest szansą. I szczypty tej odwagi na co dzień sobie i wszystkim życzę. Łatwiej jednak, mniej boleśnie toczy się życie, gdy wesprzemy się na gotowych protezach, w jakie obfituje nasza tradycja. Siła przyzwyczajenia, to siła bezwładu…

Czyż nie jest dziwnym, jak w naszej świadomości zakorzenił się literacki wizerunek Bolesława Chrobrego — mocarza, niczym obrośnięty tłuszczem howardowski Conan, wykuwającego swe królestwo mieczem, szczerbiącego bramy Kijowa i Pragi? Także obraz Ottona III sprowadza się do kilku kresek, jak w kiepskim komiksie. To dobrotliwy „Dobry Niemiec”, cesarskie chuchro chylące czoło przed piastowską krzepą. Źródła historyczne przeczą jednak tym imaginacjom. Dają świadectwo niepokojącym zamysłom… A ja boję się fanatyków. Bez względu na to, jaki znak noszą ich armie i czyjej produkcji bronią się posługują. Czuję przed nimi lęk, nawet gdy ich ciała zmieniają się w pył od prawie tysiąca lat. Bo fanatyzm w służbie świetlanych idei jest dżumą ludzkości. Unoszone monsunami historii bakcyle przyjmują formę przetrwalnikową i czekają na sprzyjające warunki. I co najbardziej mnie przeraża, to fakt, że osiadają w umysłach każdego z nas, poszukujących odpowiedzi na podstawowe pytania: Kim, czy też Czym jest Bóg i Czym my dla Niego jesteśmy?

Żywię nadzieję, że siły utrzymujące nasze umysły — nasze światy — w delikatnej równowadze, nigdy nie zawiodą. Jednak nadzieja to zbyt krucha konstrukcja, by wytworzyć poczucie bezpieczeństwa.

Tadeusz Oszubski

Interregnum

Prolog

Krzyknął i zacisnąwszy palce na okrywającej go pozłocistej kapie poderwał się, siadając w łożu. Senne otępienie znikło niczym poranny opar rozdarty uderzeniem wiatru. Przetarł wierzchem dłoni spocone czoło i wezwał kleryka przydanego mu na noc do posług, a czuwającego w sąsiednim pomieszczeniu. Odpowiedziała mu cisza.

Gniewnym ruchem odrzucił drogocenną narzutę i spoczywającą pod nią wełnianą kołdrę. Odziany tylko w lnianą nocną koszulę poczuł wiosenny chłód, zalegający w tę piątkową noc pośród grubych, kamiennych ścian. Skórę miał wilgotną i lepką od potu. Zadrżał z zimna. Czując rosnące rozdrażnienie wstał i wsunąwszy stopy w miękkie skórznie sięgnął po przerzucone przez oparcie bogato rzeźbionego krzesła ciepłe okrycie z bobrowego futra. Krew zaczęła szybciej krążyć i dreszcze minęły.

Poruszając się niespiesznie zapalił świecę z najprzedniejszego wosku, po czym zajrzał do sąsiedniej komnaty. Tam zaś chłopiec w szarej, sukiennej szacie, wyznaczony, by tej nocy czuwać nad Ojcem Kościoła, spał na rozciągniętym na marmurowej posadzce wzorzystym, wschodnim kobiercu, wsunąwszy przedramię niczym poduszkę pod policzek. Starszy mężczyzna, widząc to uśmiechnął się ze smutkiem i wrócił do alkowy. Tam odsunął jedną z kotar, pchnął ramę witrażowego okna — osadzone w ołowiu kawałki grubego, barwnego szkła zalśniły w blasku świecy niczym klejnoty.

Wilgotne, zimne powietrze napływające do komnaty zdawało się wymiatać resztki niezdrowych miazmatów snu. Snu? Koszmarnej wizji raczej, z niepokojącą konsekwencją nawiedzającej go już od kilku miesięcy. Postawił lichtarz na marmurowym parapecie i oparł łokcie na lodowatym kamieniu. Zanurzył głowę w przepastny wykusz okna.

W oddali, wokół Wzgórza Awentyńskiego, pośród ruin pełgały ogniska biedoty. Jedynym trwałym, sensownym kształtem w tym królestwie rozkładu, śmietniku romańskiego imperium widzianym z okna papieskiej sypialni, był wieńczący Awentyn klasztor św. Aleksego i pospiesznie wznoszona w jego pobliżu rezydencja cesarska.

Powiódł wzrokiem wzdłuż linii akweduktu. Budowla, niczym guzowaty, smoczy grzbiet ciągnęła się od Awentynu po przypominające zniszczony plaster miodu Koloseum, imponujący ślad niegdysiejszej potęgi imperium, zamieszkały teraz przez legion najgorszych szumowin — żebraków, złodziei i ladacznic — nie dający się ujarzmić ani znakiem krzyża, ani mieczami i pałkami miejskich straży. „Oto dzieła ludzkie upadają. Czas, rozpad, zgnilizna — przejawy woli i obecności Szatana — niweczą wszystko, co nie jest naznaczone stygmatem bożym” — znów, choć nie sprawiało mu to przyjemności, wrócił myślą do snu. Przerażał go swą tajemniczością i konsekwencją, niosąc przez jakże wiele nocy miast wypoczynku chorobliwą malignę.

Objawiające się w powietrznej pustce gigantyczne, kamienne ściany budowli osaczały go, spoczywającego w bezruchu na posadzce. Zniewolony, widział chaotycznie krzątające się wokół postacie, wznoszące w dziwnie niechlujny sposób mury świątyni. Trzy groteskowe, na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce istoty miesiły zaprawę z krwi i złota, obrabiały głazy i układały je bez wysiłku, ale i bez wyraźnego planu, coraz wyżej, póki szczyty wież nie poczynały nurzać się w obłokach. Muratorzy o głowach Lisa, Wieprza i Małpy — iż była to małpa, Sylwester II był absolutnie pewnym, bo widział to stworzenie przed laty w zwierzyńcu klasztoru Saint Gallen —

układali ostatnie kamienie, tworząc z nich nieforemną kopułę. Wówczas, jak zwykle dochodziło do kulminacji. Budowla zaczynała walić się w gruzy, a kamienny rumosz przysypywał śniącego, obserwującego dotąd wszystko z poziomu posadzki.

Ruiny spowijał gryzący gardło, wapienny pył. Potem nieodmiennie nadciągały fale mgły, a wśród nich objawiała się mroczna postać bez twarzy. Milcząca, zdająca się obserwować Sylwestra II ze wszystkich stron jednocześnie.

Wiosenna noc ochłodziła rozpalone czoło, wygasiła emocje. Jednej myśli nie potrafiła jednak zatrzeć w umyśle mężczyzny, słów Jana Eriugeny, Szkota dwakroć wyklętego przez biskupów Kościoła Chrystusowego. Słów nawołujących do powrotu człowieka ku Boskiej Światłości, do roztopienia się w Bogu. Słów, które Otton III, dwudziestoletni młodzieniec będący de nomine władcą chrześcijańskiego świata, zamierzał obrócić w czyn.

Cesarz bawił teraz, tkając nieustannie swą sieć, w Sclavinii, u Bolesława, księcia na wpół pogańskiego ludu…

Czy jednak potępienie Eriugeny na synodach w Valenciennes i Langres rzeczywiście było bezpodstawne? Zatrważające, w jaki sposób ten chłopiec w purpurze interpretuje słowa martwego już od stulecia z górą myśliciela. Zdawało się, że ukryte są w nich skorpiony zadające podstępne ciosy, aż jad nieuchronnie przeniknie całe ciało myśli, każdy mięsień i nerw umysłu wyrafinowanie wykształconego, lecz może i skażonego już tchnieniem obłędu.

Dostojnikiem znów wstrząsnęły dreszcze. Pospiesznie zamknął okno i zgasiwszy świecę spróbował zasnąć ułożywszy się w wilgotnej od potu pościeli. Ukojenie jednak nie nadchodziło. W tak przygnębiającym nastroju papież Sylwester II witał zbliżającą się Wielkanoc roku tysięcznego.

Rozdział pierwszy

Do Ratyzbony było jeszcze dobrych dziesięć mil. Michael zakasłał i przetarł dłonią spoconą twarz, na której osiadła gruba warstwa pyłu. Czerwiec był tak upalny, że Wyżyna Bawarska przypominała mężczyźnie rozgrzaną latem, do białości Sierra Morena. Trudno mu było opędzić się od takich skojarzeń, wszak spędził tam osiem lat, być może najlepsze dni swojego życia, mimo podłej kondycji niewolnika.

Poklepał wilgotny grzbiet gniadego, wychudzonego wierzchowca i sięgnął po bukłak z wodą. Unosił go już do ust, gdy ujrzał przed sobą grupę mężczyzn stojących na środku brudnożółtej wstęgi gościńca. Natychmiast zrozumiał znaczenie konfiguracji zastygłych w rozgrzanym powietrzu sylwetek. Nieraz był już świadkiem takich scen. Odruchowo ściągnął wodze idącego stępa wierzchowca i przełknąwszy nieco cuchnącej dziegciem wody, zdecydowanym ruchem zawiesił bukłak przy siodle. Z juków wyjął zniszczoną, sięgającą ledwie za pas kolczugę i wciągnął ją na kaftan, po czym dobywszy niemieckiego miecza, którego długość i ciężar uważał od lat za najwłaściwsze dla białej broni, dźgnął wysłużonego konia ostrogami w zapadnięte boki. Wkrótce znalazł się na tyle blisko, że mógł już gotować się do ataku.

Pięciu mężczyzn otaczających dotąd samotnego duchownego, odzianego w brunatną szatę, usłyszawszy tętent drgnęło, po czym zwróciło twarze ku nadjeżdżającemu rycerzowi. Jednego z nich, z napiętym łukiem w dłoniach, zawiodły nerwy i pochopnie wypuszczona strzała minęła głowę jeźdźca o dobry łokieć. Pozostali zdawali się wahać, czy podjąć walkę — nie zastanawiali się jednak nazbyt długo. Nim kopyta wstrzymanego silnym ramieniem rumaka zaryły się w wyschłej na pieprz glinie, rabusie zdążyli czmychnąć i rozproszywszy się, zniknęli w gęstych

chaszczach porastających obie strony gościńca.

Michael gwałtownym ruchem odkrył głowę — misiurka rozgrzała się już na słońcu i zaczęła dawać się rycerzowi we znaki, bo w pośpiechu nie zdążył założyć sukiennego czepca. Schował miecz i w kilka chwil uspokoił konia, usiłującego w podnieceniu tańczyć na zadnich nogach. Dopiero teraz Michael mógł uważniej przyjrzeć się człowiekowi, któremu zapewne uratował życie.

Mężczyzna w brunatnej szacie nadal stał w bezruchu, jakby to, co wokół niego się działo, nie było groźną rzeczywistością. Pełen spokoju uśmiechnął się do rycerza, wbijając spojrzenie w jego twarz. W tej właśnie chwili Michael zrozumiał, dlaczego rabusie tak długo wahali się przed zaatakowaniem samotnego, nieuzbrojonego człowieka. Także odczuł siłę bijącą z tego spojrzenia, zdając sobie sprawę, że zetknął się z potęgą woli, jakiej istnienia dotąd nawet nie podejrzewał, choć spotykał na swej drodze wielu możnych tego świata. Z nadmiaru emocji poczuł zawrót głowy, pochylił się nad końskim karkiem i z trudem panując nad sobą zsunął się niemrawo z siodła.

— Dzięki ci, rycerzu, za obronę — duchowny powiedział to dziwnie miękkim głosem. Wskazał przy tym na końskie juki z juchtowej skóry, obciążające jego lewe ramię. — Rzeczywiście niosę skarby, lecz ci zbójcy nie widzieliby, co z nimi uczynić.

Michael przyjrzał się uważnie kształtowi, jakiego nabrały skórzane sakwy, i domyśliwszy się ich zawartości, czując się nadal podle, stwierdził jednym słowem:

— Księgi.

— Tak, rycerzu — mężczyzna w brunatnej szacie zdjął wreszcie brzemię z ramienia i położył na gościńcu. — Jestem Johannes, geometra w służbie ojca Poppona, biskupa Krakowa. To miasto w Sclavinii, rycerzu. Nasza droga wiedzie z klasztoru w Saint Gallen.

— Wybacz, ojcze Johannesie, że brak mi ogłady, zważ jednak, że ostatnie osiem lat spędziłem w niewoli mauretańskiej i od nowa uczę się chrześcijańskich obyczajów — powiedział jeździec, ściągając jednocześnie ciężką, rozgrzaną kolczugę. — Nazywam się Michael de Tignonville z hrabstwa Tuluzy. Przed dwoma tygodniami wyruszyłem z Akwilei, gdzie powiedziano mi, że Saksonowie i Dunowie gotują się, by wyruszyć na pogan. Zamierzają nawrócić lud Ranów i oddać Rugię we władanie Kościołowi Chrystusowemu.

— Czyż to nie dziwne, rycerzu de Tignonville, że tuluzańczyk zamierza nawracać Sclavinów? Wszak zwykle ścieraliście się z Maurami.

Johannes znów uśmiechnął się i skupiając na rycerzu przenikliwe spojrzenie, dodał:

— Widać w długoletniej niewoli zetknąłeś się nie tylko z wrogami.

Michael nie miał zamiaru rozwijać tego tematu i wolał, by mnich poprzestał na domysłach. Czyż mógł ten klecha, ten mól książkowy zrozumieć cokolwiek ze wspomnień niosących zapach włosów i gładkość skóry Miriam, córki żydowskiego kupca z Kordoby, z zachowanej do dziś głęboko w sercu mądrości słów i uczynków kadiego Ali ad Dina, przyjaciela, choć przy tym pana życia i śmierci niewolnika, którym był wówczas Michael? Czy Johannes był w stanie czuć to samo co młody mężczyzna, który tylko dzięki nieprawdopodobnej dobroci swego dziadka, pana na Tignonville, mógł podawać się za szlachcica? Wszak niewielu jest rycerzy mających szalone matki, twierdzące, że to nie człowiek, a oślepiający błysk światła zasiał życie w ich dziewiczych łonach, rycerzy nie potrafiących podać imienia swego ojca.

Michael przetarł spoconą twarz rękawem kaftana, sięgnął po bukłak i upiwszy trochę wody, podał go Johannesowi. Patrząc na promieniejącą siłą, dziwną twarz i otchłanne oczy geometry, poczuł niepokój. Przemknęło mu przez myśl, że może rozterki, ból i gniew nie były mu obce.

Rozdział drugi

Ciemnowłosy, delikatnej budowy mężczyzna w purpurowym płaszczu spływającym z ramion, usiadł na kamiennym tronie. W uniesieniu powiódł wzrokiem po czaszy sklepienia kaplicy akwizgrańskiej. Unosił się tam na tronie władca świata, zapowiedziany przez Objawienie św. Jana, otoczony dwoma tuzinami starców składających mu w ofierze swe królewskie korony. Wielobarwna mozaika pokrywała wnętrze kopuły, która swą złudną perspektywą przydawała postaciom pozorów realności. Musnął palcami oparcie tronu i poczuł chłód gładkiego kamienia, namacalnego dowodu, że wybrał słuszną drogę. Znak boży… Oto ziszczały się jego marzenia…

Od wejścia do kaplicy, za jego plecami, niósł się stłumiony pogłos kroków. To nadchodził jeden z jego sekretarzy. Niepotrzebnie. Płoszył myśli, tłumił słodki i metaliczny zarazem smak triumfu. Nie podnosząc głosu, jednym słowem Otton odprawił intruza.

Pochylił się i spojrzał w mroczną otchłań, wejście do krypty, ziejące pośród stosów barwnych, kamiennych kostek mozaiki wydartych z posadzki. Odnalazł skarb. Kolejny znak…

Pierwszym było widzenie, którego dostąpił przed czterema laty. Udał się wówczas, wraz z biskupem Worms do świętego Nila, by tam, na sposób świętych eremitów, w grocie sąsiadującej z kościółkiem wykutym w szarej skale, oddawać się modlitwie. Dziesiątego dnia odosobnienia, odziany tylko we włosiennicę, wycieńczony długotrwałym postem, z trudem odróżniający sen od jawy w wyniku nazbyt długiego czuwania, rozważał słowa Jana Eriugeny, którego idee owładnęły nim już przed laty. Jakże bliskie były myśli tego filozofa doktrynie ojców kościoła, głoszącej, że władca ziemski składając swe insygnia Bogu w ofierze, nie gdzie indziej a na samej Golgocie, przybliży nadejście Królestwa Bożego. W takiej właśnie chwili, gdy umysł rozżarzony był szalonymi, niejasnymi jeszcze przeczuciami szesnastoletniego chłopca, z głębi groty nadpłynęła mgła, wilgotna i gęsta, rozjarzona nieziemskim światłem. Ottonowi zdało się wówczas, że ujrzał pośród niej wysoką postać, a raczej cień człowieka odzianego w powłóczystą szatę, który wyciągnął ku niemu dłoń, zapewne w przyjacielskim geście. Po kilku uderzeniach oszalałego wzruszeniem serca obraz znikł. Pozostało jednak ziarno kiełkującej pewności, że to właśnie on, Otton, syn Ottona i Teofano, naznaczony został do wielkich czynów. Spędził w grocie jeszcze kilka dni, jednak widzenie nie powtórzyło się. Od tego czasu kilkakrotnie wracał w snach do wyrytej w pamięci wizji.

Później wypadki potoczyły się tak szybko i po myśli Ottona, że pewności, iż tkwi w tym palec boży, nic nie było w stanie zachwiać. Bo oto zmarł nagle papież Jan XV, co umożliwiło osadzenie na tronie Piotrowym niewiele starszego od Ottona jego krewniaka — Brunona z Karyntii. Ten z kolei, przybrawszy imię Grzegorza V, wkrótce uroczyście ukoronował Ottona III na cesarza. Wówczas to wizjoner w osobie szesnastoletniego młodzieńca został legalnym władcą chrześcijańskiego świata.

Nie obyło się też, rzecz jasna, bez przeciwności hartujących wolę Ottona niczym stal. Wielu panom niemieckim nowy władca był nie w smak i próbowali czynić wiele zła, by się go pozbyć. Największy jednak zawód sprawił cesarzowi Jan Filagatos. Ów preceptor Ottona, którego śladów na drodze pogłębienia wiedzy cesarz nie byłby w stanie wymazać, okazał się zdrajcą. Było to tym boleśniejsze, że przecież wiódł umysł Ottona od *Etymologu* Izydora z Sewilli, poprzez Jana Eriugenę, przechowywane w Remis czy Bobbio rzadkie odpisy dzieł Cezara, Tytusa Liwiusza, Swetoniusza, aż po *De Consolatione* Boecjusza. Jednak gdy poznał plany Ottona, w oszołomieniu zaczął przytaczać argumenty godne biskupa Wilfritha z Yorku, który z obawy przed siłami nieczystymi co wieczór brał kąpiel w wodzie święconej. Jan Filagatos wprost oskarżył władcę świata o uleganie wpływom Szatana! Mało tego — widząc niezłomność woli

szesnastoletniego młodzieńca, zaczął paktować z Krescencjuszami, jego śmiertelnymi wrogami.

Filagatos, obwołany przez łajdaków — choć Grzegorz V nadal zasiadał na Piotrowym tronie — papieżem Janem XVI, nie cieszył się długo ze swego tytułu. Wkrótce dosięgła go sprawiedliwość boska w postaci zwycięskich wojsk cesarskich. Oślepiony, z obciętym nosem i uszami, ku uciesze gawiedzi oprowadzany na grzbiecie osła po ulicach Rzymu, zrozumiał swój błąd. Zbyt późno. Wkroczył wszak na drogę, z której nie wraca się nigdy. Niewiele czasu minęło i Filagatos, pod czujną opieką morzącego go głodem Grzegorza V, skonał w lochach ciągnących się pod Awentynem.

Opatrzność nadal czuwała nad Ottonem III. Umierając nagle, w wieku dwudziestu siedmiu lat, odchodzi Grzegorz V, krewniak i jakże użyteczne narzędzie. Nie zachwiało to jednak fundamentami budowli wznoszonej przez cesarza, bo oto na miejsce Brunona gotów już jest wspaniały następca. To najbardziej wykształcony człowiek w chrześcijańskim świecie — Gerbert z Aurillac. Szalony wspólnik planów opromienionych proroctwem św. Jana.

Cesarz poruszył się niespokojnie. Chłód bijący z krypty, w której przez stulecia spoczywał sarkofag z ciałem Karola Wielkiego, mógł stać się niebezpieczny dla zdrowia. Otton nie mógł teraz pozwolić sobie na uleganie chorobom, które tak dojadły mu już od wczesnego dzieciństwa. Westchnął głęboko i położył na kolanach trzymany dotąd w znużonych ciężarem ramionach ewangeliarz, zdobiony kunsztownymi miniaturami, dar wiernego stronnika, opata Liuthara z klasztoru Reichenau. Musnął palcami tabliczkę z kości słoniowej z reliefem przedstawiającym zaśnięcie Marii, którą przed laty dostał od swojej matki, a teraz kazał umieścić w oprawie księgi.

Oto misternie rzeźbiona postać Jezusa z duszą Matki Bożej w ramionach — symbol więzów, tej tajemnej zależności. Otton potrafił to odczuć. Wszak to Teofano pierwsza uzmysłowiła mu jego przeznaczenie. Wszystkie jej rady okazały się słusznymi. Teraz, otwierając ewangeliarz i zatrzymując spojrzenie na wersach Apokalipsy, które wszak i o nim mówiły, z dreszczem niepokoju przypomniał sobie jeszcze jedną z rad matki. Powiedziała kiedyś, i to doskonale wryło mu się w pamięć, że największym wrogiem władców jest czas, niweczący częstokroć najgenialniejsze plany. Starość, zniedołężnienie, śmierć nie mogą go zaskoczyć — to Otton przyrzekł już sobie przed laty. Został wybrany i nie może zawieść!

Jakże drażnili go ci głupcy! Musiał bezustannie czuwać, by w swej nieświadomości nie pokrzyżowali jego planów. Zarówno Robert, król Francji, jak i Bolesław władający sporym obszarem Sclavinii, myśleli tylko o własnych, doczesnych zyskach. Doskonale impregnowani na ideę, której oddał się Otton, wdawali się w wojny, rozszerzali włości i chętnie wyciągając ręce po przywileje, w zamian zbywali cesarza nic nie znaczącymi obietnicami. Robert nie raczył nawet przybyć do Akwizgranu, by stać się świadkiem uroczystego wydobycia szczątków Karola Wielkiego. Przysłał w swoim zastępstwie jakiegoś niewiele znaczącego hrabiego. Bolesław z kolei, choć skorzystał z zaproszenia, to jedynie po to, by powołując się na przyjaźń i oddanie, uzyskać od cesarza jak najwięcej dla swego rosnącego państwa. Nawet dar w postaci tronu wydobytego z krypty, chłodnego marmurowego siedziska, którego twardość Otton był właśnie władny odczuć, nie nakłonił Bolesława do poddania się planom cesarskim. Wyraźnie nie w smak było mu wyruszać do Ziemi Świętej, by wydrzeć Maurom Jerozolimę i chronić swym mieczem cesarza i papieża, mających tam wydać ludzkość na Sąd Boży. *To drapieżne zwierzę, pragnące wyrwać, ile się zmieści w pysku, by z łupem powrócić do swej nory* — pomyślał władca świata — *zapewne świadom jest, że nuworysz nigdy nie stanie się partnerem wielkich, skazany na rolę narzędzia. O tak, to chytre zwierzę, butne i przebiegłe.*

Otton zacisnął dłoń na zwieszającym się z szyi ciężkim krucyfiksie z kutego złota, znalezionym wśród prochów twórcy cesarstwa. Oto kolejny znak! Symbol władzy godny złożenia na szczycie wzgórza, tam gdzie Chrystus oddał za ludzkość swoje życie. I gdzie

ludzkość winna, w akcie wiary i nadziei, ofiarować się Panu.

Rozdział trzeci

Wbił zakrzywione niczym szpony, porażone kurczem palce w wilgotny, szorstki piasek plaży. Nie zdając sobie jeszcze w pełni sprawy z ocalenia, konwulsyjnie poderwał się, targnął całym ciałem i przetoczył się poza linię przypływu. Spróbował unieść wyżej głowę, by nareszcie zaczerpnąć tchu, jednak wymagało to zbyt wiele wysiłku. Zrezygnowany, wtulił więc policzek w rozgrzany słońcem, krystaliczny pył. Oddychał płytko, urywanie, lecz nie uchroniło go to przed zakrztuszeniem się drobinami nadmorskiego piasku. Nagły paroksyzm kaszlu rozdarł piersi. Ból był tak potworny, że Michael odzyskał pełnię świadomości i uklęknąwszy zwymiotował słoną wodę, obciążającą dotąd żołądek. Potem uniósł twarz ku słońcu i chłonął całą po— wierzchnią skóry pieszczotliwe, ciepłe muśnięcia łagodnego powiewu. Zmuszając się do wysiłku wstał, odwracając się plecami do fal, nadbiegających z morskiego bezkresu, i ruszył chwiejnym krokiem po piaszczystym zboczu. Zataczając się, brnąc po kolana w miałkiej tkance wydmy, nadludzkim zrywem woli wspiął się na wzniesienie. Tam jednak ciało poddało się i upadł twarzą w piekący, rozgrzany już południowym słońcem piach.

Wokół, jak okiem sięgnął, otaczała go żółtawa, odarta z życia pustać. Równie groźna, jak mordercza otchłań morza, z której tak niedawno udało mu się wydostać. Zamknął oczy, zbierając siły i walcząc z obezwładniającą rezygnacją.

Wyruszył, by walczyć z poganami, ale jak dotąd było mu dane zmagać się nie z ludźmi, a z żywiołami, ni razu nie dobywając miecza. Drakkar okrutnych duńskich krzewicieli chrystusowej wiary uległ sztormowi wkrótce po wypłynięciu z portu w Schleswigu, gdzie i Michael wszedł na jego pokład, po czym niesiony potęgą wichru roztrzaskał się, Bóg jeden wie, ile mil na wschód od Rugii, gdzieś na pogańskim wybrzeżu Pomorzan.

Osamotniony, chłodny i spragniony rycerz z Tuluzy nie mógł mieć nadziei na ocalenie. Fale morskie wyrzuciły go na brzeg bosego, w podartych spodniach i lnianej koszuli. Za broń, niczym dzikiej bestii, mogły mu służyć jedynie ręce, nogi i zęby. Wśród bezkresnych wydm, gdzie czołgał się teraz z nieludzką determinacją, nie mógł liczyć w potrzebie nawet na zaciśnięcie w dłoni przydrożnego kamienia, czy ułamanej w pośpiechu gałęzi. Był zdany na swój los — nieodgadnione wyroki boże. Wkrótce wysiłek znów zmienił uładzony tok jego myśli w chaotyczne postrzeganie okru—chów otaczającego go świata. Ciało Michaela — bezrozum—na machina z mięśni, ścięgien i kości — pełzło niczym robak przez sypki, żółtawy pył. Umysł stał się odrębnym bytem, balansując na granicy jawy i snu.

Dzień dobiegł końca, nastała noc, on jednak nadal parł, byle dalej od morskiego brzegu, niczym zwierzę instynktownie wyczuwając strony świata i nieomylnie zdążając na południe. Gdy wreszcie wyrwał się żywiołowi wydm, docierając do pasa krótkiej, szorstkiej darni, na chwilę odzyskał świadomość — choć równie dobrze mogło to być urojeniem. Zdało mu się wówczas, że nad jego umęczonym ciałem pochyla się jakaś świetlista istota, by nakarmić go i napoić. Później znów opona szarej mgły spowiła umysł, któremu zdało się, że nad mrocznym horyzontem wykwitł opalizujący obłok. Rósł on, przybliżał się, aż przybrał kształt unoszącego się pod sklepieniem nieba starca o mlecznobiałej brodzie, nad którego głową promieniała słoneczna tarcza. Obok starca, zdającego się emanować boską mocą, ukazała się młoda, nieskończenie piękna kobieta tuląca w ramionach srebrzystą rybę o głowie uśmiechniętego niemowlęcia w cierniowej koronie. Ta urokliwa istota, sięgająca ledwie do piersi niebiańskiemu starcowi,

wspierała swe drobne stopy na sierpie księżyca.

Michael przetarł załzawione oczy i skoncentrował wzrok — o ile to we śnie jest w ogóle możliwe — na pełnym potęgi i chwały obrazie. Spostrzegł wówczas jeszcze dwie nieziemskie istoty krążące wokół boskiego wizerunku. Skrzydlatą, opierzoną bestię o jaszczurczym ciele, miotającą we wrogów pękami piorunów, i świetlistą, przypominającą człowieka postać o łabędzich skrzydłach, z ognistym mieczem w dłoni. Zaraz potem umysł Michaela zapadł się w bezdenną otchłań omdlenia.

Ocknął się następnego dnia w chacie rodziny smolarza, żyjącej niczym dzikie zwierzęta w przepastnej kniei, wśród społeczności z rzadka tylko widującej przybyszów. W ich sercach tkwiła jednak dobroć i ulitowali się nad cierpieniem znalezionego w lesie nieznajomego. Choć nie mogli się z nim porozumieć, jednak przygarnęli i odkarmili Michaela, sporządzili mu kaftan z wiewiórczych futerek i mocne buty z wyprawionej jeleniej skóry.

Być może rycerz zostałby wśród nich dłużej — myśli o krucjacie wśród Sclavinów szybko przestały zaprzątać jego umysł, wszak widział, że smolarz mimo oddawania czci bożkom gnieżdżącym się w prastarym dębie, w głębi duszy przepojony był dobrem godnym prawego chrześcijanina — jednak niepokoił go powtarzający się co noc sen, w którym dziwne lecz przyjazne istoty nakazywały mu niezwłocznie udać się na południe. Zdawał sobie sprawę, że zapewne popada w szaleństwo, że może nawet staje się igraszką Szatana. Nie widząc jednak innego sposobu na pozbycie się nocnych widziadeł, podjął ryzyko i w końcu września, zdając się na Opatrzność, wyruszył przez porośniętą gęstymi lasami, obfitującą w jeziora krainę, tak jak nakazywała mu wizja — na południe.

Mijały tygodnie, a on, rycerz z hrabstwa Tuluzy, o umyśle rozbudzonym w dzieciństwie przez benedyktyńskich mnichów w ich przyklasztornej szkółce, a później gładzonym lekturami i uszlachetnianym rozmowami z mauretańskimi bibliotekarzami i tłumaczami, długimi dysputami z kadim Ali ad Dinem, wędrował przez obszary, których nie tknęła dotąd ludzka stopa i wiódł żywot godny dzikiego zwierza. Znów wspomnienia i bieżące wypadki, jawa i sen, stawały się jednością a Michael szedł na południe, uzbrojony jedynie w prymitywną, własnoręcznie wykonaną włócznię i niezłomną wolę — choć trafiały się i chwile, w których poddawał się zwątpieniu, nie umiejąc sobie wytłumaczyć, dlaczego NAPRAWDĘ ulega presji nocnych wizji.

Po kilku tygodniach jawy i mileniach rozrastającego się imperium snu, dotarł wreszcie do granicy lasów. Przed nim rozpostarła się nizinna, pełna otwartych przestrzeni, zamieszkała już z rzadka kraina. Tam znów dały o sobie znać siły sprawujące pieczę nad jego krokami.

Zdrożony, zatrzymał się wówczas przy jednym ze strumieni, by ugasić doskwierające pragnienie. Z ulgą zanurzył twarz w chłodnej wodzie, jednak natychmiast poderwał się, po czym zastygł w bezruchu, nie zwracając uwagi na ściekające ze zmoczonych włosów strużki, płynące po zmartwiałej twarzy. Przed nim, oddalona zaledwie o kilka kroków, stała smukła, ciemnowłosa dziewczyna o smagłej cerze.

— Miriam — wyszeptał, wyciągając ku niej dłoń. Dziwny, pełen zmysłowości uśmiech wpełzł na jej usta, uśmiech, którego dotąd Michael nie znał.

— Miriam? — znów szepnął, lecz teraz liczne pytania zaczęły ożywiać jego umysł.

W jakiż to przedziwny sposób, w odludnej głuszy Sclavinii znalazła się ta wychowana w luksusie, wykształcona, o eterycznej duszy i wiotkim ciele córka żydowskiego kupca i bankiera z Kordoby?

Niepewnym ruchem, nie dowierzając własnym oczom wyciągnął ku niej dłoń, a ona natychmiast uścisnęła szorstkie, zabrudzone palce. Michael poczuł wówczas chłód przenikajacy od połamanych, zgrubiałych paznokci aż do serca, po głębię duszy. Przerażony chciał wyrwać rękę z mroźnego, obezwładniającego uścisku, jednak nie potrafił.

— Ty nie jesteś Miriam! — krzyknął i rozpaczliwie targnął ciałem, które zdawało się zastygać, przeobrażać się w kamień.

Odpowiedział mu ostry, bezlitosny śmiech — odgłos tysięcy tłukących się, kryształowych zwierciadeł.

Rozdział czwarty

Gerbert z Aurillac, noszący od roku imię Sylwestra II, i tej nocy przeżył niepokojącą wizję. Jak zwykle Lis, Wieprz i Małpa, nieustannie wadząc się, wznosili bezładnie mury świątyni, a on, Gerbert, widział to i bezsilny nie mógł im przeszkodzić ani też pomóc. Leżał wciąż na posadzce, jak zwykle nie wiedząc kim, czy też czym jest w swoim śnie, co w dwójnasób wzmagało niepokój. Tej jednak nocy doznał pełni objawienia, i choć dotąd modlił się, by było mu to dane, nie poczuł radości. Bo w chwili, w której sklepienie zaczęło pękać i grad głazów runął na posadzkę, dusza Sylwestra II uniosła się lekka jak łabędzi puch i ujrzała to, czym zdawała się być w nękającym ją śnie — spoczywającym na posadzce Chrystusem rozpiętym na krzyżu. Nie była figurą rzeźbioną w drewnie, czy odlaną z kruszcu, lecz prawdziwym, ostatecznie martwym ciałem Zbawiciela. Martwym Kościołem Chrystusowym! A gdzieś w oddali, pośród tumanu mgły spowijającej gruzy, tkwiła bacznie obserwująca wypadki, mroczna postać zanosząca się teraz śmiechem pełnym nienawistnego triumfu.

— Boże! — załkał, przyciskając dłonie do oczu. — Panie, nie dawaj mi takich znaków. Moja dusza dość już cierpi! Nie znam przecież dotąd odpowiedzi, czy czyny i plany Ottona, które wszak wspieram, są miłe twojemu sercu Odsuń ten kielich gorzkiej niepewności…

Przerwał nagle, bo zdał sobie sprawę, że już nie śni, że siedzi zlany potem w swoim miękkim łożu i boleśnie, z jękiem pociera dłońmi twarz wilgotną od łez.

Zerwał się i podbiegł do okna. Odetchnął pełną piersią i ze skruchą skarcił się za grzech pychy. Wszak we śnie śmiał przybrać ciało Zbawiciela! Ogarnął go strach, bo zda— wał sobie sprawę, że sprawując władzę nad chrześcijańskim światem jakże łatwo, i początkowo niezauważenie, może przekroczyć granicę, za którą czeka już tylko mrok i ohyda potępienia. Odsunięcie od Pana!

Chciał zadać swojemu ciału ból, by krwawiło i kuliło się w fizycznej udręce, wiedział jednak, że to zbyt mało. Narzucił więc na wilgotny strój nocny opończę z popielic i szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenie kleryka czuwającego w sąsiedniej komnacie, ruszył mrocznym korytarzem do kaplicy. Tam legł krzyżem na lodowatej, marmurowej posadzce pragnąc żarliwą modlitwą pojednać się z Bogiem. Jednak słowa, płynące mechanicznie z ust, przez długi czas nie były w stanie uśmierzyć szalonego biegu myśli. Dopiero gdy przypomniał sobie słowa Johannesa, protegowanego opata Poppona, poczuł ulgę. Ten zadziwiająco wykształcony geometra, który prócz skreślenia map i obliczenia wielkości obszarów przyłączonych do Kościoła Chrystusowego w Sclavinii, miał także do wypełnienia misję zleconą mu przez świętych mnichów z Cluny, w trakcie udzielonej Popponowi audiencji wdał się z Sylwestrem II w rozmowę. Szczególnie jedno zdanie — prócz może tych kilku o księgach Alchwarismiego i samego Gerberta, traktujących o kształcie świata i sposobach jego mierzenia — utkwiło w pamięci papieża. Oto w pewnej chwili, Johannes rzekł, iż ufa w szybkie nawrócenie ogromnych rzesz Sclavinów, bo ich władca, książę Bolesław żarliwie tego pragnie, a wszak niczym salamandra tańcząca w płomieniach oczyszczał swą duszę z grzechu pośród ognia przeciwności i niebezpieczeństwa, jakimi doświadczał go Pan, co uczyniło zeń prawego i

świątobliwego władcę. Sylwester II, podobnie jak cesarz, miał odmienne zdanie co do czystości intencji Bolesława, jednak słowa Johannesa, właśnie w tej chwili oddawały stan jego duszy.

Być może ten uporczywie powtarzający się sen o posmaku herezji był próbą naznaczoną mu przez Pana. Wszak jest Namiestnikiem Bożym, cóż więc w tym dziwnego, że Pan upodobał sobie czynić z nim to, co niegdyś z Jakubem. A może z Hiobem?

Znów wrócił myślą do osoby geometry. Wizerunek jego twarzy tkwił we wspomnieniach niczym drzazga. Był pewien, że poznał go niegdyś, że spotkali się już. Lecz gdzie, kiedy? Wówczas postacie Lisa, Wieprza i Małpy, jakby przywołane rozmyślaniami, nadpłynęły z zanotowanego przez pamięć snu i wydobyły szczątki zdarzeń sprzed trzydziestu lat. Odkrył więc, że miało to miejsce w klasztorze Saint Gallen, na krótko przed tym jak objął katedrę w szkole biskupiej w Reims. Tak, tam właśnie, w klasztornym zwierzyńcu wspólnie przyglądali się figlującej małpce przywiezionej przez mauretańskich kupców z odległej Libii. Spoglądali na tę skrzywioną błazeńsko karykaturę ludzkiej twarzy i rozprawiali o kształcie świata nakreślonym przez Ptolemeusza. Tak, to było jedno jedyne spotkanie. Przed trzydziestu laty… W jakiż więc sposób ów Johannes zachował młodzieńczą sylwetkę i twarz bez jednej zmarszczki?! I znów fala niepokoju zburzyła rodzącą się w umyśle harmonię.

Sylwester II przytulił policzek do kamiennej płyty posadzki i zaczął głośno, niemal krzycząc, odmawiać modlitwę.

Rozdział piąty

Konie spłoszyły się i rżąc niespokojnie rzucały łbami. Dopiero po dłuższej chwili dały się okiełznać. Także dwaj mężczyźni, przydani Johannesowi jako przewodnicy i ochrona, uzbrojeni rycerze z książęcej drużyny, poczuli się niepewnie. Choć wyglądali na zahartowanych w bojach weteranów, rozglądali się dokoła podejrzliwie, kładąc przy tym dłonie na rękojeściach mieczy. Pospiesznie zwinęli obozowisko i dosiadając wierzchowców ponaglili Johannesa, by szybciej przytroczył swój bagaż do końskiego rzędu. Gdy tylko geometra znalazł się w siodle, natychmiast ruszyli dnem szerokiego parowu, na południowy wschód.

Jahannesa nie dziwiło ich zachowanie. On także wyczuł snujące się wokół, jakby niesione powiewem wiatru, fluidy zła.

Spodziewał się tego od kilku już dni, od owego snu zwiastującego starcie. Snu śnionego w mrocznym, sosnowym lesie, wkrótce po opuszczeniu Gniezna, gdzie biskup Poppon wraz ze swoją świtą pozostał, by konferować z arcybiskupem Ungernem nad kształtem czekającej go pracy misyjnej.

Johannes kilkakroć już doświadczył tego samego znaku. Po raz pierwszy wizja ta owładnęła nim, gdy wyruszył śladami mnicha iryjskiego, Brendana. Postać ta fascynowała go od chwili, w której wziął do ręki — jeszcze w Leodium — zniszczony przez czas manuskrypt *Vita Brendani*. Ten boży szaleniec stał się dla Johannesa mistrzem do tego stopnia, że kilka długich, nudnych lat spędzonych w Lotaryngii, dokąd rzuciło go przeznaczenie, Johannes ubarwił spisując w dwudziestu dziewięciu rozdziałach własną wersję wypadków, tytułując ją: *Navigatio sancti Brendani*. Jak było mu wiadomo, dzieło to zostało przyjęte z niebywałym zainteresowaniem i po wielokroć kopiowane, dotarło do wszystkich zakątków chrześcijańskiego świata. A później… Cóż, nie pozostało Johannesowi nic innego jak pójść w ślady iryjczyka i wsiąść do kruchej łodzi.

Po wielomiesięcznej wędrówce pokonał przestwór oceanu, natykając się w drodze na niewymowne cuda i niebezpieczeństwa. Niektóre z nich zdawały się być wyjęte żywcem z

traktatu o Brendanie, inne stały się nowymi, dotąd nawet nie przeczuwanymi doświadczeniami. Pokonawszy oceaniczny przestwór, gdzieś na krawędzi świata, pośród miedzianoskórego ludu o dziwnych twarzach i obyczajach wyśnił swój pierwszy sen, poznał też moc i chwałę swych atrybutów. Zetknął się wszak ze złem w jego najczystszej, esencjonalnej postaci, co musiało doprowadzić do konfliktu i, siłą rzeczy, wywołało Przemianę.

Jakże wówczas wstrząśnięty był stanem, w jakim znalazły się jego przekształcone, mocarne ciało i dusza. Dzięki swym atrybutom odniósł zwycięstwo, rozumiał jednak doskonałe, że był to tylko triumf w jednej spośród wielu bitew Nieustającej Wojny. Oszołomiony tym lud o płaskich twarzach i miedzianej skórze uwieczniał w złocie i kamieniu jego podobiznę w kształcie, jaki posiadł w wyniku Przemiany. Składali mu ofiary, wielbili go, popadli więc w bałwochwalstwo — musiał ich opuścić.

Jeszcze po wielokroć, wróciwszy do chrześcijańskiego świata, staczał bitwy z Ciemnością. Niektóre przegrane, znaczące jego duszę bolesnymi bliznami. Jakże wiele jest imion Mroku… Zapewne tyleż samo co imion Światłości i w tym Johannes pokładał nadzieję. Potykał się z wieloma przeciwnikami, będącymi wszak mackami odrażającego, bezkształtnego potwora z otchłani Zła. Astaroth, Sheloshett, Satanael, Tezcatlipoca, Harah czy Czerw, wszystko to powłoki i miana oznaczające tę samą moc, porażającą dusze miazmatami zagłady.

Znów ten szalony sen… Starzec pełen chwały znów ukazał się wraz z kobietą nieziemskiej urody, unoszącą w ramionach istotę o ciele ryby i głowie małego dziecka uwieńczonej na skroniach cierniową koroną. Wokół nich unosiły się dwa ożywione symbole mocy w glorii swych atrybutów. Wężokształtny, o opierzonych skrzydłach, miotający błyskawice i świetlisty, unoszący się na łabędzich skrzydłach z ognistym mieczem w dłoni. Wizja oznaczała, że nadciąga kolejny dzień próby. Była ostrzeżeniem, że oto w tworzywie świata powstała rysa.

Johannes uniósł wzrok ku górze. Zapadała już noc, jednak towarzyszący mu dwaj przewodnicy najwyraźniej nie mieli zamiaru zatrzymywać się. Było to dość ryzykownym posunięciem, jako że znaleźli się już na obszarze starych, zmurszałych gór, gdzie osypiska głazów i niespodziewane szczeliny w skalnej opoce mogły nieść śmiertelne niebezpieczeństwo. Zdając się na instynkt swego wierzchowca, puścił wodze. Nadal nie odrywał oczu od granatowej, rozgwieżdżonej sfery, bowiem nad horyzont wzeszło nowe ciało niebieskie.

Czuł, że cierpnie mu skóra — to niepokój zatopił szpony w jego duszy. Wszak wzeszło Słońce Umarłych, czarne słońce, które jedynie nieliczni mogą dostrzec. Cała ludzkość, nieświadoma jego pojawienia się, może ponieść konsekwencje związanego z tym zagrożenia. Oto zaczął się czas bezkrólewia. Symbole traciły swą moc, a Światłość i Mrok uzyskały równe szansę.

Ostrzegł ich szelest, a potem łoskot toczącej się z urwistego wzgórza lawiny skalnego rumoszu. Wstrzymali niespokojne wierzchowce i wsłuchali się w odgłosy nocy. Już po chwili góry ucichły, z oddali jednak zaczął się nieść odgłos wielu końskich kopyt bijących o skalisty grunt. Wraz z nowymi dźwiękami nadciągnęła fala chłodnych, obezwładniających fluidów przerażenia. W tej, jakby zastygłej w bryłce bursztynu, straszliwie długiej chwili księżyc zdarł ze swego oblicza oponę chmur i zalał wyżynną, spękaną płaszczyznę sinym blaskiem.

Dwaj Sclavini jęknęli, owładnięci strachem i nakreślili na piersiach znak krzyża, po czym dobyli mieczy. Johannes zaś zsiadł z konia i wysunął się przed towarzyszy, by ocenić rozmiary zagrożenia. Wówczas z cienia rzucanego przez szczyt przypominający swym kształtem zdruzgotaną basztę wyłoniło się czterech jeźdźców na monstrualnych rumakach. Zbliżali się, jadąc stępa, a ich rynsztunek zgrzytał warkotliwie niczym czuryngi hordy pogańskich magów. Dopiero gdy znaleźli się w odległości dwudziestu kroków, blade światło księżyca w pełni objawiło Johannesowi ich ohydę. Oto nadjeżdżało Czterech Jeźdźców Ciemności. Każdemu z nich, sponad ramion wyrastała miast głowy naga czaszka spojona ściśle ze zbroją okrywającą

całe, z kształtu ludzkie ciało, a uczynioną z kościanych i kamiennych płytek, złowieszczych amuletów z wyrytymi na nich inskrypcjami bluźnierczych zaklęć. W opancerzonych dłoniach ściskali długie, krzemienne miecze o ząbkowanych ostrzach. Wierzchowce rycerzy ciemności, także okryte warstwą z kawałków kości i kamienia, pokrytych magicznymi symbolami, zdawały się być ożywionymi fragmentami skał. Parły do przodu niestrudzenie, ze złowieszczym szczękiem i zgrzytem, niosąc na swych grzbietach głód, zagładę dusz, bestialstwo i zarazę.

Sclavińscy przewodnicy nie potrafili dłużej wytrzymać nieznośnego napięcia i z krzykiem przerażenia, wbijając ostrogi w ciała oszalałych koni, ruszyli galopem na potwornych przeciwników. Ich odwaga mogła wzbudzać respekt, jednak nie zdążyli nawet skrzyżować mieczy z Jeźdźcami Ciemności — niemal natychmiast osunęli się z siodeł. Martwi, z duszami wydartymi przez Mrok.

Johannes także odczuł uderzenie fali jadu nienawiści, emanowanej przez koszmarnych przybyszy. Wówczas zaczęła w nim rosnąć moc, jak zawsze, gdy w jego obecności Mrok objawiał swe istnienie, drwiąc ze Światłości. Przypominało to zadziwiająco konsekwentne działanie dwu kamieni magnetycznych, dążących ku zespoleniu — zderzeniu, które wobec ich kruchości stać się też mogło katastrofą, rozsypującą je w proch. Proces zadziwiającej transmutacji duszy i ciała został zainicjowany i nie było już od niego odwrotu.

Odrażające rumaki oddalone były zaledwie o kilka kroków, a miecze dosiadających ich bestii uniosły się w górę — Johannes dostąpił wówczas Przemiany i objawił się w nowej postaci, z atrybutem mocy, gotów do walki. Załopotały potężne skrzydła i jaszczurcze cielsko porośnięte szmaragdowymi piórami wzbiło się w przestworza. Ciśnięty spod nocnego sklepienia piorun przebił granatowy kryształ powietrza i poraził jednego z jeźdźców. Wśród gór przetoczył się grom, a pancerz z kości i kamienia rozsypał się w proch, objawiając absolutną pustkę swego wnętrza.

Od południowego wschodu zaczął się wówczas nieść przeraźliwy pisk i stado navii wypłynęło nagle z ciemności, tnąc ostrymi jak sztylety dziobami nowe ciało Johannesa, szarpiąc je potężnymi jak paści na grubego zwierza szponami. Wijąc się z bólu, obciążony niezliczonymi kształtami wczepionych w niego bezlitosnych monstrów, uderzył ciężko o ziemię. Z trudem wypełzł spod oblepiających go gron zajadłych przeciwników i miotając wokół pękami błyskawic, wzniósł się znów pod kopułę nieba. Była to batalia, w której jak zwykle, żadna ze stron nie oczekiwała pardonu.

Dopiero tuż przed brzaskiem zastępy navii zostały zdruzgotane. Skorupy ohydnych jeźdźców spojone odrażającą magią także wkrótce pękły, zniszczone oślepiającymi gromami. Mżące światło księżyca rozlało się na stopionych żarem grudach obsydianu i kości, jedynych śladach po skrzydlatych upiorach nocy, jeźdźcach zagłady i ich rumakach. Johannes, poraniony, wyczerpany walką, upadł na ziemię. Ciało człowieka było zbyt kruche, aby uczestniczyć w tak potwornych zmaganiach; mimo ponownej Przemiany, ślad bólu i zmęczenia zawsze w nim osiadał.

Geometra jęknął i przewrócił się na wznak. Jego wzrok podążył ku czarnej tarczy Słońca Umarłych, niknącej wśród brzasku, nieśmiało rosnącej osnowy dnia. I wówczas, z jednej spośród kotlin rozsianych poniżej płaskowyżu, na którym stoczono bój, zaczęły sączyć się pasma mgły. Nadciągały bladą oponą, a wśród nich unosił się lekko kształt — mroczny, przypominający nieco ludzką sylwetkę.

— Czerw — szepnął pobladłymi wargami Johannes i z wysiłkiem wstał, by zmierzyć się ze znacznie niebezpieczniejszym przeciwnikiem. Monstra, które niedawno zniszczył, okazały się zaledwie forpocztą prawdziwie groźnych sił. Obawiał się, że wyczerpał już wiele z zesłanej mu przez Światłość mocy, jednak nie doszło do walki. Czarna postać rozpłynęła się nagle wraz z sinym oparem. Johannes przez chwilę słyszał jej cichnący w oddali, złowieszczy śmiech. Było to

ostrzeżenie. Wyzwanie?

Rozdział szósty

— Z głębokości wołam do ciebie, Panie! Panie, wysłuchaj głosu mego! Nakłoń uszu swych na głos błagania mego! Jeżeli będziesz zważał na winy, Panie, któż się ostoi? — powtarzał za Psalmistą, klęcząc w kaplicy przed szczerozłotym, sadzonym karbunkułami krucyfiksem.

Modlił się żarliwie od północy, gdy zbudził się po niespokojnym śnie odbierającym siłę ciału i duszy. Jak zwykle, Sylwester II był w nim świadkiem nieskładnej pracy muratorów i kamieniarzy skrytych pod wszetecznymi larwami Wieprza, Lisa i Małpy. Gdy jednak nadeszła chwila zagłady świątyni i pośród gruzów postrzegł swą duszę jako krucyfiks z przybitym do niego rozkładającym się truchłem Zbawiciela, z wapiennej kurzawy wyłoniła się wysoka, odziana w szary habit postać geometry biskupa Poppona. W jaki sposób osoba ta trafiła do jego heretyckich snów, pozostało dla Sylwestra II zagadką. Prawdą było, że myślał o nim kilkakroć, za dnia, nigdy by jednak nie podejrzewał, iżby mogło to wywrzeć znaczący wpływ na nocne ułudy. Niemniej geometra ów pojawił się we śnie, pochylił i wydobył z rumowiska krucyfiks będący nadal Sylwestrem, po czym zaniósł go do alkowy i posadził w fotelu. Natychmiastowa zmiana kształtu zdawała się być czymś zwykłym, tak więc papież z przyjemnością zanurzył się w puchowych poduszkach, którymi wyściełane było jego rzeźbione krzesło, wsparł stopy na podnóżku i wdał się z Johannesem w dyskusję nad *Megale syntaxis* Ptolomeusza Klaudiusza, jak za owych młodzieńczych lat w Saint Gallen. Rozważali także doniosłość znaczenia traktatu o algebrze Maura Alchwarismi O *odtwarzaniu i przeciwstawianiu*, jak i nowe postulaty, które Sylwester II zawarł w swych dziełach, zarówno w *Geometrii*, jak i w *Liber de astrolabio.*

— Teraz, w wiele lat od napisania tych ksiąg, wiem, że częstokroć myliłem się — stwierdził papież, pogrążony w dziwnie melancholijnym nastroju. — Zbyt pochopnie wyciągałem wnioski i nie mogłem oprzeć się przed ukazaniem ich innym. To, że lubimy być nauczycielami innych, jest zapewne jednym z nieszczęść ludzkości.

— Tak, Gerbercie — odparł Johannes, podczas rozmowy unoszący się w powietrzu niczym łabędzi puch. — Niewiedza to prawdziwa plaga. Czyż ty i Otton nie dostrzegacie błędu w waszej interpretacji myśli Eriugeny? Popełniacie go wszak z niewiedzy.

— Nie zarzucaj mi braku wykształcenia! — Sylwester II nasrożył się i zamoczył usta w pucharze wina, który pojawił się nagle w jego dłoni. — Kilkadziesiąt lat spędziłem na studiowaniu traktatów z zakresu logiki, filozofii i pozostałych sztuk!

— Nie posługuj się swym wiekiem jako argumentem, Gerbercie — odparł geometra przepływając na ukos alkowę i znacząc swój ślad wirującymi w powietrzu drobinami świetlistego pyłu. — Jestem wielokroć starszy od ciebie. A co do twoich studiów, wiem, że poświęciłeś się pracy z bezgraniczną zachłannością. Wszak sam pomagałem ci orientować się w zawartości katalogu liczącego czterdzieści cztery tomy, a sumującego blisko pół miliona dzieł zgromadzonych w bibliotece uniwersyteckiej w Kordobie. Tak, znam cię lepiej niż sądzisz, Gerbercie. To już nasze czwarte spotkanie. Któż wie, czy ostatnie?

Sylwester II nie okazał zdziwienia, był to przecież jedynie sen. Zaciekawiło go jednak, jaki, według geometry, błąd popełnił, popierając idee Ottona.

— Szalonego Ottona — poprawił go Johannes, najwyraźniej czytający umiejętnie w myślach papieża. — Cesarz głosi, iż dąży do osiągnięcia wolności duszy roztopionej w Bogu, zespolonej z Bogiem w Boskim Ładzie, a przecież postępuje przy tym skrycie, podstępnie, używając chytrości

niczym miecza. Przypomina mi to, wybacz, że określę go zabawnym, passus z twej *Geometrii*, gdzie podważasz arystotelesowski podział ciał na lekkie i ciężkie, akceptując jednocześnie resztę poglądów tego mędrca. Wszak wówczas ruch planet i wszelakich ciał byłby niemożliwy! Wydzierając fragment z logicznej całości powodujesz, iż owa całość rozsypuje się w gruzy nie wytrzymując szczegółowej krytyki. Tak też jest i z Ottonem, który z Eriugeny wydobył jedynie słowa o dążeniu ku Bogu, rozpłynięciu się w Bogu, a resztę dzięki temu martwej doktryny pozostawia niczym truchło na żer ścierwojadów. Może nie jest jeszcze zbyt późno, by objawić ci prawdę… Wzeszło Słońce Umarłych, Gerbercie. Świat znalazł się w przełomowym momencie. Przypomina to tę nieskończenie krótką chwilę między wdechem i wydechem powietrza, w trakcie pracy twoich płuc, Gerbercie. Oto nadszedł czas interregnum! Któż wie, jakie siły mogą zostać wyzwolone błędnymi czynami wynikającymi z niewiedzy. Czy złożenie insygniów cesarskich na Golgocie ma stać się sygnałem wiodącym ku kataklizmowi? Jeśli tak, to zważ, że rozpęta się chaos, którego nikt i nic nie okiełzna. Potęgi, których istnienia nawet nie przeczuwasz, dokonywać będą krwawego podziału łupów. Wyobraź sobie, Gerbercie, że zaledwie garść wybrańców spośród całej ludzkości trafi pod skrzydła Pana, dostąpi obcowania z Światłością…

— Jest to teza godna rozważenia — szepnął Sylwester II. — Popełniane przez nas częste błędy dają ten pożytek, iż w końcu przyzwyczajamy się do myśli, że wszystko może dziać się inaczej, niż to sobie wyobrażamy.

— Zawsze ceniłem twój umysł, Gerbercie. Jesteś na właściwej drodze, bowiem rozsądek polega na tym, by zmieniać sądy, gdy zmienią się przesłanki.

— Zaprezentuj mi więc, geometro, opata Poppona, owe nieznane mi argumenty.

— Korzenie błędu mogą tkwić w odległej przeszłości, Gerbercie, a także w mylnym pojmowaniu wszelkich przejawów istniejącego świata. Zapewne znane ci są doktryny, zarówno ta, rozprzestrzeniająca się od dziesięcioleci na południu Królestwa Francji, jak i ta, tępiona przez cesarzy Bizancjum, a głoszona przez paulicjan. Doktryny mówiące o stworzeniu człowieka w jednym akcie, zarówno przez Boga, jak i Szatana. Światłość i Mrok zdają się tam być równymi sobie potęgami. Czyż to nie wywołuje w tobie uczucia strachu, iż może doktryny te obnażają prawdę aż po jej jądro? I czyż nie powoduje to, że ze strachu trzymasz się kurczowo dogmatów, do których straciłeś już serce? Ludzie zwykle kręcą się wokół własnego lęku, Gerbercie! — krzyknął Johannes, wypływając oknem i unosząc się nad Wzgórzem Awentyńskim niczym topolowy puch, kołysany wiatrem. — Czego boi się Otton?! Któż jest siewcą jego lęku?! Znajdź odpowiedzi na te pytania, Gerbercie! Wiele od tego zależy!

Alkowę, Rzym i cały świat spowiła mgła. Gęsta, wilgotna i lepka, nieprzenikliwa do tego stopnia, że papież nie mógł już dostrzec własnych dłoni. Jednak gdzieś w oddali majaczył niewyraźny kształt. Mroczna sylwetka… I niósł się szaleńszy śmiech, tłumiony odległością. Właśnie ten przerażający śmiech zbudził go.

Rozdział siódmy

Z błękitnego, bezchmurnego nieba spadła pośród przeszywającego świstu kula ognia. Nie był to zbłąkany piorun, a rozżarzony do białości miecz, który wbił się w darń zaledwie o krok przed Michaelem.

Ciemnowłosa dziewczyna, której szaty zapłonęły od gorąca bijącego z zesłanej z niebios broni, puściła dłoń mężczyzny i odskoczyła z nieludzkim skowytem. Wówczas dopiero rycerz,

porażony dotąd nienawistną siłą, odzyskał wolną wolę i swobodę ruchów. Oszukańcza Miriam zaś przypadła do ziemi i w mgnieniu oka przedzierzgnęła się w ogromną, czarną sukę, szczerzącą lwie kły. Uniosła łeb ku górze i zawyła złowróżbnie. Przenikliwy dźwięk uderzył o ścianę pobliskiego lasu i powrócił, bogatszy o chrzęst zbroi i stukot kopyt.

Niebo zasnuło się chmurami, a spomiędzy drzew wyjechało czterech rycerzy na opancerzonych rumakach. Michael zdrętwiał ujrzawszy nagie czaszki przybyszów, ich zbroje ze spojonych w tajemniczy sposób płytek kamiennych i kościanych z wyrytymi na nich bluźnierczymi zaklęciami. Piekielne rumaki parły naprzód, równie pozbawione życia i lekkości ruchów co machiny oblężnicze. Za potępieńczą watahą sunęła ściana brudnobiałej mgły.

Wówczas, jakby wykonując zapomniane czynności, nieświadom jeszcze, co z tego wyniknie, Michael sięgnął po wbity w ziemię, ostygły już miecz. Wyrwał klingę z gruntu, z szerokim zamachem wykonał kilka próbnych cięć i stwierdził, że trzyma w dłoni broń jeszcze doskonalszą niż najwyższej próby szable ze stali damasceńskiej, którym się napatrzył do woli w Domu Rzemiosł w mauretańskim Toledo. Wówczas odkrył, że ogarnia go uczucie niezwykłego spokoju, mimo zbliżającego się ku niemu, rosnącego w oczach ruchomego wizerunku grozy doskonałej. Poddając się impulsowi, uniósł w górę miecz, a ten rozgorzał białym światłem. Także dłonie, korpus i nogi Michaela stały się nagle żywym obłokiem blasku. Nie mógł widzieć swej twarzy, ale i ona promieniała w dziwny, pełen chwały sposób.

Wojownik z białego światła bez wahania wzbił się w niebo na wyrosłych mu z ramion, ogromnych, łabędzich skrzydłach, po czym spadł na karki potwornych rycerzy, siejąc pośród nich spustoszenie swym ognistym mieczem. Zaledwie chwila minęła od ich pojawienia się nad strumieniem, a już zdruzgotane puste skorupy z kości i kamienia, spojone dotąd bluźnierczą magią, zasłały okolicę zwęglonymi szczątkami. Nie był to jednak koniec bitwy, bo spośród koron gęstych, spowitych mrokiem drzew wyleciało stado odrażających stworów, będących odzianymi w plugawe kształty duszami porońców. Wówczas i powierzchnia strumienia zafalowała, by zgęstnieć jak miód. Wyrastać z niej zaczęły monstra o ludzkich kształtach, uczynione z przezroczystego, lecz niczym żywa rtęć gęstego tworzywa — wody stężałej pod dotknięciem zła. Jednak wszystkie te istoty szybko uległy płomienistemu mieczowi.

Michael powoli opadł na darń i zmęczony wsparł się na rękojeści miecza. Wokół, w promieniu kilkudziesięciu łokci, poczerniałą darń znaczyły kopczyki zdruzgotanych płytek, kilka ludzkich i końskich czaszek, wszystko, co pozostało z monstrów powołanych do istnienia zaklęciem mrocznego zła. Jedynie ocalała z pogromu czarna suka ze skomleniem znikała już pośród grubych pni pobliskiego lasu.

Chmury rozpierzchły się, odsłaniając słońce chylące się ku zachodowi. Wiatr rozdarł tkwiącą dotąd pod lasem oponę mgły. Michael zaś spojrzał na swoje jaśniejące dłonie i szepnął:

— Przebacz mi, matko!

Dopiero teraz, w chwili dokonywania się Przemiany, uwierzył słowom jedynej córki pana na Tignonville, twierdzącej, że nigdy nie obcowała z mężczyzną. Poczuł żal, że nie może już podzielić się z nią swym odkryciem — ze zgryzoty zmarła przed wielu laty w pohańbieniu. Jakże odmieniło się jego życie! Będąc świetlistym rycerzem, jednym aktem woli mógł objąć umysłem dziwne wypadki i pozornie splątane dotąd ścieżki swego życia. Nabrał też dziwnej pewności, że starcie, w którym brał udział, inicjacja objawiająca mu jego moc i przeznaczenie, jest zaledwie próbą, drobną potyczką.

Uniósł ku ciemniejącemu już, wieczornemu niebu twarz, na powrót nabierającą ludzkich cech. Pośród wielu ciał niebieskich spostrzegł czarny, posępny krąg, ślący ku ziemi promienie strachu. To Słońce Umarłych, niczym odrażający płaz, wpełzało na nieboskłon.

Rozdział ósmy

— Ojcze, ojcze…

Choć szept był cichy, na granicy słyszalności, niemniej nader irytował swą natarczywością. Sylwester II drgnął i ruchem ręki dał znać intruzowi, by pozostawił go w spokoju. Ten jednak nie ustępował. Papież oderwał się więc od *Księgi polityki państwowej Al–Farabiego,* traktatu sięgającego ku Platonowi i Arystotelesowi — czytał go w oryginale, próbując znaleźć u muzułmańskiego myśliciela choćby ślad odpowiedzi na dręczące go pytania.

Spiorunował wzrokiem przydanego mu do posług kleryka, jednak z konsternacją stwierdził, że nie przypomina sobie jego imienia. Młodzieniec z kolei skulił się, niczym pies oczekujący razów, jednak nie zamierzał ustąpić, bo znów szepnął:

— Ojcze! Cesarz Otton III prosi o audiencję. Już od kilku pacierzy czeka w komnacie rady.

Papież, z rezygnacją zamknął księgę dostarczoną mu przed tygodniem z Toledo i niechętnie wydał klerykowi polecenie. Ten nie zwlekał i zaraz rozwarł szeroko drzwi, by do alkowy wkroczyć mógł drobny, ciemnowłosy młodzieniec w purpurowym płaszczu.

— Wolałem nie czekać na oficjalną audiencję, ojcze — powiedział cesarz wysokim, miękkim głosem. Po czym odkrył poły płaszcza i w migotliwym blasku woskowych świec ukazał się wiszący na szyi Ottona ciężki, szczerozłoty krucyfiks. — Oto, co pozostawił mi Karol Wielki — stwierdził, świadomie nadając słowom patetyczne brzmienie. — Krzyż ten jest relikwiarzem, w którym spoczywa drewno z Krzyża Świętego, jeden z gwoździ, które przebiły ciało Pana naszego i cierń z Jego korony! Nadchodzi czas, gdy ziszczą się nasze plany, Ojcze Kościoła! Wypełni się wola Pana naszego!

— Twoja wola, Ottonie — szepnął Sylwester II.

— Przed laty, gdy szukałem swej drogi, otrzymałem znak od Pana — odpowiedział ostrym tonem cesarz. — Nikt nie odwiedzie mnie od wypełnienia tego trudnego zadania. Moja matka powtarzała po wielokroć, że jestem Porfirogenetą, jedynym godnym, by władać światem. Nawet Jan Filagatos, ten podły zdrajca, zgadzał się z nią w tej materii. Później dopiero, gdy zacząłem słowa przemieniać w czyny, stchórzył!

Twoja matka — pomyślał papież, przymknąwszy powieki — *Teofano, urodzona jako córka karczmarza, morderczyni swego drugiego męża i kochanka własnego stryja, nie była niczym innym, jak ambitną ladacznicą. Jesteś zwierciadłem jej duszy, Ottonie. Spala cię żądza… Władzy? Nie, władzę już posiadasz. Raczej pragniesz zdobyć wieczną chwałę zarówno wśród ludu, jak i u Pana naszego. Czyżbyś pragnął za wszelką cenę stać się kimś wyjątkowym? Nowym Mesjaszem?! Lękasz się… Upadku? Pozostawienia po sobie znikomego śladu w ludzkiej pamięci? Może śmierci? Czego boisz się, Ottonie?*

Powróciłem dziś z Akwizgranu tylko po to, by osobiście wydać ostatnie polecenia memu wysłannikowi, nuncjuszowi Anzelmo i kapitanowi galery, którą wynająłem wraz z załogą u Wenecjan — ciągnął dalej cesarz. — Jutro odpłyną do Akki, a stamtąd emisariusze podążą do Jerozolimy, by przygotować wszystko na nasze przybycie. Za trzy miesiące my także wsiądziemy na pokład, mój przyjacielu i mistrzu, by w święto Wielkiej Nocy, w Zmartwychwstanie Pańskie wspiąć się na Golgotę.

— Boję się — szepnął Sylwester II, zaciskając palce obu dłoni mocno, aż pobielała skóra.

— To niegodne — odpowiedział cesarz z wyraźnym zdziwieniem w głosie. — Dotąd uważałem cię za męża wielkiej odwagi! — zamilkł na chwilę, po czym, już innym tonem powiedział — Maurowie nie będą w stanie nam przeszkodzić, wszystko otacza nader ścisła tajemnica. Później zaś… Cóż, będzie już po wszystkim. Czyż ponosząc, nawet gdyby do tego

doszło, męczeńską śmierć, nie staniemy się milsi Panu?!

— Boję się zagłady, śmierci całych narodów, wojen. Końca tego, co mi dobrze znane — odparł ze szczerością w głosie, zamyślony Sylwester II.

— Wkrótce po tym nadejdzie Królestwo Boże!

— A jeśli nie nadejdzie? — szepnął papież, i ze zdziwieniem stwierdził, że w zastraszająco łatwy sposób dopuścił się najpotworniejszej herezji, świadczącej dobitnie, iż nie jest godnym, by sprawować rządy z niebotycznych wyżyn piotrowego tronu.

Rozdział dziewiąty

Misja, którą opat klasztoru w Cluny powierzył Johannesowi, powiodła się. W pobliżu kasztelańskiego grodu, Wiślicy, udało mu się odnaleźć wzniesiony nad brzegiem Nidy stary kamienny kościół pamiętający jeszcze czasy Cyryla i Metodego, a opodal wzniesioną z drewna, otoczoną wałem osadę. Prócz tuzina posiwiałych mnichów, którzy zostali przy życiu spośród tych, co przed ćwierćwieczem wyruszyli z Cluny i przez Morawy dotarli do tego cichego zakątka Sclavinii, często przechodzącego z rąk do rąk sąsiadujących ze sobą, bitnych władców, mieszkało tam kilkanaście rodzin pasterzy i rolników nawróconych na wiarę Chrystusową. Johannes przekazał opatowi odciętego tak długo od świata klasztoru, ojcu Maurycemu, pisma od mnichów z Cluny, a także od Poppona, biskupa krakowskiego, po czym zabrał się do prac mierniczych, kreślenia map okolicy i liczenia osad i ich mieszkańców, co spotkało się z pewnym zaniepokojeniem ze strony Mścisława, kasztelana wiślickiego, osadzonego przez księcia Bolesława w odległym od klasztoru o dzień jazdy grodzie, zaledwie przed niespełna rokiem. Mścisław — jak twierdził ojciec Maurycy, nadal poganin duszą, mimo srebrnego krzyżyka wiszącego na jego byczym karku — czuł niejasno, że dzieło geometry wiązać się będzie z podatkami na rzecz kościoła, które on, kasztelan, będzie zobowiązany ściągać. A to spotka się z niezadowoleniem rolników i mieszkańców puszczy. Mając zaledwie dwie dziesiątki wojów na podorędziu, musiał spodziewać się kłopotów.

Tak w gorączce pracy i niespokojnym oczekiwaniu minęła Johannesowi jesień. Pierwsza śnieżna zawieja spotkała geometrę w drodze, gdy wracał po przeprowadzeniu pomiarów głębokości Nidy. Przy pomocy brata Clementa, który liznął nieco geometrii po wielokroć kopiując dzieła Arystotelesa, towarzyszącego Johannesowi za zgodą Maurycego — a może wręcz na jego polecenie, bo Johannes zadziwiał opata znajomością języka i obyczajów Sclavinów — zaznaczył wszystkie brody w północnym biegu rzeki, aż po stare góry. Ulegając zmianie pogody powrócili spiesznie do klasztoru, by przeczekać tam do wiosny, gdy do Krakowa przybędzie biskup Poppon. Johannes zdawał sobie jednak sprawę, że to siły mające nad nim pieczę dały w ten sposób znak, by nie oddalał się z tego miejsca.

Kilka dni później, a była to połowa grudnia, do przyklasztornej osady zawitał wyniszczony, odziany w łachmany mężczyzna, znający ledwie kilka słów w mowie Sclavinów. Nie posiadał żadnego dobytku prócz cennego, misternej roboty miecza, uwiązanego rzemieniem do sparciałego, konopnego sznura, którym był przepasany. Przybysz wszedł chwiejnym krokiem do kościoła, minął ogromne baptysterium, po czym legł krzyżem na chropawej, kamiennej posadzce, przed ołtarzem. Modlił się głośno po łacinie i w mowie Franków, nie odpowiedział jednak na żadne z pytań zadanych mu przez opata Maurycego. Po całym dniu spędzonym na modłach mężczyzna podniósł się i niepewnym krokiem ruszył ku wyjściu. W drzwiach frontowych opuściły go jednak siły i straciwszy przytomność upadł twarzą na posadzkę. Natychmiast

przeniesiono go do jednej z cel, gdzie dwóch mnichów znających się nieco na medycynie zajęło się jego schorzałym ciałem. Przybysz jednak trwał bez zmysłów, w omdleniu, przez blisko tydzień.

W tym czasie zaszły nowe, niepokojące wypadki. Wpierw, przez okolicę przetoczyła się trwająca dwie doby potworna śnieżna zawierucha, wzbudzając w ludziach przerażenie gromami bijącymi z mrocznego nieba, niczym w letnią burze. Zdawało się, że to kamienni giganci zmagają się w niebiosach, krzesząc przy tym snopy iskier. Gdy zawieja ucichła, odsłoniło się posępne, szare niebo. Dni stały się krótkie i bezsłoneczne.

Potem w bramie mocnej palisady, otaczającej klasztorną osadę, pojawiło się czterech rosłych mężczyzn, kapłanów ze świątyni Peruna, wznoszącej się u stóp odległej o dwadzieścia mil Łysicy. Dźwigali na swych barkach lektykę, uczynioną z dębowego drewna, kryjącą swe wnętrze za wełnianymi kotarami. Kapłani bez obawy udali się wprost do Kościoła i tam, złożywszy swoje brzemię w babtysterium, poprosili przerażonego ich zuchwałością opata Maurycego o sprowadzenie do świątyni biskupiego geometry. W kwadrans później Johannes wkroczył do nawy i zatrzymał się przed lektyką ustawioną opodal wielkiej chrzcielnicy wykonanej w jednym kamiennym bloku.

Któryś z milczących kapłanów pochylił się i szarpnął wełnianą kotarę, odsłaniając wnętrze. Geometra cofnął się wówczas o krok, bo oto ujrzał spoczywające na puchowych poduszkach okaleczone ciało dziwnej, niepokojąco znajomej mu istoty.

— Witaj, synu — szepnął ranny, układając usta w namiastkę uśmiechu. Tylko jego piękna, męska twarz nosiła ludzkie cechy. Resztę ciała o jaszczurczym kształcie pokrywały pasma zielonkawych piór i łusek, zlepionych teraz krzepnącą, purpurową posoką tryskającą z licznych ran.

— Witaj, Żmiju — powiedział do Johannesa i skrzywił się z bólu.

Próbował unieść się z posłania. Jedno z jego skrzydeł rozłożyło się, zatrzepotało spazmatycznie, po czym osunęło się bezwładne, niczym uschły liść zdążający zawsze ku upadkowi.

— Powróciłeś — wyszeptał. — Jesteś ostatnią nadzieją tego świata, Żmiju. Poniosłem klęskę… Tylko ty pozostałeś, synu…

— Światłość zesłała mi podporę — odpowiedział mu Johannes. — W ludzkim ciele objawił się znów pogromca Satanaela, Michał. Przybył tu przed kilkoma dniami. Szkoda, ojcze, że dopiero teraz mogę cię poznać — dodał szeptem.

— Taki nasz Los, synu. Taka Droga — dobiegło z wnętrza lektyki. — Obyś, synu…

Istota zadrżała, z jej ust popłynęła struga gęstej krwi. Ciało wyprężyło się, po czym zastygło w iście nieludzkiej pozie.

Johannes, pogrążony w zadumie, podszedł do ciała i położył dłoń na jaszczurczej łapie swojego ojca. Jakże wiele lat minęło, odkąd kilku ponurych mężów, odzianych w czerń kapłanów Czerwia, Tego Który Toczy Złem Dusze, wdarło się do chaty starego bartnika, opiekującego się swą jedyną córką i ośmioletnim wnukiem, chłopcem poświęconym bogom. Mroczni zabójcy pozbawili życia starca i kobietę, jednak syn Żmija był dla nich nietykalny. Wywieźli go więc aż poza granice Sclavinii, do Hamburga, gdzie arcybiskup Ansgar założył klasztor, a przy nim szkołę, do której sprowadzał chłopców kupionych od Sclavinów i Dunów. Mieli oni w przyszłości stać się misjonarzami w swoich rodzinnych stronach, głosząc chwałę Chrystusa. Kapłani Czerwia, popędliwi i bezrozumni, sądzili widać, że skaziwszy duszę chłopca aktem chrztu i naukami Kościoła, wytrącą jego ii moc. Jednak prawdziwa natura syna Żmija nie mogła zostać zbrukana przez inne imię Światłości — tak jak smak wina, mimo, że zmiesza się je z wodą, nie zaniknie na tyle, by całkowicie przejąć cechy wody.

Wędrówki i studia, którym oddawał się przez ponad półtora stulecia, zahartowały jego duszę. Ciało i umysł miał niczym mauretańska szabla — ostre, giętkie i niezłomne. Fakt, że osiągnąwszy dojrzałość, nie ulegał objawom starości, zmuszał go do częstych podróży i zmian tożsamości. Jednak i jemu, jak zapewne każdej istocie obdarzonej duszą, nie obce były ból i rozpacz. Powiódł więc dłonią po zastygłej, martwej twarzy ojca i zapłakał.

W tej właśnie chwili jaszczurcze ciało drgnęło, spowił je opalizujący obłok, po czym poświata, jak i szczątki Żmija znikły. W ich miejscu pozostał jedynie maleńki, zielono upierzony ptak, który rozpostarłszy skrzydła zakołował nad głową zaskoczonego Johannesa, wyfrunął przez okno i wzbił się w niebo. Geometra śledził jego lot, póki maleńki kształt nie rozpłynął się wśród ołowianych chmur. W chwilę później poruszył się, bez słowa wyminął kapłanów i szybkim krokiem udał się do celi, w której leżał nieprzytomny rycerz de Tignonville.

— Michale, zbudź się — powiedział syn Żmija, dotykając opuszkami palców jego zarośniętej, brudnej twarzy. — Czas już nadszedł.

I w owej chwili, ku zaskoczeniu mnicha–medyka, który nadbiegł właśnie z kolejną fiolką sprokurowanej driakwi, omdlały dotąd mężczyzna otworzył oczy.

Rozdział dziesiąty

— To dziwna kraina — powiedział opat Maurycy, kreśląc w powietrzu znak krzyża, jakby w ten sposób chciał zapewnić bezpieczeństwo swojej duszy. — Pełna sprzeczności. Niełatwo tu krzewić wiarę chrystusową i nie popaść przy tym w herezję. Ruszaj, bracie Johannesie, jeśli taka jest wola Boga, choć przyznam, że nie pojmuję, w czym rzecz.

— Światłość ma nieskończenie wiele imion — odparł z zagadkowym uśmiechem geometra, wspinając się na koński grzbiet. Jego twarz ściągnęła powaga, gdy dodał. — I nieskończenie wielu wrogów.

Prowadzeni przez czterech kapłanów Peruna wyruszyli ku starym górom. Johannes, Michael i brat Clement przydany im przez opata jako towarzysz, a może i szpieg, jechali stępa, wpatrując się w krzepkie sylwetki spiesznie idących przed nimi mężczyzn.

Po kilkakroć napotykali grupy zziębniętych, uważnie się im przyglądających kobiet, mężczyzn i dzieci. Doglądali oni ognisk palonych na rogach cmentarzysk, by w ten niepewny czas wskazywać właściwą drogę wędrującym, niespokojnym duszom zmarłych. Johannesowi zdało się wówczas, że mimo dziennego światła, każdą z ludzkich sylwetek spowija mroczny kokon, rzucający cień na ich dusze, jakby już zostali wydani na łup lodowatym ciemnościom.

Tak pośród znoju wędrówki i niepokojów serca minęły im dwa dni. Potem okrytą śniegiem okolicę opuściło wrażenie martwego spokoju. Zastygłe w bezruchu powietrze zdawało się teraz być przesączone fluidami przerażenia. I nagle, gdy wędrowcy minęli już mur z bloków kwarcytu, podkowiastą linią chroniący podnóże świętej góry Łysicy, wraz z wieńczącą ją świątynią i zaczęli przybliżać się do poszarpanych skał Kamiennej, bez ostrzeżenia rozpętała się szaleńcza zawierucha.

Uderzenia wiatru niosącego falami raz kłęby śniegu, to znów ciskającego ogromnym, niczym gołębie jaja gradem, lub zacinającego ulewnym deszczem, z morderczą zajadłością pastwiły się nad przybyszami. Brodzili więc z wysiłkiem w szybko tających zaspach, pośród coraz głębszego błota, w mokradłach powstałych jedynie po to, by powstrzymywać ich, porazić ciała i dusze zmęczeniem. Wreszcie po kilkunastu godzinach męki, po zmierzchu, nastał względny spokój. Grudniowy mróz odszedł, nastała odwilż, niespotykana o tej porze roku.

Atak wodnych żywiołów dopiekł wędrowcom. Zadał sporo groźnych ran, wybijając oczy i kalecząc twarze dwóm kapłanom. Pozostali mężczyźni, prócz Johannesa i Michaela, których zdawały się chronić niewidzialne dłonie, także odnieśli obrażenia. Geometra wstrzymał więc wierzchowca, zeskoczył w głębokie błoto, w kilku słowach nakazał Clementowi i pozostałym, trzymającym się jeszcze na nogach kapłanom, by wsadzili na koń rannych i wycofali się. Nie sprostali wszak próbie, stając się jedynie ciężarem. Po krótkiej sprzeczce kapłani i mnich ulegli jego naleganiom — czciciele Peruna skierowali się ku łysickiej świątyni, Clement zaś wyruszył do klasztoru.

Johannes i Michael, samotni wśród skalistego pustkowia, unieśli twarze ku niebu. Srebrzystoczarny łuk nocnej tęczy wspinał się po ugwieżdżonej sferze ku wyłaniającemu się z eteru Słońcu Umarłych. Michael, jakby wiedziony odległym wspomnieniem, zacisnął zęby i dobył miecza. Gdy nieskazitelna klinga rozbłysła łagodnym światłem wskazującym kierunek, spojrzeli na siebie w milczeniu, po czym ruszyli ku posępnemu szczytowi Kamiennej. W kwadrans później minęli bez słowa duży, płaski głaz z rozciągniętymi na nim zwłokami dziecka. Wydarte z jego piersi serce leżało kilkadziesiąt kroków dalej, a okoliczne skały zdawały się być skąpane we krwi.

Wkrótce podnóże góry spowił gęstniejący całun mgły. Michał i Żmij, bez wahania zanurzyli się w lepkim, chłodnym oparze, nieświadomi, że prócz wrogiej siły, której obecność wyczuwali wokół, jeszcze ktoś za nimi podąża. Był to brat Clement, który opuściwszy pogańskich kapłanów, wrócił po własnych śladach, pragnąc wywiązać się z poleceń wydanych mu przez opata.

Mnich szedł ostrożnie, omijając osypiska głazów i starając się przy tym nie stracić z oczu dwóch idących bez wahania mężczyzn, co w gęstniejącej mgle nie należało do łatwych zadań.

Wkroczyli na obszar uważany przez Sclavinów za przeklęty, jako że ponoć pod korzeniami gór spoczywał tam, przykuty łańcuchem do serca ziemi, Władca Zła. Gdy targał ogniwami, lawiny osuwały się ze szczytów, niszcząc wsie i zabijając ludzi. Clement, przypomniawszy sobie te opowieści, zacisnął dłoń na drewnianym krzyżu, zwieszającym się z szyi, odmówił modlitwę i choć nie poczuł, by dzięki temu odtajało jego serce, z determinacją ruszył w trop za tajemniczymi wędrowcami. Opatowi Maurycemu nie w smak były magiczne praktyki, pogańskie gusła, w jakie dał się wplątać protegowany biskupa Poppona — wszak jego obserwacje kłóciły się z pochwałami zamieszczonymi na temat Johannesa w listach przywiezionych z klasztoru w Cluny przez owego geometrę. I oto Clement zdobył dowód, iż podejrzenia dotyczące apostazji Johannesa nie są bezpodstawne. Prawy chrześcijanin nie trwoniłby przecież czasu na włóczęgę, wraz z drugim przybłędą, po przeklętych uroczyskach. Mnich zatarł zziębnięte dłonie, a jego oczy rozjaśnił triumfalny błysk. Wkrótce nadeszła jednak chwila, w której zaczął przeklinać swoją gorliwość, bo oto ujrzał, że Johannes i Michael zatrzymują się.

Naprzeciw nich wyłoniła się z gęstego oparu nieprzeliczona gromada jeźdźców opancerzonych pogańskimi amuletami z kamienia i kości, zespolonymi w potężne skorupy kryjące tajemnicę kształtu ciał przerażających rycerzy. Ich osadzone miast głów nagie czaszki połyskiwały blado w świetle księżyca, a w oczodołach jarzyło się czarne światło zła. Za nimi, ławą, kroczyła grupa ludzi odzianych w czarne szaty, uzbrojonych w krzemienne noże, szalonych i okrutnych kapłanów Czerwia. Dokoła, w zimnym błocie wiły się ogromne węże, kroczyły ociężale ohydne płazie stwory — łamie o ostrych, jadowitych kłach i siejącym przerażenie wejrzeniu.

Spod niskiego pułapu chmur zaczęły odrywać się liczne cienie — to navie, upiory wylęgłe z dusz porońców; zatrzepotały skrzydłami, upatrując ofiar, z których mogłyby wyssać krew i siły witalne. Przed ławą dzikiego wojska zaczęła z kolei przemykać piękna, smukła, czarnowłosa

kobieta, nie wiadomo czy przewodząca zgrai, czy też na modłę rycerską spełniająca rolę harcownika, prowokującego wroga do podjęcia bitwy. Kształty ciemnowłosej piękności co chwila zmieniały się. Raz była lnianowłosą, wyniosłą dziewicą — Dziewanną o trupiobladym obliczu, to znów obranym do czysta szkieletem z rozkwitłą, szkarłatną różą w dłoni. Bywała też ogromną, czarną suką — Żyworuną, władczynią księżyca i śmierci.

Po długim oczekiwaniu, przepojonym narastającą grozą, objawił się wreszcie prawdziwy wódz potępieńczej hordy. Nadpłynął niesiony podmuchem wiatru, mroczny i wyniosły. Potężny siewca zła, Czerw, uniósł w górę swą podobną do ludzkiej dłoń. Wówczas w zboczu Kamiennej pojawiła się rysa. Pęknięcie szybko rozszerzało się, tworząc coraz głębszą rozpadlinę, aż stało się otchłanną jamą, poprzez trzewia żywej skały sięgającą do serca ziemi.

To, co wydarzyło się później, musiało być zaiste potwornym obrazem, bo gdy po wielu dniach pewien smolarz odnalazł w kniei i przywiódł do klasztoru brata Clementa, ten był już zaledwie strzępem człowieka. Włosy miał zbielałe, a lewa dłoń stała się bezwładna. Atak strachu poraził też na zawsze jego mowę i słuch. Najstraszliwsze spustoszenia dokonały się jednak w umyśle mnicha. Świadczyły o tym oczy, które, bez względu na czym by nie spoczął wzrok Clementa, rozszerzone były nieustannym paroksyzmem lęku.

Epilog

Na trzeci dzień od wyruszenia Johannesa i Michaela spod wiślickiego klasztoru, w wigilię Bożego Narodzenia roku tysięcznego, mnisi oraz ze dwa tuziny rodzin ochrzczonych Sclavinów, pod wodzą opata Maurycego, schronili się w ciasnym, kamiennym kościele. Pozostali tam całą dobę, ze zgrozą spoglądając na wypełniającą ogromną chrzcielnicę wodę święconą, która zdawała się tężeć niczym sosnowa żywica, co było widomym dowodem objawienia się w pobliżu mocy Szatana. Rozmodleni w pokorze, kulili się wśród huku gromów. Świat oszalał — jaskrawe ściegi błyskawic i słupy dymu biły spośród szczytów starych gór w niebo szare jak popiół — a oni modlili się, póki żywioły nie zasnęły, a ludzie nie zdołali przywrócić swym sercom, choć w części, żaru wiary w moc Kościoła Chrystusowego.

Następnego dnia, dwudziestego piątego grudnia, nad znacznym obszarem królestwa Francji dostrzeżono wzbudzającego grozę smoka, kołującego wśród chmur i ciskającego pioruny. Widać toczył na niebiosach bój z innym potworem, bo w południe strącił z nieba ogromną, mroczną postać, która upadłszy na ziemię w pobliżu Lyonu, przemieniła się w jezioro o błotnistej, cuchnącej wodzie.

Wiele było jeszcze w tych dniach znaków na niebie i ziemi, niewytłumaczalnych zjawisk i śmierci. Wenecka galera z nuncjuszem papieskim na pokładzie, wysłana przez Ottona III do Akki, nie powróciła. Po następnej, wysłanej tam w okolicach Wielkiej Nocy następnego roku, także słuch zaginął. Za to mauretańscy żeglarze, którzy na flotyllach feluk utrzymywali ruch handlowy między Kalifatem Damasceńskim a portami Maghrebu, twierdzili, iż opodal wybrzeży Krety po wielokroć dostrzegali cień obudzonego ze snu, mitycznego ptaka Rukha, rzucany spośród chmur na zmarszczoną falami powierzchnię morza. Niektórzy z nich posuwali się nawet do tego, aby zaklinając się na głowy swych matek świadczyć, iż byli świadkami zagłady, jaką Rukh niósł chrześcijańskim galerom, co niewątpliwie było znakiem Allaha, nawołującego, by wzniecić dżihad, świętą wojnę przeciw niewiernym.

Wkrótce, bo w 1002 roku, zmarł Otton III, a w rok później Sylwester II. Ich nieliczni hagiografowie wspominali, iż przy śmierci cesarza i papieża asystowała zawsze świetlista,

anielska postać z ognistym mieczem w dłoni, by unieść ich dusze ponad obłoki, ku Bogu. Trudno dziś dociec, na ile było to tylko poetyckim zmyśleniem, a na ile interpretacją prawdziwych wypadków. Tym bardziej, że obaj wkrótce przestali cieszyć się estymą wśród potomnych. Wspominano o nich z rzadka, a i to raczej z łatwo czytelną obawą. Może nawet strachem?

Johannes i Michael podobno zniknęli bez śladu. Jednak wnikliwe studia nad biegiem wypadków, zaszłych w następnych stuleciach, zdają się zadawać kłam temu stwierdzeniu. Historia ludzkości, niczym wąż połykający własny ogon, zdaje się być nierozwiązywalnym splotem przyczyn i skutków. Cóż więc i tu przyczyną było, a co skutkiem? Wszak nieliczni tylko znają daty wschodu Słońca Umarłych, nastania czasu interregnum. Któż wie, na jaki dzień winniśmy być gotowi. Któż wie…

Zapada przedwczesny zmierzch. Czuję falę chłodu, a kiełkujące ziarno niepokoju wprowadza zamęt w rytmiczne dotąd kadencje pracy serca. Zdaje mi się też, że słyszę szum ogromnych skrzydeł i pełgający w oddali blask piorunów przeszywających tkaninę nieba.

Tadeusz Oszubski

Urodził się w Bydgoszczy w 1958 roku. Rozpoczął od poezji, trochę wierszy opublikował w prasie, otrzymał też kilka wyróżnień w konkursach, m. in. I nagrodę w Turnieju Jednego Wiersza w Gostyniu (1980) i również 1 nagrodę w II Konkursie im. St. Grochowiaka w Radomiu (1981). Jego wiersze ukazały się w antologii „Pokłosie konkursów im. Stanisława Grochowiaka” (1983) i w autorskim tomie pt. „Zostawiliśmy skrzydła w szatni” (1984).

Później przyszedł czas na prozę — szeroko pojętą fantastykę i sensację. Krótkie formy publikowała prasa, poświęcono im audycje emitowane w lokalnej rozgłośni Polskiego Radia w Bydgoszczy. W druku znajduje się jego powieść „Twierdza nienawiści”, a następna — „Demony”, czeka na publikację. Obie są próbą pogodzenia dobrej powieści akcji z nurtem fantasy, a ponieważ obie ma zamiar wydać warszawski Almapress — nie wiadomo, kiedy ujrzą światło dzienne.

W wyniku powyższych opóźnień „Interregnum” będzie prawdopodobnie książkowym debiutem autora.

Opowiadanie podejmuje intrygującą tematykę zagadek historii i kultury, a zwłaszcza uderzającego podobieństwa swojskiego Żmija i Quetzalcoatla z półwyspu Jukatan. Bóstw z mitologii Słowian i Majów, które pojawiły się mniej więcej w tym samym czasie, bóstw posiadających tę samą formę i spełniających identyczne zadania.

O „Umieraj z nami”

„Umieraj z nami” to właściwie „opowiadanie zastępcze”. Pierwotny pomysł, który nosiłem w sobie od czasu powstania idei „Czarnej mszy”, a mający traktować o klerykalno–narodowych pryncypiach, jakoś tak w ciągu wiosny i lata ‘91 rozpłynął mi się bez śladu. Być może wpływ miała na to telewizja, którą bez umiaru zacząłem oglądać, a i trochę praca (w cudownej instytucji pt. Prywatna Telewizja „Echo”, która niczym czerw w jabłku zalęgła się w środku Wrocławia). Stąd chyba wypełzł pomysł organizujący niniejsze opowiadanie. Dodatkowym źródłem inspiracji były seriale produkcji rodzimej i amerykańskiej;

Myślę też, że tymczasem zmieniła się (przynajmniej u mnie) hierarchia rzeczywistych zagrożeń dla umysłowości przeciętnego Polaka — nie klerykalizm, na który można stosunkowo łatwo wytworzyć antyciała (analogicznie jak w przypadku komunizmu), a zamerykanizowana pop kultura, wlewająca się do naszego życia szeroką, brudną strugą, wymywając z niego wszelki sens i wartość. Przed tym zagrożeniem nijak nie potrafimy się bronić, przeciwnie, jakby nurzamy się w jego błotnych głębiach z wyraźną przyjemnością. Ale każda przyjemność ma swoją drugą stronę — i o tym chyba jest to opowiadanie.

Klasyczna, solidna science fiction pełniła zawsze funkcję profetyczną, przewidującą przyszłość. Po części i to miałem na względzie, pisząc „Umieraj z nami” — ponieważ tak naprawdę to duchowa pustka i niemoc współczesnego człowieka będzie tym ołtarzem, na którym w przyszłości — już chyba niedalekiej — Szatan odprawi nad zwłokami ludzkości swą „czarną mszę”.

Jacek Inglot

Umieraj z nami

Pani Eudoksja okazała się miłą, kruchą staruszką o ujmującej powierzchowności. Pokój, do którego mnie zaprowadziła, też prezentował się zupełnie przyzwoicie.

— Powinno być tu panu wygodnie — powiedziała, dyskretnie zamykając drzwi.

Podszedłem do obszernego jak lotnisko blatu mahoniowego biurka i położyłem na nim walizkę z klawiaturą. Potem rozejrzałem się uważnie — pomieszczenie idealnie spełniało moje wymagania. Dwa ogromne, łukowate okna, przysłonięte od zewnątrz ażurową kratą, wychodziły na zapuszczony ogród. Można je było dodatkowo zasłonić ciężkimi, ciemnobordowymi storami. Na ścianie naprzeciw biurka wisiała piękna kolekcja broni myśliwskiej: co prawda nie znałem się na tym zupełnie, ale rozpoznałem klasyczny kształt winchestera, w towarzystwie kilku dwururek i karabinów myśliwskich typu mauser. Wspomniano mi już, że mąż pani Eudoksji w młodości sporo czasu spędził w Afryce. Nie spostrzegłem jednak żadnych specjalnych trofeów łowieckich, poza leżącą na podłodze lwią skórą, bardzo spłowiałą, i jakimś murzyńskim maszkaronem wymalowanym na kokosowej łupinie. O wiele większe wrażenie wywoływała umieszczona w rogu, na brązowych, dębowych półkach podręczna biblioteka, przypominająca raczej jakiś kredens, ponieważ książki zamknięto za oprawionymi w miedź szybkami. Podszedłem i otworzyłem jedno skrzydło: tomy, wszystkie w obwolucie z ciemnej, lakierowanej skóry, matowo błyszczały w świetle zachodzącego dnia. Sięgnąłem po pierwszy z brzegu — widniejący na pożółkłej karcie tytuł i nazwisko autora nic mi nie mówiły. Zaskoczył za to widniejący pod spodem fantazyjny ekslibris. Dzisiaj książka była zbyt mało istotna, aby ktokolwiek myślał o oznaczeniu jej własnym symbolem. Do życia wystarczał numer karty kredytowej.

Pokój został starannie posprzątany i jak mi się zdawało, usunięto część przedmiotów. Odniosłem wrażenie, iż dookoła jest nienaturalnie przestronnie, co mi w gruncie rzeczy nie przeszkadzało. Wróciłem do samochodu i przyniosłem displey’e, które rozłożyłem po obu stronach blatu. Klawiaturę wraz z bankiem pamięci umieściłem pośrodku. Całość przypominała błonkoskrzydłego owada, gotowego do natychmiastowego odlotu. W krainę literatury czystej — pomyślałem z mimowolnym sarkazmem.

Rozległo się ciche pukanie i pani Eudoksja, z właściwym sobie taktem i dyskrecją, zaprosiła mnie na kolację. Usiedliśmy w jadani, przy okrągłym stole, zastawionym srebrem i porcelaną. Prawdę mówiąc niezbyt dobrze mi się z tego jadło: taka zastawa była warta majątek, rzecz jasna dla kolekcjonera. Przy kolacji mówiliśmy niewiele, głównie o pogodzie. Później wyszedłem do ogrodu na papierosa.

Dom i okolicę polecił mi kiedyś pewien były malarz, obecnie czołowy pacykarz w wielkiej firmie reklamowej. Chwalił ciszę i oddalenie, bardzo pomocne w skupieniu. Twierdził, że wpadł tutaj na masę świetnych grepsów. Rzeczywiście, nie wyglądało to najgorzej. Poszedłem zarośniętą alejką w głąb parku, aby popatrzyć z pewnego oddalenia na dom, obszerną piętrową willę, trochę zapuszczoną i obrośniętą bluszczem. Na ogród wychodziła drewniana weranda zastawiona doniczkami — zauważyłem pochyloną sylwetkę pani Eudoksji, z metalową konewką w ręce. Słońce zachodziło i twarz i ręce staruszki pokryły czerwonożółte plamy światła. Była naprawdę bardzo stara.

Ogród, a właściwie dębowo–cisowy park, otaczał cały dom grubym półksiężycem, otwartym jedynie od strony piaskowej drogi, łączącej willę z miasteczkiem, położonym nieco w dole, nad małą rzeką. Pieszo mogło to być nie więcej jak dwadzieścia minut. Z drugiej strony, tam gdzie

pierścień drzew był najgrubszy, park przechodził w mieszany, sosnowo–dębowy las. Granicę musiał kiedyś wyznaczyć kamienny mur, do którego zaprowadziła go ścieżka, zapadnięty teraz w ziemię i porośnięty mchem. W kilku miejscach rozsypał się zupełnie. Łysnęło mi coś tam czerwono — spojrzałem uważniej i odkryłem cegłę, świeżo przełamaną na pół. Tak, jakby ktoś przechodząc, otarł się o krawędź wyrwy. Wydało mi się to zupełnie nieprawdopodobne — próbowałem sprawdzić stan okolicznej ściółki, ale ponieważ było już zupełnie ciemno, nic nie zobaczyłem.

Od ponad dwóch lat zajmowałem stanowisko głównego scenarzysty mydlanego serialu *Wspaniałe życie Joanny,* który od pięciu sezonów stanowił główny hit największej sieci komercyjnej telewizji. Miałem właśnie przygotować jego jesienną edycję. I zupełnie nie miałem żadnego pomysłu.

Podstawowym problemem bohaterki, Joanny, był fakt, iż jako kobieta posiadała cipę. Gdyby była mężczyzną, chodziłoby zapewne o członek. Tak czy owak cipa Joanny doprowadziła do zaawansowanego alkoholizmu jej męża Michała, którego wątroba przypominała pordzewiały durszlak. Albowiem cechą cipy Joanny była nieustanna potrzeba, aby jakieś ciało obce wykonywało w niej ruchy tłocząco–posuwiste. Michał, w myśl dotychczasowych założeń scenariuszowych, wykazywał mało zrozumienia dla tych potrzeb i na znak protestu tłoczył alkohol do żołądka, też, można rzec, dość istotnego organu.

Popatrzyłem z niechęcią na błyszczące zielonkawo w ciemności displey’e. Producent zobowiązał mnie do przygotowania minimum ośmiu konspektowych wersji dalszych trzydziestu odcinków. Później wybierze dwie, trzy najlepsze i przetestuje je na potencjalnych widzach przy pomocy ankiet socjologicznych. Może się i tak zdarzyć, iż testy wypadną niepomyślnie i całą robotę trzeba będzie wykonać od nowa. Jeśli zaś będą dobre, to wybrany konspekt otrzyma do rozwinięcia zespół mych podwykonawców, ja sam sprawowałem jedynie ogólny nadzór pisarski, wprowadzając też ostatnie poprawki i wygładzenia.

To i tak nie było jeszcze najgorzej — ostatnio rozpowszechniła się metoda polegająca na zaczynaniu od testów: respondentowi przedstawiano wielowariantowy konspekt–ankietę, zawierający wszystkie szczegóły potencjalnego serialu, łącznie z tym, czy heroina ma być blondynką, czy brunetką i czy ma poruszać się na szpilkach, czy może płaskich pantoflach. Starzy wyjadacze telewizyjni nazywali to metodą *dupa–masło,* myśląc tu o konkretnej czynności wykonywanej przez producenta wobec widza. Z tym, że cała impreza była dosyć kosztowna: nikt nie chciał za darmo siedzieć pół dnia i pracowicie wypełniać liczący blisko setkę stron formularz. W ogóle pisanie scenariusza coraz częściej przypominało układanie schematu gry planszowej.

Tak jak teraz — położyłem rękę na klawiaturze i na prawym displey’u zaczął rozkwitać jeden z wariantów, który wpadł mi do głowy w czasie wieczornego spaceru.

Przyjacielem alkoholika Michała jest Robert, zażywny blondas o posturze byka, kuta na cztery nogi bestia ze sprytem do biznesu, typowy yuppie domowego chowu. Od lat bywa zaliczany do drugoplanowych drążycieli Joanny, prowadzi także wspólne z Michałem interesy. Ostatnio jego rola wzrosła, z racji pogłębiającego się nałogu męża Joanny. Sama Joanna, widząc, iż pożytki z Michała są coraz mniejsze, postanawia zastąpić go Robertem, który nie jest od tego. Lubi pieprzyć Joannę, a poza tym obracać forsą Michała. Obydwoje przystępują do akcji — niecnotliwa małżonka oddaje się swym kochankom prawie na oczach męża, jednocześnie jakaś tajemnicza dłoń rozstawia wszędzie butelki wysokoprocentowego alkoholu. Michał stacza się na skraj *delirium tremens.* Wszystko toczy się według planu, aż do momentu, gdy w domu Joanny zjawia się Teodor, roznosiciel pizzy, wyjątkowo dobrze wyposażony przez naturę. Joanna szaleje na jego widok…

Przyjrzałem się tak zarysowanej siatce. Byłoby tego na trzy, cztery odcinki. Należało

zdynamizować akcję, wprowadzając dodatkowe czynniki, komplikujące fabułę. Należało ją tak zawikłać (mniej więcej koło połowy edycji), by potem niespiesznie rozwiązując problem za problemem w idyllicznej atmosferze zakończyć ostatni odcinek. Oczywiście nierozwiązanym pozostawiając archetypiczny problem cipy Joanny, jako punkt wyjścia do edycji następnej.

Przerzuciłem się na lewy displey. Oprócz Roberta przyjacielem domu jest Ryszard, młody człowiek, trochę poeta, trochę malarz reklamujący się jako impotent. Rzecz jasna wpada natychmiast w oko Joannie, stanowiąc ewidentne wyzwanie dla jej cipy. Jako wiadomo, w każdym tkwi chęć czynienia cudów, stąd i Joanna postanawia przywrócić Ryszarda społeczności kopulujących. Ryszard bohatersko odpiera kolejne, coraz bardziej furiackie ataki heroiny, aż, zdesperowany, zjawia się w towarzystwie Krystyny, zaciekłej lesbijki–feministki, mającej na koncie setki złamanych serc kobiecych. Przypuszcza szturm do Joanny, która, w przypływie nagłego olśnienia, odkrywa w sobie nowe powołanie. Ryszard, patrzący na igraszki obydwu kobiet, zaczyna być mężczyzną. Dochodzi do szeregu scen zazdrości, zwłaszcza że Joanna przejęła od Krystyny nie tylko seksualne upodobania, ale i feministyczne poglądy. Na tym tle dochodzi do zbliżenia między Robertem i Ryszardem: postanawiają podsunąć Joannie nowego kochanka, jakiegoś prawdziwie wydolnego orła seksualnego — tu można wpleść wątek Teodora…

Odsunąłem fotel i głęboko westchnąłem. Pokryte siatkowymi konspektami displeye wyglądały jak skrzydła ważki rozjarzone fosforem. Na klawiaturze nadal paliły się diody: przypominała niewyraźnie zarysowaną w ciemności paszczę. Nie ważka, a modliszka. Joanna i jej cipa.

Wprowadziłem oba konspekty do pamięci. Nie chciało mi się więcej pracować. Tego rodzaju wstępnych konspektów musiałem ułożyć najmniej kilkanaście. Miałem na to jeszcze mnóstwo czasu. Już zamierzałem wstać od biurka, kiedy wiedziony jakimś diabelskim chochlikiem, wystukałem na obu displey'ach równocześnie pytanie, którym za kilka miesięcy będą żyły miliony.

„Przed kim Joanna rozłoży swe smukłe, białe nogi?"

Patrzyłem na to czas jakiś, na pograniczu kretyńskiego rechotu, w końcu zgasiłem wszystko i poszedłem na górę, na piętro, gdzie w narożnym pokoju pani Eudoksja urządziła mi sypialnię. Kiedy wspinałem się wąskimi schodkami, wydało mi się, że słyszę od strony werandy jakieś niewyraźne głosy. Zerknąłem na zegarek — było już po pierwszej. Wyglądało to dosyć dziwnie — obróciłem się, aby zejść na dół, gdy głosy nagle zamilkły i u stóp schodów ukazała się ze świecą w dłoni pani Eudoksja, w długiej, koronkowej koszuli nocnej. Stała chwilę, jakby nad czymś zamyślona, potem weszła do salonu. Cicho wdrapałem się na górę. Długo nie mogłem zasnąć.

Nazajutrz ubrałem się w dres i w ramach zalecanego przez lekarzy joggingu pobiegłem do miasteczka. Zajęło mi to dziesięć minut, biegłem krętą drogą wijącą się wśród brzozowego gaju. Samo miasteczko nie kryło żadnych rewelacji, liczyło może dwa tysiące mieszkańców, stanowiąc ośrodek administracyjny okręgu rolniczego. Kiedyś było ich chyba znacznie więcej, ponieważ sporo domów zostało najwyraźniej opuszczonych. Reszta skupiła się wokół sympatycznego, wyłożonego czerwoną kostką rynku, dość starannie utrzymanego. Znalazłem tam małe bistro, gdzie serwowali świetną kawę. Mieszkańców kręciło się niewielu — właściciel bistra poinformował mnie, że lepiej wygląda to pod koniec tygodnia, gdy przyjeżdżają po zakupy okoliczni rolnicy. Pospacerowałem jeszcze trochę, zaglądając tu i ówdzie, ale nie widząc nic ciekawego pobiegłem z powrotem.

Do wieczora zaciekle pracowałem. Ułożyłem jeszcze trzy obszerne siatki, mnożąc stałych i przypadkowych kochanków Joanny do blisko dwudziestu. Obliczyłem wstępnie, że jeśli dalej

będę pracował w podobnym tempie, ich ogólna ilość ze wszystkich siatek wyniesie koło setki. Poczułem nagle przewrotną chęć, aby na końcu zlać wszystkie konspekty w jedną giga–siatkę: wtedy Joanna musiałaby kopulować przez cały czas trwania serialu (licząc na jeden stosunek pięć minut), a ludzkość tym samym otrzymałaby jeden z najdłuższych pornosów w historii.

Niestety, całość musiała być okraszona przynajmniej pozorami moralności. Zatrudniałem w zespole speca od scen ekspiacyjnych, który to załatwiał. Zdołał już dwa razy wysłać ją na pielgrzymkę i raz do klasztoru, gdzie wytrwała trzy dni w nowicjacie. A może tym razem zdobyć się na oryginalność, na przykład jakaś modna sekta? Błyskawicznie to zakodowałem, jako jedną z możliwości finału. W tym momencie wyobraziłem sobie Joannę stojącą w pokutnej szacie przed ołtarzem i marzącej o uwiedzeniu rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Taka Maria Magdalena a rebour. Nadawałoby się do wersji eksportowej…

Byłem w świetnym nastroju, pomysły sypały się jak z rękawa. W przerwach błogosławiłem tego pacykarza, który poradził mi tu przyjechać. Blokada minęła, mój umysł wypluwał debilne (producent nazywał je *rynkowymi)* pomysły z cudowną łatwością. Dopiero gdy doprowadziłem do triumfalnego stosunku Joanny z młodym guru z Hare Kriszna, dałem spokój. Obydwa displey'e nie były w stanie pomieścić spęczniałych nagle siatek, zaczynałem gubić się w poszczególnych wątkach. W każdym razie znaczną część roboty miałem za sobą, zostało jeszcze trochę ogólnych grepsów i za parę dni mogłem wysłać pierwszą dyskietkę.

Wyłączyłem aparaturę i opadłem wygodnie na fotel, przymykając oczy. Musiało być już dobrze po północy. W pewnym momencie poczułem lekkie mrowienie na twarzy — ktoś mnie obserwował. Do pokoju nikt nie wszedł, ten ktoś siedział za oknem. Otworzyłem oczy i spojrzałem w kierunku okna. Za kratą coś się gwałtownie poruszyło i oderwał się od niej bezkształtny cień. Wstałem i szybko uchyliłem jedno skrzydło. Nic jednak nie zobaczyłem, noc była bezksiężycowa i wokół trwała martwa, głucha ciemność.

Rano przy śniadaniu usiłowałem poruszyć temat nocnego gościa. Pani Eudoksja nie rozumiała, o co chodzi.

— Musiało się coś panu wydawać — oświadczyła z właściwą sobie dystynkcją. — Tutaj nikt w nocy nie przychodzi, ponieważ nie ma po co. To było raczej jakieś zwierzę, po okolicy kręci się mnóstwo zdziczałych kotów.

Pojąłem, że nie ma sensu pytać dalej, pani Eudoksja albo rzeczywiście nic nie wiedziała, albo nie chciała powiedzieć. W milczeniu dokończyliśmy śniadanie, potem poszedłem do gabinetu popracować. Ale dzisiaj zupełnie mi nie szło — nie zdołałem ułożyć bodaj jednego logicznego łańcucha wydarzeń. Kochankowie Joanny popieprzyli mi się dokumentnie, i to co zaczynał Robert, to kończył Teodor czy inny koncesjonowany jebaka. Czułem się zupełnie zdekoncentrowany. W końcu wyszedłem do ogrodu i pod pretekstem spaceru podążyłem do odkrytej uprzednio dziury w murze.

Za dnia nie miałem żadnych wątpliwości — ktoś tędy przechodził, i to często. Oplatające mur jeżyny były potargane, ściółka wygnieciona, kamienie poruszone. To mógł stwierdzić nawet taki leśny dyletant jak ja. Z ciekawością zajrzałem na drugą stronę; ślady wiodły w głąb lasu. Były na tyle wyraźne, że zdecydowałem się pójść ich tropem.

Właściwie to mogłem przewidzieć, że zgubię się po pięćdziesięciu metrach. Poszycie tak zgęstniało, że ślady, widoczne przedtem jak na dłoni, zniknęły zupełnie. Drzewa też stały jakby bliżej, potężne świerki, gęstniejące przede mną w jednolitą, zieloną masę. Powinienem zawrócić, ale coś mnie pchało do przodu. Brnąłem prawie na oślep, osłaniając oczy przed gałęziami i klnąc własną głupotę. Trwało to może z pięć minut, kiedy drzewa nagle skończyły się. Stanąłem, zupełnie ogłupiały, przed wysokim, dobrze zachowanym murem z białej cegły, zwieńczonym u

góry kolczastym drutem, błyszczącym w słońcu gładką, nierdzewną stalą. Sam mur liczył około dwa i pół metra wysokości. Ciągnął się wzdłuż linii drzew z północy na południe, jak mi się z grubsza wydawało. Po chwilowym namyśle postanowiłem ruszyć na północ.

Mur po kilkudziesięciu krokach skręcał pod kątem prostym w prawo. Szedłem jeszcze może sto metrów, kiedy natrafiłem na bramę. Starą, kunsztownie wygiętą kratę, pomalowaną na biało olejną farbą, dwuskrzydłową, o szerokości co najmniej pięciu metrów, z masywnym zamkiem pośrodku. Za bramą rozciągał się dziedziniec, brukowany kwadratową kostką. Dalej był budynek, chyba, takie odnosiłem wrażenie, jakby klasztor, zbudowany może w XIX wieku. Został zbudowany w kształcie litery „L”, dłuższe ramię stało równolegle do bramy, krótsze poprzecznie. Z zagięcia litery sterczała mała, dwupiętrowa dzwonnica, zwieńczona krzyżem.

Klasztor wyglądał na dobrze utrzymany; jednopiętrowy budynek na wysokim podpiwniczeniu pokrywał dach z czerwonej dachówki. Nie brakowało ani jednej. Także dziedziniec był czysty i posprzątany. Poruszyłem klamką u bramy i próbowałem ją pchnąć. Ani drgnęła, jak przyspawana. Spojrzałem raz jeszcze na budynek i wtedy uderzył mnie szczegół, na który przedtem nie zwróciłem uwagi. Wszystkie szyby w oknach były pomalowane na biało w połowie swej wysokości.

Postałem jeszcze trochę przy bramie, potem zająłem się prowadzącą do niej drogą. Biegła przez las, dosyć szeroka i kiedyś zapewne często używana — teraz zielsko porosło ją tak, że brodziłem w nim prawie do pasa. Szedłem powoli, rozglądając się dookoła. W pewnym momencie dostrzegłem wąską przecinkę, odbiegającą ukosem od drogi, w kierunku, jak się z grubsza orientowałem, domu pani Eudoksji. Poszedłem nią dalej, uważnie patrząc pod nogi — przeczucie mnie nie myliło, ktoś tędy chodził, ślady były bardzo wyraźne. Przecinka skręcała w lewo, niknąc w gęstwinie, ślady biegły w drugą stronę. Po chwili znalazłem się przy dziurze, wiodącej do ogrodu pani Eudoksji.

Do końca dnia nie mogłem zupełnie się skupić — resztki entuzjazmu dla pracujących jak krawieckie nożyce ud Joanny opuściły mnie dokumentnie. Siatka wychodziła zupełnie kretyńska, porwana na szereg odrębnych epizodów.

Cały czas myślałem o tajemniczym osobniku, krążącym w nocy między klasztorem a domem pani Eudoksji. Wyłączyłem komputer i zapowiedziawszy, że kolację zjem w miasteczku, ruszyłem niespiesznie w jego kierunku. Po drodze wziąłem z samochodu latarkę. Po pięciu minutach zawróciłem i zataczając szeroki łuk dostałem się na tyły domu, w pobliże przejścia przez mur. Postanowiłem zaczaić się w kępie krzaków tuż obok wyrwy. Obliczyłem, że zaskoczę tajemniczego gościa zaraz po tym, jak przekroczy mur.

Czekałem długo. Noc zapadała powoli, las szarzał i wyraziste przedtem kształty zlewały się w ciemne plamy. O lesie wiedziałem tyle co nic, niemniej zdziwił mnie brak wszelkich odgłosów, poza monotonnym szumem wiatru w koronach drzew. Nie krzyczał żaden ptak, nie szurało jakiekolwiek zwierzę. Nie słyszałem nawet bzykania komarów. To naprawdę było dziwne — i niepokojące.

Czas kapał miarowo, odmierzany migającymi cyframi na moim zegarku. Przed północą zacząłem drętwieć, robiło się coraz zimniej. Wpadłem na pomysł, że należałoby się trochę poruszać, ponieważ inaczej będę za chwilę niezdolny do żadnych łowów. Wtedy usłyszałem dobiegający zza muru suchy trzask. Ktoś się do mnie zbliżał. Mocniej ścisnąłem latarkę.

Odczekałem, aż gość przejdzie przez dziurę, potem wyskoczyłem przed niego i zapaliłem latarkę. I zdębiałem — naprzeciwko, mrużąc oczy od światła, stała dziewczyna. Brunetka o bladej karnacji i długich, wijących się włosach. Podniosła rękę i próbowała osłonić oczy. Ubrana była w obszerny, zielony skafander.

— Kim jesteś? — rzuciłem ostro.

Nie odpowiedziała, kręciła tylko w oszołomieniu głową. Opuściłem nieco latarkę. Wykorzystała to natychmiast — obróciła się na pięcie i błyskawicznie skoczyła z powrotem w wyrwę. Bez namysłu poleciałem za nią, ale dziewczyna śmignęła gdzieś w bok i przepadła. Musiała znać ten kawałek lasu na pamięć. Usłyszałem jeszcze z oddali kilka trzasków i znowu zapadła całkowita cisza. Powiał silniejszy wiatr i zrobiło się bardzo zimno.

Kiedy wracałem do siebie, wydało mi się, że przez szparę w drzwiach ktoś mnie obserwuje. Pani Eudoksja. W nocy śniła mi się Joanna.

Rano, tuż przed śniadaniem, postanowiłem okazać wobec pani Eudoksji stanowczość. Nie bacząc na to, iż unikała mego spojrzenia, zapytałem wprost i bez ogródek.

— Kim jest ta dziewczyna?

Staruszka milcząc nalewała herbatę. Odstawiłem na bok filiżankę.

— Jest z klasztoru, tak? Z kim tam mieszka?

Piła herbatę drobnymi łyczkami, krzywiąc się lekko od gorącego płynu.

— Dobrze — położyłem serwetę obok talerzyka i zacząłem się podnosić. — Może ludzie w miasteczku będą rozmowniejsi.

Gwałtownie postawiła filiżankę na stole.

— Tego nie radziłabym panu robić — powiedziała cicho. — Są rzeczy, o które nie należy pytać.

— Ja tak nie uważam — usiadłem z powrotem. — Zatem? — Ci ludzie, tam, w klasztorze… — najwyraźniej do końca nie chciała powiedzieć, o co chodzi. — Oni są… chorzy.

Drgnąłem, wstrząśnięty nagłym dreszczem.

— Chorzy? Na TO?!

Pani Eudoksja skinęła bez słowa głową. Ja sam bębniłem nerwowo w blat. Od czasu ostatnich pogromów sprzed pięciu lat ostatni chorzy przebywali w zamkniętych strefach, pilnowanych przez wojsko. Pamiętałem telewizyjne relacje z tamtego okresu, zwłaszcza tę zrobioną przez kogoś ukrytą kamerą — tłum obrabował pobliską rzeźnię i przyszedł uzbrojony w automaty do uboju bydła. Wyłapanych chorych przyprowadzano do kata, który, ubrany w rzeźnicki fartuch, przykładał tubę automatu do potylicy ofiary i naciskał guzik. Ciało trzepotało groteskowo… Potem rzucali wszystkich na stos w rogu podwórza i podpalali. I mimo rzekomego szaleństwa dobrze pamiętali o gumowych rękawicach i maskach chirurgicznych. Po tych zdarzeniach ocalałe domy zamknięto, a chorych przeniesiono do izolowanych stref daleko od terenów zamieszkałych. Słyszałem ostatnio od kogoś, że niewielu ich przeżyło. Skąd w takim razie wzięli się ci tutaj?

— Jak to możliwe? — spytałem. — Czy miejscowi ludzie wiedzą o tym?

Pani Eudoksja znowu przytaknęła. Zaczęła zbierać nakrycia, najwidoczniej chcąc skończyć rozmowę. Ale ja miałem jeszcze kilka pytań.

— A ta dziewczyna? Dlaczego tu przychodzi? Dlaczego w nocy?

— Mogą poruszać się tylko w nocy. Taka jest umowa — ułożyła wszystko na tacy i chciała odejść, ale złapałem ją za rękę.

— A dziewczyna? — powtórzyłem.

— Moja wnuczka… — zawahała się, niepewna, czy może powiedzieć. — Moja wnuczka na to umarła. Ona jest do niej bardzo podobna. I bardzo mnie potrzebuje.

W oczach staruszki coś się zaszkliło. Poczułem nagle wstyd, że musiałem wedrzeć się tak głęboko. Kiedyś być może zachowałbym się inaczej, ale za długo siedziałem w telewizji, której obyczajem było nicowanie człowieka, jakby był kawałkiem starej szmaty. Joanna to uwielbiała: Nie każdy nią jednak był, albo raczej — jeszcze nie każdy był Joanną. Chciałem podejść do pani Eudoksji, przeprosić i powiedzieć coś miłego, ale ona z nadzwyczajną zwinnością porwała tacę i zniknęła. Został mi tylko wstyd.

Wieczorem wymogłem na pani Eudoksji obietnicę, że skłoni dziewczynę do porozmawiania ze mną. Nie przyznałem się staruszce do wyczynów z poprzedniej nocy, ale chyba o nich wiedziała. Zapewniłem, że chcę jedynie porozmawiać, nic więcej. Właściwie nic więcej nie było możliwe. Później czekałem, wygodnie wyciągnięty na odsuniętym od biurka fotelu. Przede mną jarzyła się ledwo rozpoczęta siatka, urwana w momencie, gdy powinna się na dobre rozwidlać. Kolejny kochanek zawisł w pół drogi do Joanny, niczym pająk opuszczający się po nitce wprost do płomienia świecy. Powieki ciążyły mi coraz bardziej, ale nie chciałem zasnąć. Być może znowu śniłaby mi się Joanna.

Skrzypnęły cicho drzwi i ktoś prawie bezszelestnie wsunął się do pokoju. Stanęła pod szafą z książkami. Nie widziałem jej wyraźnie — ze względu na displey'e światło miałem przyćmione i ograniczone do małej lampki w rogu pokoju. Poza tym twarz dziewczyny przesłaniały rozpuszczone i opadające włosy. Poprawiłem się w fotelu, na co zareagowała lękliwym gestem, jakby chciała natychmiast uciec. Zrozumiałem, że muszę ją czymś uspokoić.

— Chciałbym przeprosić za te wygłupy w lesie — powiedziałem. — Po prostu byłem ciekaw… taka głupia, ludzka ciekawość.

Nadal stała nieruchomo, ale wyczułem, że przestała się mnie bać.

— Czego chcesz? — spytała cichym, matowym głosem.

— Niczego — próbowałem się uśmiechnąć, ale chyba mi nie wyszło. — Chciałbym tylko zwiedzić wasz klasztor.

— Po co?

Sam chciałbym to wiedzieć. Przyszło mi to nagle do głowy, diabli wiedzą skąd. Chociaż, dlaczego by nie? Nigdy nie byłem w takim ośrodku. Jak oni tam żyją? I jak umierają — uświadomiłem sobie, ogarnięty niespodziewanym zażenowaniem. Było jednak za późno, aby się wycofać.

— Ciekawość — tym razem wyszło mi z uśmiechem. — Pisuję to i owo… Szukam tematów i wrażeń. Obiecuję całkowitą dyskrecję.

— Pracujesz w telewizji? — po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy. Jej były ciemne i łagodnie opalizujące.

— Tak, ale nie w dziale reportażu. Boisz się, że sprzedam im informację?

— Owszem — potwierdziła.

— Wiesz co, zwierzę ci się z największej tajemnicy mego życia. Nie znoszę telewizji. Wszystko się we mnie wywraca, kiedy o niej myślę. Jest nas tam takich wielu…

Milczała, przyglądając mi się bacznie spoza znowu opuszczonych włosów. Poruszyłem się niecierpliwie.

— A jeśli nie? — zapytała.

— No cóż… będę musiał poradzić sobie w inny sposób. Ale naprawdę bym nie chciał. Człowiek — dodałem filozoficznie — świnią bywa najczęściej wtedy, gdy się go do tego zmusza.

— Czy mamy to traktować jako groźbę?

— Nie — odparłem łagodnie. — Prośbę. Jestem pokornie proszącym jałmużnikiem. Proszącym o wiedzę.

Wyraźnie nie potrafiła odróżnić, czy kpię, czy mówię serio. Nerwowo wyłamywała palce — obserwowałem ją spod oka: wydawała się być wcale ładna, trochę może zbyt blada jak na pełnię lata. Nie wiedziałem, czy to postęp choroby, czy nocny tryb życia. Przy odpowiedniej kuracji można było w jej stanie dobrą formę utrzymywać latami.

Aż do przebudzenia się wirusa. Dziewczyna podniosła nagle głowę.

— Przekażę twoją prośbę. Odpowiedź przyniosę jutro.

Wyszła równie cicho jak weszła. Przez chwilę miałem wrażenie, iż był to jakiś sen. Przeczyła temu wyświetlona na displey'u siatka, nad którą od dwóch godzin usiłowałem pracować. Przysunąłem się do biurka i zacząłem ją kasować, segment po segmencie, od góry, przesyłając w niebyt kolejne charakterystyki, epizody i zaskakujące zwroty akcji. Siatka kurczyła się, niczym usychający powój. Nie przerwałem, aż do momentu, kiedy nie zostało z niej nic.

Następny dzień wlókł się niemiłosiernie. Nie mogłem i nie chciałem pracować. Późnym popołudniem pobiegłem do miasteczka na kawę. I tu, zamiast ją spokojnie wypić i wrócić, ni stąd, ni zowąd zagadnąłem sympatycznego właściciela bistro. O klasztor. Uśmiech natychmiast spełzł mu z twarzy. Popatrzył na mnie zimno.

— W okolicy nie ma żadnego klasztoru — wyjaśnił uprzejmie. — I nigdy nie było.

— Jakże to! — zaoponowałem. — A ten w lesie, jakieś pięć kilometrów stąd na zachód? Sam widziałem.

— Coś się musiało panu wydawać — jego mina była jeszcze bardziej kamienna. — Tutaj nie ma żadnego klasztoru.

Wyszedł na zaplecze i długo trzaskał tam naczyniami. Kiedy wrócił, usiłowałem jeszcze go indagować, ale spytał oschle, czy życzę sobie drugi kubek kawy. W tym momencie pojąłem, iż musiałem naruszyć jakieś lokalne tabu, stąd dalsze pytania nie miały sensu. Dopiłem kawę i wyszedłem.

Tego samego wieczora znalazłem dziennik męża pani Eudoksji.

Biurko, przy którym pracowałem, od początku wzbudzało moją fascynację. Wykonane z autentycznego mahoniu, o spękanej politurze i z wytartymi, mosiężnymi okuciami na nogach, zawierało mnóstwo mniejszych i większych szuflad i schowków. Oczywiście zaraz jak tylko przy nim usiadłem, próbowałem co niektóre spenetrować, ale były opatrzone misternymi zamkami i starannie pozamykane. Dopiero teraz, gdy przysunąłem fotel bliżej blatu, spostrzegłem, iż najniższa szuflada jest lekko uchylona. Wyglądało to na zaproszenie, więc schyliłem się i wysunąłem ją do końca. W środku nie znalazłem nic, poza starym, obłożonym tekturą brulionem. Na okładce ktoś napisał zielonym atramentem: „DIARIUSZ".

Brulion zawierał około stu kartek, pożółkłych już i kruchych, zapełnionych równym, nieco pochyłym, ale silnym i zdecydowanym pismem. Otworzyłem rękopis na pierwszej stronie.

Byłem człowiekiem. I jeśli Opatrzność wezwie mnie przed swoje oblicze, a stanie się to niedługo, i zapyta, kim byłem i czego dokonałem, odpowiem z całym spokojem i pewnością: Byłem człowiekiem. Człowiekiem, który próbował doświadczyć swojej pełni. O ile nie było to bluźniercze złudzenie.

Przerwałem czytanie, zaskoczony tym niezwykłym wyznaniem. Cóż autor rozumiał przez poczucie p e ł n i ? I co ono miało wspólnego z człowieczeństwem? I bluźnierstwem?

Podjąłem znowu lekturę, ale wyznania autora urywały się nagle, przechodząc od razu w opis przybycia do portu Mombasa we wschodniej Afryce i pierwszych przygód spragnionego wrażeń młodzieńca z dobrego domu. Rzecz, jak się zorientowałem, działa się gdzieś w latach dwudziestych i stanowiła opis fantazyjnego safari. Kolejne strony zawierały relację z włóczęgi po okolicach Jeziora Wiktorii, pogranicza Kenii i Ugandy — autor przemierzał sawannę w towarzystwie dwóch zatrudnionych w charakterze tragarzy Murzynów, trochę polując, trochę handlując, a głównie zaznajamiając się z ludźmi i obyczajami. Wszędzie był też dobrze przyjmowany, może dlatego, że nie obnosił się ostentacyjnie z wyższością białego człowieka. Przeżył wiele: polował na lwy z Masajami, zbierał bataty z Kikujami, umierał z pragnienia na

pustyni Koroli, zdążając do Somalisów, oglądał zwietrzałe ruiny pozostałe po starożytnych Kuszytach, uwiódł córkę jednego z wodzów Turkanów, widział cmentarzysko słoni, strzelał do hipopotamów w Jeziorze Rudolfa.

Sam dziennik składał się właściwie nie tyle z kronikarskich relacji, co po trosze z poetyckich impresji, ułożonych jednak w pewien ciąg fabularny. Wodząc palcem po mapie bez trudu można było odtworzyć kolejne etapy wędrówki. Relacja nie zawierała nic nadzwyczajnego, poza nostalgicznym wspomnieniem dni dawno minionych. Aż do pewnego epizodu.

Znalazłem go pod koniec brulionu, w miejscu założonym niebieską wstążką. Trudno było orzec, czy zrobił to ktoś specjalnie. *Diariusz* wyglądał na nieruszany od wielu lat.

Autor wspominał o wizycie u pewnego abisyńskiego magnata, w jego rezydencji położonej gdzieś w górnym biegu rzeki Dawa, w głębi etiopskiego płaskowyżu.

Salem od pierwszego wejrzenia zrobił na mnie niezwykłe wrażenie. Wysoki, o prawie białej cerze, rysach twarzy raczej arabskich niż murzyńskich, roztaczał image miłego i sympatycznego człowieka. Okazało się, że czas jakiś spędził we Włoszech, studiując kulturę europejską. Widać to było po otoczeniu, a zwłaszcza po pałacu, zbudowanym wedle planów włoskich architektów. Niezwykle przypominał renesansową willę, z kwadratowym dziedzińcem, otoczonym biegnącymi wokół trzech pięter kolumnadami. Na środku ustawiono nawet fontannę. Nie sądzę, aby pod tą szerokością geograficzną można było znaleźć podobną budowlę, może dopiero w Egipcie.

Przyjął mnie tedy Salem bardzo gościnnie — mimo że niezbyt tu lubią Europejczyków, a to przez Włochów, którym najwyraźniej ten niepodległy kraj jest solą w oku. Pod koniec zeszłego stulecia stoczyli z nim wojnę i przegrali. Zysk z całej awantury został taki, że podobni Salemowi wielmoże zaczęli się Europą interesować. Zaraz też zostałem wzięty na rozmowę — okazało się, że Salem jest wcale nieźle zorientowany w sprawach naszego kontynentu.

Zabawiłem u niego czas jakiś — dom, wygodny i po europejsku urządzony, pozwalał odpocząć po trudach koczowniczej wędrówki. Czułem się trochę niezdrów i potrzebowałem paru dni wytchnienia, zwłaszcza że miałem zamiar jednym skokiem dostać się do Dżibuti, skąd myślałem przez Morze Czerwone i Egipt wracać do kraju. Salem obiecywał nowe konie i przewodników.

Ostatniego dnia mego pobytu, tuż przed zachodem słońca, staliśmy razem przy balustradzie pierwszego piętra i popijając herbatę rozmawialiśmy o czymś, chyba o Abisynii, ponieważ Salem w pewnym momencie odstawił filiżankę i patrząc na ostro rysujące się na horyzoncie góry jął nagle mówić:

— Chyba już zdążyłeś dowiedzieć się, iż w moim kraju życie ludzkie nie jest w specjalnej cenie. Można by właściwie rzec, iż rodzimy się głównie po to, by umrzeć, i to prawie nigdy we własnym łożu, w otoczeniu synów i wnuków. Ludzie tutejsi mają proste umysły, stąd do rozwiązywania licznych problemów i waśni używają środków najprostszych.

Kiedy tak mówił, na dziedziniec wbiegło kilkunastu ludzi z pochodniami w rękach. Ustawili się w nieregularny krąg i zastygli w bezruchu. Salem ciężko westchnął.

— Dzień przed twoim przybyciem wrogowie mego rodu nasłali na mnie skrytobójcę. Jak widzisz, nie udało mu się.

U wejścia na dziedziniec coś zadźwięczało. W gęstniejącym mroku dostrzegłem dwa szeregi zbrojnych, prowadzące kogoś między sobą. Po chwili weszli na dziedziniec — przyjrzałem się lepiej i zadrżałem. Człowiek pośrodku został starannie owinięty szerokimi, białymi bandażami, niczym jakaś mumia, zostawiono mu tylko szparę pośrodku twarzy, skąd błyskały przerażone oczy. Ręce miał wykręcone do tyłu i skrępowane. Prowadzący go żołnierze sprawnie uformowali czworobok i skierowali do środka ostrza włóczni.

— Często rozmyślałem o naturze życia i śmierci. I coraz częściej dochodzę do wniosku, że jedno jest drugiemu niezbędne. Czyż dopiero przy obcowaniu ze śmiercią nie odczuwamy całej

pełni życia? Czyż nie zadajemy śmierci po to, by przekonać się, że my żyjemy naprawdę? Czyż boski wymiar władzy nie polega na możliwości obdzielania życiem i śmiercią? Gdzie leży nasza pełnia, jeśli nie w śmierci — kogoś drugiego, a na końcu w naszej.

Słuchałem tych bluźnierstw przejęty nagłą grozą. Już wiedziałem, co się stanie. Tkwiący w środku kolczastego czworoboku człowiek dygotał coraz gwałtowniej, wreszcie osłabły padł na kolana. Wtedy Salem dał znak — znak rzymskiego cezara, kciuk skierowany w dół — spośród sług trzymających pochodnię wystąpił jeden i pobiegł do czworoboku, który rozstąpił się. Płomień pochodni dotknął na moment klęczącego człowieka. Nasączone żywicą bandaże zajęły się natychmiast. Człowiek zerwał się na równe nogi i zaczął rytmicznie skakać, rozniecając jedynie ogarniający go ogień. Skakał coraz wyżej — żołnierze ścisnęli szyk i mocniej ujęli włócznie. Słyszałem, że wielu skracało swe męki rzucając się na ich ostrza. Ten nie zdołał — po którymś skoku przewrócił się i przetoczywszy parę kroków zamarł w bezruchu. Po dziedzińcu rozszedł się swąd palonego mięsa. Zupełnie rozdygotany, odwróciłem się ku Salemowi. Ten patrzył przed siebie i jego usta wykrzywiał sardoniczny uśmiech. Ale oczy miał smutne.

Zamknąłem dziennik i zamyśliłem się głęboko. Problemy, które, jak sądziłem, pozostawiłem dawno za sobą, wróciły w tych słowach z niespodziewaną siłą. Dla mnie i wielu innych świat stał się jałowy niczym gaza opatrunkowa. Wypełnił się substytutami przedmiotów, myśli i uczuć. Za fabrykację tych ostatnich sam byłem odpowiedzialny.

Od dłuższego czasu odczuwałem jednak głód. Głód autentyczności. Rozmyta w mydlaną fikcję rzeczywistość wywoływała we mnie falę mdłości. Wszystko wokół nasączało się *Wspaniałym życiem Joanny* — chwilami miałem wrażenie, iż jestem jednym z bohaterów serialu, plastykową kukiełką, za sznurki której pociąga producent, a w jego osobie tzw. masowy widz. Wejścia zwierały się z wyjściami, a mydło, niczym gigantyczny rak, pożerało coraz większe kęsy rzeczywistości. Podświadomie wiedziałem, iż odzyskam spokój, gdy proces ów dojdzie do końca i wszystko stanie się substytutem. Zanikną wówczas wszelkie kontrasty (uwydatniające różnicę między autentykiem a ersatzem) i wtedy naprawdę sakramentalne pytanie: *Przed kim Joanna rozłoży swe szczupłe, białe nogi?* stanie się tym pytaniem rzeczywiście najistotniejszym. Ponieważ nie będzie żadnych innych pytań.

Nie pamiętam, jak długo to trwało — leżałem bezwładnie w fotelu, przed mymi oczami, w jakimś półsennym marzeniu, przelatywały fragmenty z dziennika męża pani Eudoksji, przemieszane z niezliczonymi obrazami z przyszłych dziejów Joanny, już wymyślone, bądź dopiero planowane. Razem ułożyły się w jakiś koszmarny serial, przewijający się przez mój umysł niczym przez jakowyś stół montażowy, gdzie szaleje obłąkany montażysta.

Trwało tak aż do przyjścia pani Eudoksji.

— Dziewczyna czeka na pana — oświadczyła, z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Spostrzegła rozłożony brulion, ale nic nie powiedziała.

Stała w ogrodzie, tuż pod werandą, blada i milcząca. Gestem kazała mi iść za sobą. Przez całą drogę nie powiedziała ani słowa. Pół godziny później byliśmy przed bramą klasztoru. Spojrzałem nań i zamarłem, zaskoczony. Klasztor, za dnia sprawiający wrażenie opuszczonego, był teraz jasno, wręcz rzęsiście oświetlony i tętnił życiem. Na dziedzińcu kręcili się jacyś osobnicy, wykonując bliżej, nieokreślone prace, główne drzwi zostały szeroko rozchylone, stali tam jacyś ludzie, głośno rozmawiając, po chwili doleciał mnie wybuch czyjegoś śmiechu. Dziewczyna pchnęła bramę i weszliśmy do środka. Od grupy stojącej przy drzwiach odłączył się jakiś mężczyzna i ruszył prosto ku nam. Okazał się wysokim, wysportowanym brunetem o przyprószonych siwizną włosach. Mógł mieć koło czterdziestki.

— To starszy naszej wspólnoty, Grzegorz — przedstawiła go dziewczyna i chciała odejść, ale mężczyzna powstrzymał ją nieznacznym gestem.

— Chyba cię znam — powiedział Grzegorz, przypatrując mi się uważnie. — Kiedyś pisałeś książki.

— Stare dzieje — uśmiechnąłem się krzywo. Nie lubiłem, gdy mi o tym przypominano. — Teraz są już niepotrzebne.

— Niezupełnie — tym razem uśmiechnął się Grzegorz. — Tutaj sporo czytamy, także twoje książki. Dlatego tu jesteś. Co chciałbyś najpierw zobaczyć?

— Nie wiem — rozejrzałem się trochę bezradnie. — Najlepiej wszystko.

Grzegorz podprowadził mnie wraz z dziewczyną do grupy ludzi, rozmawiających przy wejściu. Wszyscy bez wyjątku byli młodzi, nie przekraczający trzydziestki, bardzo weseli i sympatyczni. Nie widziałem żadnych oznak choroby, poza może nienaturalną bladością u niektórych, być może spowodowaną też nocnym trybem życia. Zachowywali się zupełnie normalnie, co prawda nie wyciągając rąk w moim kierunku, reagowali dopiero wtedy, gdy ja to czyniłem. Robiłem to z pewnym wewnętrznym drżeniem, mimo że ich dotyk nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Zwykła, ludzka skóra, nieco tylko wilgotna.

Weszliśmy do środka i przekonałem się, że klasztor został pomysłowo przerobiony na coś zbliżonego do luksusowego domu wypoczynkowego. Część ścian wyburzono, w zamian tworząc rodzaj ciągu salonów różnorakiego typu, od bilardowych, wypoczynkowych, telewizyjnych po sportowe. Grzegorz zapewnił, że w podziemiach mają też saunę, dyskotekę i małe kino. Z lekka ogłupiały gapiłem się na te luksusy, a zwłaszcza na ludzi, którzy spacerowali, pili kawę i zachowywali się jak towarzystwo w modnym kurorcie.

Prawdziwe zaskoczenie przeżyłem jednak dopiero wtedy, gdy przeszliśmy na drugą stronę budynku. Ujrzałem oto przed sobą zadbany ogród, ogromnych rozmiarów, starannie utrzymany — widziałem ludzi, pracujących w nim w świetle łukowych lamp. Dalej dostrzegłem spory basen, przykryty balonem z plastykowej folii, obok korty tenisowe i kawałek bieżni. Cały obszar, aż do muru, oblewało ostre światło lamp: było widno jak w dzień. Wszędzie widziałem też ludzi, najspokojniej w świecie zajętych pracą lub zabawą.

Z niedowierzaniem obróciłem się ku Grzegorzowi, ale ten uprzedził moje pytanie.

— A co właściwie spodziewałeś się ujrzeć? Eremitów odzianych w zgrzebne worki, zatopionych w modłach w oczekiwaniu na koniec? Czy naprawdę czułbyś się lepiej, gdybyś zobaczył umierających ze strachu nędzarzy? Czy tak powinniśmy żyć? I wreszcie — czy coś by nam to pomogło?

Milczałem. Rzeczywiście, moje odruchowe obiekcje wydały mi się nagle absurdalne. Nie miałem żadnego prawa, aby mówić tym ludziom, jak powinni żyć. A właściwie umierać.

— Skąd mieliście na to pieniądze? — spytałem, aby coś powiedzieć.

— Niektórzy z nas byli bardzo bogaci…

Szliśmy teraz wzdłuż wewnętrznego krużganka, wprost ku zagięciu litery L, o białym, wysokim sklepieniu. Zatrzymaliśmy się przy starych, drewnianych drzwiach okutych zaśniedziałym żelastwem. Widniał na nich krzyż.

— Tam nic nie zmienialiśmy — powiedział Grzegorz. — Czasami ktoś z nas odczuwa potrzebę modlitwy. To pomaga w przygotowaniu.

— Do czego? — zapytałem, mimo iż znałem odpowiedź.

— Do zakończenia — odparł spokojnie Grzegorz. — Limit każdego z nas jest dość wyraźnie określony.

— A tam, co jest? — wskazałem na biało lakierowane drzwi, jakie widuje się w szpitalach i klinikach, wiodące do części gmachu będącej krótszym ramieniem L.

— Tam są ci, których limit właśnie dobiega końca. Nie pytałem o nic więcej. Wracaliśmy ku wyjściu, mijając nieskończoną zda się liczbę salonów i pokojów. Znajdowałem się w jakimś dziwnym stanie — ni to szoku, ni ogłupiającej błogości. Ledwo słyszałem to, co mówił do mnie Grzegorz.

— Udało nam się wyzwolić od strachu. Tak to bywa, gdy wszystko zostało z góry ustalone, strach czy odwaga nie mają tu nic do rzeczy. Każda chwila jest bezcennym skarbem, który staramy się wykorzystać do końca. Powiedziałbym, że pogodzeni z przemijalnością, żyjemy naprawdę… Czy pamiętasz, co mówiła jedna z postaci z twojej ostatniej książki?

Pokręciłem przecząco głową — z tamtych czasów nic już nie pamiętałem. A raczej nie chciałem pamiętać.

— Twierdził on, że przez całe życie szukał jego smaku, jak inni najulubieńszej potrawy i nic nie znajdował. My tutaj odkryliśmy go, stając przed obliczem śmierci. Dopiero teraz żyjemy naprawdę.

Obróciłem się do ściany, nie chcąc, aby widział moją twarz. Przeszłość, o której chciałem zapomnieć, wybuchła we mnie, niszcząc resztki złudzeń, że kiedykolwiek zdołam uciec.

Bohater mojej ostatniej powieści należał do grupy, zwanej przez socjologów *hedonicusami*. Zaliczali do niej ludzi, którzy bądź to za sprawą spadku, bądź szczęśliwego trafu, otrzymywali nagle duże ilości pieniędzy burzących monotonię ich codziennej egzystencji. Drugim czynnikiem wyróżniającym był fakt, iż osobnicy owi nie przeznaczali uzyskanych środków na inwestycje czy korzystne lokaty — zajmowali się wyłącznie zaspokajaniem potrzeb konsumpcyjnych, do tej pory utajonych bądź nieuświadamianych. Wraz z upływem czasu potrzeby te nabierały form coraz bardziej dziwacznych, jeśli nie wynaturzonych.

Znaczną część swego życia *hedonicus* spędził jako agent pewnej firmy ubezpieczeniowej. Wielkie pieniądze stanowiły dla niego cyfrowy abstrakt, obecny w aktach i wykazach przepływających przez jego biurko. Tak było do pewnego dnia, w którym został spadkobiercą bliżej nieznanego krewnego, mającego przedśmiertny kaprys uszczęśliwienia dalekiego kuzyna. Sumy są tak astronomiczne, że przyprawiają o zawrót głowy.

Hedonicus porzuca firmę i zaczyna nowe życie. Zmienia krąg przyjaciół, obyczaje, jedzenie i wiele innych przyzwyczajeń. Z usługodawcy przekształca się w usługobiorcę, i to imponujących rozmiarów. Przeznacza olbrzymie środki na zaspokojenie swoich zachcianek, początkowo naiwnych i prostych, z czasem bardziej wyrafinowanych. Czynność ta, początkowo naturalna i zrozumiała, powoli zaczęła nabierać cech dla bohatera coraz bardziej niepokojących.

Zaobserwował, iż każda nowo nabyta rzecz (dom, samochód, kobieta) cieszyła go jakby za każdym razem krócej. Znużenie i znudzenie pojawiało się prawie natychmiast, niezależnie od walorów i jakości nabytku (piękno, szybkość i seks). Usiłował temu zaradzić, zwiększając tempo konsumpcji i rozszerzając jej zakres. Niestety, znużenie następowało coraz szybciej — objawiało się w postaci ssącej pustki, przypominającej głód narkotyczny. Każdy nowy akt konsumpcji wywoływał krótkotrwałe nasycenie, przechodzące w pustkę i zniechęcenie, po których wybuchała gwałtowna żądza nowych doznań. Mimo praktycznie nieograniczonych środków ich zaspokajanie okazywało się znacznie trudniejsze niż przedtem. Bohater zaczynał przypominać narkomana, któremu zwiększone dawki narkotyku przynoszą ulgę na proporcjonalnie krótszy okres.

Jego zachowanie nabierało cech orgiastycznych; formy zaspokajania zaczęły graniczyć z dewiacją. Wiele tu pomogły opisy zabaw Nerona i Kaliguli. Niemniej i wyrafinowana perwersja przynosiła ulgę tylko chwilowo; w każdym akcie spełnienia tkwił jak psująca smak zadra zaczątek nowej żądzy. Z czasem doprowadziło to do tego, że bohater odczuwał już wstręt i

zniechęcenie jeszcze przed samym aktem spożycia. Jednocześnie stan niekonsumowania powodował rozdęcie jego potrzeb do rozmiarów zgoła apokaliptycznych — tak czy owak konsumpcja musiała nastąpić, aby egzystencja mogła być choć przez chwilę znośniejsza.

W ten oto sposób *hedonicus* wpadł w pogłębiającą się sprzeczność: między rozbuchanymi do kosmicznych rozmiarów potrzebami a coraz niklejszymi możliwościami ich zaspokajania. Wszak nadal pozostawał człowiekiem i dysponował jedynie ludzkimi sposobami zaspokajania. Innymi słowy, z całym rozpędem uderzył w nieprzekraczalne bariery kondycji ludzkiej. W rezultacie jego wewnętrzne nienasycenie rosło, czyniąc z życia obłąkańczą szamotaninę złożoną z bezskutecznych prób zaspokajania.

Działania te są coraz bardziej desperackie i powoli przywodzą bohatera na skraj choroby psychicznej. Wydawałoby się, iż jest to jakieś wyjście. *Hedonicus* zdaje sobie jednak sprawę, że byłaby to ucieczka, a nie rozwiązanie. Likwidacja pożądania zamiast jego zaspokojenia zupełnie nie odpowiadała jego ambicji. W ostatecznej desperacji szukał dalej, przebierając między potrawami, napojami, kobietami i mnogością innych rzeczy ze zdawałoby się pozornie nieograniczonego kosmosu materialno—usługowej konsumpcji. Wszystko to odbierał jednak jako gorsze od tego, co posiadał już poprzednio. W efekcie rosła frustracja, stąd i końcowy obłęd wydawał się nieuniknionym.

Uratował go przypadek. Kiedyś, po szczególnie męczącej kombinacji erotyczno–bachicznej, wyszedł nad brzeg morza, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Spacerując po plaży dostrzegł w pewnym momencie starszego człowieka, spoczywającego w koszu i z dziwnie usatysfakcjonowaną miną obserwującego zachód słońca. Na pytanie bohatera, cóż w tym takiego niezwykłego, odpowiada, iż być może patrzy nań po raz ostatni. Wywiązuje się rozmowa, w której bohater zwierza się ze swoich kłopotów. Starzec kiwa ze zrozumieniem głową.

— Też jestem *hedonicusem* — powiada. — I to o stażu o wiele dłuższym niż twój. Problemy, o których wspomniałeś, znam z autopsji. Tak samo miotałem się bezskutecznie, szukając nasycenia w świecie o zanikającej sensualności. Wszystko już było, ot co! Nie sposób nasycić się czymś, co pod pozorami (czytaj: efektownym opakowaniem) daje nam za każdym razem ten sam standardowy produkt. Sól życia, jego smak, został dawno zużyty, a wszystko, co się robi, służy jedynie temu, aby brak ów przed nami zamaskować.

— A więc nie ma już żadnego wyjścia? — pyta bohater.

— Tego nie powiedziałem — odrzekł starzec. — Jak widzisz, ja cieszę się jego pełnią.

— Jak to możliwe, skoro wszystko przepadło?

Starzec śmieje się, ujęty prostodusznością młodego *hedonicusa*.

— Całkiem niedawno też byłem pogrążony w skrajnej rozpaczy, tak jak ty teraz. Trwało to do chwili, gdy lekarz oznajmił mi, iż jestem ciężko chory i moje życie należy mierzyć na miesiące, jeśli nie tygodnie. Od tego czasu jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Bohater patrzy na niego przerażonymi oczyma.

— Nie rozumiesz jeszcze? — dziwi się tenże. — Wszak to dzięki śmierci odzyskała sens każda przemijająca chwila, każde doznanie, nawet to najzwyklejsze, cieszy i podnieca, ponieważ może być doznaniem ostatnim. To, co do tej pory było przyczyną udręki, stało się nagle radością — odczucia zamieniły się miejscami niczym w zwierciadlanym odbiciu. Teraźniejszość, przed chorobą czas wypełniony nudą, stała się limitowanym skarbem. Wszechobecny kontekst śmierci uszlachetnia wszystko, nawet zjawiska i rzeczy najbardziej banalne. Ponieważ tak naprawdę to śmierć jest solą życia.

Starzec umilkł. Czas jakiś spoglądali na zanurzające się w morzu słońce.

— Myślę też — dodał starzec — iż to właśnie śmierć jest tym nasycającym doznaniem, ostatecznym spełnieniem, ku któremu zdąża wiedziony szczurzym instynktem każdy *hedonicus*,

błądząc w labiryncie konsumpcji. Dlatego też nie czuję przed nią lęku, oczekując jak kochanki, która da mi rozkosz, jakiej jeszcze nie znałem. Pierwszy i ostatni raz.

Umilkł znowu. Słońce zaszło i bohater widzi jego twarz w bladej poświacie dopiero co wzeszłego księżyca. Przyozdobiona była dziwnym, enigmatycznym uśmiechem na wąskich ustach. Dopiero po chwili pojął, iż ów nie żyje. Ze szczupłej postaci emanował spokój całkowitego spełnienia.

Dzień następny spędziłem morderczo pracując. Uporządkowałem wszystkie do tej pory stworzone siatki, dopisałem także dwie nowe, które już dawniej opracowałem szkicowo w pamięci. Zapakowałem dyskietkę do koperty, z zamiarem wysłania producentowi. Wystukałem szybko kilka listów, regulujących zaległe sprawy. Ucieszyłem się, że nie muszę sporządzać testamentu — zrobiłem to jakiś czas temu, po pierwszym ataku serca. Pobiegłem potem do miasteczka na pocztę i rozluźniony, zrelaksowany nawet, spędziłem resztę dnia leżąc w fotelu, z samopoczuciem człowieka, który wykonał wszystko, co do niego należało.

Wieczorem, bardziej z nudów niż potrzeby, złożyłem displey’e, spakowałem komputer i całość ułożyłem porządnie w kącie. Żegnaj, Joanno! — pomyślałem bez szczególnego żalu i wyszedłem.

Pojawiły się pierwsze gwiazdy, w pogrążonej w głębokim cieniu werandzie dostrzegłem bujany fotel, a w nim zgarbioną sylwetkę pani Eudoksji. Kołysała się niespiesznie, targana podmuchami wiatru — okna i drzwi były otwarte na przestrzał. Poczułem, że powinienem coś jej powiedzieć, jakieś słowo na pożegnanie. Podszedłem bliżej i lekko dotknąłem jej ramienia. Nie poruszyła się.

— Pani Eudoksjo! — tym razem trąciłem silniej, na serio zaniepokojony. Staruszka miała w nienaturalny sposób opuszczoną głowę, wykręconą pod dziwacznym kątem. Chwyciłem ją za rękę i zamarłem, nie wierząc własnym oczom. Dłoń była pełna krwi, kobieta miała starannie przecięte nadgarstki. Szukając dokładniej, znalazłem porzucony nóż kuchenny i ciemną plamę pod fotelem. Pani Eudoksja nie żyła co najmniej od kwadransa.

— Dlaczego? — szepnąłem wstrząśnięty i cofnąłem się w kierunku drzwi. Więcej było tych *dlaczego* — dlaczego podsunęła mi dziennik swojego męża?

W lesie spodziewałem się spokoju i ciszy. Chciałem ochłonąć i jeszcze raz wszystko przemyśleć. Szedłem powoli ścieżką, w prawie absolutnej ciemności i właśnie zamierzałem włączyć latarkę, gdy po lewej coś nagle błysnęło i zgasło. Nie byłem w lesie sam — stanąłem i wytężyłem słuch: podmuch wiatru przyniósł trzaski i jakby strzępy słów. Latarka błysnęła znowu; ktokolwiek to był, posuwał się w stronę klasztoru. Za moimi plecami huknął przełamywany konar. Wyglądało na to, że las jest pełen ludzi. Rozrzuceni szerokim wachlarzem, szli w tym samym kierunku co ja. Zacząłem biec.

Parę minut później dotarłem do bramy — otwartej, z szeroko rozchylonymi skrzydłami. Czyżby się mnie spodziewali? Wszedłem na dziedziniec i zaraz przystanąłem, zaskoczony panującą wokół ciszą. Drzwi i okna były szeroko otwarte i jasno oświetlone, niemniej nie spostrzegłem ani jednego z pensjonariuszy. Z tyłu tylko monotonnie szumiał las. Okna otwierały się i zamykały z głuchym łomotem. Nadal nikogo nie widząc wszedłem do środka.

Wewnętrzne gabinety zastałem puste, choć sprawiające wrażenie, jakby bawiono się w nich dosłownie przed chwilą: nie wyłączony telewizor, tocząca się kula bilardowa, nie dopite drinki. Wszyscy gdzieś zniknęli. Wędrowałem w głąb budynku, zaglądając do kolejnych pomieszczeń — dopiero w ostatnim znalazłem dziewczynę. Siedziała w fotelu i coś czytała.

Od razu poznałem okładkę — była to ta książka, opowieść o człowieku, który szukał smaku życia. Dziewczyna podniosła oczy i patrzyła na mnie zdumionym wzrokiem. Upuściła książkę —

sięgnąłem po nią i odłożyłem na półkę.

— Nie powinieneś tu przybywać — powiedziała cicho.

— Dlaczego? — spytałem.

Nie odpowiedziała. Uśmiechnąłem się gorzko. Na to pytanie nie było dziś odpowiedzi. Zresztą, wcale jej nie pragnąłem. Wziąłem dziewczynę za rękę i pociągnąłem za sobą. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu — chciałem zdążyć, nim przyjdą. Schody prowadziły na górne piętro. Weszliśmy wyżej, aż na strych, trafiając do obszernej, wyłożonej kafelkami sali, z ogromnym, półkolistym oknem wychodzącym na dziedziniec, wypełnionym witrażem. Ułożony z kawałków szkła krzyż rzucał kolorowe plamy światła, widoczne na posadzce i białym suficie. Przypominało to trochę magiczną latarnię.

Usiedliśmy na podłodze i czas jakiś patrzyłem na nią w milczeniu. Miękkie światło otaczało jej postać rozmazaną aureolą. Uniosłem rękę i dotknąłem jej policzka, ciepłego i aksamitnego. Samymi końcami palców musnąłem szyję, potem wolno zjechałem do zagłębienia nad obojczykiem. Odsunęła się gwałtownie.

— Nie powinieneś tego robić — w jej głosie brzmiał chłód.

— Dlaczego? — pochyliłem się ku niej i dotknąłem ustami jej lekko rozchylonych warg. — Bądź królową mej śmierci — szepnąłem prawie bezgłośnie. Miłość i śmierć. I smak życia, którego wreszcie chciałem doświadczyć. Dłoń wędrowała dalej, ku piersiom, nadzwyczaj pełnym, płaskiemu, sprężystemu brzuchowi, szczupłym udom i okrągłym kolanom. Gdy była już naga, uległa i pogodzona z tym, co miało nastąpić, wtedy do sali wszedł Grzegorz.

Stanął bezszelestnie nad nami, a na jego ustach błąkał się sardoniczny uśmieszek. Ale oczy miał smutne. Popatrzył na mnie z rezerwą, chłodny i daleki.

— Wiedziałem, że przyjdziesz i będziesz chciał to zrobić. Czy jednak jesteś pewien, że wiesz o nas wszystko? Czytałeś zapewne dziennik męża pani Eudoksji?

Przytaknąłem bez słowa.

— Nie ma w nim jednego zasadniczego faktu — że autor z Afryki przyjechał chory… Pani Eudoksja to jego druga żona, pierwsza zmarła zaraz na początku. Kiedy zorientował się, o co chodzi, kupił ten klasztor, wówczas już opuszczony. Jest pochowany w ogrodzie, daleko, przy murze.

Spojrzałem na dziewczynę — siedziała nieruchomo, objąwszy rękoma kolana, wpatrzona w okno. Jej widoczny na tle witrażu profil wydał mi się do czegoś, a raczej kogoś podobny.

— Pani Eudoksja? — spytałem, prawie pewien.

— Tak — potwierdził Grzegorz. — Jest jej wnuczką. Wirus bywa kapryśny niczym grecki bóg, ją oszczędził, ale tylko po to, by mogła widzieć śmierć córki, a potem wnuczki.

Pomyślałem w jakimś szatańskim przebłysku, że tym razem pani Eudoksja okazała się sprytniejsza. Nic więcej nie będzie oglądać.

— Jest coś jeszcze — ciągnął Grzegorz, ale naraz w budynku zgasły wszystkie światła, siedzieliśmy dalej w zupełnej ciemności. Po chwili na dziedzińcu pojaśniało, chwiejny i niepewny blask, pochodzący od pochodni. Wstałem i podszedłem do witraża — przez otwartą bramę wlewał się na dziedziniec gęsty tłum, setki ledwo widocznych, zamaskowanych postaci. Niektórzy trzymali w rękach pochodnie, tryskające czerwonymi iskrami. Patrzyłem z niepokojem, podczas gdy tłum ustawiał się w wielki, nieforemny krąg, otwarty z jednej strony. Nikt nic nie mówił, słyszałem jedynie monotonny szurgot butów po bruku.

— Widziałem ich w lesie — zauważyłem. — To najprawdopodobniej ludzie z miasteczka. Myślę, że spalą klasztor. Dlaczego nie uciekliście, tak jak inni?

Grzegorz w milczeniu potrząsnął głową. Na dole tłum tężał i nieruchomiał, jakby na coś jeszcze czekając. Gdzieś pod nami trzasnęły drzwi i w polu widzenia ukazało się dwóch ludzi,

prowadząc trzeciego, owiniętego od stóp do głów białym bandażem. Szli wprost ku tłumowi…

Nie mogłem patrzeć dalej — z zaciśniętymi do białości pięściami zwróciłem się ku Grzegorzowi, który zdawał się być całkowicie pochłonięty obserwacją dziedzińca.

— Nie zapytałeś o cenę — powiedział, nie odwracając głowy. — A za wszystko na tym świecie trzeba płacić. Coś za coś — życie za śmierć. A śmierci mamy w nadmiarze.

Na zewnątrz płomień wystrzelił wysoko i jasno, opadając i wznosząc się w upiornym, majestatycznym rytmie. Światło rozbijało się na szybach witraża, zalewając salę migotliwymi bryzgami, jak w diabelskim kalejdoskopie.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że tłum też ma swoje potrzeby, jeśli chodzi o autentyczność? — mówił Grzegorz. — Że i jemu *Wspaniałe życie Joanny* może stanąć w gardle, powodując pragnienie przeżyć istotnych, rzeczywistych? Że świat skrojony na miarę mydlanego serialu ich także może zmierzić?

— To zbrodnia — powiedziałem, walcząc ze zmartwiałymi wargami. Biedna pani Eudoksja, więc to o tym chciała mi powiedzieć. To dlatego mieszkańcy miasteczka nic nie chcą wiedzieć o klasztorze.

— Nie — zaprzeczył spokojnie. — Zwyczajny handel. Zresztą, sprzedajemy tylko tych, których limit dobiega końca, którzy przeszli przez białe drzwi. Przechodzi się przez nie w jedną tylko stronę…

— A ten, tam?

— Był moim bratem.

Płomień na dziedzińcu raptem się obniżył, potem przygasł i jakby zduszony rozpełzł na boki. Rozległ się znowu szurgot butów, gasły pochodnie, ciemności gęstniały. Stałem zupełnie ogłuszony, z dźwięczącą pustką w głowie. Grzegorz odszedł, ciężko powłócząc nogami. Wydawało mi się, że słyszę jakiś szloch czy spazm. Poczułem obok siebie dziewczynę, jej miękki, aksamitny dotyk. W niknących okruchach światła musiała wyczytać z mej twarzy ostatnie pytanie, ponieważ ujmując mą rękę i całując końce palców szepnęła:

— Umieraj z nami!

Obróciłem się ku niej. W jej łagodnie opalizujących oczach dostrzegłem ciemność i chłód. Nie było nic więcej — jedynie łomot mego oszalałego serca.

Wrocław, czerwiec—sierpień 1991

Jacek Inglot

Urodził się w 1962 roku w Trzebinii, a na stale osiadł we Wrocławiu. Absolwent filologii polskiej na tamtejszym Uniwersytecie. Jeżeli nie weźmiemy pod uwagę fanzinów, to debiutował w 1988 roku opowiadaniem „Dira necessitas” w antologii Almapressu pod tym samym tytułem oraz humoreską „Science And Fiction, Inc.” w miesięczniku „Fantastyka”.

Od dłuższego już czasu oczekuje, razem z Andrzejem Drzewińskim, na ukazanie się we wrocławskim KAW–ie ich wspólnego zbioru „Bohaterowie do wynajęcia”. Opowiadanie „Quietus i chrześcijanie” z poprzedniej antologii pragnął rozwinąć w powieść, lecz jak sam twierdzi, zbieranie do niej materiałów idzie bardzo opornie.

„Umieraj z nami”, przyznaję, że jeden z moich faworytów xc tym zbiorze, wiąże się ściśle z Jackowymi przemyśleniami na temat sacrum, i upadku kultury, czemu dał wyraz w swoim eseju pt. „Wariat z pochodnią”. Zacytujmy mały fragment:

„Rozpad klasycznego modelu kultury nie wziął się znikąd. Wiąże się ściśle z przemianami w duchowości współczesnego człowieka, a właściwie od tej duchowości desperackiej ucieczce… Fundamentem każdej kultury jest sacrum… bej strefy sacrum (i związanych z nią zakazów i nakazów) nie może być mowy o zbudowaniu hierarchii wartości, którymi kieruje się jednostka… Tak pojęte sacrum w naszej kulturze już nie istnieje, a zanik sacrum oznacza zniknięcie z życia ludzkiego wszelkiej duchowości. Zostaje jeno materia i smród jej rozkładu…”

To tylko jeden aspekt opowiadania „Umieraj z nami”, mną wstrząsnęła najbardziej wizja, wielce ponura i okrutna, symbiozy mieszkańców miasteczka z enklawą (enklawą?) chorych. Ciche, bezceremonialne seanse nienawiści w zamian za aprobatę egzystencji, w rowie, tuż za naszym płotem…

O „Rzece”

Opowiadanie „Rzeka” ma dość długą historię — powstało, w pierwotnej i niedoskonałej wersji, jeszcze na przełomie roku 1988 i 1989. Jednym z pierwszych, którzy zapoznali się z jego treścią, był Maciej Parowski, człowiek, któremu zawdzięczam bardzo wiele. Odpisał, że owszem, opowiadanie podoba mu się, za wyjątkiem zakończenia, które określił jednoznacznie jako „totalną obsuwa”. Szczerze mówiąc obawiam się, czy spodoba mu się „Rzeka” w zaproponowanym obecnie kształcie. Prawdopodobnie niedługo się o tym przekonam…

Kiedy niedawno miałem okazję powtórnie obejrzeć znakomity film Alana Parkera „Heart Angel”, uświadomiłem sobie nagle i dość nieoczekiwanie, że pisząc „Rzekę”, popełniłem coś, co na własny użytek nazwałem „podświadomym plagiatem negatywnym”. Zarówno bowiem moje opowiadanie, jak i film Parkera oparte są na podobnym pomyśle, acz ich wymowy są zupełnie różne. „Rzeka” nie rości sobie oczywiście prawa do czerpania pełnymi garściami z wielkości „Heart Angel” — na to jest jeszcze czas i daleka droga przede mną.

Dlaczego właściwie o tym wszystkim piszę? Ano dlatego, że pamiętam, jak całkiem niedawno oburzałem się na Jacka Piekarę za jego „Ponurego Milczka” (przez nieporozumienie chyba nominowanego do nagrody Fandomu), który to utwór jest dość niezręcznym plagiatem „Księżycowej Ćmy” Jacka Vance’a. Otóż Piekara zasłonił się przed oczywistym zarzutem, plagiatu, umieszczając przy swoim opowiadaniu cytat z Vance’a. Ja robię to w inny sposób. Niby przyznaję się wprost, że „Rzeka” jest plagiatem, ale zaraz dodaję, że „podświadomym” i łudzę się, że ktoś mi uwierzy na Słowo.

Gwoli wyjaśnienia dodam, że zdecydowanie nie zaliczam się, pomimo kilku wcześniejszych moich opowiadań utrzymanych w tym tonie i manierze, do zwolenników wizji świata jako areny zmagań między Dobrem a Złem, Bogiem a Szatanem. Zdecydowanie w większym stopniu odpowiada mi koncepcja Manfreda Eigena, który postrzega świat jako monstrualną Grę między stronami o nieustalonej tożsamości i tzw. „Kośćcu moralnym”. Już znakomity myśliciel i wódz chiński Sun Cy stwierdził 25 wieków temu, że ludzie (postrzegani jako jednostki) są jedynie pionkami na szachownicy strategii.

Kierując się wyłożonymi powyżej racjami, zarówno Biblię (co znajduje swój wyraz w „Rzece”, gdzie wykorzystuję, w dość dowolny i niezgodny z oryginałem sposób, mit o Sodomie i Gomorze), jak i twierdzenia znanego odszczepieńca Marcjana, czy innego Marksa, przyjmuję z przymrużeniem oka, jako propagandę obu Wysokich Stron wzajemnie się oczerniających i obrzucających pomyjami.

Kto, z Kim i o Co gra — tego niestety nie wiem. Jestem wszak tylko pionkiem…

Jacek Sobota

Rzeka

Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzie pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość. (F.S. Fitzgerald — *Wielki Catsby)*

Wszystko się zaczyna i wszystko kończy. Ciemność. Ciemność przechodząca w pustkę. Nagle krótki błysk. Przeszywający, wyzwalający… obrazy?

NOBODYH! NOBODY, PROSZĘ SIĘ ODEZWAĆ!!!

Dlaczego tak głośno?

ON UMARŁ!

JESZCZE NIE.

MOŻE BY TAK PRĄDEM?

NIEZŁA MYŚL!

PANIE NOBODY!!!

Nobody?

SERCE! SERCE SIADA!!!

CHOLERA!!!

Aż nagle zapada cisza. Zagłębiam się w poszukiwaniu utraconej tożsamości. Wszystko oddala się mimo braku punktu odniesienia.

Stara kobieta o twarzy pomarszczonej jak wyschnięty owoc. Jej oczy są stare i mądre. Patrzy na mnie i uśmiecha się, więc moje usta również rozciągają się w niechcianym uśmiechu.

— Dlaczego zdecydowała się pani właśnie na tego chłopca? — pyta Pani. — Proszę spojrzeć na jego nadgarstki.

— Mój Boże!

A jednak mnie wzięła.

Deszcz leje jak z cebra. Mokra ulica. Nagły i niespodziewany chłód przenika ciało i wszystko się kurczy. Podnoszę wysoki kołnierz nieśmiertelnego płaszcza, nasuwam kapelusz jak najgłębiej na oczy, by stać się nikim, wtopić się, scalić w jedno z tłumem. Próbuję przejść przez jezdnię. Ryk klaksonów wwierca się w mózg, rozrywa delikatne rusztowanie nerwów. Kapelusz spada na zabłoconą jezdnię powoli, niczym groteskowy, ogromny liść. Wściekła twarz kierowcy za mokrą szybą.

Mijam stare zaułki Wschodniej Dzielnicy, zwanej też Doliną. Inne dzielnice biją w niebo swą koszmarną architekturą, urągając dobremu smakowi. Dolina jest stara i nostalgiczna jak przebrzmiałe wspomnienia.

Zatrzymuję się przed bardziej niż inne odrapanym z tynku budynkiem, wznoszącym się opodal cuchnącego rybolu.

To miejsce pracy — dzielnicowy posterunek policji.

Więc wchodzę. Stary hali utrzymany w przytłaczającym czerwonym kolorze. Ten kolor — to tradycja. O taaak, to tradycja.

Kiwam na powitanie głową starzejącym się od kilkunastu lat twarzom, witam z pozorami wylewności sekretarkę szefa (równie apodyktyczną jak on sam), wreszcie wchodzę do mojego gabinetu — klitki trzy na cztery, z powietrzem przesiąkniętym papierosowym dymem, równie wiekowym jak Wschodnia Dzielnica. Siadam i niespiesznie przeglądam przedwczorajszą gazetę. Jej treść nie dociera do świadomości, zatrzymuje się gdzieś po drodze, diabli wiedzą gdzie.

Odpoczywam po nocnych koszmarach i oczekuję na koszmary jasnego dnia. Nie czekam długo.

Drzwi otwierają się bez pukania. Wchodzi szef. Zdejmuję nogi z biurka i przestaję się czuć swobodnie. Odprężenie znika. Bezpowrotnie.

Na razie nic nie mówi, tylko patrzy na mnie. Wreszcie siada ciężko. Krzesło wydaje się pod nim groteskowo małe. Szef to ogromny facet, masywny w każdym calu.

— Co słychać? — odzywa się wreszcie.

— Nic szczególnego…

— Taaa… — zapala papierosa. Dym cienką strużką wędruje ku sufitowi, gdzie zbiera się w bezkształtny w swym kształcie kłąb.

— Jest sprawa.

Milczę.

— Jest sprawa, Jos — powtarza z naciskiem.

— Yhm.

— Znikają ludzie.

— Coś podobnego!

— Nie szarżuj! — głos szefa nabiera ostrości.

— Porwania to nie moja działka, szefie.

— Pozwól, że jako twój bezpośredni przełożony, sam zadecyduję, co należy, a co nie należy do twoich obowiązków.

Pozwalam.

— Między innymi zaginęła córka prezydenta miasta… — zawiesza głos. Od dawna już zauważam u niego ową melodramatyczną żyłkę, nie popartą niestety aktorskim talentem.

— Owszem, pamiętam. Widziałem ją kiedyś na bankiecie, który obstawiałem. — Jej obraz żywo stoi mi przed oczami. Wysoka blondynka o błękitnych oczach, mętnych od wypitej whisky. — Jedna z tych, co to palą cygara, chleją wódę i dyskutują o walorach twórczości Kafki.

— Kto to jest Kafka? — pyta szef.

— Pisarz.

— Nie cierpię pismaków. Prezydent videofonował do mnie o piątej rano…

— Co na to pańska żona, szefie?

Wściekłość rozsadza Łazowi nos. Patrzę na ten jego nos z pobłażliwą ciekawością, ale tak naprawdę boję się. W stanie wskazującym na spożycie mniej jest w nim człowieczeństwa, niż alkoholu w zakrapianym piwie.

— Czekaj, Łaz. Czekaj… — Mam nadzieję, że moje słowa brzmią spokojnie, ale i tak wiem, że na nic nie będzie czekał, a już z całą pewnością nie na mnie. Bo i po co?

— Skurwłłłeee… — ślina cieknie obficie z jego rozchylonych ust. Tonące w wódzie oczy zatrzymują się na glinianym wazonie. I znów pragnienie ślepej destrukcji bierze górę nad wszystkim innym. Nawet nie próbuję go powstrzymać — mimo wątłej budowy ciała jest piekielnie silny.

— Posłuchaj, Łaz… Zarobiliśmy ostatnio sporo forsy…

— Forsła! — Nikła iskra inteligencji rozświetla na moment otchłanie jego oczu.

— Tak, Łaz, forsa. Gdzie jest moja działka?

— Forsła?! — Iskra gaśnie jak zdmuchnięta.

Podnosi się ze starego, trzeszczącego przy każdym ruchu krzesła i podchodzi do okna. Otwiera okno. Przeciąg rozwiewa jego rzadkie, przyprószone siwizną włosy. Powoli, jak na zwolnionym filmie, wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki wypchany portfel i wytrząsa jego zawartość, jak strząsa się przez okno brudną szmatę. Banknoty wirują w powietrzu, niczym stado

zielonych motyli. A Łaz śmieje się ekstatycznie.

Mój wzrok zatrzymuje się na szyldzie obskurnej knajpy. U BOBY'EGO ZDROWIEJ I TANIEJ — głosi napis.

Wchodzę do środka. Przy podwyższeniu imitującym bufet stoi rozmarzony barman o psich oczach. Poleruje i tak już oślepiająco błyszczące szklanki.

Sala jest niewielka, zbyt mała chyba nawet na skromny dirty strip–tease.

— Boby… to pańskie imię? — pytam.

Obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem.

— Tylko dla przyjaciół.

— Nalej mi wódki, Boby.

— Z wodą?

— Za dużo dziś wody na świecie…

Deszcz leje jak z cebra. Przyjemnie jest siedzieć w mieszkaniu w taką pogodę. Nawet wówczas, gdy mieszkanie owo jest śmierdzącą, zaszczurzoną, zapajęczoną, zawilgoconą dziurą.

Śmierdząca wilgocią klatka schodowa, pod nogami chlupią kałuże deszczówki. Moryc stuka w odrapane drzwi właścicielki budynku. Drzwi uchylają się z potępieńczym skrzypieniem. Naszym oczom ukazuje się poskręcana artretyzmem postać starej kobiety.

— Panowie do mnie… — Słaby, chwilami zanikający głos.

— To pani chce wynająć mieszkanie? — upewnia się Moryc.

— Proszę za mną.

Prowadzi nas na poddasze, sam nie wiem, w jaki niepojęty sposób wspinając się po schodach stromych jak ściana Everestu. Wreszcie otwiera drzwi. Bez wątpienia jest to dla mnie szok. Wilgoć. I pajęczyny zasnuwające pokój jak opary gęstej mgły. I odpadający całymi płatami tynk. I rozpacz.

— Mam nadzieję, że panowie są porządnymi młodymi ludźmi. Ten dom od lat ma wspaniałą reputację… — mówi staruszka.

— Taaak. Ma wspaniałą reputację i odpadający tynk — zauważa Moryc.

— Nie zniosę tu panienek lekkiego prowadzenia — kontynuuje swoją tyradę właścicielka budynku.

— I pełno tu pajęczyn… — wciąż nie zraża się Moryc.

— Pająki przynoszą szczęście… — próbuję rozładować napięcie, ale chyba niezbyt fortunnie, bo Moryc patrzy na mnie niechętnie.

— Jeśli panowie zawiodą moje zaufanie, wyrzucę bez pardonu.

— I wilgoć tu nie do zniesienia — Moryc szturmuje niewzruszony bastion moralności.

— Siedemdziesiąt tysięcy za rok. Płatne z góry — mówi nieoczekiwanie staruszka.

— Za tę klitkę?! — ryczy Moryc głosem przepełnionym pełnym bólu zdumieniem.

— To nie żadna klitka, to mieszkanie w centrum miasta.

— W najbardziej podejrzanej części miasta, w dzielnicy kolorowych i łajdaków.

— Pan jest rasistą? — zainteresowała się staruszka.

— Pięćdziesiąt tysięcy. Jestem Żydem.

— Sześćdziesiąt dziewięć tysięcy. To się daje odczuć.

— Pięćdziesiąt jeden. —— Sześćdziesiąt pięć.

— Pięćdziesiąt pięć. To moje ostatnie słowo. Ale stanęło na sześćdziesięciu pięciu.

Po dokonaniu transakcji Moryc nachyla się ku mnie i mówi konfidencjonalnym szeptem:

— Nie martw się, Jos. Ona już długo nie pożyje…

Chyba nigdy nie doczekam się chwili jej śmierci. Jej głos dobiega zza drzwi, domaga się zapłaty komornego. Udaję, że nie ma mnie w mieszkaniu. Stoi tak jeszcze przez dłuższy czas, słyszę jej urywany, chrapliwy oddech. W końcu jednak odchodzi. Dopiero wtedy wymykam się cichcem. Znowu się spóźnię.

Wsiadam do mojego volkswagena, kupionego okazyjnie przed laty u pewnego handlarza starzyzną.

Wreszcie docieram do komisariatu. W gabinecie czeka na mnie niemiła niespodzianka — na moim ulubionym obrotowym fotelu siedzi sobie w najlepsze szef.

— Nie wyglądasz za dobrze — stwierdza łaskawie.

— Jestem trochę przeziębiony.

— I w ogóle burdel tu u ciebie. Wiesz, że nie toleruję nieporządku. Tu szklanka stoi na biurku w tej samej pozycji bodaj od roku. Dlaczego nie wylewasz fusów?

— Czekam, aż wykiełkuje z nich drzewko herbaciane.

— Znowu szarżujesz. Goni nas czas. Masz znaleźć tych domorosłych porywaczy. A wiesz, co trzeba robić, by tego dokonać? Trzeba ich szukać, inspektorze.

— Dziękuję za cenne wskazówki, szefie. Wychodzę. Mój własny gabinet, a ja wychodzę. Sierżant… bodajże Lewison… zaczepia mnie w korytarzu.

— Znalazłem ten adres, panie inspektorze.

— Adres… Jaki adres, sierżancie? A tak. Rzeczywiście. Dziękuję.

— 14 ulica, 5 dom. Taka stara buda popisana przez Redheadów.

— W porządku.

Ulice Miasta—Molocha. Wąskie, kręte, wypełnione po brzegi różnojęzycznym i różnokolorowym tłumem, rozświetlone holograficznymi reklamami. Śmierdzące rynsztoki, zanieczyszczone trotuary, anachroniczne pojazdy i nie ustający smród od lat gnijącego miasta — monstrualnego, umierającego organizmu.

Woda leje się strumieniami z ołowianego nieba, mój kapelusz staje się coraz cięższy, w końcu opada głęboko na oczy.

Córka prezydenta nie była wcale pierwszą ofiarą. Była za to ową „znaczącą okolicznością", która nadała w końcu sprawie bieg. Taki już jest ten świat — nikogo nic nigdy nie obchodzi — do czasu, aż jakiś ważniak nie przytrzaśnie sobie paluchów.

Chińczyk sprzedający warzywa w prowizorycznej, drżącej pod podmuchami wiatru budzie, obdarza świat, a przy okazji i mnie jowialnym uśmiechem. Biorę sobie z jego stoiska banana i odchodzę bez słowa.

— Money? — rzuca za mną niepewnie, z przytłumioną nadzieją.

Nie lubię bananów.

Holograficzna reklama superwidowiska sex–jitsu wciąż jeszcze jarzy się blado, choć jest już południe. Reklamowe fantomy z wolna dematerializują się w chłodnym powietrzu.

14 ulica. Slums? To za dużo powiedziane — jak zauważyłby zapewne prezydent Miasta—Molocha — Joseph Prokurat. Ulica przesuwających się z pozorną logiką cieni. Ulica bezpostaciowych postaci.

Ukradkowe spojrzenia, ukradkowe myśli…

Filozofia życia? I to za dużo powiedziane. A przecież to właśnie tu, dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoję, popełniono przed laty najgłośniejszy mord w dziejach miasta — zastrzelono samego Prezydenta Federacji. Kula roztrzaskała mu czaszkę, lecz na wszelki wypadek ciało zawieziono do kliniki i poddano natychmiastowej reanimacji. Niestety, reanimacja trupa nie

powiodła się. Przy okazji, w trakcie zamieszania okazało się, że połowę tłumu zgromadzonego na trasie przejazdu Prezydenta stanowili funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Mordercą był młody sprzedawca pieczywa. Motywów nie ustalono nigdy.

Jak to powiedział sierżant? Buda popisana przez Redheadów? Zgadza się.

Odrapana klatka schodowa, ściany i schody popisane redheadowskimi i neokomunistycznymi w swej wymowie hasłami. Trzecie piętro. Zgniłozielone drzwi, a na nich tabliczka z napisem: *T. i A. Sterenkovs.* Stukam, w miarę możności, delikatnie. Drzwi wydają z siebie przy tym głuchy dźwięk pękającej skorupy. Wokół roznosi się przykry smród nie czyszczonego od lat zsypu. Za brudnymi, porysowanymi przez czynniki atmosferyczne i pozaatmosferyczne szybami pada deszcz.

Półmrok.

Wizjer zaczernia się. Wciąż cisza. Dopiero po dłuższej chwili:

— Kim pan jest? — kobiecy głos.

— Jestem z policji. Pani mąż…

Drzwi otwierają się niespodziewanie. Młoda dziewczyna.

Nie, nie może być żoną zaginionego w niewyjaśnionych okolicznościach Toma Sterenkova — czterdziestoletniego pracownika podmiejskiej elektrowni jądrowej. Zbyt młoda. Zbyt świeża. Czarne pukle włosów niesfornie opadają na blade, gładkie czoło zadziwiająco kontrastujące z głębią jej oczu. Czarnych oczu.

Co ona, u diabła, robi w takim miejscu?!

— Tom Sterenkov nie wrócił do domu po pracy w dniu 17 listopada tego roku. Kiedy widziała pani ojca po raz ostatni?

— Męża — poprawia mnie z uśmiechem. — Niechże pan wejdzie. Może napije się pan herbaty.

— Nie, dziękuję.

— Cóż… — usta drżą jej lekko. Nerwowym ruchem zapala papierosa. — Nie mieliśmy z mężem dzieci…

Rozglądam się po pokoju pełnym cieni i półcieni. Cienie i półcienie czają się po kątach, bezszelestnie wędrują, jak to tylko cienie potrafią, nie dotykając przy tym podłogi.

— Tom wyszedł jak zwykle rano do pracy. Nie był zdenerwowany, czy gwałtowny… On… bał się… czegoś…

— Bał się? — słyszę swój drewniany głos, jakby dochodzący z wielkiej dali.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć! Ten strach nie był u niego czymś niezwykłym… Tom należał po prostu do kategorii ludzi wiecznie czegoś się bojących. Czegoś bliżej nieokreślonego, nieuniknionego, jak…

— Śmierć? — wtrącam.

— Nie wiem. Być może… Wyszedł i nie wrócił… po prostu nie przyszedł… — Wzburzenie igra z jej obliczem. Emocje przepływają falą nie do powstrzymania przez głębię jej oczu, przez wąski nosek, przez drżącą linię ust…

Jest piękna.

— Czy miał jakichś wrogów? — moja rutyna nie daje jednak za wygraną.

Wrogów? Jakich wrogów mógłby mieć podrzędny pracownik elektrowni, który połowę swojego życia spędził na uważaniu, by przypadkiem nie nadepnąć komuś na odcisk — rezygnacja przelewa się przez jej głos, jakby jego ramy były zbyt wąskie.

— Tom był dobrym człowiekiem — dodaje po chwili. Patrzę na ich ślubne zdjęcie wiszące na ścianie, tuż nad holowizorem. Nagle przechodzi mnie dreszcz — znam tego faceta! Tom Sterenkov jest człowiekiem z mojego snu!

Wychodzę z żalem. Idą ulicą i czuję na plecach wzrok pięknej Angelici Sterenkov (prawdopodobnie wdowy), choć przecież wiem, że okna jej mieszkania wychodzą na brudne podwórze.

W głowie szumi mi stado komarów. Czuję roztaczający się wokół poetycki nastrój.

Kiedyś, pamiętam, napisałem wiersz. Pierwszego dnia, zaraz po akcie tworzenia, wiersz spodobał mi się. Drugiego dnia dostrzegłem wulgarność rymów, trzeciego zaś liryczną miałkość. Czwartego dnia chciałem wiersz spalić, lecz coś mnie powstrzymało. Teraz, ilekroć nachodzi mnie nieprzeparta chęć napisania czegokolwiek, wyjmuję z szuflady nieszczęsny wiersz i czytam. Od razu mi przechodzi.

Okrucieństwo maluje się na twarzy Skurbyka. Pozostałych nie znam.

— Cześć — mówię.

Jest księżycowa noc i pustka na ulicach.

— Cześć — odpowiada za wszystkich obecnych i nieobecnych Skurbyk. Jego twarz jest ciemną plamą. — Słyszałem, że chodzisz z Joanną.

— Na spacery.

— Śmieszne — zauważa jeden z towarzyszy Skurbyka. Jakoś nikt się nie śmieje. Nawet ja.

— Przestań z nią chodzić, Jos — mówi Skurbyk.

— Na spacery? — zawieszam głos. Nie za wysoko, nie za nisko. Dla Skurbyka w sam raz.

Cios rzuca mnie na chodnikowe płyty. Są zimne.

— No?

— Nic… z tego… oboje lubimy spacery… Dopiero drugi cios topi mnie w oceanie ciszy.

Cisza jest niemal absolutna. Nie licząc oczywiście pracującego na pełnych obrotach wentylatora. Tu zawsze i bez względu na pogodę jest duszno.

Szef patrzy na mnie jak na robaka.

— Wyniki?

— Zero. Brak zaczepienia. Tych ludzi kompletnie nic nie łączy. Czterdziestoczteroletni listonosz. Czterdziestoletni pracownik elektrowni. Dwudziestodwuletnia córka prezydenta miasta, jakiś windziarz, urzędnik… Nie, to wszystko nie trzyma się kupy.

— Prezydent…

— Tak, wiem.

— Potrzebujesz wsparcia? Ludzie, sprzęt…

— Nie.

— Choć raz posłuchaj mnie uważnie, Jos. Jeszcze dwa, może trzy dni i ten imbecyl prezydent każe swojej *gwardii pałacowej* spacyfikować Dolinę… — Irytacja.

Udaję się do Jajogłowego — komputerowego geniusza, poza tym zaś — kompletnego imbecyla. Sterylny, czysty, aseptyczny niemalże gabinet, grube księgi na półkach, pozbawione choćby grama kurzu, no i niepozorny komputer w rogu pomieszczenia.

— Nie najlepiej ci się powodzi, co? — pyta Jajogłowy z irytującym uśmieszkiem.

— Najlepiej, nie. Rozeszło się już?

— O niczym innym nie mówią.

— Rzucisz to na komputer?

— Co to jest?

— Dane o zaginionych. Wszystko: wiek, płeć, środowisko, szkoła. Wszystko.

— Analiza porównawcza?

— Zdaje się, że tak ktoś to kiedyś nazwał.

Deszczowy wieczór. Gwiazd nie widać, księżyc w odwrocie. Świat odbija się, groteskowo zdeformowany, w kroplach deszczu. Dystyngowani z Zachodnich Dzielnic spieszą na swoich latających limuzynach na nocne superwidowisko sex–jitsu. Potem będą mówili o *specyfice* Wschodniej Dzielnicy. Wchodzę do budynku. Wszystko tu śmierdzi wilgocią. Otwieram drzwi jak najciszej, żeby przypadkiem nie obudzić właścicielki domu. Światło chyba nie działa.

Nocne latarnie nie działają. Ulica pogrążona jest w głębokich ciemnościach.

Przed moim domem stoi dziewczyna. Niezła.

— Dobry wieczór, Josefie.

To Joanna. Piękna Joanna.

— Dlaczego nie wchodzisz do środka? — pytam.

— Twoja ciotka… — jej kasztanowe włosy rozwiewa wiatr. Ciepły, wiosenny wiatr. Jej oczy… Jej oczy dziwią się światu. Świat dziwi się jej oczom. Jej ciało…

— Boisz się mojej ciotki? To dobra kobieta. Adoptowała mnie kiedyś, wyrwała ze szponów sierocińca. Miałem wtedy siedem lat… Ktoś podrzucił mnie pod drzwi sierocińca, kiedy miałem dwa lata. — Podchodzę do Joanny na tyle blisko, by czuć zapach jej włosów. Pachną wiosną. Obejmuję ją. Nasze wargi odnajdują się w ciemnościach. Pocałunki są gorące.

Gorączka udziela się mieszkańcom, choć gazety — blokowane przez wyższe instancje — milczą.

Siedzę w anachronicznym volkswagenie (lubię go za ten anachronizm) zaparkowanym na rogu 12 i 17 ulicy i nanoszę na mapkę Doliny miejsca kolejnych zniknięć. Właściwie to nawet nie wiem, dlaczego zatrzymałem się w tym akurat miejscu.

Żebrak o twarzy tytułowego bohatera „Upiora w operze” uporczywie stuka w szybę volkswagena. W końcu otwieram drzwi i rzucam mu monetę o niewielkim nominale. Odchodzi.

Nie mija nawet kwadrans, a znów jakiś facet wyglądający na jowialnego boksera stuka w drzwi. A więc to wieczór odwiedzin. Niechętnie uchylam szybę.

— Dobry wieczór — mówi.

— Późny wieczór.

— Rozumiem! Zrozumiałem aluzję! — I śmieje się idiotycznie. Nosi świetnie skrojony płaszcz i kapelusz ze sklepu słynnego Strombergera.

— Pan ma do mnie jakąś sprawę, prawda?

— Owszem. Ale może wejdziemy do mnie? Mieszkam tu opodal.

— Niestety, cierpię na chroniczny brak czasu.

— Rozumiem. Przechodzę do meritum sprawy. Nazywam się Jean Vancouver i jestem kolekcjonerem antyków. To teraz wyjątkowo rzadko spotykane hobby. Bardzo zainteresował mnie pański pojazd…

— Chwileczkę, zaraz… Pan bierze mój samochód za jakiś tam antyk?! — Furia wzbiera we mnie powoli, jak powoli wzmaga się jesienny wiatr.

— Nooo… nie jest to raczej ostatni krzyk techniki…

— A pan by wolał, żeby technika wydała już swój ostatni krzyk? Nieodwołalnie ostatni?

Vancouver znów chichocze głupkowato.

— Jestem gotów dużo zapłacić. Jestem gotów nawet dużo przepłacić…

— Widzi pan, Vancouver, dla mnie to nie jest muzealny eksponat, jeszcze jedna ramotka do kolekcji — proszę wybaczyć dosadność — zwariowanego kolekcjonera. Ja tym samochodem po prostu jeżdżę.

— Brzmi to fantastycznie, ale oczywiście wierzę panu. — Złamany nos Vancouvera

pąsowieje, nozdrza rozszerza woń łatwej zdobyczy. — Dam panu za to najnowszy model limuzyny latającej firmy nieodżałowanego Forda.

— Mam lęk wysokości.

— Widzę, że z pana nie lada handlarz, panie…

— Nobody.

— Nobody. Dam dwie limuzyny.

Teraz pozostaje mi już tylko czekać, aż zaproponuje mi posiadłość w East Village z basenem i kortem tenisowym.

— Przykro mi, ale ten samochód nie jest przeznaczony do sprzedaży. To pamiątka po… — Przez dłuższą chwilę zastanawiam się, kogo by tu wymienić, ale jakoś nikt nie przychodzi mi na myśl.

— Co myślisz o jego nazwisku? — pyta Pani Pana. Pan siedzi przy ogromnym biurku i coś notuje.

Na moment przerywa pisanie i patrzy na mnie. Opuszczam oczy.

— Jakby go nazwać?…

— Josef…

— Josef?

— To na twoją cześć.

— Aha…

— Josef Nobody.

— To nawet do niego pasuje…

Śmieją się.

Roześmiana twarz Mary Scernick. Urodzona w East Villłage, niebieskie oczy i tak dalej. Patrzę na jej fotografię i zastanawiam się, skąd, u diabła, znam jej twarz?! *Déjà vu*? John Bazyl, sprzedawca samobieżnych odkurzaczy, urodzony… Banały! Zaginął 28 października… Wszystko rozpływa się w ciężkich oparach snu. Budzi mnie odgłos kropel uderzających o blaszany parapet. Blady świt. Mój płaszcz jest bardziej wymięty niż zazwyczaj. Kapelusz leży na podłodze.

Udaję się wprost do gabinetu Jajogłowego. Kawa, którą mnie raczy, jest lodowato zimna.

— Twój expres nie jest sprawny — stwierdzam nie bez złośliwości. Jajogłowy uśmiecha się — nie bez złośliwości. — Co słychać u twojego ulubieńca? — pytam, mając na myśli policyjny komputer.

— Coś jeszcze myśli w tym komisariacie. Jednak rezultaty mogą się mijać z twoimi oczekiwaniami.

— Nie mam żadnych oczekiwań.

— Tym lepiej, tym lepiej…

— No?

— Wszyscy zaginieni przyszli na świat w East Village…

— Córka prezydenta?

— Też.

— To już jest coś.

— To jeszcze nie wszystko. Wszyscy są obywatelami pochodzenia żydowskiego.

— Córka prezy…

— Też. — Jajogłowy marszczy się w uśmiechu.

— Żydzi z East Village? Dziwne…

— Nie ma w tym nic dziwnego. W East Village żyje bardzo wiele rodzin żydowskich. Była to kiedyś prawdopodobnie osada żydowska. Tu chodzi o Żydów, Jos. Po prostu o Żydów.

— Jakiś cholerny nazistowski socjopata…

Zalewana deszczem ulica. Piekielnie brzydka dziewczyna obnaża się na tle krzykliwej reklamy sprzętu holo. Marzę już tylko o ciepłym łóżku.

Łóżko skrzypnęło pod niewidzialnym ciężarem, drgnęły drzwi, targnięte podmuchem niewiadomego, lodówka warknęła ostrzegawczo. Mieszkanie rozbrzmiewa tajemniczymi odgłosami. I nieustannie śmierdzi gnijącą pleśnią.

— Przytulnie tu — zauważa Joanna. Nie wiem, czy drwi.

— Tylko, że nie ma się do kogo przytulić…

— O? Czyżby? — Jednak drwi.

— Co postanowiłaś? — pytam. — Znasz mnie, wiesz, jakim jestem człowiekiem. Jedni uważają mnie za zdolnego skurwysyna, inni za nieszkodliwego durnia. Niektórzy zwykli mawiać, że jestem bezdusznym draniem, który ukradnie żebrakowi z ulicy pusty kapelusz dla samego sportu, inni mówią o mnie: Jos? *to ten* sentymentalny *półidiota*, który *nie przeklnie wróbla srającego mu z nieba na głowę*.

Czuję się jak szekspirowski aktor odstawiający chałturę.

— Jaka jest prawda? — Błękitne oczy Joanny śmieją się. Zdusić ten śmiech!

— Prawda? Cóż to jest prawda?! Prawd jest tyle, ilu ludzi je głoszących… Przepraszam, że taki tu nieporządek — pokazuję rozbebeszone łóżko.

— Nic nie szkodzi, Josefie.

Targnięty ciemną i nie do końca zrozumiałą stroną mojej skomplikowanej natury, podbiegam do łóżka, łapię slipy, w których spędzam samotne noce i ciskam nimi w twarz Joannie.

— Czujesz?! — krzyczę. — Śniłem o tobie tej nocy!!!

Tak to się skończyło.

Wszyscy są Żydami, wszyscy urodzili się w East Village i wszyscy czegoś się boją. Czego się boją? Podobno zwierzęta w niepojęty sposób wyczuwają zbliżającą się nieuchronnie katastrofę…

East Village to niewielka miejscowość położona opodal Miasta—Molocha. Niecka przechodząca w łagodną dolinę. Oaza ciszy i starych ludzi.

Powoli zapada zmierzch. Deszcz ustaje, krople spadają rzadziej, jakby przypadkowo.

Zatrzymuję się obok niewielkiego sklepu z obuwiem. Jest zamknięty. Patrzę na tabliczkę: *Ulica Brzozowa.* Nie widzę w okolicy ani jednej brzozy.

Jakaś staruszka posuwa się z wolna w moim kierunku.

— Przepraszam — zaczepiam ją.

— A?

— Nie orientuje się pani, gdzie jest ulica Wierzbowa?

— Wiśniowa?! — krzyczy staruszka.

— Wierzbowa!!!

— Druugaaa w prawooo!!!!

— Dziękujęęę!!!!!

Ulica Wierzbowa. Oczywiście skutecznie pozbawiona wierzb. Królują tu dość niefortunnie dwa kolory: szary i żółty. Domy na przemian są szare i żółte. Płyty chodnikowe — szarożółta szachownica.

Deszcz znów się wzmaga, wiatr zacina bezlitośnie po oczach. Niewielki domek — szary i koszmarny. Wierzbowa 14. Dzwonią. Jękliwy, szarpiący nerwy dźwięk. Po dłuższej chwili drzwi

otwierają się bezszmerowo i jakby nieufnie. Patrzy na mnie twarz mężczyzny w podeszłym wieku. W blasku latarni wydaje się żółta.

— Pan Townshead? — pytam.

Potwierdza nieznacznym gestem. Wyjmuję z kieszeni odznakę, ażeby zdusić w zarodku jego nieufność.

— Jestem z policji. Josef Nobody. Przychodzę w sprawie zaginięcia córki państwa…

— Wejdź pan — szorstki jak spracowane dłonie głos.

Czarny korytarz, ciemne pieczary pokoi. Jeden rozświetlony. Na bujanym fotelu siedzi kobieta wpatrzona w muzealny model holowizora.

— Kto to był? — pyta, nie odwracając oczu od holowizora.

— Facet z policji — odpowiada Townshead.

— Czego chciał?

— Sama go o to spytaj.

Kobieta odwraca się wreszcie. Jej twarz przywodzi mi na myśl stary worek bokserski. Nie wydaje się specjalnie zaskoczona moją obecnością.

— Czego pan chcesz? — pyta.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o córce państwa… Chwila zastanowienia.

— Pytaj pan.

Townshead macha zrezygnowany ręką i wychodzi z pokoju.

— Czy… miała jakichś wrogów?

— Wrogów?

— Zawiedziona miłość… zazdrość… — naprowadzam.

— Nie.

— A może miała jakichś przyjaciół? — pytam przez przekorę.

— Nie wiem. Nie było jej tu od siedmiu lat.

— Wobec tego czemu tak kategorycznie pani twierdzi, że nie miała wrogów?

Pani Townshead — apodyktyczna kobieta grubo po sześćdziesiątce — zbywa moje pytanie zaklętym milczeniem. Siedzimy tak — milcząc — minutę, może nawet dłużej.

— Cóż, dziękuję pani za cenne informacje — przerywam w końcu milczenie.

Wychodzę z pokoju. Zatrzymuje mnie głos starej.

— Anna była dobrą dziewczyną…

— Na pewno.

— Zawsze czegoś się bała.

— Bała się?

— Bała się.

— Czego… kogo się bała?

— Nie wiem.

Wsiadam do samochodu i przeglądam listę nazwisk. Muszę jeszcze odwiedzić kilka koszmarnych domków.

Kiedy wreszcie znów jestem w mieście, jest już prawie północ. W komisariacie melduję się około trzeciej w nocy. Szef czeka na mnie. Ostatnio spędza w moim gabinecie dwadzieścia dwie godziny na dobę.

— Cholerny deszcz — mówię z odpowiednią dozą wściekłości w głosie.

— Który to już dzień? — pyta szef.

— Pada chyba od tygodnia.

— Pytam, ile trwa śledztwo.

— Też coś koło tego.

— Rezultaty?
— Trudno tu mówić o jakichkolwiek rezultatach…
— Dwudziestu zaginionych, a tobie trudno mówić o rezultatach!
Jajogłowy pływa w oceanie samosatysfakcji.
— Potrzebuję informacji — wyrywam go z tego godnego pozazdroszczenia stanu.
— Niestety, obawiam się, że mój komputer nie zdradzi ci nazwiska porywacza…
— Bardzo śmieszne.
— Zdaję sobie z tego sprawę.
— Potrzebuję informacji o ludziach urodzonych w East Village, przebywających aktualnie w Dolinie.
— Pochodzenie żydowskie?
— Yhm.
— A skąd pewność, że nasz przyjaciel nie zacznie jutro porywać żółtków?
— Nie mam takiej pewności.
— Przyjdź za piętnaście minut.
— Będę u ciebie za dwie godziny. Mam sprawę w mieście.
Silnik volkswagena zgrzyta i terkocze, jakby domagając się przeglądu. Mokre ulice zostawiam za sobą, jak przykre wspomnienia. Dźwięki dochodzą do mnie przytłumione, miękkie jak wosk. Mijam chiński sklep mięsny, w którym od niepamiętnych czasów sprzedaje stary, na wpół sparaliżowany Chińczyk z nieodłącznym grymasem paralityka na ustach.
Zatrzymuję się przed brzydkim, jak wszystko wokół, budynkiem. Klatka rozbrzmiewa echem moich kroków. Pukam do drzwi opatrzonych tabliczką: J. i M. *Brower*. Otwiera młody, wysoki mężczyzna, sądząc z pozorów — dość inteligentny.
— Pan Brower? — pytam.
— Tak.
— Nobody z komisariatu dzielnicowego. Macham mu przed oczami podrdzewiałą odznaką.
— Pańscy koledzy już mnie odwiedzili.
— Wiem.
— Cóż… skoro już pan tu jest… niech pan wejdzie.
— Przyszedłem w sprawie zaginięcia pańskiej żony.
— Doprawdy? — Wprowadza mnie do niewielkiego pokoju obwieszonego starymi, bądź też sprawiającymi takie wrażenie, zegarami. Żaden z nich nie chodzi.
— Pan jest hobbystą? — pytam, żeby rozładować atmosferę.
— Nie.
— Zastanawiają mnie okoliczności zaginięcia pańskiej żony.
— Już o tym mówiłem. Nie raz. — Zapala papierosa. Wyraźnie trzęsą mu się przy tym ręce.
— Nie mnie.
— Dobrze. Siedziałem w pokoju i usiłowałem zapomnieć o tykaniu tych cholernych zegarów. Monika robiła coś w kuchni. Śpiewała coś przy tym… Chyba *Do You Believe?* Miała bardzo ładny głos… Aż nagle przestała śpiewać. — W tym momencie Brower blednie. — W końcu poszedłem do kuchni. Nikogo tam nie było… W kuchni nikogo nie było!
— Proszę się uspokoić… — Nie nadaję się na pocieszyciela facetów wyższych ode mnie o pół głowy. — Może pańska żona po prostu wyszła?
— Musiałaby albo przejść przez pokój, albo wyskoczyć przez okno w kuchni. W pokoju siedziałem ja, z pierwszego piętra zaś nigdy dotąd nie skakała…
— Zawsze jest ten pierwszy raz — mówię. Brower patrzy na mnie dziwnie, więc szybko zmieniam temat:

— Więc jak pan to wszystko wytłumaczy?

— Pan jest tu od tłumaczenia. Ma cholerną rację.

— Był pan może kiedyś w East Village? — pytam bez jasno sprecyzowanego celu.

— Tak. Dość ponura miejscowość. Jakby żywcem ściągnięta z wieków średnich. Chodzi mi o atmosferę. I tamtejsi ludzie. Chłodni, obojętni, wulgarni ignoranci. Jej rodzice też tacy byli. Nie przepadali za mną.

— Czy pańska żona… bała się czegoś?

— Niby czego?

— Nie wiem.

Przez dłuższy czas milczy.

— Tak. Chyba tak. Zawsze miała takie przestraszone oczy.

Oglądamy jeszcze kuchnię. Kuchnia jak kuchnia, ale znów męczy mnie dziwne uczucie *déjà vu.* Ja już tu kiedyś byłem…

Wychodzę bez pożegnania.

U siebie zasypiam prawie na stojąco. Pajęczynę ciszy zrywa nagle i przy okazji budzi mnie zarazem przenikliwy dźwięk videof nu.

Mój rozmówca nie włączył wizji.

— Tak? — wieczne jak sam czas pytania.

— Jos? — Nie rozpoznaję głosu. Za oknem nic nie rozświetla ciemności, prócz ludzi i ich nieudanych dzieł.

— Owszem, mam na imię Jos, ale to jeszcze nie oznacza, że każdy może mnie budzić w środku nocy.

— Wybacz, że się odważyłem. — A więc to mężczyzna. Głos na to nie wskazywał.

— O co chodzi?

— Miałeś wpaść do mnie po południu.

— Czyżby?

— Nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Komputer wypluł nowe, dość interesujące dane.

— Czy to ty, Jajogłowy?

— Nie poznałeś mnie?

— Zmieniłeś się od wczoraj.

— Słuchaj uważnie, Jos. W Dolinie są w tej chwili dwie osoby pochodzenia żydowskiego, urodzone w East Village…

— Szef wie?

— Nie pytał mnie o to… Cały Jajogłowy.

— Zaraz tam będę. Dzwonisz z komisariatu?

— Z domu. Jestem co prawda w piżamie, ale jeśli koniecznie chcesz, to wpadaj. — Tłumiony chichot.

— Kto ma teraz dyżur w komisariacie?

— Chciałbym się mylić, ale chyba Twardogłowy…

— Niedobrze… Nazwiska i adresy.

Jean Vancouver — 17 ulica, dom 6, mieszkanie 9. Deborah Veverka, znana powszechnie jako Debbie China — 12 ulica, dom 7, mieszkanie 15.

— Debbie China… to ta piosenkarka?

— Ta sama.

Wyłączam Jajogłowego i wystukuję numer mojego zaufanego — Boby’ego Ventury. Zaspana, wymięta twarz Boby’ego.

— Cześć.

— Cześć.
— Boby, wal do komisariatu i wypieprz stamtąd Twardogłowego. Zajmij się Jeanem Vancouverem i Deborah Veverką — podaję adresy. — Są następni na liście. Zaraz będę w komisariacie.
— W porządku, Jos.
Fonuję do szefa. Kiedy wystukuję numer jego mieszkania, mój wzrok przypadkowo pada na podłogę. Pod moim łóżkiem leży kobieca blond peruka. Skąd tu się wzięła blond peruka?!
Odbiera żona szefa. Mam wyłączoną wizję.
— Witam — mówię bez wstępów. — Wie pani oczywiście, kto teraz z panią rozmawia, prawda?
— Tak jest, panie prezydencie. Już proszę męża, panie prezydencie.
— Słucham — rozespana twarz szefa.
— Tu Nobody. Ustaliliśmy nazwiska potencjalnych ofiar.
Potrzebuję ludzi.
— Skąd fonujesz?
— Z domu.
— Co tam jeszcze robisz?
— Już nic. — Wyłączam się. Oczami wyobraźni widzę Debbie China śpiewającą very hard rocka. Azjatyckie rysy twarzy umiejętnie wydobyte przez jakiegoś geniusza chirurgii plastycznej i rozbiegane, rozszerzone strachem oczy.

Patrzymy na młodą dziewczynę wykonującą dirty strip–tease. Spazmy brudnego podniecenia. Falujące rozkoszą ciało. Nie może mieć więcej niż szesnaście lat. I jest artystką w swoim fachu — budzi odrazę.
— Idziemy? — pyta pobladły nagle Mix.
— Dokąd?
— Do Jolette — mówi Mix — powinna być teraz w domu.
To dobry pomysł. Tego dnia nawet bardzo dobry. Chłopcy uśmiechają się, myśli odbijają się w ich twarzach. Głupie oblicza młodocianych pseudointelektualistów. Jolette jest naszą koleżanką z ogólniaka przy 5 ulicy. Poza tym jest zawodową prostytutką, co nie przeszkadza jej w byciu wzorową uczennicą.
Wchodzimy do anachronicznie czystej i gustownie urządzonej klatki schodowej. Na ścianach wiszą reprodukcje Boscha. Pukam. Nic. Albo jej nie ma, albo jest zajęta. Patrzę na Moryca. Jest rozczarowany.

Rozczarowanie zalewa mnie falą nie do odparcia — szef jest w komisariacie. To jego ford z turbodoładowaniem. Na latającą limuzynę jeszcze go nie stać.
— Ich mieszkania sprawdzone?! — ryczę od drzwi. Żandarmi patrzą na mnie jak na faceta z innego — być może nawet lepszego — wymiaru.
— Vancouver jest u siebie. Veverka powinna teraz być w East Shaw. Nasi ludzie są już w drodze — relacjonuje Boby Stary, dobry Boby, o oczach starego, dobrego, poczciwego psa.
— O.K., Boby. Nie kontaktować się z nimi, nie ostrzegać przed czymkolwiek. Ograniczyć się do obserwacji. I dyskretnej ochrony.
— Jesteś pewien tego, co robisz, Jos? — to szef. Stoi za mną ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Wielki i majestatyczny.
— Jak cholera.
— Zawiadomiliśmy ich!

— Kogo?
— Chłopców.
— Dobra, Boby. Ta sprawa nie może zostać spieprzona. Jedź do grupy obserwującej Vancouvera… skąd ja znam to nazwisko? Ja jadę do East Show.
Jedziemy. Neony rozmazują się w nic nie znaczące smugi, wycieraczki pracują już chyba tylko siłą inercji. Czuję się tak, jakbym jechał naprzeciw przeznaczeniu.
Żadna knajpa w Dolinie nie jest tak znana jak East Show. Buda okolona błotnistym podjazdem i oczywiście odźwierny — barczysty facet o twarzy zmasakrowanego pekińczyka — kiwający głową z majestatyczną powagą i aprobatą na widok okazywanych zaproszeń. Macham mu odznaką. Kiwa głową z dezaprobatą. Ale przepuszcza.
Strach narasta wprost proporcjonalnie do zmniejszającej się odległości.
Tłum dyszy podnieceniem. Na niewielkim ringu odbywa się pokazowa walka sex–jitsu. Kobieta ma wyraźną przewagę.
Wyczuwam w powietrzu coś obcego, namacalnie niemal rzeczywistego, elektryzującego atmosferę. Coś się wydarzy…
Rozochocona dziewczyna, z gatunku platynowych sex–bomb, pakuje mi rękę w krocze. Odpycham ją — może nieco nazbyt brutalnie. Przyskakują do mnie jacyś faceci o płomieniście białych włosach, ze swastykami wytatuowanymi na czołach. Pierwszego ciosu prawie nie czuję.
Tłum rozstępuje się, rozerwany rozterką — co gwarantuje większe emocje: sex–jitsu, czy też nasza bójka? Podniecenie sięga niechlubnego szczytu.
Chcę wyjąć odznakę, ale drugi cios wyłącza mnie na czas bliżej nieokreślony. Wreszcie otwieram oczy. Pochyla się nade mną jeden z białowłosych napastników. Odrzucam go od siebie ciosem niespodziewanym, także i dla mnie samego. Jego ciało wiotczeje, opada na kolana. W tym samym momencie widzę, że moi chłopcy przeciskają się przez tłum w moim kierunku.
— Stóóójcieee!!!! — krzyczę. — Biegnijcie do garderoby! Pilnujcie Debbieee!!!
Zatrzymują się niezdecydowani, a ja przeklinam to ich niezdecydowanie.
Spada na mnie grad ciosów. W końcu ktoś litościwie pozbawia mnie przytomności.
Po pewnym czasie odzyskuję ją. Głowę mam dużo cięższą niż zwykle o tej porze.
Nade mną stoi szef — niewzruszony jak głaz. Wciąż jestem w East Show. Leżę na którymś ze stolików. Ile mogło minąć czasu?
— Ile czasu? — pytam i nie rozpoznaję swojego głosu.
— Pół godziny — zimne opanowanie szefa.
— Myślałem, że minęła cała wieczność…
— Pół godziny wystarczyło. Pokpiliście sprawę, Jos. Cholernie pokpiliście sprawę…
— Ona…
— Zniknęła, nie opuszczając garderoby, z której jest tylko jedno wyjście. A ty się tu bawiłeś w bójki…
— To nie była zabawna zabawa. Złapaliście tych przyjemniaczków?
— Tak. To Whiteheadzi.
Jason Rutheford — homoseksualista i barman z East Show — był ostatnim człowiekiem, który widział Debbie China. Zeznał, że Debbie zjawiła się na godzinę przed występem. Zdziwiło go, że nie podeszła do baru, jak zwykle to robiła, by zamówić whisky z wodą i pogawędzić z nim. Od razu udała się do garderoby, skąd już nie wyszła. Wyszedł za to stamtąd drobny, niski facet w płaszczu przeciwdeszczowym, z wysoko postawionym kołnierzem, który zakrywał mu twarz. Było zresztą ciemno, migotały dyskotekowe migacze.
— Z postawy przypominał pana — powiedział Rutheford do mnie.
Głowę rozsadza mi tępy, dojmujący ból. Wsiadam do wozu i jadę. Kierownica kieruje dłońmi.

Prosto na 17 ulicę.
Boby siedzi w swoim samochodzie — starym modelu merca.
— Wciąż jest u siebie? — pytam bez zbędnych wstępów.
— Tak. Przed chwilą sprawdzaliśmy. Jeden z chłopców był u niego w przebraniu pracownika gazowni.
— Dobra. Idziemy.
— Do niego?
— Do Vancouvera.
Wchodzimy na trzecie piętro. Dzwonię. Drzwi uchylają się lekko. Ulga.
— Pan Vancouver? — pytam.
— Tak. — Wysoki, barczysty blondyn o złamanym nosie. Skądś znam tę twarz…
— Policja.
— Co się…
— Pozwoli pan, że wejdziemy.
— Macie panowie nakaz?
— Sto nakazów.
— Wystarczyłby jeden. Chciałbym go jednak zobaczyć…
— W tym momencie poznaję go. Jean Vancouver — kolekcjoner starzyzny, który chciał onegdaj kupić mojego volkswagena…
— Bynajmniej nie chcę panu sprzedać mojego samochodu. Przychodzę w zupełnie innej sprawie…
Poznaje mnie.
— Pan Nobody, oczywiście! Ale pamięta pan o naszej umowie?
— Jakiej umowie? — jestem zdumiony.
— Rozumiem — mówi Vancouver, pokazując nieznacznym gestem moich współpracowników. — Pan jest tu służbowo…
— Będę mówił krótko. Urodził się pan w East Village?
— Tak.
— Jest pan obywatelem pochodzenia żydowskiego?
— To moja prywa…
— Jest pan, czy nie?
— Tak, ale co to ma do…
— Ludzie pochodzenia żydowskiego urodzeni w East Village znikają w niewyjaśnionych okolicznościach. Czy chce pan zniknąć w niewyjaśnionych okolicznościach, panie Vancouver?
— Pan… chyba oszalał.
— Jeszcze nie. Boby, zostaniesz tu. Bierz sobie kogoś do pomocy. Macie nie opuszczać pana Vancouvera. Bez względu na okoliczności.
— Czy pan się czegoś boi, panie Vancouver? — pytam na odchodnym.
— Ja… chyba tylko pana, inspektorze. — Na dnie oczu Jeana Vancouvera — handlarza jarmarczną starzyzną i antykami — czai się strach.
Udaję się do pobliskiej knajpy na kilka głębszych.

Moja ciotka, którą kocham jak rodzoną matkę, ma najgłębsze oczy na świecie. Na początku pytała mnie, czy pamiętam cokolwiek z własnej przeszłości. Nie pamiętałem. A może wolałem nie pamiętać?

Pamięć płata figle — o mało nie przejechałem obok komisariatu. Od razu kieruję swoje kroki

do sali przesłuchań. Po drodze spotykam szefa — jest zatroskany.

— Może masz jakąś koncepcję, Jos?

— Nie wiem. Może to Whiteheadzi. Naziści, nie lubią Żydów.

— Nie odkrywaliby się tak w East Show. No i ten facet, który wyszedł z garderoby Veverki.

— Taaa. Zagmatwana sprawa…

Wchodzę do sali przesłuchań. Wprowadzają jednego z Whiteheadów.

— My się chyba skądś znamy… — pocieram znacząco rozbitą szczękę.

— Nie powiem ani słowa podczas nieobecności mojego adwokata! — warczy. — Nigdy nie miałem do czynienia z glinami! Przez całe swoje życie.

Całe życie to szmat czasu. Nawet, jeśli żyje się dwadzieścia lat.

— Powiesz, powiesz…

— Nie po…

Uderzam na odlew po twarzy bez wyrazu. Trafiam gdzieś w okolicy swastyki.

— Pan nie ma prawa! — warczy. Wciąż jeszcze warczy.

— Ja jestem prawem. W tej parszywej dzielnicy znikają ludzie. W mojej dzielnicy znikają ludzie. Zniknęła piosenkarka Debbie China — przy twojej wydatnej pomocy. Debbie była Żydówką… Wy nie lubicie Żydów, prawda?! Co z nią zrobiliście?! Co zrobiliście z innymi?! Aha, zniknęła jeszcze córka prezydenta miasta…

— Córka prezydenta? — Whitehead blednie.

— Prezydent jest nerwowym facetem… Znam go trochę…

— Ale to nie my…

— Więc kto?! — podchwytuję.

— Jeden facet kazał nam się panem zająć… Nie wiedzieliśmy, że pan jest gliną…

— Nazwisko.

— Co?

— Jego nazwisko.

— Nie przedstawiał się. Ale ja go znam… Prowadzi antykwariat na rogu 14 i 21 ulicy.

— Sprawdzić to! — rzucam do protokołującego sierżanta. Wychodzi, wyprowadzając przy okazji Whiteheada. Wraca po dziesięciu minutach.

— Mamy nazwisko tego faceta — mówi tak, jakby cedził przez gęste sito równie gęstą zupę.

— No? — ponaglam.

— Nazywa się Vancouver.

— To tak jak…

— To ten Vancouver.

— Ten Vancouver… — powtarzam machinalnie. — Vancouver!

Videofon. Kod. Sygnał i czarny ekran. Nikt nie odpowiada. Nikt.

— Wóz!!! — ryczę.

Jedziemy na sygnale ulicami przeklętej dzielnicy przeklętego miasta. Deszcz zacina, krople na szybie łączą się w strużki.

Zatrzymujemy się z piskiem wytartych opon. Przerażony staruszek gubi laskę. Po chwili wyjmuje z przepastnej kieszeni notes i zapisuje numery naszego wozu.

Biegnę przeskakując po trzy, cztery stopnie naraz. Za mną, gdzieś z tyłu, sapie ciężko sierżant. Drzwi. Przez szparę sączy się leniwie światło. A więc otwarte. Otwarte?! Wpadam do środka. Dwa trupy. Krew. Boby z dłonią na klawiaturze videofonu i z kuchennym nożem w plecach. Przez moment szarpię się ze schowaną pod pachą kaburą. Wreszcie wyszarpuję pistolet. Jego metaliczny chłód uspokaja.

Oczy Boby’ego zasnuwa mgła, której już nic nie może rozwiać. Boby był zawodowcem. Boby

był twardzielem.
Był…
Kuchnia. Otwarta szuflada. Zapewne brakuje w niej kuchennego noża. Otwarte na oścież okno. Stół.
Do mieszkania wpada zasapany sierżant i dwóch mundurowych.
— Boże… — zduszony szept.
Więc to Vancouver. Tylko po co? Może chce pozostać jedynym Żydem poczętym w East Village? Szaleństwo…
A w pokoju trupy. Żołądek podchodzi mi wysoko. Zbyt wysoko. Opanować się. Zmusić się…
Wychodzę z kuchni.
— Fonujcie na pogotowie. — To chyba mój głos.
— Tak jest. Pan źle się czuje?
Świat wiruje, traci formę i sens. Przedmioty zlewają się, wszelkie prawa przestają obowiązywać. Czy tak właśnie wygląda śmierć?
Wychodzę z tej oazy śmierci na pustyni bezprawia. Coś prowadzi mnie poprzez ulice miasta jak na smyczy. To chyba serce. Wchodzę do klatki schodowej jakiegoś domu. Jakiego? Nie wiem. A może jednak wiem? Wieczne pytania. Stoję teraz przed zielonymi drzwiami. Pukam. Dźwięk pękającej skorupy. Skądś znam ten dźwięk…
— Kto tam? — pyta kobiecy głos. Aksamitny głos. Są głosy mile i niemile znajome. Ten zdecydowanie zalicza się do tych pierwszych. Dopiero teraz odczytuję tabliczkę na drzwiach: *T. i A. Sterenkovs.* Tak. Już tu byłem. Jakże dawno…
— Policja! — krzyczę i zanoszę się dzikim śmiechem. Drzwi uchylają się lekko.
— To pan… — niepewny i jeszcze bardziej aksamitny głos.
— Dobry wieczór, Angelico. Proszę mi wybaczyć, ale jestem pijany.
— Dobry wieczór. Proszę wejść…
— Czy już ci mówiłem, że masz aksamitny głos? Ponurość tego miejsca przytłacza.
— Miłe masz mieszkanko, Angelico.
— Czy jest coś nowego w sprawie mojego męża?
— Niestety. Milczenie.
Ja wiem, że ty jesteś subtelną dziewczyną, i że nie przepadasz za pijanym gliniarzem, który prawie przemocą wdziera się do twojego domu. Ale to jest tak: czujesz się na tym świecie samotnie i źle, więc wchodzisz do knajpy bez nazwy. Zamawiasz wódkę u barmana bez nazwiska. Potem jeszcze jedną. I jeszcze. Taki już jest mechanizm — człowiek robi świństwa, a potem się zalewa, żeby zapomnieć. Zapomnieć! Można jeszcze ewentualnie sprać po pysku jakiegoś łobuza i to już jest katharsis.
Angelica patrzy na mnie z lekkim, być może ironicznym uśmiechem.
— Angelico — przerywam oplatającą mnie wciąż od nowa pajęczynę ciszy — zakochałem się w tobie. Pytanie brzmi: czy szczęśliwie?
Uśmiech wciąż błąka się gdzieś na dnie jej zmysłowych ust. Oczy się nie śmieją. Stają się jeszcze głębsze, choć wydawałoby się to niemożliwe.
— Jestem mężatką.
— To nie moja wina. — Przysiągłbym, że w tym momencie, na krótką chwilę roześmiały się jej oczy. Poczytuję to sobie za sukces. Wyjmuję z kieszeni cudownie płaską butelkę whisky.
— Ja nie piję.
— Ja również. Jestem przecież na służbie. Rozlewam alkohol do szklanek.
Piję jednak. Angelica też pije. Pijemy. Dzieli nas tylko stół.

Na stole piętrzą się tony makulatury. To tylko nieukończone raporty.
— Weź się w garść, Jos — mówi szef głosem Johna Wyne'a.
Nie odpowiadam. Podpieram diablo ciężką głowę, czym się da. Daremnie — wciąż opada.
— Wiem, że Bob…
— Ja też wiem, że Bob!!!
Jadę. Mijam bardziej i mniej znane zakątki. Wciąż pada deszcz, ale jakby inaczej. Jakby usypiająco…
Jest dobrze. Tylko w gardle wciąż czai się strach.
Las. Mijam drzewa. Żeby wszystko można było zostawić za sobą jak te drzewa…
Przesilenie. Jesień odgrywa ostatnie akordy. Dezintegracja świeżości. I deszcz. Wszechobecny deszcz. Deszcz rozpuszczający świat. Deszcz rozpuszczający świadomość. Czy tylko ja to tak odczuwam?
Strach.
Zawracam. I znów zapomniane przez Boga miasto.
Angelica uśmiecha się. Nie jest to już ten dawny uśmiech pełen niepewności i tłumionego lęku.
— Jos?
— Tak?
— O czym myślisz?
— O życiu.
— Życiu?
— Życie jest pytaniem bez odpowiedzi, Angelico.
Jest piękna. Jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, co rozciąga się wokół. Jej świeżość zniewala, świat staje się przy niej nic nie znaczącym, płaskim tłem o pastelowych barwach.
— Idziemy — mówię i narzucam swój wieczny płaszcz.
— Dokąd?
— Tam gdzie jest jeszcze ruch i życie, tam, gdzie pamięć nie ma żadnego znaczenia.
— Znasz takie miejsce?
— Jest taka knajpa…
Volkswagen z trudem przebija się przez równą ścianę deszczu. Trzymam w dłoni jej dłoń — zwiewną i delikatną. Lekko drży — jak liść w podmuchach wiatru.
— Świat stał się jedną wielką kałużą — mówię. Stajemy przed starą budą, nad którą jarzy się trójwymiarowy napis: Dancing. Dancing pozbawiony nazwy.
Ponury odźwierny obrzuca nas ciężkim spojrzeniem.
— Zaproszenia? — jego głos jest głębszy od Oceanu Spokojnego, za to jego oczy są płytsze od kałuży.
Zostawiam mu dwudziestkę i nasze płaszcze.
— Tu pierwszy raz wyruszyliśmy na podryw…
— Z jakim skutkiem?
— Co, z jakim skutkiem?
— No podryw.
— Aaaa… Skutki zostały już opłakane. Śmiejemy się.
Ludzi jest tu mało. Nic nie znaczące twarze o zmęczonych oczach rzucających obojętne spojrzenia.
— Wiesz… nigdy się nie ożeniłem.
Nikt nie tańczy. Muzyka snuje się smętnie pomiędzy stolikami.
— Zamówić coś? — pytam.

— Nie.
— Zatańczymy?
— Owszem.
Właściwie, to nie potrafię tańczyć. Angelica robi to jednak z wrodzonym wyczuciem rytmu. Poddaję się temu rytmowi, przestaję myśleć o czymkolwiek, toniemy w bezkresie muzyki, twarze ludzi zlewają się, stoliki wirują bezładnie, a my tańczymy, tańczymy, tańczymy…
Przez krótką chwilę nie czuję nawet strachu. Zamykam oczy.

Zamykam oczy. Ciszę przerywa tylko deszcz. Siedzę w volkswagenie i zastanawiam się nad kupnem hamburgera w pobliskiej budce.
Wszystko już wiem. To Vancouver był porywaczem i prawdopodobnie wielokrotnym mordercą. Listy gończe zostały juz rozesłane, gończe psy spuszczone ze smyczy. Moja rola skończona. Powinienem czuć ulgę. Ale jakoś nie czuję.
W końcu decyduję się i wysiadam. Ale w tym samym momencie podchodzi do mnie starszy gość z parasolem nad głową. Pyta grzecznie:
— Przepraszam, czy nie mógłby mnie pan poinformować, jak dotrzeć na 18 ulicę? — Jego twarz pokryta jest rozległą pajęczyną zmarszczek. — Jak na lekarstwo nigdzie w pobliżu nie widać policjanta.
— Taaa… Nigdy ich nie ma, kiedy porządny obywatel jest w potrzebie — mówię. — Powiedział pan na 18 ulicę?
— Tak, tak — gorliwie potakuje starzec.
— Wsiądzie pan do busu numer…
— Bardzo nie lubię busów… hałasują, smrodzą, no i ten diabelski ścisk… Jeśli już nie konno, to chciałbym bardzo dotrzeć na ulicę 18 pieszo.
— Pieszo… — sięgam do skrytki po mapę. Wodzę po niej palcem, pokazując drogę.
— Dziękuję. Ale co pan tu powypisywał, młody człowieku? — pyta w pewnym momencie stary człowiek.
Ci młodzi! Czy wie pan, że mojego siostrzeńca wyrzucono z Biblioteki Miejskiej za to, że robił notatki na marginesie „Państwa Słońca” Campanelli? Jeszcze raz dziękuję za pomoc.
Odchodzi.
Przepytuję żandarmów patrolujących Dolinę, czy nie zobaczyli czegoś interesującego. Otrzymawszy kilka negatywnych odpowiedzi, ruszam w dalszą drogę. Coś mnie gnębi. Jakiś szczegół, który umknął mojej uwadze. Siedzę zagłębiony w płytkich myślach, aż nagle mój wzrok pada na mapę leżącą na bocznym siedzeniu.
Starzec. Mapa. Popisana mapa. Popisana?!
Rozkładam ją na kolanach. Są na niej naniesione miejsca kolejnych zaginięć. Jest East Show, jest dom Browera i wiele, wiele innych. Razem dwadzieścia dwie kropki. Ależ kropki układają się w logiczny wzór! Napis?! Tak. Odczytuję: „7 ulica”. Brakuje tylko jednej kropki. Wypada ona w okolicach jednego z budynków na 7 ulicy…
Ktoś daje mi znaki? Dlaczego?
Idę, kompletnie przemoczony, ze zgaszonym papierosem w zębach. Mijam kręte uliczki, po których wytrwale biegają różnokolorowe dzieciaki i chodzą różnokolorowi ludzie. 7 ulica. Niczym szczególnym nie różniąca się od tysiąca innych. Już z daleka widzę ten dom. Właściwie niewielki domek z dymiącym kominem. Kłęby czarnego dymu.
Jedyny komin w mieście.
Dojrzewa absurdalna myśl, którą zrazu odrzucam, ale która uparcie powraca. Komin? Zwłoki? Piec…

Pukam. Chcę jeszcze uciec przed niedorzecznością moich podejrzeń, ale w tym właśnie momencie otwierają się drzwi. Człowiek o pomarszczonej twarzy wpatruje się we mnie uważnie swoimi zielonymi oczami. Skądś go znam…

— Słucham pana.

— Jestem palaczem:…

— Pan jest palaczem — powtarza bezwiednie. — To teraz rzadko spotykana profesja. Nawet w Dolinie. I chyba nieopłacalna. Ja… właściwie nie potrzebuję palacza. Sam potrafię napalić w piecu.

Odwracam się, by odejść. Czuję przy tym niewytłumaczalną ulgę. Zatrzymuje mnie jednak głos starego:

— Ależ proszę, proszę, niech pan wejdzie.

Więc wchodzę. Czuję się tak, jakbym nie wchodził, ale wychodził naprzeciw przeznaczeniu.

Stary dom. Wnętrze przywodzi na myśl pieczarę. Dziesiątki starych zegarów.

— Oto piec — mówi starzec. Dopiero teraz go poznaję. Przecież to ów miły, stary człowiek, który chciał dotrzeć pieszo na 18 ulicę!

Piec jest ogromny.

— I rzekł: Niechaj nie gniewa się Pan, proszę, gdy jeszcze raz mówić będę: Może znajdzie się tam dziesięciu. I odpowiedział Pan: Nie zniszczę miasta ze względu na tych dziesięciu[*] — starzec recytuje namaszczonym głosem, a mnie przenika na wskroś olśnienie i… przypomnienie.

— Nieeee!!! —krzyczę.

— Ty spisałeś się lepiej od Abrahama — mówi starzec — znalazłeś dwudziestu dwóch sprawiedliwych. Tak, tak, to ty porwałeś Debbie China z jej mieszkania, a potem zjawiłeś się w East Show przebrany za nią. Było ciemno — nikt cię nie rozpoznał. Blond peruka — pamiętasz? To ty wykradłeś panią Brower z kuchni na pierwszym piętrze. Znałeś doskonale rozkład jej dnia. Wiedziałeś, że o tej porze będzie w kuchni. Wszedłeś przez okno po przystawionej drabinie. To ty, nikt inny, namówiłeś Vancouvera do wynajęcia Whiteheadów, którzy rozpętali rozróbę w East Show. Po zniknięciu Vancouvera podejrzenie padało już tylko wyłącznie na niego. Vancouver zgodził się łatwo — był zakochany w twoim samochodzie. Wreszcie porwałeś samego Vancouvera, zabijając przy tym swoich towarzyszy…

— Boby… — patrzę na moje dłonie i widzę na nich krew.

— I tak nie pożyliby długo. Miasto jest skazane. Uratowani przez ciebie ludzie, z nową pamięcią i tożsamością spędzą spokojny żywot w miastach rozsianych po całej Ziemi. Twoja misja skończona. Przedostatnia misja… On jest z ciebie bardzo zadowolony… Jutro o świcie rozpęta żywioły… i nastanie Dzień Gniewu…

To stąd owo nieustanne uczucie *déjà vu*…

— Nieustannie opierałeś się przeznaczeniu. Aż musiałem interweniować wtedy, z tą mapą…

Jutro o świcie… A Angelica?

— A Angelica?!

Nagle wszystko urywa się bez żadnego ostrzeżenia.

Moryc ostrzegał mnie, że Skurbyk za mną nie przepada. Ale mimo wszystko zjawiam się na jego dwudziestych urodzinach. Większość gości porusza się już na rzęsach. Sam Skurbyk wpatruje się tępo w sufit i pije wzmocnioną whisky. Podchodzi do mnie Moryc. Przez chwilę rozmawiamy o polityce.

Nagie moją uwagę przykuwa piękna, na swoisty bardzo i subtelny sposób, dziewczyna o kasztanowych włosach i prawdopodobnie niebieskich oczach. Siedzi samotnie przy oknie i być

---

* Pierwsza Księga Mojżeszowa 18, 32

może liczy opadające z drzew, różnokolorowe liście. Tak, to już jesień.

— Kto to jest? — pytam Moryca. Widocznie zobaczył w moich oczach coś dziwnego, bo wydaje się być wyraźnie zaniepokojony.

— Nie radzę, Jos. To dziewczyna Skurbyka.

— A o czym ona może z nim rozmawiać?

Podchodzę do niej, nie zważając na nieme protesty Moryca.

— Dzień dobry. Na imię mi Josef. Przyjaciele mówią do mnie Jos.

Przez dłuższą chwilę dziewczyna mierzy mnie uważnym spojrzeniem.

— Ja będę do ciebie mówiła Josef — odzywa się wreszcie.

— A ja już się przedstawiłem… — zawieszam głos. Moje serce jest dziurawą łodzią na bezmiarze oceanu. Więc tak wygląda miłość?

— Na imię mi Joanna — przedstawia się dziewczyna, którą kocham.

— To moje ulubione imię.

Tak to się zaczęło.

Natłok obrazów przerasta zdolność percepcji. Aż wreszcie wszystko znika i pozostaje tylko jeden, aż do bólu bliski obraz…

Znów jestem w dancingu pozbawionym nazwy i smaku, i znów tańczę z Angelicą… Znów wszystko wiruje i staje się diablo odległe i nieważne…

NIEDOBRZE!!!

WIDZĘ.

Widzę tylko jej twarz promieniującą ciepłem… Tańczymy.

CHOLERA!!!

CO JEST?

TO CHYBA JUŻ KONIEC. ON NIE ŻYJE…

Tylko jej twarz… jej twarz…

ZAKRYJCIE MU TWARZ. ZAWIADOMCIE RODZINĘ.

ON NIE MIAŁ RODZINY. TO SAMOTNY, TRZYDZIESTOTRZYLETNI GLINA.

ONI WSZYSCY TAK KOŃCZĄ.

CI Z DROGÓWKI TEŻ?

KURWA! SPÓJRZ NA JEGO NADGARSTKI! I NOGI! TO WYGLĄDA JAK…

JAK STYGMATY?

Jej twarz… jej twarz jest absolutem.

Olsztyn, styczeń 1989, wrzesień 1991

Jacek Sobota

Olsztynianin, urodzony w 1969 roku, student nauk społecznych Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. Pisuje od lat kilku, początkowo do fanzinów — jest zresztą działaczem Warmińskiego Klubu Fantastyki.

„Oficjalnie” zadebiutował opowiadaniem „Splot” („Nowa Fantastyka” 4/1990). Pół roku później uznanie Parowskiego zyskała jeszcze „Ręka Diabła” („Nowa Fantastyka” 5/1991) i autor ma nadzieję, że na tym współpraca z popularnym miesięcznikiem się nie skończy.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że wszystkie opowiadania Jacka są do siebie podobne, pisane jakby tą samą manierą. Zapewniam, że nic bardziej mylnego. Znam kilka jego nie publikowanych jeszcze tekstów i postęp jest bardzo widoczny, nie zawsze jednak wydźwięk tych opowiadań jest na rękę niektórym redaktorom.

Opowiadanie „Rzeka” napisane prawie dwa lata temu, zostało zmienione (zwłaszcza końcówka) pod kątem niniejszego zbioru, sądzę jednak, że dzięki temu stało się mocnym punktem antologii.

O „Dopuście Bożym”

W dzisiejszym świecie, gnającym przed siebie na złamanie karku, postęp nauki i techniki nabrał takiego tempa, że nie trzeba już pokoleń, aby dojrzeć zmiany, jakie za sobą pociąga. Wystarczają lata, czasami miesiące. Często pojawia się przy tym zasadne pytanie o dalsze możliwości ludzkiego rozumu. A jeśli założyć, że przyjdzie nam spotkać Obcych, to czego możemy po nich oczekiwać? Gdzie w takim świecie znajdzie się „miejsce dla Boga”? Czy będziemy w stanie odróżnić jego działalność od ingerencji Obcych? Pytania te zawitały do mojej głowy parę lat temu, lecz dopiero niniejsza antologia dała asumpt do nadania im postaci opowiadania. Trudno ukryć, że w tej — w sumie krótkiej formie — nie wyczerpałem tematu, co najwyżej zasygnalizowałem pewne problemy. Naturalnie, nie są to kwestie nowe. Na poparcie podeprę się autorytetem Leszka Kołakowskiego, który tak opisywał stanowisko Pascala:

„Religia chrześcijańska, chociaż jest mądra przez swoje cuda i proroctwa, które jej siłę ukazują, jest szalona zarazem, bo to nie one każą wyznawcom wierzyć, ale jedynie Krzyż”.

Nie trzeba być jednak filozofem, aby szukać własnej odpowiedzi na wspomniane pytania. Wielu próbuje na swoją rękę. Niniejsze opowiadanie jest również taką próbą.

Andrzej Drzewiński

Dopust Boży

Dobro i zło jednako służą planowi Bożemu
św. Augustyn

Pierwsze objawienie miało miejsce czwartego października 1999 roku o godzinie 2015 w małym miasteczku na południu Francji. Wizja, przybierając kształt Matki Boskiej, ukazała się kilkunastu wiernym, przybyłym na wieczorną mszę do kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego. Celebrujący mszę proboszcz, na widok postaci, której blask zmuszał do opuszczenia oczu, padł na kolana i począł głośno odmawiać litanię do Najświętszej Maryi. Reszta wiernych poszła w jego ślady, za wyjątkiem najstarszego, który przypłacił widzenie lekkim zawałem. Po hospitalizacji jego stan szybko wrócił do normy.

Kolejne cudowne wydarzenie miało miejsce na stadionie nowojorskich „Metsów", którzy podejmowali tego wieczoru samych „Redskinów". W trzeciej minucie obrońca gości wybił niezwykle trudną piłkę, lecz gdy oczy wszystkich uniosły się ku górze, stutysięczna widownia zamarła. Na niebie, w otoczeniu purpurowozłotych obłoków wisiał olbrzymi tron z postacią o zasłoniętym półmrokiem obliczu. Miało to wiele z kiczu, lecz wtedy nikt tego tak nie nazwał. Po paru sekundach, w idealnej ciszy, na kopułę stadionu „Shea" spłynęły wibrujące promienie światła. Kiedy ludzie ponownie przejrzeli, niebo było puste. Jak ktoś słusznie zauważył, nawet gdyby postać na tronie miała szarfę z napisem „Pijcie Coca—Colę", i tak trudno byłoby uwierzyć, że to tylko wyrafinowana technicznie reklama.

Trzecie udokumentowane zdarzenie miało miejsce w kraju ojczystym Michała Langiewicza, co niektórzy z jego rodaków poczytali sobie za nadzwyczajny honor. W Krakowie, ponad Wawelem, pojawiła się monstrualna korona cierniowa, spleciona jakby z płomieni, której blask przez kwadrans nie pozwalał zmrużyć oka większości mieszkańców. Trudno mówić o bezpośrednich skutkach tego zdarzenia. Co najwyżej warto odnotować, że tej nocy w podwawelskim grodzie znacznie spadła ilość rozbojów i innych przestępstw kryminalnych. Także wtedy po raz pierwszy powiązano zjawisko z końcem drugiego millenium.

W ciągu następnych dni, głównie z obszaru Europy i obydwu Ameryk, poczęły nadchodzić dalsze komunikaty dotyczące niecodziennych wydarzeń. Oprócz widzeń zbiorowych i jednostkowych rejestrowano przypadki snów proroczych, cudownych uzdrowień, a nawet stanów mistycznych. Do najgłośniejszych należy zaliczyć nawiedzenie z Kadyksu, kiedy po niedzielnej sumie wyszedł z katedry tłum wiernych śpiewających w natchnieniu hosannę. Zanim policja zdążyła zablokować ruch, co najmniej kilkanaście osób uległo wypadkom, wpadając pod koła pojazdów przejeżdżających pobliską obwodnicą. Opisy tych wydarzeń w pierwszej kolejności trafiły na szpalty popołudniówek, pomiędzy doniesienie o Yeti, a notkę o matce zjadającej własne dziecko czy też odwrotnie. W ślad za nimi ruszyły lokalne stacje radiowe i telewizyjne, lecz już drugiego dnia CNN, BBC czy ZDF poprosiły zaprzyjaźnionych teologów i naukowców o wstępne komentarze. Żartobliwy ton pierwszych doniesień zastąpiły zdecydowanie bardziej rzeczowe wypowiedzi. Nie zmieniło to jednak faktu, że nikt nie wiedział, co naprawdę się dzieje.

Jechali drogą typową dla Polski powiatowej — w zasadzie równą, lecz co jakiś czas urozmaiconą sporą łatą. Boleski prowadził pewnie, gwiżdżąc pod nosem jakiś szlagier z lat sześćdziesiątych. Podobno w domu miał całą kolekcję nagrań „Czerwonych Gitar", łącznie z krążącymi wśród znawców tematu amatorskimi nagraniami z koncertów. Po raz kolejny próbując

ukraść nieco snu, Michał oparł głowę o ramę. Sprzęt w tyle wozu, zabrany z ministerstwa, mimo parcianych pasów, na każdym zakręcie stukał o burty i straszył wizją uszkodzenia aparatury wartej kilka milionów nowych złotych. Trochę żałował, że dał się namówić Zawojowi, ale wiedział, że nie potrafi inaczej. Zawój, to kawał jego życia — promotor zarówno magisterki, jak i doktoratu. Przed pięciu laty, kiedy poszedł w ministry, pociągnął Michała za sobą. Ten starał się odwdzięczyć, jak mógł. Nie grzał tyłkiem stołka, tylko koordynował badania, liczył i konferował. To ostatnie było najgorsze. Świat po zamęcie postkomunistycznym powoli dochodził do normy. Państwa, zarówno nowe, jak i stare, zauważywszy, w czym przyszło im żyć, stawiały na ochronę środowiska, przeżywającą swój drugi, tym razem ogólnoświatowy, renesans. Tylko dlatego udało się Europejskiej Unii Astronautycznej przeforsować projekt „Skaner".

Ostre hamowanie sprawiło, że zaparł się odruchowo nogami, lecz pasy i tak uchroniły głowę od kontaktu z szybą. Przetarł oczy, uświadamiając sobie po blasku ulicznych latarń, że jednak musiał przysnąć. *Wydęte karawele o żaglach z motyli*, powtórzył w myślach fragment wiersza, który wrócił do niego podczas snu. Pragnąc uciec od tych słów, uchylił drzwi samochodu. Niewielki kościół, cofnięty od ulicy na szerokość wypielęgnowanego ogrodu, przypominał widoczki z kalendarza werbistów. Może trochę lukrowe i sztuczne, ale w sumie zawsze przyjemne dla oka.

— Proszę poczekać z wyładunkiem — Boleski otworzył furtkę w murze. — Poszukam proboszcza.

Michał oparł się o ciepłą jeszcze maskę, szukając odruchowo papierosów. Przy trzeciej kieszeni przypomniał sobie, że właśnie rzucił nałóg. Przez chwilę walczył z pokusą sięgnięcia do paczki Boleskiego, lecz w końcu tylko strzyknął śliną i wolnym krokiem począł przemierzać płyty chodnika. Refleks światła odbił się od jednego z urządzeń ustawionych w części bagażowej.

— Brak jest specjalistów, nasz kraj cierpi na chorobę Petera w nowym wydaniu — Zawój odchylił się w fotelu, jak zwykle w takiej chwili przyjmując pozę operetkowego dyktatora. — Połowa wyjechała za granicę, połowa zmieniła fach, a „trzecia połowa"…

Umilkł i ze zrozumieniem uśmiechnęli się do siebie.

— Jednym słowem mam jechać za Iławę i zebrać do probówki łzy płynące z obrazu.

— Dokładnie. Dostaniesz Boleskiego, to chłopak z UOP–u. Inteligentny, a nawet ma poczucie humoru.

— Zna dowcip o wronach?

— Nie wiem, sam go spytasz.

Słysząc głosy dobiegające zza żywopłotu, Michał przy stanął. W półmroku nie dawało się odróżnić twarzy, lecz niższy głos bez wątpienia należał do ochroniarza.

— Daleko to?

—— Jak pojedziecie za mostkiem w lewo, na stawy, będzie nie więcej jak kwadrans jazdy — postać stanęła w świetle latarń ukazując matowe sukno sutanny.

— Niech będzie pochwalony — Michał skinął głową.

— Na wieki wieków, amen — nieoczekiwanie ksiądz rozłożył ręce. — Właśnie mówiłem pańskiemu koledze, że przyjechaliście na marne.

Jak zawsze w takich chwilach poczuł trudną do opanowania irytację.

— Proszę nie mówić, że na wieść o spektrometrze święta Teresa przestała płakać.

— Cecylia.

— Proszę…?

— To była święta Cecylia, patronka śpiewu — proboszcz uśmiechnął się delikatnie. — Dla mnie sytuacja również jest niezręczna.

— Ksiądz sądzi…

Proboszcz nie pozwolił mu dokończyć. Wyciągnął dłoń w stronę, gdzie szpaler latarń kończył się nieoświetlonym parkiem.

— Mówiłem pańskiemu koledze, że niektórzy moi wierni wybrali się nad stawy — leciutko westchnął. — Ktoś rozpuścił plotkę, że dzisiejszej nocy będzie tam objawienie.

— Jesteśmy z ministerstwa, a nie z „Orbisu” — Michał postarał się, aby zabrzmiało to łagodnie. — Dostaliśmy konkretne zadanie.

Ksiądz zakręcił młynka palcami, widać nie lubił mało domyślnych owieczek.

— Jeśli pragniecie u mnie zanocować, to gość w dom, Bóg w dom.

Nie trzeba było być psychologiem, aby wyczuć intencje mówiącego.

— Dziękujemy — Michał wyciągnął rękę — teraz, kiedy znamy drogę, byłoby grzechem nie skorzystać z takiej okazji.

Zaparkowali w starym dukcie, na skraju wysokopiennego lasu. Dalej rozpoczynały się rozlewiska. Czuć je było nosem, pod postacią rechotu żab słychać uchem, a na dodatek coś jaśniało po drugiej stronie wąskiej, porośniętej długą trawą, grobli.

— I po co to wszystko braliśmy? — mruknął Boleski, sprawdzając zamknięcie tylnej klapy. — Laboranci trzęśli się nad spektrometrem, jakby nam Amerykanie mieli jaja poobrywać.

Michał opuścił lornetkę.

— Spektrometr jest nasz, dostaliśmy go z wymiany — wskazał kierunek, skąd dochodził szelest wody pochylającej trzciny. — Zawołamy?

— Nie, lepiej z boku się przyjrzeć — Boleski położył dłoń na jego ramieniu. — Można ją teraz zobaczyć?

Wzrokiem szukał między gwiazdami, więc nietrudno przyszło zgadnąć, o co pyta.

— Za wcześnie — Michał pokręcił głową. — „Freedom” porusza się po orbicie zsynchronizowanej z pozornym ruchem słońca, nad Polskę nadlatuje koło północy.

Chłodny wiatr, rozpędzony ponad taflą wody, uderzał w twarze. Nie ociągali się i jedynie zmrużywszy powieki, ruszyli ku temu przeciwnikowi, pachnącemu rybą i wilgocią. Na grząskim gruncie stopy ślizgały się, zmuszając do przystawania. Boleski nie pomylił się. Jeśli chcieli zbadać fenomen jak najdokładniej, należało obserwację prowadzić z ukrycia, nie naruszając swoją obecnością przebiegu zdarzeń. Jak w kwantowej fizyce, pomyślał Michał. Socjologiczna Zasada Nieoznaczoności.

Księżyc wychynął zza chmur, w samą porę ukazując wcięcie grobli. Krok dalej, a wpadliby do ciemnej wody. W bok odchodził zapadnięty pomost. Boleski kiwnął ponaglająco ręką i odsłonięty odcinek łąki przebiegli w dobrym tempie. Raz tylko Michał zaklął pod nosem, wpadając w kretowisko. Mimo wszystkich racji fakt, że wyjazd naukowy powoli zamieniał się w indiańskie podchody, nie przypadał mu do gustu. Pochyleni, przeszli jeszcze kilkanaście metrów pod osłoną zarośli, gdy wreszcie gałęzie odsłoniły miejsce rozświetlone blaskiem ogniska. Na ziemi, u nasady długiego pomostu, paliły się drewniane kloce, ułożone ze znajomością rzeczy. Wokół, na kształt podkowy, siedziało bądź stało kilkadziesiąt osób. Patrzyli w stronę jeziora. Wiatr, mający możliwość w pełni pokazać, na co go stać, wywijał chorągwią płomienia, rzucając duże, rozbiegane plamy cienia. Drobne iskierki popiołu spadały wokół, lecz ludzie nie reagowali. Michał nie dziwił się. Niedaleko brzegu, pchając spienioną wodę, poruszał się pod powierzchnią świecący kształt.

— Ciekawe — szepnął Boleski. — Radio nie działa. Nawet nie mogę złapać rejonowej placówki.

— Nieważne — Michał przyklęknął obok niego. — Grunt, że wreszcie zaliczymy jakiś cud.

Jakby usłyszawszy te słowa, jasny kształt wstrzymał swój bieg i nad wodą począł się formować słup jasnego światła. Ludzie przyklęknęli na nadbrzeżnym piasku. Ktoś zaintonował „Ojcze Nasz”. Pod powiekami Michała przepłynęły obrazy odległe, a zarazem znane, aż do bólu. Śnieżna pasterka sprzed dwóch lat, dzwony bijące na wieży i jej twarz wtulona w kołnierz futra. Specjalnie dla niego nie pojechała na święta do rodziny, zostając w akademiku. Poczuł ruch koło szyi, to Boleski ściągnął mu lornetkę. Poczuł wilgoć sączącą się przez materiał spodni, lecz nie zważał na to, śledząc metamorfozy, jakim podlegała świetlista zjawa. Wciągał go nastrój tego miejsca, śpiew ludzi, bliskość czegoś niepojętego. Wytężył wzrok. Tak, to była Matka Boska, taka jak na obrazach Rafaela. W niebieskiej szacie, chuście na głowie, z cierpliwym uśmiechem na ustach. Uniosła się ponad deski pomostu, i pchając przed sobą delikatny obłok pary, sunęła wzdłuż jego ościeżnic. Śpiew ludzi stawał się coraz bardziej podniosły.

— Kurcze — Boleski wyraźnie nie mógł się pogodzić z tym, co widzi — znam się trochę na holografii i czegoś takiego nie da się zrobić.

— A jeśli to nie hologram?

Ochroniarz błysnął białkami.

— Pan jest wierzący?

Skinął głową i odwrócił wzrok. Wiedział, że widząc to samo, będą odbierać co innego. Jakby dwie osoby zamierzały opisać obraz patrząc, jedna przez zielone, a druga czerwone szkło. Przypomniał sobie ze szkoły eksperymenty z filmami trójwymiarowymi, gdzie efekt przestrzenny uzyskiwano stosując okulary o dwóch barwach szkieł. Czyżby i teraz miała to być najlepsza metoda?

— O, kurcze — Boleski zakrył oczy dłonią, a Michał poszedł w jego ślady.

Postać Matki Boskiej, roziskrzona niczym diament, zaczęła promieniować silnym światłem. Śpiew umilkł. Światło przesuwało się z osoby na osobę. Twarze stare i młode, kobiet i mężczyzn nabierały uduchowionego wyrazu, jak na obrazach z żywotów świętych. Na jeziorze rozkwitały pajęczyny różnobarwnych refleksów, stanowiąc impresjonistyczne tło dla ich sylwetek. Tylko szmer oddechów i trzcin ruszanych na wietrze, a poza tym cisza. Gdy promień dotarł do ostatniego rzędu, przygasając począł się cofać. Nagle wstrzymał ruch, a potem z niezwykłą prędkością runął ku zaroślom, gdzie się ukrywali. Tylko na moment stanął przy Boleskim, a sekundę później otoczył Michała. Odruchowo próbował wstać, lecz w połowie ruchu zapomniał, co czyni. Ochroniarz, teraz już bez zahamowań, wyjął aparat i raz za razem uruchamiał migawkę. Michał słyszał to, słyszał pomruk tłumu, lecz nie potrafił utrzymać na nim myśli. Czuł nieziemskie odprężenie, spokój, którego tak potrzebował, a przed oczyma sunęły w korowodzie zdarzenia całego życia: ogród dziadka, smak lodów, szkoła, pierwsza komunia… obrazy pędziły coraz szybciej… matura, usta pierwszej dziewczyny, „Skaner”, Gosia, pożar, Gosia…

— Nie! — krzyknął zrywając pęta czaru. — Nie dręcz mnie.

Wstał gwałtownie, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Kaszląc spazmatycznie, opadł na piasek. Uczuł zimny pot. W rozszczepionym obrazie ujrzał, jak światło odpływa, najpierw nad pomost, a potem dalej, w głąb jeziora. Od gromady ludzi dobiegły szepty pełne irytacji.

— Mój przyjaciel wystraszył się — w głosie Boleskiego nie słychać było lęku. — Zabłądziliśmy.

Unosząc Michała, przyłożył usta do jego ucha.

— Możesz biec?

Próbował przełknąć ślinę, lecz w końcu tylko skinął głową. Nie za bardzo kojarzył, co ochroniarz wyciąga z kieszeni.

— Przepraszamy za najście — powiedział Boleski, a ciśnięty przez niego granat akustyczny detonował w ognisku.

Piekielnemu hałasowi towarzyszył fajerwerk iskier i popiołu. Ludzie stojący najbliżej miejsca eksplozji padli na ziemię z dłońmi przy uszach. Boleski pociągnął Michała w ciemność. Byli w połowie odsłoniętego odcinka, kiedy dobiegł ich ryk wściekłości. Księżyc zatańczył w oczach Michała, potęgując bolesny ucisk skroni.

— Szybciej — Boleski teraz prawie go niósł — bo potopią jak koty.

W rejwachu za ich plecami dawało się odróżnić poszczególne okrzyki. Nie prorokowały najlepiej. Wskoczyli między trzciny, i taplając się jak wielkie czaple, dopadli na wpół rozwalonego pomostu. Zimna woda przywracała zdolność myślenia, lecz śmierdziała rybami i sięgała po pachy. Zacisnął zęby i pochylił głowę. Biegnących poprzedzało tańczące na trzcinach światło latarek. Urywane, pełne złości głosy sprawiły, że do końca pojął, co się stało. Pozbawiając tych ludzi cudu, ponownie skazując ich na szarą egzystencję, popełnił świętokradztwo. Gdy światło padło na belki, zanurzyli się po sam nos. Jak na razie deski dawały solidną osłonę, lecz wystarczyłoby, aby któryś z rybaków pochylił się. Donośny okrzyk z końca grobli wybawił ich z opresji. To odkrycie samochodu ściągnęło pozostałych.

— Jak zdróweczko? — Boleski błysnął zębami. — Lepiej?

Michał zadygotał, lecz potwierdził skinieniem głowy.

— Przeszło, tylko zimno jak cholera.

Odgłosy ożywionej rozmowy, w której intruzów najczęściej nazywano bynajmniej nie antychrystami, tylko skurwysynami, świadczyły, że prześladowcy dzielą się na grupy. Większość miała przeszukiwać las, a reszta zająć się groblą. Boleski przesunął się parę metrów pod pomostem i począł się z czymś mocować. Po chwili spod pomostu wychynął ciemny kształt płaskodennej łodzi.

— A tak się źle mówi o kłusownikach — zachichotał — wskakuj. Ominiemy całą ferajnę.

Głosy, coraz silniej przebijające się ponad chlupot wody, świadczyły o powracającym niebezpieczeństwie. Boleski złapał Michała wpół i jakimś cudem znajdując oparcie na mulistym gruncie, wepchnął do środka. Krawędź łódki omal nie rozgniotła mu brzucha, lecz gorszy był podbierak pozostawiony na dnie. Chwyciwszy się belki pomostu, Boleski wskoczył za nim. Gdzieś daleko rozwrzeszczały się kaczki i latarki ludzi z grobli przesunęły się w bok. Boleski, trzymając wiosło przy samym piórze, zanurzył je w atramentową wodę i mocno pociągnął. Dla kogoś niewprawionego jesienna kąpiel w jeziorze jest torturą, lecz to i tak nic w porównaniu z siedzeniem w mokrym ubraniu. Skulony na dziobie Michał obejmował kolana rękoma, lecz niewiele to pomagało. Dygocząc starał się jednak kontrolować poczynania Boleskiego i kiedy groblę zasłoniły szuwary, zrozumiał, że ominą napastników lądując pod lasem.

— Gazem — jego partner wyskoczył pierwszy, wyszarpując łódkę na mizerny piasek — bo złapiesz zapalenie płuc.

Podczas biegu spodnie nieprzyjemnie oblepiały nogi, ustępując w tym jedynie wodzie mlaskającej w butach. Przetarł twarz rękawem. Niebo widniejące ponad koronami drzew było jedynie o ton jaśniejsze od bryły lasu. Najwyraźniej księżyc, skryty za chmurami, nie potrafił przeniknąć grubej warstwy chmur. Kiedy wpadli między pnie, Boleski złapał go za rękaw. Od strony leśnego duktu, gdzie zostawili samochód, błyskały długie smugi światła. Jak w kiczowatej scenerii filmu szpiegowskiego.

— Zostańcie tutaj i pilnujcie — widać któryś z napastników wziął na siebie rolę przywódcy. — Oni mogą wrócić do wozu.

Ochroniarz zsunął bezszelestnie obuwie i poczekał, kiedy przy samochodzie pozostanie dwójka gówniarzy. Potem zniknął w zaroślach. Film szpiegowski stawał się sensacyjnym. Michał rozejrzał się w mroku za jakimś kijem, lecz kiedy pomyślał, że ma nim rąbnąć w czyjąś głowę, poczuł się obrzydliwie. Boleski nie przejawiał takich zahamowań.

— Cześć — powiedział, unosząc się spoza maski wozu — wróciłem.

Być może młodzieniaszki należały do miejscowych osiłków, lecz takie numery oglądały jedynie w kinie. Starszy, kopnięty piętą z półobrotu, zwalił się między drzewa ani pisnąwszy. Młodszy okazał się rozsądniejszy. Wrzeszcząc wniebogłosy pobiegł w stronę stawów. Michał rozgarnął krzewy i zastał ochroniarza przy otwieraniu wozu.

— Cienkie bolki — zamruczał ten, omiatając światłem koła — nawet opon nie porżnęli.

Silnik zapalił od razu, pstryknęły światła. Już mieli ruszać, gdy w przecince ukazała się postać niskiej kobiety.

— Józuś! — zawyła dramatycznie. — Co wyście mu zrobili!?

Michał wychylił się przez okno.

— Ten pani Józuś chciał nam głowy porozbijać — wskazał miejsce, skąd dochodził urywany kaszel. — Nic mu nie będzie.

— Łajdaki, szkoda, że wam…

Michał nie zdążył z kolejną odpowiedzią, gdyż Boleski ruszał z takim impetem, że tylko refleks ratował od rozbicia głowy.

— Zapamiętaj, nie zawsze należy dyskutować.

Chyba tylko fatalna droga uratowała go od reprymendy. W milczeniu usiłował rozmasować krwiak pod okiem. Długie światła reflektorów wywabiały z mroku upiorne kształty drzew, mijające ich w olbrzymim pędzie i zaraz zapadające w niebyt. Gdy z boku błysnęło światło, sprawny slalom między głazami i dobre zawieszenie uwolniły ich od niepożądanego towarzystwa. Jedynie donośne trzaski z tyłu budziły dreszcz niepokoju. Spektrometr masowy to tak delikatne urządzenie… Czyjaś wykrzywiona złością twarz zamajaczyła z boku drogi, kamień odbity od ramy nie trafił jednak w szybę. Ruch kierownicą sprawił, że napastnik zląkł się rozpędzonej masy wozu.

— Jabidabidu! — Boleski pięknym poślizgiem wypadł na asfaltową drogę.

Wolną ręką sięgnął za połę i wyciągnął nadajnik.

— Japońskie, a takie gówno — rzucił za siebie. — Wystarczyło trochę wody.

Michał odwrócił głowę od przemykających na zewnątrz strzelistych cieni drzew. Nie chciało mu się nawet ust otwierać.

— Już przy ognisku nawalał — powiedział wreszcie. Boleski zdawał się tego nie słyszeć. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznał w jego pogwizdywaniu melodię „Anny Marii”. Owinął się ściągniętym z siedzenia pledem i jeszcze tylko przez moment poczuł niepokój, kiedy na granicy miasteczka spotkali sporą grupę osób. Jednak żadna z mijanych postaci nie odwróciła głowy.

Niepozorny budynek, cały obłożony szarym piaskowcem, stał przy Alejach Jerozolimskich, nie zwracając na siebie specjalnej uwagi, co najwyżej brzydotą bryły architektonicznej. Jak mawiał Edgar Allan Poe: „liść najlepiej ukryć w lesie”. Michał, odwróciwszy wzrok od szyb odpornych zarówno na laserowy podsłuch, jak i coś bardziej konkretnego, zerknął na tytuły gazet leżących pod parapetem. *„Fala niepokojów narasta”*, *„Fałszywy prorok zdemaskowany”*, *„Kryzys reklamy”*, *„Zastój na giełdach”*. Przymknął oczy. Redaktorka z porannego dziennika usilnie starała się być na luzie, lecz młody górnik nie podzielał jej entuzjazmu.

— „Proszę pani, jeśli nie ma być jutra, to po jaką cholerę tyrać?”

Przełączył wtedy na kreskówkę z Kaczorem Donaldem, ten przynajmniej nie zastanawiał się nad sensem życia. A jeśli mają rację, górnik i ci znad jeziora? Koniec świata — dzień kiedy wszyscy z martwych powstaną i staną przed obliczem Najwyższego. Wszyscy, więc i Gosia…

Szelest rozsuwanych drzwi zapowiadał wejście Zawoja. Zaczesywane na bok włosy praktycznie nie maskowały łysiny. Już rok temu, podczas szeroko zakrojonej akcji

propagandowej, mającej nakłonić społeczeństwo do pokochania natury, jedna ze zdesperowanych charakteryzatorek zaproponowała panu ministrowi przypięcie treski, lecz Zawój z godnością odmówił.

— Widzisz, chłopie — zaczął kordialnie. — Kilka lat temu miałbyś murowane zapalenie płuc, a tak skończyło się na dwóch dawkach subbioników.

Michał uśmiechnął się blado, nie chcąc wspominać bólu nerek, ponoć typowej reakcji ubocznej.

— Naprawdę nie jesteś głodny? — Zawój opadł na fotel. — Oni jeszcze kończą.

— Przed spotkaniem z tajniakami zawsze jem zawczasu. Zawój wydął wargi, jakby półtorej godziny, które poświęcili Markiewiczowi, było niegodne wspomnienia. Facet, jak większość pracowników Urzędu Ochrony Państwa, należał do niezwykle skrupulatnych. Dobrze, że w całej rozmowie uczestniczył Rawicz — członek komisji sejmowej powołanej do zbadania fenomenów. Dzięki niemu spotkanie nie do końca nabrało cech przesłuchania. Markiewicz rozpoczął od dokładnej analizy całego zajścia, potem przeszedł do hipotetycznych czynników sprawczych, a więc holografia, fantomatyka, substancje halucynogenne i tak dalej. Dla Michała najciekawsze jednak były pytania dotyczące postępowania tłumu, obecności osób stymulujących zachowania histeryczne, potencjalnych — świadomych, bądź nieświadomych — przywódców manipulujących reakcjami wierzących, i oczywiście domniemanej reżyserii całego wydarzenia. Nie wydawał się usatysfakcjonowany wnioskami, jakie płynęły z relacji Michała. Dobrze, że w paru miejscach niezręczną sytuację rozładowały kiepskie żarty Rawicza. Zawój zerknął za siebie, czy nie nadchodzą.

— Sprawa coraz bardziej śmierdzi, krajowi grozi chaos — zniżył głos do szeptu. — Sam widzisz, jak reaguje Kościół, niezwykle wstrzemięźliwie.

— W kwestii cudów Kościół zawsze był ostrożny.

— Ale nigdy nie miał do czynienia z takim ich nagromadzeniem. Oni po prostu nie wierzą, że to znaki od Pana Boga.

— Sądząc z niektórych wypowiedzi…

— Nie żartuj — Zawój klepnął dłońmi w kolana. — To normalne, że zostawiają sobie furtkę. Ich szkoła dyplomacji ma wielką tradycję.

Drzwi otworzyły się bez pukania. Do pokoju weszło dwóch mężczyzn, których wygląd przyjęto nazywać: ludzie na stanowiskach. Markiewicz pozbył się swego elektronicznego notesu, co sugerowałoby koniec pytań, lecz nie wyglądał na odprężonego. Siadając podsunął Rawiczowi fotel i zwrócił twarz w stronę Michała.

— Pańska relacja stanowi dla nas nieocenioną pomoc — uśmiechnął się zdawkowo. — Mam jednak jeszcze jedną prośbę.

Zawiesił głos, a potem dalej kontynuował, widać traktując milczenie za przyzwolenie.

— Pańskim prywatnym zdaniem, jakie naprawdę było pochodzenie samego zjawiska?

Michał wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— I to wszystko…? — mężczyzna potrząsnął głową. — Proszę zrozumieć. W pańskim przypadku, naocznego świadka, znanego naukowca, nawet przypuszczenia mogą być cenne.

Zerknąwszy na Zawoja, Michał przesunął się w fotelu.

— To wszystko zostało już dzisiaj nazwane w tym pokoju — zaczął wysuwać palce. — Po pierwsze ingerencja jakiejś siły politycznej, może ponadnarodowej, mającej dostęp do najnowocześniejszej technologii. Tylko za bardzo nie widać, kto przeciw komu. Amerykanie? Wątpliwe, to zwykła europejska ksenofobia. Różni wariaci i natchnieni? Zgoda, tylko ci nie mają środków. Próba skompromitowania Kościoła i samej religii, tylko przez kogo? Arabów? Można

jeszcze dodać kosmitów i światy równoległe.
Michał spojrzał Markiewiczowi prosto w oczy.
— Pozostaje jeszcze Drugie Przyjście. Nikt z nas nie wie, jak powinno wyglądać — miał wrażenie, że nie jest właściwie rozumiany. — Chcę powiedzieć, że nie możemy tego odrzucić.
Markiewicz pokiwał głową do swoich myśli, a potem nagle okręcił się w fotelu do pozostałej dwójki.
— Słyszeliście panowie o tym facecie w Kongresie, który twierdził, że dostał wiadomość od Archanioła Gabriela, co do dokładnej godziny Sądu Ostatecznego?
Rawicz roześmiał się głośno.
— Amerykanie lubią takie numery, szczególnie na początku kampanii.
— Ale mają nienaukowe podejście — Zawój przysunął do nich fotel. — Powinni się gościa spytać, według jakiego czasu podano mu termin.
Michał uniósł się ociężale. Wiedział, że teraz w jego obecności nie zostanie już powiedziane nic istotnego. Przestał być człowiekiem zaufanym. Mruknął coś niewyraźnie i wyszedł na korytarz, gdzie przez wysokie okna widać było ostatnie liście spadające z drzew. Jesień się kończy, pomyślał, nadchodzi czas umierania.

Deszcz lał równo przez całą podróż, zamieniając asfaltowe drogi w pułapki, na których łatwo stracić panowanie nad kierownicą. Przez pierwszą godzinę słuchał radia, lecz nawet małe, lokalne rozgłośnie, irytująco często syciły wyobraźnię słuchaczy opisami nadnaturalnych wydarzeń, nieraz wzbogacając informacje wywiadami.
— „…A więc śniło się panu to samo co reszcie rodziny?”
— „Tak” — z przejęcia głos przechodził w wyższe rejestry. — „Szliśmy Piotrkowską, to znaczy ja, moja żona i dzieci, a wszędzie pusto. Ni żywego ducha. Wie pan, panie redaktorze, miasto nie wyglądało na zniszczone, było jakieś zapuszczone. Brudne szyby, kłódki na drzwiach, odpadnięty tynk…”
— „Przeraziło to pana?”
— „Nie, bardziej przygnębiło. Poczułem stracha dopiero, kiedy ci starcy wyszli na ulicę.”
— „Starcy?”
„No, trudno to określić, byli strasznie brudni i zaniedbani, ale myślę, że mieli pod sześćdziesiątkę. Patrzyli…, tego nie da się opisać. W ich oczach widziałem, samotność, żałosną samotność.”
— „Rzeczywiście apokaliptyczna wizja, czy na tym sen państwa się zakończył?”
— „Nie. Oni unieśli ręce i wskazali coś na niebie.”
Dziennikarz sztucznie się roześmiał.
— „I co tam było?”
— „Nie wiem, jakiś kształt. Zanim go rozpoznałem, sen urwał się.”
Po tym wywiadzie odechciało się Michałowi słuchać radia. Niestety, monotonny szum motoru, szelest opon trących o asfalt i deszcz, deszcz rozbijający się o szyby, pogarszały jego, i tak nie najlepszy, stan. Dygotał, mimo że klimatyzacja wozu działała bez zarzutu. Nerwowe dreszcze drażniły ciało utrudniając koncentrację na zalanym wodą krajobrazie. Na dodatek od samego przebudzenia dręczył go ucisk w skroniach i po raz kolejny roztarł zmęczone powieki. Chyba wszystko przez ten ranny telefon z Paryża. Simon gorąco namawiał, aby przyjechał na jutrzejszą sesję Europejskiej Unii Astronautycznej. Podobno miał realne szansę, aby wskoczyć do grupy bezpośrednio nadzorującej przebieg programu „Skaner”. Nie wierzył w to, a jeśli nawet, to nie miał ochoty i wił się jak piskorz, aby uniknąć konkretnej odpowiedzi. Wiedział, że być może za parę dni będzie żałował swojej decyzji, lecz teraz musiał mieć czas dla siebie. Aby uciec od

dalszych telefonów, zdecydował się na niespodziewany wyjazd. Znajomi nie ukrywali zdziwienia, kiedy stanął u ich drzwi o siódmej rano, prosząc o klucz od domku letniskowego. Przy wszystkich zaletach: ciszy, elektrycznym ogrzewaniu czy antenie satelitarnej, posiadał on, co prawda, jedną wadę. Postawiono go prawie dwieście kilometrów od Warszawy.

Gwałtownie zahamował. Mały kościółek stał na obrzeżu wioski, niczym słup graniczny oddzielający zabudowę od pól. W jego zwartej bryle dostrzegł dla siebie jakąś nieuchwytną pociechę. Tak w każdym razie to odbierał. Zjechał na podsypkę i ustawił samochód koło wysokiego, drewnianego krzyża. Z twarzy Chrystusa spływały w dół krople deszczu, jakby jeszcze bardziej chciały pogłębić udrękę zawieszonego na krzyżu ciała. Michał zmrużył oczy i szybko przebiegł drogę dzielącą go od drzwi kościoła. Pchnął, uchyliły się bezszelestnie. W półmroku nie rozróżnił pierwotnie kształtów, jedynie zapach: leśnego igliwia, świec i starego drewna. Przestąpił próg, rozumiejąc, że potrzebuje, aż do bólu, zadać jedno pytanie. W obramowaniach jasnych belek płaszczyzny witraży przepuszczały widmowe światło. Przesunąwszy wzdłuż nich wzrokiem dojrzał przy ołtarzu postać w sutannie. Poprawiała kwiaty w jednym z wielkich dzbanów, pomalowanych w ludowe wzory. Kiedy doszedł do połowy głównej nawy, ich spojrzenia spotkały się.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków, amen — ksiądz mimo braku siwizny miał swoje lata. — Co cię sprowadza, synu?

Przypominając sobie, że powinien przyklęknąć przed ołtarzem, opadł na kolana i już w takiej pozycji pozostał.

— Mam problem… — próżno szukał dalszych słów.

Ksiądz przysiadł na skraju pierwszej z ławek.

— Wstań — wskazał miejsce naprzeciwko — kolana lepiej zostaw do rozmowy z Bogiem.

Poczuł pod palcami chropowatość oparcia i twarde drewno. To go nieco uspokoiło.

— Świat wariuje — uniósł dłoń. — Nie, nie zapytam, co ksiądz myśli o tych wszystkich znakach. Co innego mnie gnębi.

Usta księdza, zamknięte w sieci zmarszczek, milczały. Tylko oczy błysnęły żywiej, jak zwykle lepiej odsłaniając duszę.

— Proszę księdza. W tym roku zmarła droga mi osoba — czuł, że ledwo panuje nad głosem. — Czy teraz, czy gdyby rzeczywiście miał nastąpić koniec świata, rzeczywiście spotkałbym ją?

Przyszło mu do głowy, że się wygłupił, lecz myśl zniknęła, zanim do końca zdążyła wykiełkować. W ciszy deszcz delikatnie bębnił o dach kościoła, dźwięk spływał z wysoka sprawiając, że po raz pierwszy tego dnia przestały mu drżeć ręce.

— Jeśli obydwoje byliście prawi, spotkacie się. Tak mówi Pismo.

Odetchnął głęboko. Miał wrażenie, że księdzu należy się choć słowo wyjaśnienia.

— Ona nie była moją żoną, ale bardzo się kochaliśmy — opuścił głowę. — Nie zdążyliśmy się pobrać, jeszcze studiowała..

Ksiądz uśmiechnął się z nie znaną Michałowi dobrocią.

— Bóg jest wyrozumiałością i miłością, pamiętaj. To największa tajemnica naszej wiary.

Nie wstydził się łez płynących po policzkach. Ponownie przyklęknął pośrodku pustego kościoła.

— Chciałem… — wyszeptał i dodał głośniej. — Chciałem się wyspowiadać.

Ksiądz bez słowa narzucił na ramiona stułę i przeżegnał się.

— Mów, Bóg cię wysłucha.

Po kwadransie, gdy szum deszczu przycichł, obydwaj wstali i podeszli do ołtarza przykrytego białym obrusem. Z pochyloną głową czekał, aż otworzy się tabernakulum, a ksiądz położy na

języku opłatek hostii. Potem pogrążył się w modlitwie, znajdując ukojenie w słowach znanych od dzieciństwa, lecz teraz jakby na nowo smakowanych. Gdy skończył i wolno ruszył do wyjścia, raz jeszcze usłyszał kapłana.

— Jak ty, nie wiem, co się dzieje, ale pamiętaj, szatan to książę iluzji. Pamiętaj.

Postać w sutannie wróciła do układania kwiatów w wazonach.

— Książę iluzji — powtórzył Michał, położywszy dłoń na klamce i wzdrygnął się.

Na zewnątrz przywitały go zalane deszczem podwórze, zimny wiatr i samotny pies biegnący wzdłuż ogrodzenia. Jak z obrazów Utrilla. Zaciągnął wyżej ekler kurtki i omijając kałuże, pobiegł do wozu. Włączył silnik i chwilę obserwował, jak nawiew radzi sobie z zaparowaniem. Czuł się wolny i swobodny. Nie potrzebował myśli ani słów, aby to wyrazić. Czuł to. Wrzucił bieg i samochód potoczył się na drogę. Szare popołudnie kończyło się, przechodząc w szary wieczór. Pod mglistym baldachimem wysokich sosen leżało ciemne, wilgotne igliwie. Ale godził się z tym, godził się z całym światem. Przymknął oczy i pewniej zacisnął palce na kierownicy.

Uderzenie było silne. Wóz zatańczył na mokrym asfalcie, i zanim go opanował, każdy ruch kierownicy odbił się w żołądku mdlącym osłabieniem. Drugie uderzenie w zderzak było słabsze, za to ujrzał twarze napastników. Gówniarze, pijani jak bąki, śmiali się i wylewali na niego rynsztok słów. Ich nowiutki mercedes gnał lewym pasem, a wykrzywione chorobliwą nienawiścią pyski mówiły, że nikt im nie podskoczy. Próbował zwolnić, lecz powtórzyli jego manewr, waląc tym razem całym bokiem wozu. Poczuł w ustach smak krwi. Nie znał ich, ani oni jego — zwykłe, małe sukinsyny, pragnące w pijanym widzie wysłać go do kostnicy. Las uciekał po bokach szarymi smugami. Próbował zapalić reflektory, lecz lewy, najwyraźniej rozbity, nie zadziałał. Bał się zatrzymać i stanąć twarzą w twarz z ich nienawiścią.

Raptem, w ułamku sekundy, spoza zakrętu wyskoczyły długie światła potężnego TIR–a. Michał przykleił się do pobocza, usiłując zostawić im miejsce. Ryk klaksonów, kątem oka dojrzał znak drogowy, którego słupek mijał o centymetry. Wizgot powietrza rozpruwanego masą ciężarówki, zdezorientowane twarze gówniarzy… skręcił ostro kierownicą i wziął zasłonięty krzakami zakręt. Oni nie zdążyli. Mercedes, kosząc barierę, wyleciał z drogi, odbił się od pnia i z łoskotem wylądował na rosłym drzewie. Michał z trudem opanował wóz i wyhamowawszy na poboczu wyskoczył na drogę. Stanął.

Uszy poraziła cisza, jedynie w oddali milkło echo wściekłego klaksonu ciężarówki. Drobny kapuśniaczek zraszał twarz wilgotną wysypką. Rozcierając ją rękawem, ruszył na miejsce kraksy. Faceci nie mieli prawa wyjść z niej cało. Maska wozu prawie że miłośnie oplotła drzewo, a spomiędzy powyginanych blach ściekała na igliwie ciemna posoka. Paliwo, pomyślał i ruszył biegiem w stronę na wpół wyrwanych drzwiczek. Mimo półmroku dojrzał rozbitą twarz pasażera — z miejsca, gdzie były usta, wydobywały się lepkie pęcherzyki powietrza. Chwycił mężczyznę pod pachy i próbował wyciągnąć. Gdzieś w połowie zrozumiał, że nogi zaplątały się pod zgniecionym fotelem. Cholerne gnoje, jechały bez pasów! Szarpnął i nie dochodząc przyczyny głuchego trzasku, położył mężczyznę na poboczu. Droga nadal była pusta. Ruszył na drugą stronę samochodu, lecz mijając zderzak, potknął się. Kierowca leżał z otwartymi oczyma, a z uszu i nosa płynęły wąskie strumyki krwi. Nie żył. Gdzieś wysoko, w drzewach oplecionych pajęczyną rychłej nocy, zagwizdał wiatr. Otumaniony, czując wódczanosłodki zapach zmieszany z wonią benzyny, wrócił do pierwszego z poszkodowanych. W półmroku mało co widział, lecz dostrzegł, jak nogi mężczyzny spazmatycznie kopią ziemię. Drogą wciąż nikt nie nadjeżdżał. Uklęknął i spróbował podnieść głowę ofiary, lepkie włosy plątały mu się między palcami. Boże, posłał ku niebu nieme wołanie, pomóż mi. Co mogę zrobić, oni umrą.

Uniósł powieki zaintrygowany zmianą pod swymi palcami. W pierwszej chwili nie uwierzył

oczom. Pomyślał, że oszalał. Krew śmiertelnie rannego człowieka zdawała się sama wpływać do ran, a opuchlizna znikała w oczach, na powrót nadając krwawej masce wygląd twarzy. Oniemiały, nie za bardzo wiedząc, co czyni, dotknął brwi i gałka oczna wróciła na swoje miejsce. Rozejrzał się, szukając świadków swojej mocy, lecz nadal jedynym towarzyszem były ciemne drzewa. Wybałuszając oczy obserwował, jak z trzaskiem zrasta się kość udowa, a stopa wraca na właściwe miejsce. Nie minęła minuta, a jedynie podarte ubranie świadczyło, że ten człowiek umierał przed chwilą. Dotknął jego policzka. Mężczyzna zachrapał i obrócił się na bok.

— Boże — wstając, Michał zatoczył się — co jest grane?

Chwiejnym krokiem obszedł zdruzgotaną maskę wozu i stanął nad kierowcą. Mężczyzna otworzył oko. Kiedy dojrzał Michała, zabełkotał coś w pijanym widzie. Chociaż mrok utrudniał obserwację, nie można było mieć wątpliwości. Na ciele leżącego nie było znać nawet śladu wypadku.

Michał zatoczył się, odbił plecami od drzewa i przeskakując rozbitą barierkę, wybiegł na drogę. Smuga światła, z jedynego sprawnego reflektora celowała w głąb lasu. Z łomoczącym sercem wskoczył do wozu. Bez spojrzenia za siebie wdusił gaz do oporu. Przez podeszwę poczuł twardość podłogi. Dławiąc się wóz ruszył do przodu, a on kochał go za to nad życie. Potem, zapinając zmartwiałymi palcami pasy, pomyślał, że znowu nic nie rozumie.

Do Warszawy dojechał na resztkach benzyny, lecz już za rogatkami poczuł, jak silnik zaczyna się dławić. Musiał jeszcze trafić do domu, spakować rzeczy i dotrzeć na Okęcie, więc znalezienie stacji stało się koniecznością. Decyzję o wyjeździe na konferencję podjął pod wpływem impulsu, lecz znał siebie i specjalnie tego nie analizował. Nieraz w życiu, borykając się z trudnymi decyzjami stosował ucieczkę. Byle dalej, gdziekolwiek, do innych spraw, a najlepiej do obcych ludzi. Ci dwaj zmartwychwstali pijacy byli ponad jego siły. Nie potrafiłby zmrużyć w nocy oka, mając w pamięci ich twarze. Tam w lesie, na pierwszej lepszej krzyżówce skręcił w lewo i nieco dłuższą trasą, nie chcąc spotkać niedoszłych nieboszczyków, dotarł do stolicy. Z racji okrężnej drogi wjechał do Warszawy od strony dzielnicy mało sobie znanej, lecz słyszał, że gdzieś tutaj, między blokami, kończyła swój żywot niewielka stacja benzynowa.

Dochodziła dziesiąta i już stosunkowo niewielu przechodniów można było spotkać, lecz wygląd niektórych zniechęcał do zawierania bliższych znajomości. Od czasu pierwszych objawień różni frustraci demonstrowali wieczorami swój obstrukcyjny stosunek do państwa, Kościoła i całego społeczeństwa. Właśnie kilku ubranych w obcisłe skóry próbowało przewrócić na dach białego datsuna. Koniec świata, pomyślał Michał i uśmiechnął się sarkastycznie. Omijając ich łukiem, trafił światłem na potrzebny mu kierunkowskaz. Skręcił w ulicę zamienioną w jednokierunkową, najwyraźniej z racji robót wodociągowych. Światła odblaskowe chroniących wykop barierek prowadziły wprost na oświetlony placyk przed stacją. Mógł wyłączyć silnik, gdyż na tym odcinku ulica miała wyraźny spadek. Delikatnie operując hamulcem, zajechał przed dystrybutor. Wysiadł i rozprostował kości. Po ponad trzystu kilometrach miał do tego prawo. Stacja otoczona płotem bazy transportowej i ślepą ścianą nowo stawianego wieżowca mogła wpędzić klientów w klaustrofobię. Przy sąsiedniej kolumnie dystrybucyjnej stał motocykl z przyczepką, której całą powierzchnię zajmował pokraczny baniak. Starszy mężczyzna z niechęcią zerknął na Michała. Lał do przyczepionego zbiornika monstrualne ilości benzyny. Michał nie miał pojęcia, na co mu tyle, aczkolwiek słyszał o rzędach płonących krzyży pod Sochaczewem. Odkręcił wlew i począł uzupełniać własne braki. Czuł zmęczenie i brak energii. Po głowie kołatały słowa starego księdza o księciu iluzji, potem zastąpił je obraz krwi na palcach. Krwi, która zdała się na powrót wpływać do ran.

Mężczyzna z motocyklem zapłacił w okienku i sprawnie uruchamiając starter, wykołował na

ulicę. W łunie elektrycznych lamp zieleń wąskiego trawnika przypominała sklepową atrapę. Zwolniwszy spust odwiesił rękojeść węża na miejsce. Sądząc po światłach, większość ludzi z okolicznych bloków jeszcze nie spała. Wciągnął do płuc chłodne powietrze, a potem odwrócił głowę. Mężczyzna z motocyklem nie ujechał daleko. Stał na stromej uliczce i wrzeszczał coś nieskładnie do otaczającej go grupy świrów. Ubrani w kolorowe szmaty, z nieodłącznymi kolczykami w uszach, blokowali drogę, kręcąc się i podskakując. Najwyższy, w niebieskim kapeluszu na głowie, próbował usiąść na tylnym siedzeniu motocykla, lecz zepchnięty klapnął na jezdni, co przywitano tubalnym rykiem radości. Motocyklista krzyczał i groził, na co w sumie mógł sobie pozwolić. Świry zaliczały się do stosunkowo łagodnej odmiany młodzieżowej subkultury. To nie byli fuckersi, co przy słowie sprzeciwu rozgniatali oponentowi genitalia.

Michał powoli przeszedł do okienka i już miał wręczyć odliczoną sumę, gdy dojrzał w oczach ajenta strach. Odwrócił się. Jezdnią, z narastającym turkotem, zjeżdżał baniak z benzyną. Musiał go odczepić któryś ze świrów. Wymachiwali rękoma, tańcząc wokół osłupiałego mężczyzny, niczym w karnawale. Przekleństwo benzyniarza o ułamek sekundy wyprzedziło trzask zamykanego okienka. Przyczepa, nieźle już teraz rozpędzona, podskoczyła na przypadkowym wyboju i okręciwszy się wokół osi, z całej siły wyrżnęła w słup podtrzymujący reklamę. Motocyklista wiedział, co robi, wrzeszcząc niemal w histerii. Zbiornik, widać lipnie spawany, pękł jak arbuz i wyrzucił ze swego wnętrza większość zawartości. Na szczęście, gdyż reszta, zapalona podczas iskrzenia metalu o beton, rozerwała się w środku. Podmuch zrzucił klosz lampy, zepchnął barierki do wykopu, a odłamki podrzucone pióropuszem ognia zdemolowały neon. Świry rozbiegły się po bramach. Co dziwniejsze, mężczyzna z motocyklem kopnął starter i otoczony płatkami sadzy, jak szalony wyrwał pod górę ulicy. Huk płomieni, zwielokrotniony ścianami domów, stawał się coraz głośniejszy. Czując na twarzy gorący podmuch, Michał uświadomił sobie, że ulicą spływa na stację potok ognia. Unosząca się nad nim fala gorącego i drgającego powietrza przyćmiła blask latarń. Jego zmęczony umysł nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co widział. W oknach pokazały się głowy mieszkańców. Z ich punktu widzenia całość wyglądała dość malowniczo.

Szarpnięcie za rękaw było otrzeźwiające. Ajent, krzyknąwszy coś, pobiegł w stronę bocznej uliczki. Miał rację. Budynek stacji, sprytnie ustawiony w zakolu wysokiego płotu i budowy, miał tylko dwie drogi dojazdowe. Jedynie dalsza, wpadająca między wieżowce, dawała szansę ucieczki, lecz ajentowi nie do końca się udało. Dotarł do jej wylotu równo z płonącą benzyną i, mimo kangurzych skoków, jedną nogę wsadził do ognia. Wyjąc jak zarzynany, wymachując do Michała, zniknął za budynkami. Zawtórowali mu ludzie z okien. Ogień przebył placyk, właśnie pożerał trawnik i zaraz miał ogarnąć kolumny dystrybucyjne. Żar zabierał powietrzu tlen i nie za bardzo było czym oddychać. Smród płonącej benzyny palił w płucach. Wybiegł za róg stacji, lecz wbrew przepisom betonowy płot dochodził do samej ściany — gładkiej i ślepej jak samo przeznaczenie. Z hukiem pękły dwie latarnie nad placem. Zawrócił. Chociaż pamiętał o swoim nisko zawieszonym baku, przekręcił kluczyk. Mimo wycia rozrusznika, silnik nie podjął pracy. Roześmiał się szaleńczo. Dlaczego jego, właśnie jego to spotyka?! Płomienie wdrapywały się na karoserię, topiąc gumowe uszczelki drzwi. W gryzącym dymie piekły oczy i gardło, do reszty odbierając wolę. Raz jeszcze przekręcił kluczyk… bezskutecznie. Kierownica parzyła w palce. O, Boże…, pomyślał i odpowiedziała mu głucha detonacja.

Zza ściany ognia wystrzeliły w niebo płomieniste smugi. Wyraźnie poczuł drgnięcie gruntu i płomień nad placem zawirował płatkami sadzy. Wir ognia urósł, nabrzmiał i nagle, na oczach porażonego Michała, przygasł pod wypiętrzonym wałem czerni. Wyglądało, jakby to asfalt odskoczył od podłoża, dusząc swym ciężarem płomienie. Dopiero po sekundzie rozpoznał wodny żywioł, łapczywie pochłaniający swego śmiertelnego wroga. Płonąca benzyna odrzucona jego

impetem uwolniła dystrybutory i zgasła przyduszona falą błota. Jeszcze tylko przez chwilę, tu i ówdzie, pełgały na jej powierzchni blade płomyki na podobieństwo ogni św. Anzelma.

Oparł głowę na kierownicy i zaczął się dusić przeraźliwym kaszlem. Po policzkach spłynęły łzy, nie wiadomo, zwiedzione dymem czy też dzisiejszymi przeżyciami. Po omacku wcisnął klawisz i opuścił szybę. Z wykopu, po drugiej stronie placu, walił potężny strumień spienionej wody. Przypuszczalnie pękła rura należąca do głównej magistrali. Od ognia? Wątpliwe. Spojrzał piekącymi oczyma w niebo i ciężko westchnął. Silnik, jak oczekiwał, zapalił od razu. Nie zważając na okrzyki stojących na chodnikach gapiów, powoli ruszył przez wodę. Dopiero po kilkudziesięciu metrach przypomniał sobie, że nie zapłacił za tankowanie. Uśmiechnął się boleśnie i ponownie zakaszlał. Samolot do Paryża odlatywał o świcie.

Podobno znaleźli się pisarze, którym podobał się jesienny Paryż. Może… lecz tego dnia trudno byłoby przekonać Michała. Z podniesionym kołnierzem marynarki stał na tarasie wysokiego Hiltona i pozwalał drobnemu deszczowi zraszać twarz. Z tej strony hotel wychodził na stylową dzielnicę, gdzie większość zabudowy pamiętała epokę fin de siècle. Rzędy spadzistych dachów, krytych czerwoną dachówką, topiły się w kłębach delikatnej mgły, której ulotna materia rozpraszała światło późnego popołudnia. Daleko, za niewidoczną stąd nitką Sekwany, dostrzegł sylwetkę Notre Dame — pani wszystkich katedr.

Ciche skrzypnięcie przywróciło go do rzeczywistości. W uchylonych drzwiach kawiarni dojrzał znikającą postać kelnerki. Widać goście, przy takiej pogodzie, nieczęsto wychodzili na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Spojrzał w dół, za balustradę, gdzie jasne światła z sali kolumnowej padały na zżółkłe trawniki. Sesja Europejskiej Unii Astronomicznej ruszyła pełną parą. Grzecznościowo wysiedział referat wstępny i dwa kolejne, lecz więcej nie mógł już wytrzymać. Ale nie żałował przyjazdu. Gdyby został w tym domku w Polsce, pewnie zwariowałby przez weekend.

Ponowne skrzypnięcie upewniło go, że czas już wracać. Pracownice kawiarenki mogą tolerować dziwaków, ale bez przesady. Pchnął uchylone drzwi i już na progu przywitał go dźwięk tłuczonego szkła. Barmanka zasyczała i włożyła palec do ust, lecz po kciuku zdążyła spłynąć wąska strużka krwi. Pęknięty kieliszek wykonano z grubego szkła i nic dziwnego, że zaciął głęboko. Michał poczuł, jak gwałtownie przyspiesza jego puls. Bał się, nie rozumiał tej dziwnej, goszczącej w nim siły. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Być może powinien odczuwać wdzięczność, dziwny wypadek, dziwny ratunek, nie wiedział…

Z głową ciężką od myśli przeszedł na korytarz, a potem w dół do sali kolumnowej. Simon dojrzał go pierwszy i typową dla Francuzów gestykulacją zmusił do podejścia.

— Przyjacielu, gdzie się podziewałeś? — klepnął Michała, aż zabolało. — Twoja kandydatura przeszła pierwszą turę.

Uśmiechnął się blado. Na żółtym znaczku, wpiętym w klapę marynarki Simona, widniał modny ostatnio slogan: *„Europa dla Europejczyków”*.

— Siadaj, za chwilę drugie głosowanie.

Popił łyk kawy z wciśniętego w dłoń kubka i wolną ręką roztarł skronie. Niech będzie, że to dar od Boga. Lecz, co ma z nim czynić? Na wolnym miejscu koło Simona przysiadła dziennikarka, znana Michałowi z widzenia. Pisywała do kilku sensownych dzienników, była rzeczowa i posiadała piękne, orzechowe oczy. Przypuszczalnie ten ostatni walor był decydujący dla kariery. Spróbował skoncentrować się na rozmowie.

— …a więc stąd nazwa „Skaner”?

— Naturalnie — Simon odpowiadał z widoczną wprawą. — Pełna mapa bogactw mineralnych naszej planety od samego początku została uznana przez Unię za sprawę o najwyższym

priorytecie.

— Panie profesorze, mówi się, że nieraz przypominaliście Amerykanom o swoim 40% wkładzie przy budowie stacji „Freedom”.

— Rzeczywiście, tak się mówi —— Francuz był rozbrajający. — Niemniej bez naszego udziału NASA na początku lat dziewięćdziesiątych nie była w stanie przystąpić do budowy stałej stacji orbitalnej. Projekt ten miał zbyt wielu oponentów w obu izbach Kongresu.

Urodziwa Włoszka przesunęła mikrofon wpięty w węzeł krawata Simona. Hałas na sali wzmógł się za sprawą gości powracających na salę przed głosowaniem.

— Wróćmy do samego urządzenia badawczego. Proszę, w dwóch słowach, przybliżyć naszym czytelnikom zasadę jego działania.

Simon przepuścił dwójkę rozgadanych Duńczyków. Jako współcześni kontestatorzy nosili koszulki z emblematem Zjednoczonej Europy.

— Wykorzystujemy zjawisko podobne do rezonansu jądrowego, stosowanego w tomografii — Simon szukał prostych sformułowań. — Samo serce skanera, wysoce energetyczny emiter plazmowy, pobudza do drgań atomy minerałów leżących w kolejnych warstwach geologicznych. Wtórna emisja złapana przez ekrany detektorów i poddana obróbce komputerowej ujawni pełny obraz tego, co skrywa się pod ziemią.

— Promieniowanie, emisja, to brzmi nieco groźnie — głos dziennikarki spoważniał. — Czy taka emisja, prowadzona z orbity również nad obszarami zamieszkałymi, będzie bezpieczna dla ludności?

— Widzę, że wychowała się pani na filmach sf.

— Możliwe, ale sądzę, że większość czytelników również jest tym zainteresowana.

— Nie — tym razem i Simon przestał się uśmiechać — zapewniam, że nie istnieje jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Pani wybaczy… — mruknął i odpiął mikrofon.

Przewodniczący zebrania, siwy Niemiec, ogłosił koniec przerwy, co Simon skwapliwie wykorzystał, aby zakończyć niewygodny dla siebie wątek. Włoszka nie wyglądała na zadowoloną, Michał zresztą też. Francuz świadomie kłamał. W rękach wariata czy terrorysty skaner mógłby nie tylko szkodzić, ale i zabijać.

Musiał się uśmiechnąć, gdyż z pierwszego rzędu machali do niego znajomi Węgrzy. Poznał ich na wiosennej sesji nad Balatonem Czuł się wtedy tak podle, dochodząc do siebie po wypadku Gosi, że nawet odrobina ludzkiej życzliwości pozostawiła niezatarte wrażenie.

— Co za zdzira… — odprowadziwszy dziennikarkę wzrokiem, Simon opróżnił swój kubek. — To tak, jakby pytać kierowcę, czy jego autobus jest bezpieczny. Wiadomo, że w zasadzie tak.

W sali robiło się coraz duszniej. Niespodziewanie zaintrygował Michała mężczyzna pod ścianą. Wysoki, o klasycznych rysach, wcześniej go nie widział. Łapiąc jego wzrok odwrócił głowę. Simon wskazał ekran nad prezydialnym stołem, gdzie czwarte miejsce listy zajmowało jego nazwisko.

— Stary, przejdziesz — Francuz dźgnął go palcem. — Pamiętaj, pierwszy ci to mówiłem!

Trudno mu było dzielić entuzjazm kumpla. Mając własne problemy na głowie, nie widział siebie w grupie wyjeżdżającej do Szwajcarii. Tam, w odosobnionej alpejskiej dolinie, mieściło się właściwe centrum dowodzenia projektu „Skaner”. Przez pierwszy miesiąc mieli, korzystając z sieci przekaźników, testować pracę urządzenia chwilowo zamontowanego u boku stacji „Freedom”. Lecz później, z racji potężnej radiacji, moduł skanera miał się odłączyć i już samodzielnie kontynuować dalszy lot. Wtedy już tylko trójka z alpejskiej bazy miała kierować jego pracą. Zmiął kubek i dyskretnie zerknął w bok. Typ spod ściany dalej mu się przyglądał. Dziwne, że nie miał plakietki z nazwiskiem.

— Ej… — poczuł ciepły oddech Simona. — Na co czekasz?

Na ślepo wybrał przycisk ze swego pulpitu. Dopiero po chwili, gdy zorientował się, że zagłosował na siebie, zrobiło mu się głupio. Ale już na tablicy wyświetlano wyniki.

— Eric Norsen ze Szwecji, Allan Stichcomb z Wielkiej Brytanii oraz Michał Langiewicz z Polski.

Musiał wstać i pokazać się wszystkim. Simon zmusił go do pomachania rękoma.

— Dziękuję, wspaniale, świetnie — uśmiechał się, i nie zważając na minę Simona, począł przepychać się do wyjścia. — Jasne, cieszę się bardzo… tak jest… będę o tym pamiętał.

Od twarzy, znajomych i nieznajomych, kręciło mu się w głowie. Deptano jego stopy i usilnie namawiano do uściśnięcia dłoni. Słysząc żart, aby nie uciekał, zrobił wieloznaczną minę. Oszołomiony, musiał oderwać się od tych wszystkich spojrzeń i gratulacji, zaszyć się w swoim pokoju i raz jeszcze całość przemyśleć. Wymienił gratulacje z dwójką przyszłych współpartnerów, posłał ukłon w stronę przewodniczącego i wyszedł na korytarz.

Po paru metrach, bardziej wyczuł, niż dojrzał, że ktoś jeszcze opuścił salę. Wysoki mężczyzna, widząc, że został zauważony, uśmiechnął się lekko. Michał przyspieszył kroku skręcając ku windzie. Akurat wysiadała z niej para młodych ludzi. Idąc w stronę sauny nieśli duże torby reklamowe wypchane szlafrokami. Przyspieszył i zdążył wpaść do środka, zanim jeszcze mechanizm zaczął zamykanie drzwi. Wdusił klawisz piętra i zerknął przez szczelinę. Mężczyzna szedł za nim, lecz nie przyspieszał, jedynie lekko się uśmiechał. Kiedy winda drgnęła, Michał odprężył się, lecz tylko na moment. Mężczyzna przeniknął drzwi windy i stanął naprzeciwko.

— Nie bój się — powiedział.

Michał już wiedział, kogo mu przypomina. Anioła z tryptyku Memlinga. Przeniósł wzrok na kontrolkę koło drzwi. Mrugała, lecz nie czuł ruchu windy.

— Kim jesteś? — wychrypiał.

— Wysłał mnie ten, który cię uratował — wysłannik rozłożył ręce. — Pyta, dlaczego nie korzystasz z daru?

Wsparł się plecami o ścianę windy. W powietrzu unosił się zapach cedrowego drewna.

— Chcecie zniszczyć nawet tę atrapę życia, jaka mi pozostała — przełknął ślinę. — Kogo mam uzdrawiać? Bogatych czy biednych? Za pieniądze czy dla uwielbienia?

Wysłannik pokiwał głową.

— Żałujesz, iż nie dostałeś daru wcześniej?

Poczuł, jak niepotrzebne, jak bolesne jest to pytanie.

— Jeśli jesteś od niego — zbyt wiele słów cisnęło się na usta — powinieneś zrozumieć, jak mi ciężko.

— Pan kazał powiedzieć, że ukoi twój ból.

— Nie! Teraz nie pragnę już jego opieki — fala gorąca płynęła z głębi trzewi. — Niczego nie przyjmę, ani też nie zapomnę!

Serce łomotało, głośno i natarczywie.

— Uspokój się, on wie, czego pragniesz.

Twarz wysłannika straciła ostre kontury, a potem, wraz z całym ciałem, rozpłynęła się w powietrzu. Michał osunął się po ścianie z pięścią przyciśniętą do żołądka. W uszach słyszał coraz donośniejszy łomot.

— Nie przyjmę — wyszeptał. — To nieuczciwe.

Drzwi windy odskoczyły na boki. Unosząc głowę dojrzał mężczyznę w uniformie z łomem w dłoniach. Obok stał recepcjonista, któremu przez ramię zaglądało kilku ciekawskich gości.

— Przepraszamy najmocniej — mężczyzna rozłożył ręce. — Ta winda dopiero miała przegląd, a nawet ręczne otwieranie wysiadło. To już się nie powtórzy.

Właściciel łomu nachylił się, aby pomóc mu wstać.

— Nie szkodzi — Michał usiłował pokryć zmieszanie uśmiechem. — Trochę się wynudziłem.

— Co innego — roześmiał się któryś z przygodnych obserwatorów — gdyby pana zamknięto z wysoką blondynką.

Reszta zawtórowała dowcipnisiowi. Krok za krokiem zostawiał ich głosy za sobą i jeszcze tylko przechodząc koło lustra, zerknął nerwowo w jego błyszczącą powierzchnię. Na szczęście tym razem nikt mu nie towarzyszył.

Poprzedniego wieczoru, któryś dzień z rzędu, oblewał awans do trójki wspaniałych. Gdyby nie współczesna chemia, pewnie w ogóle nie wstałby rano z łóżka. Fax, który przyniesiono podczas płukania zębów, sprawił, że do reszty zapomniał o bólu głowy. Rząd Polski gratulował nominacji, jak to napisano, o światowym wydźwięku, i dla poczucia bezpieczeństwa przysyłał pracownika UOP. Poniżej podpisów, dodano małym drukiem: *pan Boleski przybędzie samolotem LOT–u we wtorek o szesnastej po południu.*

W urzędowych pismach trudno jest odróżnić prośbę od polecenia, więc dla świętego spokoju wynajął samochód i po obiedzie udał się w stronę lotniska. Widać mając w pamięci jego alkoholowe wybryki z ostatniego tygodnia, obsługa patrzyła mu na ręce, ale najwyraźniej dobrze się spisał, gdyż zgodnie z życzeniem dostał szybki model sportowy. Opuścił szybę i pozwolił gładzić listopadowemu słońcu swoją twarz. W ostatnich dniach natężenie cudów wyraźnie zmalało, zarazem zdecydowana większość miała teraz miejsce w Europie. Miejsce widzeń zajęły głównie sny prorocze i stany mistyczne. Mimo to trudno było mówić o powrocie do normalności. Patrząc po witrynach sklepów, dawało się zauważyć, jak wiele firm zawiesiło działalność. Reklamy zastąpiły opuszczone żaluzje i naklejki w stylu: *„Do zobaczenia w następnym stuleciu”*. Lecz to nic w porównaniu z gazetami, w których zniknęły całe kolumny ogłoszeń, dzięki czemu niektóre tytuły balansowały na krawędzi bankructwa. Nie dotyczyło to naturalnie periodyków poświęconych cudom, przepowiedniom i rzeczom tajemnym. Ich rozkwitowi dorównywał jedynie popyt na wszelakich osobników łączących się z drugim światem. W parze z nimi szły tabuny cwaniaczków pławiących się w morzu ludzkiej naiwności. *„Jeśli nie wiesz, kto zaopiekuje się Twoim domem, kiedy pójdziesz do nieba, przyjdź do nas!”* Zwolnił, objeżdżając leżącego na jezdni mężczyznę. Ten, ubrany w zwoje materiału, zdawał się czekać, aż ktoś go przejedzie. Kierowca nadjeżdżający z przeciwka opuścił okno i splunął gęstą śliną na leżącego. Michał przeniósł wzrok na bez— chmurne niebo. Bolał go żołądek. A poza tym, aż do szaleństwa pragnął, aby świat wrócił do normy. Po chwili zrozumiał, że się mylił. *Wydęte karawele o żaglach z czerwonych motyli I pachnące cynamonem, pieprzem i imbirem…*, Gosia bardzo lubiła ten wiersz. Pamiętał, jak recytowała zwrotkę za zwrotką, a ich dłonie ogrzewał żar ogniska. Strasznie pragnął być z nią znowu… Drżącymi rękoma skręcił w poprzeczną ulicę, gdzie na moment można było przystanąć. Sprawca cudów dał mu nadzieję i to było przerażająco bolesne. Nowa możliwość kusiła i napawała lękiem.

Przechodnie, idący chodnikiem, ciekawie zerkali w jego stronę, więc ukrył twarz w dłoniach. Simon nic nie rozumie, pomyślał wspominając wczorajszą libację.

— Za wszystkich, których cuda sprowadzą na łono Kościoła — Francuz uniósł kieliszek i przechylił do dna.

Mylił się. Ludzie wierzący nie potrzebują spektakularnych gestów, tracących teatralnością. Gdyby tak było, religie dawno by umarły, a ich prawdy zamieniły się w puste słowa. Człowiek dochodzi do Boga przez zwątpienie, przez bezustannie dręczące go pytania, przez szukanie sensu istnienia. Nie trzeba być św. Tomaszem czy Leibnizem, aby dojść do tego wniosku. Naturalnie znajdą się tacy, których tylko cuda będą przyciągać, lecz równie dobrze mógłby ich zachęcić

krzykliwy przywódca wskazujący wspólnego wroga, ktoś obiecujący dużo pieniędzy i mało pracy czy też po prostu wyraziciel starej zasady: chleba i igrzysk.

Donośny dźwięk klaksonu wyrwał go z rozmyślań. Obok, lawirując pośród samochodów, wymuszając niekiedy drogę ryzykownymi skrętami, przesuwał się biały ambulans. Chwilę śledził jaskrawy krzyż z tylnych drzwi, a potem ruszył jego śladem. Zastanawiało go, właściwie po jaką cholerę wysłano Boleskiego. Może dostali cynk, że poczynia sobie za bardzo rozrywkowo. Czort wie, co im się roi w głowie. Terroryści o niczym innym nie marzą, jak tylko, żeby porwać polskiego delegata EUA.

Zwolnił, gdyż kłęby dymu unoszące się nad dachem domu, już z daleka sygnalizowały nieszczęście. Płomienie strawiły część dachu i osmaliły dwa górne piętra. Gapie stali na chodnikach, część z opuchniętymi twarzami obwiązanymi mokrymi chustkami. Z kilku wybitych szyb sypnęło szkłem, aż na jezdnię, słyszał, jak miażdży kołami okruchy. Na asfalcie leżały kawałki cegieł, parę rozbitych doniczek, a nawet obtłuczone gipsowe popiersie. Dopiero widok kilkunastu Arabów, chronionych przez kordon policji, uświadomił Michałowi źródło konfliktu. W ostatnim czasie typowe napięcia etniczne przybrały na sile, szczególnie jeśli ludność napływowa wyznawała inną wiarę. Wszelakie objawienia tyle ją obchodziły, co Europejczyka taniec kobry. Trudno przychodziło znaleźć wspólny język. Omijając resztki usuwanej przez policję barykady, gwałtownie wdusił hamulec. Jezu…

Nigdy nie ustalono przyczyny pożaru. Akurat tej nocy w żadnym z akademikowych pokoi nie urządzano balangi czy nocnej nasiadówy. Dlatego płomienie zauważono dopiero o drugiej w nocy, kiedy pożar wypełzł już z magazynu i odciął jedyną klatkę schodową. Michał nigdy nie wybaczył tej rozhisteryzowanej matce, której krzyk zmusił Gosię do ponownego wejścia w płomienie. Cholerne bachory od dawna były na dole, a Gosia nigdy już nie wyszła z dymu. Strażacy mówili, że musiała zgubić drogę. Jezu, pomyślał ponownie, i mimo ponaglających ruchów policjanta, śledził ciało leżące na noszach. Kobieta wynoszona z pożaru, tu na paryskiej ulicy, do złudzenia przypominała Gosię. Szyderczy kaprys losu.

— Tu nie wolno parkować! — wrzasnął za nim stróż porządku, lecz Michał nawet nie odwrócił głowy.

Nie potrafił opanować swego irracjonalnego przymusu. Bóg wygrywał. Los, ślepy traf pokonały go, szachując sytuacją, w której mógł wykonać tylko jeden ruch.

— Proszę mnie puścić — wykrzykiwał nie najlepszą francuszczyzną — jestem jej krewnym.

Lekarz był przeciwny, lecz widać rzut oka na twarz Michała przekonał go, że ma do czynienia z trudnym przeciwnikiem. Machnął ręką, aby wsiadał. W środku leżała jeszcze jedna osoba: starsza kobieta z rozbitą kamieniem głową. Siadł u jej wezgłowia, i niepomny na ciche pojękiwania, wbił wzrok w ciało dziewczyny.

— Dym — sanitariusz starał się okazać współczucie — przynajmniej nie cierpiała. To ktoś bliski?

Nie odpowiedział. Z racji syreny wyjącej na dachu jechali dość szybko. Dla pewności złapał uchwyty i do bólu zacisnął powieki. Pragnął, aby żyła. Żyła, oddychała, pociła się, myślała, kochała… Instynkt nie zawiódł. Rozwarłszy powieki dojrzał pierwszy ruch klatki piersiowej, potem następne.

Ciche westchnienie podrzuciło sanitariusza. Nachylił się nad dziewczyną, a potem krzyknął coś niezrozumiale w stronę szoferki. Michał drżał jak w febrze. Zęby szczękały o siebie i czuł się jak na rauszu. Szumiało mu w głowie, kiedy w takt dawno niesłyszanej melodii powtarzał w duchu: *Niech się dzieje, co ma się dziać, niech się dzieje, co ma się stać.*

Kierowca musiał zawiadomić szpital po drodze, gdyż jak tylko zajechali na podjazd, w gwałtownie szarpniętych drzwiczkach pokazał się wózek noszowy. Nikt nie zwracał uwagi na

przygodnego współpasażera. Zajęci cudownym powrotem dziewczyny ze świata cieni, nawet nie pomyśleli, że właśnie on, niepozorny człowiek, jest sprawcą cudu. Z radosnym uniesieniem obserwował, jak podłączają jej ramię do kroplówki. Gdy pobiegli w stronę drzwi szpitala, miękko wyskoczył na chodnik. Czuł, jakby cały ból nagromadzony przez miesiące udręki znalazł wreszcie ujście. Wiedział, że to nie była Gosia, lecz w tej chwili mu to nie przeszkadzało. Odchodząc, zerknął w głąb ambulansu i jeszcze na moment przystanął. Kobieta z rozbitą głową patrzyła na niego porozumiewawczo, a potem uniosła dłoń. Powoli, z namaszczeniem, jej palce nakreśliły znak krzyża.

Tego ranka Boleski nie uśmiechnął się ani razu, co już samo w sobie stanowiło zły omen. Uniósł wysoką szklankę z piwem i obrócił pod światło.

— Jednym słowem, odmawia pan?

Michał wzruszył ramionami. Cała sytuacja była idiotyczna, a prośba Boleskiego absurdalna. Miał zrezygnować z udziału w eksperymencie, tylko dlatego, że w rządzie ktoś cierpi na manię prześladowczą.

— Śmieszne pytanie — przysiadł na oparciu fotela. — Trudno oczekiwać, że tak po prostu zrezygnuję z celu, na który pracowałem od kilku lat.

Kłamał, lecz Boleski nie musiał o tym wiedzieć. Z położonej na kolanach teczki UOP–owiec wyjął kilka kartek zabezpieczonych plastykiem. W słabym świetle poranka mignęły jakieś zdjęcia i wykresy.

— W porządku, mam upoważnienie do ujawnienia kilku dokumentów — jego pierwszy tego dnia uśmiech nie zaliczał się do przyjemnych — ale proszę pamiętać, że sam pan chciał.

Do Michała dotarła pogróżka ukryta w tym stwierdzeniu. Nie pchaj palca między drzwi, nie żądaj od służb, aby ci się tłumaczyły. Być może Boleski tęsknił do starych, dobrych czasów, gdy mogli używać prostych, ohydnych, ale skutecznych metod.

— Po pierwsze proszę przyjąć do wiadomości, że serią zjawisk nadnaturalnych od samego początku zainteresowały się służby specjalne.

Michał opadł w fotel, gdyż zanosiło się na dłuższą rozmowę. Oparł dłonie na poręczach.

— Po dwóch tygodniach zawiązał się ponadnarodowy komitet, który w pierwszym rzędzie zlecił inwigilację osób stanowiących zagrożenie ładu społecznego.

— Sepleniących dziennikarzy?

— Nie, takich jak pan. Ludzi mających dostęp do broni, informacji, wszelkich czynników destabilizujących…

— Broni?

— Tak, skaner, o czym pan dobrze wie, może zostać użyty jako narzędzie zagłady. Niestety, trochę za późno dowiedzieliśmy się o tym.

Michał przechylił się gwałtownie nad ławą i przysunął szklankę z piwem. Ciepła ciecz ledwie spłukała gardło, lecz przynajmniej mógł się odezwać.

— Bierzecie mnie za szpiega?

— Nie — Boleski uśmiechnął się pod nosem — ale uważamy, że ktoś panem manipuluje.

— Świetny pomysł, ale niby: kto i po co? Uniesiona dłoń wstrzymała dalsze pytania.

— Powoli, najpierw proszę posłuchać — uniósł kartkę. — Dziesiątego listopada, dzień po spotkaniu w ministerstwie, wyjechał pan do daczy Karkowskich. Jednak już wieczorem wrócił pan do stolicy…

— Zdecydowałem się na lot…

— Wiemy, proszę nie przerywać — głos Boleskiego nie przypominał wesołego kompana znad jezior. — Najważniejsze jest to, że na stacji benzynowej przy ulicy Zagórskiej cudem uniknął

pan, jeśli nie śmierci, to przynajmniej straszliwych obrażeń.

Przez sekundę zapragnął wszystko powiedzieć. Gdyby rozmowa miała miejsce dzień wcześniej… Sięgnął do puszki i nie szukając pośrednictwa szklanki, wlał zawartość do ust.

— I jaki stąd wniosek?

— Jak pokazały eksperymenty, rura wodociągowa nie pękła sama — odwrócił w stronę Michała zdjęcie wykopu. — Odcinki głównej magistrali są wykonywane specjalną techniką, w praktyce chroniącą przed każdym przypadkowym pęknięciem. A ta rura puściła na całym obwodzie.

Hotelowym korytarzem przejechał wózek sprzątaczki. Odruchowo zerknęli na drzwi.

— Nie ma w tym nic dziwnego — Boleski zawiesił głos. — Rurociąg został przecięty impulsem lasera.

— Jasne — Michał roześmiał się gardłowo — ktoś rąbnął laserem z balkonu.

— Nie, nie z balkonu — Boleski odwrócił kolejną kartę — najprawdopodobniej ze stacji „Freedom". Ekspertyzy nie zostawiają żadnej wątpliwości, co do tego, że źródło emisji znajdowało się na orbicie.

— Gdybym nie wiedział, z kim rozmawiam…

— Panie Michale — Boleski przechylił się gwałtownie w jego stronę — ktoś zaplanował wypadek na Zagórskiej. Ktoś na tyle potężny, że posiada dostęp do supertajnego obiektu, jakim jest stacja orbitalna.

— To niemożliwe.

— A możliwe są te wszystkie cuda?

Nie potrafił znaleźć właściwej riposty. Ze zrezygnowaną miną obrócił puszkę w palcach.

— Nazwijmy rzeczy po imieniu — Boleski zniżył głos do profesjonalnego szeptu. — Sądził pan, to sam Stwórca cudownym sposobem rozwalił rurociąg, prawda?

Michał potarł drętwymi palcami wieczko puszki. Zadziwiające, że napełniano ją zaledwie trzy dni temu.

— W porządku, może pan nie odpowiadać. Weźmy się za kolejną sprawę: głosowanie.

Słowa Boleskiego ponownie boleśnie zaatakowały jego umysł.

— Głosowanie było uczciwe.

— Myli się pan — Boleski sięgnął po kolejną kartkę. — Dostaliśmy taśmę kręconą przez ochronę konferencji podczas głosowania. Siedząc kadr za kadrem ustaliliśmy, że wyniki zostały sfałszowane. Pańska kandydatura przypuszczalnie zajęła szóste miejsce.

— To niemożliwe.

— Możliwe, nie docenia pan komputerów. Analizując ułożenie ciała, położenie gałek ocznych, mimikę czy też po prostu obserwując palce poszczególnych osób, nasi technicy ustalili prawdziwą kolejność z siedmioprocentowym błędem. Trzeba przyznać, że robotę mieli katorżniczą.

— Ale istnieją programy zabezpieczające przed ingerencją z zewnątrz.

— Z zewnątrz być może — palec Boleskiego pstryknął zamek teczki. — Francuz nadzorujący komputery dwa dni później popełnił samobójstwo.

— Pan sugeruje…

— A pan, kurczę, co by pomyślał? Znowu cudowny zbieg okoliczności? — trzasnął papierami o kolana. — Komuś cholernie zależy, aby wziął pan udział w testowaniu skanera. Zarazem ten ktoś pragnie wpędzić pana w manię prześladowczą.

— Manię…?

— Dokładnie, ślepy człowieku.

Z wściekłością wyszarpnął Boleski trzy kolejne zdjęcia. Duże powiększenia nie pozostawiały

wątpliwości, co do tożsamości osób.
— Zna ich pan, prawda?
Skinął głową.
— Wypadki…
— Więc jednak… — Boleski westchnął, jakby mu ulżyło. — Tych facetów namierzyliśmy już po kraksie. Niestety, za późno wzięliśmy pana na widelec. Co tam było? Także cud?
Przytaknął.
— Uzdrowiłem ich.
— Jasne — twarz Boleskiego stać jednak było na żywą mimikę. — Tak podejrzewaliśmy. Samochód rozpruty niczym konserwa, a faceci cali.
Machnął fotografią dziewczyny.
— A ona?
— Nie oddychała.
— Rozumiem, cud à la Łazarz.
— Proszę nie kpić.
— Na litość boską, człowieku, nie widzisz, że ktoś robi z ciebie idiotę. Naprawdę nie widzisz tego?!
— To nie było fingowane.
Boleski zdawał się walczyć z własnymi rękoma.
— Jasne, po prostu jest pan pomazańcem bożym, tak?!
Huczało mu w głowie, myśli zachodziły na siebie… Dość, nie może dać się sprowokować! Najpierw musi upewnić się do końca.
— Nie wiem — wycedził odpowiedź. — Ale tego, co widziałem, nikt nie byłby w stanie zainscenizować.
Spojrzenia mężczyzn walczyły przez chwilę.
— Dobrze — Boleski opuścił powieki — rozumiem pana. Wtedy nad jeziorem również nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.
Wyjął kolejne zdjęcia i rzucił na ławę.
— Poznaje pan miejsce? Jest różnica?
Trzy kolejne ujęcia przedstawiały bez wątpienia unoszącą się nad pomostem postać z objawienia. Lecz teraz zamiast wyraźnej postaci widoczna była jedynie jasna plama, w zarysie przypominająca ludzką sylwetkę. Michał uniósł twarz, nie kryjąc zaskoczenia.
— A to jak tłumaczą pańscy specjaliści?
— To oczywiste — Boleski machnął dłonią. — Pisano już o tym w prasie. Praktycznie w każdym objawieniu ludzie widzą więcej, niż dzieje się naprawdę. Manipulatorzy opanowali metodę uaktywniania ludzkiej wyobraźni, która potem sama dobudowuje szczegóły.
— Ale wtedy poszczególne relacje różniłyby się od siebie. Przynajmniej w drobiazgach.
— I różnią się, i to nie tylko w drobiazgach — Boleski postukał w teczkę. — Może pan przejrzeć całą stertę wywiadów z uczestnikami widzeń. Wszystko jest jak na dłoni.
— Dobrze — napięte nerwy Michała wibrowały jak struny — przyjmijmy, że to wszystko prawda. Lecz, kto według was za tym stoi?!
Boleski skrzywił się jak na widok zepsutego owocu.
— Moje upoważnienia kończą się. Proszę o tym pamiętać.
Michał skinął głową, lecz nie opuścił wzroku.
— Nie mamy stuprocentowej pewności, lecz wiele wskazuje, że za pomocą pańskiej osoby grupa amerykańskich polityków usiłuje skompromitować kandydata partii demokratycznej Rechestera.

— Boże — Michał zamrugał oczyma — wam chodzi o to, że jest on katolikiem…?
— Dokładnie. Blamaż Kościoła katolickiego, pokazanie, że jego wyznawcy mogą być nieobliczalni, byłby im na rękę.
— Ależ to piramidalna bzdura.
— To pana pogląd. Jak przyjrzeć się szczegółom, sprawa nie wygląda już tak absurdalnie. Nic więcej nie mogę powiedzieć.
— A może w tym wszystkim najważniejszy jest, tak modny teraz, nasz europejski szowinizm?
Nie unosząc głowy Boleski zapiął teczkę i postawił na kolanach.
— Jeszcze nie wiemy dokładnie, kto i dlaczego? Ale wiemy, że w tych planach pan odgrywa podstawową rolę. Dlatego proszę — westchnął — o podporządkowanie się poleceniom. Wrócimy do kraju najbliższym samolotem.
W zapadłej ciszy słychać było odległą muzykę. Na gładkim niebie, odciętym dźwiękoszczelną szybą, przeleciał pasażerski odrzutowiec.
— Nie — szepnął Michał — nie mogę zgodzić się na to.
Boleski tylko przez moment mierzył go uważnym spojrzeniem, a potem otworzył usta.
— W takim razie jestem zmuszony użyć środków nadzwyczajnych.
Materiał pod palcami Michała zdawał się nadzwyczaj śliski.
— Zwiąże mnie pan?
— Bynajmniej — Boleski odsunął teczkę, ukazując schowaną za nią lufę. — Obudzi się pan dopiero w kraju.
Salwa z miotacza gazowego trafiła Michała w tors, na powrót wduszając w fotel. UOP–owiec chwilę przyglądał się nieruchomemu ciału, a potem wstał i przeszedł do pokręteł od klimatyzacji. Przesunął wymianę powietrza na maksimum i roztarł skronie. Czuł się zmęczony całą gadaniną, lecz musiał spróbować. Zwiedziony trzaskiem odwrócił głowę. Ujrzał rzecz niemożliwą. Langiewicz, cały i przytomny stał koło ławy i mierzył z nieopatrznie zostawionego miotacza.
— Widzisz, jak posunęła się amerykańska technika — powiedział i wystrzelił.
Boleski próbował odskoczyć, lecz struga gazu boleśnie uderzyła w jego twarz, wstrzymując w pół ruchu. Kurcze, pomyślał upadając na dywan, nie skontaktuję się z Markiewiczem przed jutrzejszym wieczorem. Potem zgasł jak zdmuchnięta świeczka.

Samolot leciał wysoko ponad alpejskim lodowcem, nieczuły na ruchy prądów powietrznych. Z czołem przytkniętym do grubej szyby Michał obserwował bezmiar przestrzeni, gdzieś u góry przechodzącej z błękitu w granat. Stichcomb i Norsen drzemali w fotelach, od czasu do czasu, rzucając spojrzenia w stronę szklanek z drinkami. Lecz teraz był pewien, że nie otworzą oczu. Odwrócił się. Wysłannik oparł się o ścianę dzielącą kabinę od części załogowej. Jak zwykle, na ustach błąkał mu się życzliwy i nieludzki zarazem uśmiech.
— Czekałem na ciebie — Michał wsparł się o obramowanie okna. — Wiedziałem, że przyjdziesz.
— Panu mili są wszyscy, którzy na niego czekają. Czy jesteś gotów wysłuchać nowiny?
Pracujące silniki były niesłyszalne, lecz zdawało się, że czuje w żołądku ich wibrację.
— Jestem.
— I uczynisz, co ci powie? — oczy wysłannika wciągały z hipnotyczną mocą.
— Czy wątpisz we mnie?
— Nie, teraz już nie — anioł Memlinga wyprostował się. — Słuchaj uważnie słów moich, bo wielka jest ich waga.
W powietrzu zapachniało cedrowym drewnem. Słowa wysłannika poczęły sączyć przerażenie w duszę Michała.

— Pan zdecydował o końcu tego świata Czas ludzki dopełnił się. Ale nie bój się. Pan w dobroci swojej pozwoli rodzajowi ludzkiemu dokończyć dni żywota, zabroni mu tylko rozmnażać się i doczekać potomstwa.

Michał, jak w transie, czuł kolejno nadpływające fale niepokoju i błogości. Oczekiwał takiej prośby, lecz do tej chwili miał nadzieję, że się myli.

— Będziesz narzędziem bożym. Uruchomisz emiter i błogosławionym promieniowaniem obmyjesz ziemską kulę z bólu, zła i podłości.

Poczuł, jak paznokcie wbijają mu się we własne dłonie.

— Mam wysterylizować ludzi?

— Nie, masz zesłać łagodny zmierzch, poprzedzający Drugie Przyjście. Zaufaj, nikt nie będzie cierpiał. Wiem, co myślisz: choroba popromienna, mutacje, zerwanie cyklów ekologicznych — wysłannik uniósł dłonie. — Nie obawiaj się. Pan tak pokieruje, że ludzie w spokoju dożyją swego końca.

Michał, opanowując zalew myśli wibrujących w głowie, wskazał na siebie.

— A co ma być ze mną?

— Pan przyjmie cię do królestwa swego i tam spotkasz się z tą, której tak ci brakuje.

Poczuł, jak gniew napina jego mięśnie. A potem roześmiał się niespodziewanie nawet dla samego siebie. Wysłannik posłał pytające spojrzenie.

— Radujesz się?

— Tak, przypomniałem sobie jednego tajniaka. Przekonywał mnie, że jesteś Amerykaninem.

Oczy wysłannika zamgliła irytacja.

— Nie przychodzę od nikogo z Ziemi.

— Och, wiem — Michał zmrużył oczy — wiem o tym.

Wysłannik uśmiechnął się.

— Pan mówi, że musisz utrzymać emiter na krytycznej mocy przez trzy czwarte pełnego obiegu wokół Ziemi. Poziom dziesiąty, przy zdjętych zabezpieczeniach zielonym i żółtym, kąt 30°, początek emisji wschodni Atlantyk…

— Przecież wiem to. Powiedz lepiej, skąd wezmę kod uzbrajania skanera.

Wysłannik nakreślił w powietrzu długi rząd cyfr.

— Przyjrzyj się uważnie. Nie zapomnisz, prawda?

Przytaknął. Wiedział, że tamten się nie myli.

— Dobrze. Pan poprowadzi rękę twoją — wysłannik rozmglił swą postać. — A później, później przyjdę po ciebie.

Zniknął. Jedynie przez chwilę woń cedru unosiła się w kabinie. Stichcomb zamlaskał przez sen i otworzył jedno oko.

— Mówiłeś coś? — wymruczał.

— Śpij — Michał czuł straszną suchość w gardle. — Zdawało ci się.

Chwilę patrzył na kudłatą czuprynę Anglika, a potem zagryzł wargi, aż do bólu.

— Do końca dni — stuknął kułakiem w ścianę. — Nawet na Apokalipsę nie zasługujemy.

Samolot położył się na jedno ze skrzydeł i niebo uciekło z okienka. Najwyraźniej podchodzili do lądowania, skąd już tylko żabi skok dzielił ich od samego serca Alp. Siadł w fotelu i położył na kolanach teczkę Boleskiego. Miał wiele do przemyślenia.

Pierwszy dzień minął na zapoznaniu się z rozkładem pomieszczeń, wypróbowaniu możliwości kuchni oraz wstępnej aklimatyzacji. Bazę postawiono na ruinach stacji meteorologicznej, w miejscu, gdzie krystaliczny grzbiet gór przebił się ponad mniej odporne warstwy. Niewielka kotlinka, z widokiem na Jungfrau i pasmo Alp Berneńskich, z trzech stron otoczona była

masywem góry. Na jej zboczu rozmieszczono kilkanaście czasz, tworzących w sumie jedną z najsilniejszych anten w tej części kontynentu. Praktycznie, oprócz tras wspinaczkowych, wiodła w to miejsce jedynie droga powietrzna, lecz niewielkie lądowisko wymagało od pilotów helikopterów niebanalnych umiejętności. Z założenia odcięci od świata, mieli w pełni skoncentrować się na obsłudze skanera. Michał miał jednak własny harmonogram zadań. Chociaż nie otrzymał żadnych sygnałów od Boleskiego czy władz polskich, był pewien, że z wprowadzeniem planu nie może zwlekać.

Tej nocy w śluzie było wystarczająco zimno, aby w niewymagającym gospodarstwie domowym mogła służyć za lodówkę. Lekko zmartwiałymi palcami wepchnął żyłkę kabla pod izolację i, odstąpiwszy parę kroków, przyjrzał się dziełu. Nieźle. Miotacz Boleskiego, zamaskowany w skrzynce z osprzętem wspinaczkowym, wyglądał wyjątkowo niewinnie. Postępował jak stary konspirator. Nawet godzina pasowała. Jak pamiętał, większość zamachów stanu miała miejsce krótko przed świtem i z reguły pierwszym krokiem zamachowców było sparaliżowanie dowództwa. Zrobił to wyśmienicie, wydłużając sen partnerom o kilka godzin. Dobrze, że magazynek miotacza był pojemny. Naciągnął zewnętrzne rękawice, uzupełniając tym całość stroju i przesunął zabezpieczenie drzwi. W wejściu obramowanym kryształkami lodu zawirowały kłęby pary. Schylił się i przestępując wysoki próg, stanął na zawianej lodem betonowej płycie. To nie była najlepsza pora roku na oswajanie się z górami, ani najlepsza pora dnia na podziwianie krajobrazu. Noc, czwarta nad ranem.

Wdychając aseptycznie czyste powietrze zadarł głowę ku niebu, skąd w milczeniu obserwowały go nieruchome gwiazdy. Chwilę odwzajemniał spojrzenie, by w końcu, czując w gardle igiełki mrozu, szczelniej zacisnąć filtr na ustach. Moduł skanera tylko czekał, aby odłączyć go od stacji „Freedom". Jej załoga nie miała żadnej możliwości, aby temu zapobiec. Przez pierwsze minuty uznają to za awarię, a potem będzie już za późno. Istnieje możliwość, że Markiewicz i jego resort zdecydują się donieść do EUA, mimo groźby kompromitacji, gdyby ślad amerykański okazał się lipą, lecz tej nocy, na nieoświetlonym lądowisku nikt nie wyląduje. Postarał się o to pół godziny temu. Czas, czas i konieczność szybkiego podejmowania decyzji będą ich wrogami. Po odłączeniu skanera mogliby zestrzelić cały moduł. Ale najpierw będą musieli nabrać pewności, potem wyjaśnić sprawę Amerykanom, a na ostatek znaleźć osoby władne nacisnąć atomowe guziki. Z racji braku osłon radiacyjnych, eksplozja w pobliżu stacji nie wchodziła w rachubę.

Głowa bolała go od tych hipotez. Wyglądało, że faktycznie dziwnym zrządzeniem losu otrzymał w swoje ręce broń mogącą unicestwić życie na Ziemi. Wystarczyło wprowadzić koordynaty i nacisnąć guzik. Póki nie wyczerpie się źródło energii, praktycznie skaner będzie niezniszczalny. W jego pobliżu, za sprawą radiacji, zgłupieje każdy system naprowadzania.

Przerażony własną potęgą zamknął oczy i opadł na kolana. W kamiennej ciszy gór złożył dłonie odziane w rękawice. „Daj mi, Panie, siłę…", zaczął własną, prywatną modlitwę.

Specjaliści twierdzą, że czas, po którym sprzęt komputerowy ulega zdezaktualizowaniu, należy liczyć nie w latach, lecz miesiącach. Rzut oka nawet laika wystarczał jednak, aby się przekonać, że zestaw zgromadzony w bazie należał do hitów ostatniego tygodnia. Potężny wielofunkcyjny ekran ciekłokrystaliczny, gigabajtowe dyski optyczne, bezprzewodowe konsolety, a przede wszystkim jednostka centralna — światłowodowy komputer o nowej architekturze.

Otoczony tymi cudami, w powiewie bezgłośnej klimatyzacji siedział na krześle obrotowym i czekał. Czerwony punkt na mapie świata przelatywał właśnie ponad Zatoką Meksykańską. Moduł miał do przebycia cały Atlantyk, zanim z jego pomocą będzie mógł otworzyć drzwi do

piekła.

Gdzieś zza kopuły stacji dobiegło odległe dudnienie. Drugie w przeciągu ostatnich pięciu minut. Nie mógł wyjść z pomieszczenia, więc starał się nie myśleć o pochodzeniu dźwięków. Zerknął przez ramię. Pośrodku pulpitu łączności nadal płonęła kontrolka wezwania. Pojawiła się wraz z tym, jak zdalnie odpalił ładunki utrzymujące skaner przy korpusie stacji. Nie odpowiadał, bo i po co… Spojrzał na ekran. Czerwona kropka minęła Florydę i płynęła nad szelfem kontynentalnym. Komunikat pogodowy zapowiadał dzisiaj burzliwą noc nad tą częścią Atlantyku.

Detonacja wypełniła pomieszczenia głuchym jękiem. Serce skoczyło Michałowi do gardła i daremnie przekonywał siebie, że się nie boi. Straszliwa odpowiedzialność dawno skruszyła odwagę, obnażając gołe nerwy. Walnięte kopniakiem drzwi wyleciały z futryny. Przez próg przeleciał zwinięty kształt, w ułamku sekundy przybierając postać mężczyzny ubranego w biały battledress.

— Stój, ani kroku! — napastnik zsunął opięty na ustach i nosie filtr przeciwgazowy. — Dłonie na kark, szybko!

Dopiero, kiedy zrzucił kaptur, rozpoznał Boleskiego. Posłusznie wykonał polecenie, starając się nie odchodzić od pulpitu.

— Połóż się! — wywrzaskując polecenia Boleski lustrował pomieszczenie.

Nie uszedł jego uwagi napis na monitorze dyspozycyjnym: *„kod czerwony przyjęty, wprowadź koordynaty”*.

— Na podłogę — ryknął i Michałowi nie pozostało nic innego, jak posłuchać.

Z lufą wycelowaną w jego głowę napastnik uniósł płaski nadajnik do ust.

— Miał kod, słyszycie?! — potrząsnął pudełkiem. — Miał kod, ale nie załadował współrzędnych emisji.

Boleski, najwyraźniej przeszkolony przed akcją, był w stanie wszystko popsuć. Za wszelką cenę musiał mu przeszkodzić. Odwrócić uwagę, zagadać czymkolwiek.

— Ostatnio byliśmy na „pan”.

UOP–owiec przyklęknął na kolano i wysunął czarno oksydowaną lufą. Uśmiechnął się paskudnie.

— To nie jest miotacz gazowy, pamiętaj. Drugi raz ci się nie uda. Wstawaj!

Wykładzina zajeżdżała nieprzyjemnie impregnacją, więc z ulgą uniósł ciało. Boleski pchnął go na krzesło i spiął z tyłu kajdankami.

— Spuściłeś się na linie czy wylądowałeś helikopterem? — Michał starał się podtrzymać rozmowę.

— Wylądowaliśmy, dwóch załatwiłeś gazem w śluzie — nieoczekiwanie mrugnął okiem. — To było niezłe.

Michał zerknął dyskretnie na zegar, do obszaru poszukiwań brakowało dziesięciu minut.

— Poczekamy — Boleski potrząsnął nadajnikiem. — Dmucha fen i nie wiadomo, czy reszcie uda się wylądować. Oświetlenie rozpieprzyłeś perfekcyjnie.

— Wam jednak udało się wylądować.

— Tak, bez płóz i ogona.

Wyjął z kieszeni niewielkie opakowanie, i rozrywając folię, wyłuskał ze środka dyskietkę.

— Pozwolisz, że odwołam twoje dyspozycje.

Nie miał kłopotów z odnalezieniem właściwej konsoli. Nie spuszczając jeńca z oka, nachylił się nad stacją dysków. Michał zbladł. Z pewnością wprowadzenie dyrektyw z dyskietki miało zablokować poprzednie polecenia i sparaliżować system modułu.

— Nie rób tego — wyszeptał.

Boleski nie miał zamiaru nawet odpowiadać. Przesunął zabezpieczenie, obrócił dyskietkę… Michał opuścił głowę. Nawet gdyby potrafił znaleźć argumenty, sparaliżowane gardło byłoby wystarczającą przeszkodą.

Boleski krzyknął krótko. Michał sekundę patrzył na puste miejsce przy konsolecie, a potem przeniósł wzrok pod ścianę. Zdążył jeszcze dojrzeć, jak jego przeciwnik zalany krwią opada na podłogę.

— Zostaw go — Michał spojrzał na wysłannika — nie trzeba zabijać.

Anioł popatrzył pytająco, a ciało Boleskiego z wolna osunęło się na podłogę.

Sam widzisz, jak niezbędna jest pomoc Pana — głos zadźwięczał ironią.

— Tak — Michał poczuł, jak pęka ogniwo kajdanek. — Chwała mu za to.

Wiedział, że teraz nie może popełnić nawet najmniejszego błędu. Przesunął palcami po klawiaturze i dostał się na poziom banku danych. Transfer! Komputer pokładowy łapczywie zgarnął wiedzę o tym, co ma odnaleźć i zniszczyć. Jednym, mocnym, piekielnie mocnym impulsem.

— Nie martw się o helikoptery — anioł wydawał się odprężony. —— Żaden nie wyląduje.

Szybciej, szybciej, pomyślał Michał, znajdź tych skurwieli. Tyle godzin poświęcili analizie zdjęć wykopu z Zagórskiej. Czerwona plamka na ekranie wolno wpełzała na kontur Wysp Brytyjskich. Moduł powinien już namierzyć obiekt, musiał być gdzieś w pobliżu. Nawet jeśli był niezauważalny podczas rutynowej kontroli radarowej, skaner nie może go przeoczyć. Skaner widzi wszystko!

— Pan pyta, czy jesteś pewien tego, co czynisz? — odezwał się niespodziewanie fantom spod ściany.

— Chodzi o moralną stronę zagadnienia? — igrał z ogniem, i to zaczynało go podniecać.

— Nie — żachnął się anioł. — Czy dobrze programujesz emiter?

Jest!!! Rozwrzeszczało się w jego głowie. Na ekranie pojawiły się dane obiektu: masa, rozmiary, widmo emisji własnej i wtórnej… Orientacyjne położenie, jakiego dostarczyły materiały z teczki Boleskiego sprawdziło się!

— Tak, skurwysynu — położył palec na klawiszu. — Dobrze programuję.

Twarz wysłannika przebiegły zmarszczki, jak na telewizyjnym ekranie. Jego postać zdawała się rozdymać.

— Ty… — Michał dla pewności zacisnął dłoń na pulpicie. — Myślałeś, że wezmę cię za Boga?! Boga poznajesz po czynach, miłosierdziu, a nie jarmarcznych sztuczkach!

Czuł, jak obca wola próbuje opanować jego ciało, lecz nienawiść, którą był przepełniony, stanowiła wystarczającą ochronę.

— Wykonaj słowa Pana! — zaskowyczał wysłannik, walcząc z miotającymi go deformacjami.

— Nigdy nie zrozumieliście ludzi — Michał roześmiał się z pogardą. — Chcieliście wykorzystać co najświętsze, ale wy tylko poznaliście wyobrażenie o wierze, nie samą wiarę.

Wokół wysłannika poczęły się formować z nicości blade sylwetki. Rozpoznał Matkę Boską, Archanioła z mieczem, krzyż…

— Miłość — zaskowyczał anioł Memlinga — damy ci miłość. Nie niszcz nas!

— A ja — Michał obnażył zęby w grymasie — dam ci nienawiść!

Wdusił klawisz i rozkazy pomknęły do modułu zawieszonego ponad Europą. Obiegły obwody komputera, naniosły poprawki i plazmowe słońce w mgnieniu oku rozbłysło śmiercią. Struga energii, której nie mógł powstrzymać żaden pancerz, trafiła prosto w cel. Zjawy westchnęły, zamigotały i przestały istnieć. Przymknąwszy oczy, Michał osunął się na podłogę. Statek Obcych przestał istnieć.

Pokój pozbawiony okien był jedynym miejscem, gdzie mógł przebywać. Nie martwiło go to specjalnie. Wciśnięty w kąt łóżka przerzucał ospale kartki czasopisma, nie próbując nawet zapamiętać jego nazwy. Blat stolika zajmowało kilka puszek dietetycznej coli, oraz napoczęta porcja gulaszu. Właściwie mdliło go na widok jedzenia, lecz Boleski zagroził, że jeśli nie zje obiadu, wyłączy mu światło. W sumie porządny z niego gość. Mimo pięciu szwów na łbie, zachował o Michale dobre zdanie, gorzej z resztą. Szczególnie Stichcomb omijał go jak morowe powietrze, grożąc sądem za bezprawne użycie miotacza. Bez sensu. Norsen chyba miał żal za uszkodzenie modułu. Szpryca, jaką zaaplikował Obcym, rozregulowała elektronikę.

Ziewnął, aż do bólu w szczękach. W sumie areszt domowy nie był złym wynalazkiem. Gorzej, że jutro powinna tu zlecieć się banda naukowców, polityków i tajniaków, stanowiących międzynarodową komisję Parlamentu Europejskiego. Ci to go wymaglują…

Kiedy domyślił się pan, że mamy do czynienia z obcą agresją? Skąd Obcy wiedzieli, że bierze pan udział w projekcie? Dlaczego cały czas ukrywał pan prawdę? Do jakiego stopnia Obcy mogą czytać myśli? Czy wie pan coś na ich temat?

Uśmiechnął się pod nosem, gdyż jak mu powiedział Norsen, po Braciach w Rozumie nie było co zbierać w próżni. Statek rozpadł się jak purchawka i jedyne, co dojrzano z pokładu wahadłowca, to kilka nadtopionych konstrukcji.

Naturalnie pył utrudniał obserwację, lecz wejście w jego silnie promieniotwórczą chmurę było wykluczone. Ktoś delikatnie zapukał, potem wsunęła się głowa Norsena.

— Nie przeszkadzam?

— Skądże — wysunął krzesło spod stołu. — Wchodź.

Szwed rozejrzał się, otworzył usta, lecz w końcu tylko wyciągnął płaską butelkę.

— Za uratowanie Ziemi — powiedział i podał Michałowi.

— Na pohybel kosmitom — mruknął ten i przechylił do ust.

Piekło, ale dobrze zrobiło. Miał dość tej cholernej coli, na którą skazał go Boleski. Skandynaw poszedł w jego ślady i już po chwili czerstwą twarz zabarwiły wyraźne rumieńce. Nachylił się i szepnął konfidencjonalnie.

— Rozmawiałem przed chwilą z żoną. Ale szum w prasie… Już powiązano eksplozję z końcem cudów. Prędzej czy później ludzie dowiedzą się prawdy.

Dla równowagi Michał pociągnął raz jeszcze.

— Błysk był widoczny?

— Jak cholera. Chyba myśleli, że Pan Bóg zdjęcia im robi — Norsen zacisnął pięść. — Dobrze przypieprzyłeś skurwielom, za to, że tak cię po świńsku zwodzili…

Nie ciągnął myśli, wiedząc, jak Michał znosi komentarze o swej nieżyjącej dziewczynie. Aby pokryć zmieszanie, wypił do dna i krzywiąc twarz, zakręcił butelkę.

— Pomyśleć, że brali cię za czubka — rozparł się na krześle. — Zastanawiałem się dzisiaj, co zrobiłbym widząc, że czynię cuda? Sam nie wiem…

— Moi ozdrowieńcy nie żyją — Michał wzruszył ramionami. — Umarli, jak tylko eksplodował statek.

— Słyszałem… ale przedtem nie wiedziałeś tego.

Nie chciał, lecz wiedział, że jeszcze nie raz będzie wracał do tego tematu. Jak stary kombatant, psia mać.

— Widzisz… atmosfera, która towarzyszyła cudom, od początku wydawała mi się niezdrowa. Zamieszanie, wypadki, bijatyki, jak w Polsce, gdzie mnie namierzyli… — machnął ociężale dłonią. — Tak być nie powinno. Bóg nie może przychodzić w ten sposób.

Trudniej niż zwykle składało mu się słowa.

— Moim zdaniem Obcy, cholera zresztą wie, kim byli, uznali, że wiara jest rodzajem protezy

ułatwiającej życie. Schematu raz przyjętego, którego nie obejmuje żadna refleksja Może tylko tak potrafili to pojąć. Nie przyszło im do głowy, że człowiek wierzący zastanawia się, główkuje i dopiero przez wątpliwości znajduje obraz swojego Boga.

— Bliższy jeden nawrócony niż dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych —— zacytował Norsen i roześmiał się głośno.

— Zgadza się.

Szwed spoważniał, jakby nagle nabierając do całej sprawy właściwej perspektywy.

— Właściwie, dlaczego zamierzali nas wykończyć? — spytał półgłosem.

— Nie wiesz…? — Michał spuścił stopy na podłogę. — Chcieli nas przerobić na smołę pogazową.

Oczy Norsena wyraźnie zwiększyły swoją średnicę, więc Michałowi nie pozostało nic innego, jak tylko się uśmiechnąć.

— Skąd mam to wiedzieć, Eric? — klepnął w kolana. — Wygląda, że nie chcieli niszczyć samego skanera. Może zależało im na naszych surowcach…

Potem przeczesał palcami włosy i ponownie spoważniał.

— Boję się o ludzi.

Norsen spojrzał pytająco.

— Wszystkich ludzi — dodał i rozłożył ręce. — Oszukano ich, wielu wierzyło, że sacrum zstąpiło na ziemię. Co z nimi będzie?

— A co ma być, Michael? — Norsen przysiadł na jego łóżku. — Religie przetrwały wiele, to i Obcych przyswoją. Lepiej martw się o siebie.

W drzwiach stanął Boleski z wydrukiem w dłoni. Miał szczęście do nagłych wejść. Ani słowem nie skomentował zapachu whisky, jedynie podszedł krok do Michała.

— Ożyła — powiedział z jakimś nerwowym tikiem twarzy.

Sygnał w głowie Michała obwieścił, że dzieje się coś niezwykłego.

— Dziewczyna z ambulansu?

Boleski przytaknął.

— Była pod obserwacją naszych ludzi, kiedy rano ustały jej funkcje życiowe — położył kartkę między puszkami. — A teraz, od godziny znowu żyje.

Michał zacisnął palce na stole, nie zauważając puszek spadających z blatu.

— Twierdzi… — Boleski pchnął papier. — Przeczytaj lepiej, to jej list do ciebie.

— Do niego? — Norsen chciał zajrzeć Michałowi przez ramię, lecz ten przeszedł pod lampę.

Nie zważał na nerwowy szept Boleskiego. Powieki piekły, kiedy czytał, a w końcu, z pobladłą twarzą osunął się na kolana. Oparł czoło o chłodną ścianę.

— Poznasz po czynach jego… — wyszeptał, a potem spazmatycznie wciągnął powietrze.

Jego goście, rozumiejąc się bez słów, cicho wyszli z pokoju. Michał pozwolił upłynąć paru sekundom w ciszy, a później zadarł twarz ku górze. I tak, spoglądając ku niebu zasłoniętemu sklepieniem pokoju, powtórzył pierwsze linijki listu:

Wydęte karawele o żaglach z czerwonych motyli
pachnące cynamonem, pieprzem i imbirem,
pływają po morzach mosiężnych, a w tyle
*delfiny ciągną — jak antyczne liry.**

---

* autor wykorzystał fragment wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego *Legenda*

ANDRZEJ DRZEWINSKI

Urodził się w 1959 roku we Wrocławiu. Ukończył studia na Wydziale Matematyczno–Fizycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Na polu fantastyki zadebiutował w 1981 roku, na łamach „Młodego Technika". W 1983 roku ukazał się jego autorski zbiór opowiadań pt. „Zabawa w strzelanego" (KAW). Trzy lata później Nasza Księgarnia wydała zbiór pt. „Posłaniec", gdzie obok jego opowiadań znalazły się również dwa teksty Mirosława Jabłońskiego.

Z silnego środowiska wrocławskich fanów wyszło kilku autorów, i aż prosiło się, aby powstała w tym mieście jakaś spółka autorska. Tak też się stało — najbardziej chyba znany w rodzimym światku sci–fi duet Andrzejów: Drzewiński i Ziemiański, opublikował dotąd dwie powieści — „Zabójcy szatana" (KAW, 1989) i „Nostalgia za Sluag Side" (KAW, 1990). Obaj zapowiadają, że ich współpraca na tym się nie skończy.

Andrzej nie pisze ostatnio wiele, sporo czasu pochłania mu dziecko i praca naukowa, stąd jego opowiadania zobaczymy ponownie w towarzystwie tekstów innego autora — tym razem Jacka Inglota — w zbiorze przygotowywanym przez KAW.

Prezentowane powyżej opowiadanie „Dopust Boży", to podobnie jak u Dębskiego, typowa, twarda fantastyka. Autorzy wrocławscy tradycyjnie już trzymają się żelaznych tematów SF i raczej nie penetrują innych podgatunków SF.

O „ŹRÓDLE BEZ WODY”

Miałem ogromne kłopoty, żeby po długiej bezczynności zmusić się ponownie do napisania opowiadania. Przez ostatni rok w ogóle tego nie robiłem. Wyplułem z siebie natomiast kilkadziesiąt felietonów i kilka dłuższych artykułów o polityce. Zacząłem też książkę o konserwatywnym liberalizmie i perspektywach Europy w nadchodzących latach. Mam wrażenie, że dzieje się z nami coś, czego przeciętny Polak nie pojmuje ni cholery, a co przewróci nasze dotychczasowe życie do góry nogami — i wciąż wierzę głęboko, że MOŻEMY COS ZROBIĆ. Dlatego mój życiorys robi się coraz bardziej zdyszany i od konstruowania metafor wolę teraz brać się za bary z rzeczywistością bezpośrednio.

Skądinąd, zawsze lubowałem się w konkretach, w szczegółach, w twardym stąpaniu po ziemi. To właśnie upodobanie ściągnęło mnie do SF. Ostatnio jednak sytuacja zmieniła się diametralnie, fantastyka traci pazurki — a zarazem otwierają się nie istniejące dawniej możliwości głoszenia swoich przekonań i walki o nie.

Last but not least — mam już 27 lat. To nadal niedużo, ale dość, żeby zacząć zajmować jakieś KONKRETNE miejsce w życiu. Chodzi nie tylko o stałe źródło utrzymania, ale w ogóle o jakiś punkt zaczepienia. SF — niestety — może być jedynie hobby.

Mam jednak nadzieję, że będę mógł temu hobby poświęcać niekiedy trochę czasu.

Rafał Ziemkiewicz

Źródło bez wody

Ci są źródłem, bez wody i obłokami wiatrem pędzonymi, których czeka mrok ciemności…
św. Piotr

Mężczyzna, który wczesnym rankiem letniego dnia przechodził obok budki telefonicznej na jednym ze skrzyżowań biurowej dzielnicy Marsylii, nie wyróżniał się spośród przechodniów niczym szczególnym. Luźno skrojona, jasna, sportowa marynarka, niesiona w ręku czarna walizeczka, a nade wszystko biała skóra i przerzedzone blond włosy nadawały mu wygląd zwykłego urzędnika. Jednego z dziesiątek tysięcy urzędników, spieszących o tej porze do pracy.

Widok mijanego telefonu najwyraźniej jednak o czymś mu przypomniał. Cofnął się pół kroku, wymanewrował z nurtu przechodniów i wszedł do budki.

Nie było w tym naprawdę nic szczególnego.

Położył swoją plastykową walizeczkę na półce pod aparatem i otworzył ją. Walizeczka nie była walizeczka, lecz przenośnym komputerem.

Mężczyzna sięgnął do czołowej płyty automatu, wetknął do czytnika kartę magnetyczną, po czym odsłonił gniazdo modemu.

W tym także nie było nic szczególnego.

Teraz mężczyzna sięgnął ponownie do swojej walizeczki, zdejmując pokrywę bocznej ścianki, spod której wydobył zwinięty kabel. Zanim go jednak rozwinął, nagle znowu sobie o czymś przypomniał; popatrzył na mijających go po obu stronach przechodniów z łagodnym, jakby przepraszającym uśmiechem, po czym sięgnął dłonią do przełącznika umieszczonego tuż poniżej aparatu telefonicznego. W drzwiach budki szczęknęły cicho rygle, zabezpieczając je przed nagłym otwarciem. Otaczające mężczyznę tafle szkła zmętniały i zaczęły gwałtownie ciemnieć. Nie minęło piętnaście sekund, a stały się czarne, połyskliwe i nieprzejrzyste, jakby zrobione z wyszlifowanego, czarnego marmuru.

Nadal nie było to nic szczególnego. Ot, pracownik któregoś z biur, czy może urzędów lokalnej administracji, zapomniał o jakimś drobiazgu — więc łączy się ze swoim domowym komputerem, albo z biurem, by zebrać notatki z bazy danych. Większość pracodawców zaleca w takim wypadku swoim podwładnym korzystanie z możliwości zamknięcia i wyciemnienia kabiny telefonicznej. Zdarzały się bowiem napady na osoby korzystające z ulicznego telefonu do wchodzenia w systemy danych; przyłączony do systemu komputer, o dokonanej identyfikacji, umożliwiał zuchwałym przestępcom rozmaite hakerskie wyczyny na konto swej ofiary. Poza tym, ktoś zawsze mógł zza szyby śledzić poczynania użytkownika systemu i wejść tą metodą w posiadanie poufnych danych.

Krótko mówiąc, mężczyzna w budce telefonicznej w najmniejszym stopniu nie wyróżniał się na, z wolna gęstniejącym od przechodniów, pasażu, nie zwracał sobą niczyjej uwagi. Przez następne długie minuty kilkadziesiąt osób minęło zaciemnioną budkę zupełnie obojętnie, zauważając ją tylko na tyle, by nie rozbić sobie głowy o wzmocniony plastmetaliczną listwą kant.

Pozostający natomiast wewnątrz urzędnik, odczekawszy tylko chwilę, aż fluorescent rozjarzy się do stopnia umożliwiającego pracę, zaczął natychmiast zachowywać się w sposób niecodzienny. Zupełnie zignorowawszy odsłonięte gniazdo modemu sięgnął po słuchawkę, rozkręcił ją i wybebeszył spod mikrofonu pęk kolorowych kabli. Następnie zdjął pokrywę

przedniej płyty aparatu z klawiszami numerycznymi, podważając jej brzegi wydobytym z kieszeni scyzorykiem, i z plątaniny takich samych kolorowych przewodów wydobył połyskującą pomarańczowym plastykiem kostkę, upstrzoną po bokach nierównymi szeregami mikroskopijnych, złotomiedzianych występów.

Kabel, wyjęty spod pokrywy w bocznej ściance laptopa, nie miał na końcu normalnego, szesnastodżekowego wtyku. Zamiast tego rozgałęział się na trzy przewody — zielony, czerwony i niebieski. Dwa pierwsze kończyły się krótkimi igłami, trzeci metalową klamerką. Znalazła ona swoje miejsce na jednym z wygrzebanych spod mikrofonu drucików, które wcześniej mężczyzna oczyścił scyzorykiem z izolacji na długości pół centymetra. Obie igły natomiast ulokował w mikroskopijnych gniazdach dyndającej pod wyprutą tarczą telefoniczną kostki, usunąwszy z nich wcześniej znajdujące się tam wtyki.

Wszystko razem nie zajęło mu więcej niż minutę. Uporawszy się z aparatem telefonicznym, mężczyzna raz jeszcze sięgnął do odsłoniętej niszy w bocznej ścianie walizki i wydobył z niej jeszcze jeden kabel, na końcu którego znajdował się płaski, biało–złoty talar wielkości monety stufrankowej. Podważył paznokciem białą, plastykową warstwę, zdjął ją i schował do kieszeni. Trzymał teraz w dłoni złotą wtyczkę, najeżoną gęstwą mikroskopijnych dżeków. Rozpiąwszy guzik koszuli pod krawatem, wsunął rękę pod materiał, sięgnął do barku i oderwał sobie z obojczyka miękki, cielisty plaster. W nienaturalnie w tym miejscu różowej skórze odsłoniło się ciemne, okrągłe gniazdo, w którym chwilę później znalazła swoje miejsce wtyczka.

Ekran wyłożonego na półce pod telefonem komputera, dotąd ciemny, zamigotał nagle głęboką zielenią, by zaraz nabrać barwy zgniłobrunatnej. Mężczyzna uśmiechnął się i zmrużył oczy. Jakby od tego spojrzenia, ekran nagle rozświetlił się czystą barwą złota, potem zaprezentował jedna po drugiej wszystkie kolory tęczy, a wreszcie zaczął się mienić pawiookimi wzorami. Wtedy mężczyzna przejechał dłonią po klawiaturze i nabierając głęboko powietrza zamknął oczy, unosząc obie dłonie ku górze.

Gdyby ściany ulicznej budki nie zostały pozbawione przejrzystości, przechodnie mijający ją w całkowitej niewiedzy mogliby przez kilkanaście sekund obserwować, jak jasnowłosy porusza szybko palcami, niczym rozgrzewający dłonie przed koncertem pianista, i jak na jego skupionej twarzy wykwita w pewnym momencie grymas zadowolenia.

Dokładnie w tej samej chwili, kiedy jasnowłosy się uśmiechnął, mężczyzna siedzący przed terminalem w tylnej części żółtopomarańczowej śmieciarki, zaparkowanej o jakieś siedemdziesiąt metrów dalej, pod wysokim biurowcem OLY D'AUNTIER, poruszył się w fotelu i rzucił przez ramię: „jest!".

Oglądana z zewnątrz śmieciarka nie różniła się niczym od kilkudziesięciu innych, półautomatycznych wozów kręcących się — zwłaszcza o tej porze dnia — po całym mieście.

Jednak w tylnej części pojazdu nie było urządzeń do segregowania i prasowania odpadów. Ich miejsce zajmowało ciasne pomieszczenie, zapchane elektroniką. Pośrodku, przed szerokim terminalem, siedziało dwóch mężczyzn. Gdyby nie brak marynarek i krawatów, można by uznać ich za łudząco podobnych do tego w budce telefonicznej. Starszy z siedzących miał przymknięte oczy i opierał się wygodnie o zagłówek fotela. Dłonie trzymał na wysokości piersi, niczym przystępujący do stołu operacyjnego chirurg; tylko od czasu do czasu poruszał nieznacznie palcami. W odsłoniętej przez rozpięcie koszuli bliźnie na obojczyku tkwiła mu złota, płaska wtyczka, od której ciągnął się do terminalu cienki, skręcony kabel. To właśnie ten człowiek wyrzucił z siebie przed chwilą zwięzłe „jest".

Młodszy haker był wysokim Mulatem. Jak na razie miał niewiele do roboty. W skład grupy wchodził do niedawna i dostał się do niej bardziej ze względu na kolor skóry, niż na jakieś szczególne umiejętności. Na wszelki wypadek nie powierzano mu innych funkcji niż

pomocnicze.

Dalej, w tylnej części pojazdu, znajdowały się cztery głębokie fotele. Trzy z nich były zajęte, ale o siedzących tam mężczyznach trudno byłoby powiedzieć cokolwiek poza tym, że tkwili na swych miejscach nieruchomo, niczym kamienne posągi, obwieszone bronią, o twarzach skrytych pod wielkimi, lustrzanymi goglami. Tylko gdyby dało się zajrzeć pod te lustrzane gogle, na czarnych i śniadych policzkach można by dostrzec perlący się pot.

Dwóch innych mężczyzn, odzianych w ciemne kombinezony, czekało w szoferce wozu. Czarnoskóry kierowca wydawał się nie interesować absolutnie niczym, poza synkopowanym rytmem, który ze znudzoną miną wystukiwał palcami na kierownicy. Miejsce obok zajmował krępy, śniady trzydziestolatek o smoliście czarnych włosach i takim samym zaroście. Usłyszawszy dobiegające zza przepierzenia „jest” uniósł gwałtownym ruchem nogi i okręcił się na swym fotelu, przenosząc stopy ponad pokrywą automatyki sterowania. Potem postawił je na skrawku podłogi za pokrywą, podniósł się sprężystym ruchem i uchyliwszy na chwilę wąskie drzwi w przepierzeniu, przecisnął się przez nie do tylnego przedziału.

Kierowca zareagował na ten manewr jedynie ledwie zauważalnym sięgnięciem prawą ręką na wysokość kolan, gdzie przestawił wystającą z ukrytej przed wzrokiem postronnego obserwatora tablicy dźwignię do położenia oznaczonego „auto”, po czym, wciąż ze znudzonym wyrazem twarzy, wrócił do bębnienia paznokciami po kierownicy.

Śniady mężczyzna nazywał się Mehmet Azufahan i był oficerem Biura Ochrony Praw Człowieka. Jak dotąd, nigdy nie narzekał na swą pracę. Zawdzięczał jej zapewnioną przyszłość i pozycję wśród establishmentu piątej republiki. Dla dziewiątego syna algierskiego imigranta było to bardzo wiele.

Poza tym lubił ją. Lubił zwłaszcza chwile, gdy sieci już były zastawione i na horyzoncie pojawiała się zdobycz; te chwile, gdy ożywały ukryte w ciele pompy, tłoczące do żył adrenalinę, gdy wszystkie mięśnie wypełniało powoli uczucie radosnego podniecenia.

Takie chwile jak ta.

Pochylił się nad tkwiącym w systemie mężczyzną i sponad jego ramienia śledził uważnie ekran.

— Jean wprowadził im do systemu zabezpieczeń swoją sekwencję — wyjaśnił siedzący obok młodszy haker. — Świetnie. Immunologia zerowa. Musimy teraz już tylko jakoś do nich wejść z zewnętrznego obiegu danych.

— Jestem w głównym module — wysapał starszy, nie otwierając oczu.

Przez chwilę panowała absolutna cisza, w której na czerń ekranu sypały się równe rzędy cyfr i liter.

— Są. Terminal 980455QTQ, piętro XIV, lokal 1454. Dzierżawione przez spółkę jawną „France–Britt UKC”, numer rejestru…

Azufahan przerwał mu gniewnym machnięciem ręki. Na tego typu rzeczy przyjdzie czas potem. Tymczasem sam dostrzegał, w otwartym na jednym z ekranów oknie, że system zabezpieczenia antyterrorystycznego biurowca zorientował się, iż jest penetrowany.

Jean, mężczyzna w budce telefonicznej, znał wprawdzie zastrzeżone kody, ale ich użycie mijałoby się z celem. Wejście w autonomiczny system komputerowy byłoby pogwałceniem prywatności obywateli, której gwałcić nie było wolno. Przynajmniej nie tak nachalnie. Dlatego właśnie ludzie Mehmeta Azufahana włamywali się do sieci biurowca, a przez nią do jego zabezpieczeń, za pośrednictwem ulicznego telefonu i pozbawionego cech swoistych terminalu. Jeżeli plon akcji okaże się godny przygotowań do niej, informatycy z Surete będą potem zapamiętale grzebać się w pamięci systemu; nie było powodu, by nie mieli znaleźć czegokolwiek, co obciążałoby Mehmeta Azufahana. I co mogłoby zostać wykorzystane przez

obrońców na procesie.

Znowu długa, pełna napięcia cisza. Starszy haker zatrzepotał gwałtownie dłońmi. Zanim jego palce zdążyły drgnąć, ten sam impuls nerwowy przemknął z rdzenia przez interfejsy do programu sterującego, spowodował wydanie odpowiednich komend, zgodnie z którymi zadziałał program operujący aktualnie, wraz ze znieczulającą sekwencją drugiego hakera, gdzieś w trzewiach systemu antyterrorystycznego biurowca. Zazwyczaj tak pracowali — pierwszy miał za zadanie włamać się do systemu i wprowadzić drugiego, ten zaś, lepszy fachowiec, dysponujący wielokrotnie bardziej skomplikowanym sprzętem, obezwładniał na wystarczającą chwilę mechanizmy obronne budynku.

Po ekranie przebiegały nierozpoznawalne dla ludzkiego oka błyski. Trwało milczenie.

Trwało.

System miał swoje lata. Niegdyś wystarczył do ukrócenia fali arabskiego terroryzmu, która omal nie rzuciła przerażonej Europy na kolana przed zjednoczycielem Islamu, wielkim Hasadem Al Sal–ed–din. Ale potem był stopniowo rozgryzany i modyfikowany przez ludzi wysługujących się wrogom Republiki Praw Człowieka.

Trwało…

Mehmet nie znał się zbyt dobrze na informatyce, tyle tylko, ile musiał. Jego żywiołem były akcje bezpośrednie, a przede wszystkim — osaczanie. Wyłuskiwanie przestępców. Wolał myśleć raczej o swoim wozie bojowym. O chwili, gdy poderwie się on w górę i ta chwila nadeszła. Starszy haker odetchnął głęboko i otworzył oczy, a potem popatrzył z dumą na Mehmeta. Nagle czas przyspieszył do wariackiego wręcz tempa. Zanim jeszcze kapitan zdążył powiedzieć: „startujemy”, młodszy z informatyków Sûreté przystąpił do wprowadzania i zgrywania programu akcji. Trzech ludzi w lustrzanych goglach, smagniętych sygnałem, zdążyło tylko poprawić swe pozycje w gniazdach i uchwyt palców na broni. Półtorej sekundy na przygotowanie do akcji, jedna na jej wykonanie. Mimo wprowadzonego przez hakera z budki telefonicznej wampira, program strażniczy może za moment zorientować się i zamienić atakujący budynek wóz domniemanych terrorystów w pąk ognia. Mehmet wskoczył wyćwiczonym ruchem na wolne, czwarte siedzenie. Wszyscy położyli ręce na poręczach foteli. Rozległ się krótki, trójtonowy sygnał.

A potem stało się nagle kilka rzeczy naraz. Spod kół zaparkowanej na *Rue de Soutie* śmieciarki buchnęły kłęby kurzu i wóz zniknął z wizgiem z oczu przechodniów, by w tym samym momencie pojawić się tuż koło okien na trzydziestym czwartym piętrze srebrnego biurowca. Szybciej, nim ktokolwiek mógł to zobaczyć, plunął w nie, obracając się wokół własnej osi, ciemnymi, obłymi kształtami, wstrzeliwując z obu burt do wnętrza budynku członków grupy specjalnej. W huku i trzasku pękającego szkła wpadli do rozległego, surowo urządzonego pomieszczenia. Mehmet na końcu. Starszy z hakerów czuwał, by system ochronny budynku nie skontrował ataku, ale samostrzelne działka i generatory pól zaporowych nie zostały wzbudzone. Młodszy pilnował samych członków grupy i sterowania niosących ich kokonów siłowych, gotów w razie potrzeby je skorygować. To też okazało się zbędne W ułamku sekundy cała czwórka znalazła się w pomieszczeniu, lądując miękko na nogach, kokony pękły tuż po tym, jak przebrzmiał huk wstrzelonych przed momentem petard i przygasł upiorny błysk oślepiających rac. Szkoleni latami do takiej sytuacji członkowie specgrupy nie tracąc ani chwili, runęli na zszokowanych ludzi wewnątrz pokoju, uniemożliwiając im nawet pomyślenie o jakiejkolwiek obronie.

Było ich trzech. Trzech mężczyzn, całkowicie zaskoczonych, nic nie pojmujących W mgnieniu oka znaleźli się na ziemi, ogłuszeni i oślepieni, z rękami skutymi kajdankami na plecach. Najbliższych kilkanaście sekund miało im teraz zająć domyślanie się, co się właściwie

stało.

Dla Mehmeta najważniejszy był facet, który w chwili rozpoczęcia akcji stał przed zajmującym krótszą ścianę sali terminalem. Na szczęście nie był on połączony z systemem bezpośrednio. Sekciarze nie stosowali neurowszczepów i wspomagania hormonalnego, umożliwiającego bezpośrednie operacje komputerowe. Zakaz religijny. Przy akcji przeprowadzonej z przyzwoitą prędkością nie było mowy, by przeciwnik zdążył przeładować pamięć.

A akcja trwała nawet krócej niż regulaminową sekundę. Mehmet odetchnął głęboko wysysanym błyskawicznie z pokoju przez klimatyzatory swądem odpalonych przed chwilą petard. Popisowa robota. Cele obezwładnione, system zneutralizowany, pełne dane zabezpieczone do rozpoznania. Przejechał dłonią po lśniących punktach ponad kieszenią na piersi, wygaszając je. Wprasowane w tkaninę mikroobwody systemu personalnego zasnęły ponownie, niepotrzebne.

Jeszcze chwilę trwała cisza. A potem zaczął się gwar. Zrobili popisową akcję, świetna sprawa, trzeba się nagadać, wymienić uwagi i gratulacje. Zatrzymani wciąż jeszcze leżeli półprzytomni, z tępymi twarzami ludzi, którym nagle niebo zwaliło się na głowy. Mehmetowi trudno się było na widok ich min powstrzymać od śmiechu. Skinął na jednego z chłopców, by na wszelki wypadek sprawdził zatrzymanych podręcznym pakietem medycznym. Tylko tego brakowało, żeby mu któryś odkorkował ze strachu.

Poznawał te twarze. Doskonale je poznawał. Popisowa akcja. I skuteczna. Wielu jego kolegów oddałoby pół życia za taki połów.

Obrócił się ku ekranom komputera. W najwyższym wersie jednego z nich dostrzegł nagłówek programu:

DEPOSITUM FIDEL PRZYWOŁANIE

Kapitan Mehmet Azufahan uśmiechnął się do nich, czując wyraźnie rosnącą w miejsce uprzedniego podniecenia euforię. Pochylił się nad jednym ze schwytanych.

— No i co, prawiczku?! — zakrzyknął wesoło wprost w twarz samozwańczego biskupa Marsylii.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy biały mężczyzna z walizeczką znikał za ciemniejącymi szybami budki telefonicznej w pasażu *Soutie*, Chantall Dacous przyglądał się w zadumie trzymanej na dłoni pastylce. Sprawiał wrażenie, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu i jakby zupełnie nie wiedział, co to jest.

Naturalnie, wiedział. Pastylki *clichette*, największe osiągnięcie myśli ludzkiej minionego wieku. Wynalazek epoki. Nareszcie seks bez strachu! Twojemu facetowi wystarczy jedna mała pigułka — żadnych kłopotów, żadnych niewygód, od dziś to nie twoje zmartwienie! Kup koniecznie, koniecznie, koniecznie!

Ta akurat pastylka pochodziła z opakowania z napisem EXTRA FRAISE i oprócz działania plemnikobójczego nadawała spermie smak oraz aromat świeżych poziomek.

Madelaine lubiła poziomki.

A Chantall udawał przed wszystkimi, że lubi Madelaine. W istocie miał jej powyżej uszu. Jej i innych bab, których musiał dosiadać od czasu do czasu, by podtrzymywać reputację kobieciarza — bo pozwalała mu ona jakoś wykręcać się bez utraty twarzy od ofert wysoko postawionych gejów.

W głębi duszy — na samym dnie — Chantall brzydził się miłością grecką. W głębi duszy był seksistą. To w zasadzie nie należało do przestępstw, ale od nietolerancji seksualnej, wiadomo, już

tylko krok do faszystowskiego rasizmu. Osoba Zwierzchnia marsylskiej prefektury powinna pozostawać poza podejrzeniami. A Chantall Dacous był bardzo zadowolony ze swojej pozycji i nie chciał jej tracić.

Zdecydowanie wolał smakować poziomki. Zazwyczaj. Bo tego dnia…

Tego dnia wszystko stało się nagle inne. Niezrozumiałe.

Odłożył pastylkę na blat stołu, przy którym jadł śniadanie. Nie, nie jadł go. Deliberował nad nim.

Wszystko nagle stało się inne Jakby dopiero co się urodził. Albo jakby obudził się po bardzo, bardzo długim śnie, śnie trwającym od urodzenia. Wokół unosiły się strzępy jakichś dziwacznych, sennych rojeń. Czuł je przez skórę, nie potrafiąc uchwycić niczego poza nie dającym się nazwać nastrojem. Pozostawały na skraju świadomości. Jak coś, co dostrzegamy kątem oka; wiemy, że coś tam obok jest, ale nie widzimy kształtu ani barwy.

Jakby się obudził i pytał samego siebie, gdzie jest, co robi, skąd się tu wziął. Ale zarazem doskonale przecież wiedział, doskonale pamiętał całe swoje życie, mozolne wdrapywanie się po szczeblach urzędniczej kariery, gromadzenie punktów, chwytanie okazji.

Chantall Dacous. Osoba Zwierzchnia. Wydział Ochrony Praw Człowieka, departament przestępstw przeciwko tolerancji religijnej. Siedzi w swojej kuchni, samotny, bo do późnego wieczora tkwił wczoraj przy komputerach nadzorując śledztwo… Jedna noc do przodu, bez silenia się na „jeszcze mogę”. Mogę. No i co? Nie chce mi się.

Przypomniał sobie o spotkaniu z kardynałem i ta myśl na moment omal nie wyzwoliła czegoś z czających się na granicy myśli sennych majaków. Ale zaraz to przeszło. Sięgnął po wystygłą kawę, machinalnie wyciągając rękę w kierunku pigułki. Chantall Dacous, Osoba Zwierzchnia. Chantall to żeńskie imię. To robota matki. Nazwała go tak, bo nienawidziła mężczyzn. Samców, jak by powiedziała.

Za dziećmi zresztą też nie przepadała. W każdym razie szybko doszła do wniosku, że nie było warto rodzić Chantalla tylko po to, by osiągnąć pełniejszą samorealizację.

Nigdy nie tęsknił za matką.

Spotkanie z kardynałem to rutyna. Ważniejsza była sprawa prowadzona przez Azufahana. Tej nocy miał ją przecież finalizować.

Ten Arab jakoś go onieśmielał. Chantall nie potrafił mu niczego odmówić. Pewnie dlatego, że w głębi duszy — bardzo, bardzo w głębi — niezbyt lubił Arabów. A to by było najgorszą kwalifikacją dla wysokiego rangą funkcjonariusza Biura Ochrony Praw Człowieka. Więc faworyzował Azufahana i kilku innych na takiej samej zasadzie, na jakiej matka, podświadomie nienawidząca dziecka, które zepsuło jej linię albo odebrało szansę kariery, obsypuje je od czasu do czasu nieoczekiwanymi prezentami i pocałunkami.

Tak jak jego matka. Nigdy nie wiedział, czy zaraz wybuchnie, czy zbierze jej się na czułości. Z dzieciństwa — oprócz dziesiątek różnych internatów i przechowalni, do których go podkukułczała — zapamiętał przede wszystkim ten ciągły strach, bezustanną niepewność…

Z rozbiegania myśli wyrwał go dźwięk włączającego się telewizora. Siódma trzydzieści, wiadomości poranne. Chantall rozejrzał się nieprzytomnie, nagle przypomniawszy sobie, że przecież nie ma czasu, by tak siedzieć i pozwalać myślom toczyć się w niewiadomą stronę. Pomimo głodu zostawił śniadanie nietknięte — jakby chciał w napadzie dziwnej złośliwości ukarać siebie samego, nie wiadomo za co.

Łazienka. Miniaturowy huragan rozpędzonych i doprowadzonych do optymalnej temperatury kropelek zjonizowanej wody. Łaskotliwe pieszczoty pola aparatu do masażu, ujędrniającego skórę i poprawiającego jej ukrwienie. Ciepło osuszających ciało strumieni powietrza, potem chłód napylanej przez kabinę kąpielową cieniutkiej warstewki balsamu. Z kuchni dolatywało

monotonne gadanie telewizora. W pewnym momencie w uszy Chantalla uderzyło zmurszałe mury Watykanu” i przez chwilą przysłuchiwał się uważniej. W końcu szło o coś, co dotyczyło jego spraw zawodowych.

„Papież chce nam zabronić miłości. Ale Chrystus nigdy jej nie potępiał. Jest obowiązkiem naszej wiary nie poddawać się inkwizytorskim zapędom ludzi, którzy pragną nas cofnąć do średniowiecza…”

Chantall trwał w zadumie. Kabina, zakończywszy pokrywanie jego skóry orzeźwiającym balsamem, ucichła. Telewizor gadał. Chantall znał tę sprawę — ciągnęła się od dawna — lombardzki katecheta, pozbawiony święceń za stosunki seksualne z jednym z wychowanków. Okazja, żeby raz jeszcze ukazać opinii publicznej prawdziwe oblicze funda—mentalistów ze wschodniej Europy, okupujących Watykan. Reporterka mówiła coś o faszystowskich reliktach, ale niczego, o czym by Chantall nie wiedział. Nie słuchał. Coś go w usłyszanych słowach uderzyło, przypomniało znowu ten nieprześniony sen — coś nieuchwytnego, jakby woń kadzideł, jakby echo chorałów… Które ze słów uruchomiło mechanizm pamięci? Kościół, Watykan, fundamentalizm? Nie. Polak? Polak… Auschwitz, prześladowania Żydów… Nie, też nie to. Nie potrafił sobie przypomnieć.

Co się z nim tego dnia działo?

INKWIZYTOR — uświadomił sobie nagle, gdy już zrezygnowawszy wyszedł z łazienki. Powtórzył to na głos: inkwizytor.

Przez chwilę stał nagi w sypialni, jakby znalazł jakiś ślad. Ale wcale go nie znalazł Nie wiedział, skąd nagle znalazł się w tym słowie taki ładunek. Nie wiedział, dlaczego wywołało ono z jego pamięci następne, tym razem już niezrozumiałe: *depositum fidei…*

— Jestem chory — powiedział do siebie na głos. — Potrzebuję odpoczynku. Jestem przemęczony i chory — powtórzył te słowa jak zaklęcie.

Zaklęcie, w które sam nie wierzył. Wcale nie czuł się chory. Mimo dziwnej melancholii oraz skłonności do zadumy miał w sobie tego ranka może nawet więcej energii niż zazwyczaj. Czuł się tylko bezbrzeżnie zbrzydzony samym sobą, swoim pełnym lękliwej niepewności dzieciństwem i zatopionym w upale miastem za oknami, nad sumieniem którego powierzono mu władzę. Czuł obrzydzenie do swojej kariery, z której był zawsze tak dumny, do układających się chętnie w zgrabne kółeczko ust Madelaine, do Republiki Praw Człowieka i w ogóle do całego świata.

Dlaczego? Przecież był to najlepszy ze światów. Najlepszy. Świat wymarzony przez filozofów, wyśniony przez pokolenia bojowników o postęp… Wolny, demokratyczny, bez dyskryminacji.

Ubierając się Chantall, coraz bardziej spóźniony, rozmyślał o słowie „inkwizytor” i niezrozumiałym *depositum fidei*. O mieście za oknami.

— Jestem chory — powtarzał rozpaczliwie w duchu, wychodząc z windy na szeroki podjazd, otoczony wysokim płotem z przezroczystego, kuloodpornego plastyku, gdzie czekał na niego od kilkunastu minut opancerzony samochód prefektury.

Ale wiedział, że to, co się z nim tego dnia działo, nie miało nic wspólnego z chorobą.

Starszy z hakerów, podesłanych Azufahanowi przez Sûreté, nazywał się Le Corve i jedyną rzeczą, na której się znał, były komputery. Przyłączony do systemu danych, stawał się w zerojedynkowym świecie geniuszem i bogiem. Poza tym światem istniał jako jeden z milionów kompletnych przeciętniaków, pochłaniających tony chrupek, wideokaset i plemnikobójczych pigułek smakowych.

Komputery były także jedyną rzeczą, jaka go naprawdę w życiu interesowała. Le Corve nie

potrzebował dla swojej pracy żadnych uzasadnień. Nie interesowało go, dla kogo pracuje i przeciwko komu, za co aresztuje się rozpracowywanych przez niego facetów i co się z nimi dalej dzieje; nawet nieporównywalne z przeciętną zarobki, jakie dawała mu ta praca, były raczej pretekstem. Tak naprawdę, Le Corve uwielbiał wybebeszać programy, łamać ich zabezpieczenia, głowić się nad nie spotkanymi wcześniej systemami. Jeżeli trafił na coś oryginalnego, wystarczało mu to w zupełności jako nagroda za włożony w służbę wysiłek.

Krótko mówiąc, był obok Mehmeta Azufahana drugim człowiekiem bardzo zadowolonym z akcji na OLY D'AUNTIER. To, co obsługiwał nieznany mu operator, zanim został ogłuszony, oślepiony, przewrócony na ziemię i skuty kajdankami, miało fenomenalnie pomyślane zabezpieczenie. Jakkolwiek Le Corve się starał, przy każdym jego ruchu program DEPOSITUM FIDEI ulegał stopniowemu samozniszczeniu.

— I co w tym niby fenomenalnego, stary baranie?! — zaryczał Azufahan, który nie miał o informatyce zielonego pojęcia i po prostu nie był w stanie zrozumieć finezji obsługiwanego przez zatrzymanych programu.

— No cóż, poza tym nie ma tu większych sensacji. Zasadnicza część programu to nieco zmodyfikowany *Chasse 7.25*. Nie mogę powiedzieć, kiedy zdołali tym wejść do naszej sieci. W każdym razie program nadal w niej jest.

— To już wiem. Brakuje mi informacji, po co tam wchodzili.

Oczywiście, tak naprawdę ciekawe było nie „po co", ale „jak". Na ten temat Le Corve mógłby coś niecoś powiedzieć. Z tym, że Azufahan i tak by nic nie pojął. Nie wiedzieć czemu, szefami zespołów operacyjnych z reguły bywali ignoranci.

— Ich program ma sekwencję kierującą go na bieżące operacje naszego systemu. Przykleja się do niektórych zbiorów, nie jestem w stanie powiedzieć, według jakiego klucza, i częściowo powiela się w nich.

— Coś w rodzaju szpiega w naszych komputerach?

— Absolutnie nie. To nie zbiera ani nie kopiuje żadnych danych. Po prostu rozsiewa nam po systemie kopie swojego programu. Zresztą znakomicie pomyślane. Te powpisywane przez nich wtręty są doskonale chronione przed naszymi programami czyszczącymi, i to dzięki bardzo prostemu trickowi…

— Zaraz — przerwał mu Azufahan. — To co właściwie, do jasnej cholery, robi w naszej sieci to ich całe decośtam?

Le Corve powstrzymał się przed okazywaniem irytacji.

— Dokładnie, to na razie nie wiem To, co wpisują nam do systemu, praktycznie rzecz biorąc nie służy niczemu. Być może jest to coś podobnego do sposobu, którego używamy przy forsowaniu zabezpieczeń antyterrorystycznych. Pierwszy program sam w sobie nic nie znaczy, zapada w sieci i czeka na drugi, który bez tego pierwszego nigdy by nie pokonał zabezpieczeń.

Tak, znam to — Mehmet Azufahan potarł nerwowo brodę. — Słuchajcie, muszę wiedzieć, co oni chcieli w ten sposób uzyskać. Nie interesuje mnie, jak wspaniale ten program potrafi się kasować podczas prób jego rozgryzienia. Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli mu na to nie pozwolicie.

— Nie ma siły. Nie sposób dorwać się do kodów uruchamiających go, a każda próba uaktywnia komendy destrukcji…

Twarz oficera stała się jeszcze ciemniejsza niż zwykle.

— Ale udało mi się utworzyć w nim obszar wirtualny — dokończył czym prędzej Le Corve. — Przy użyciu lepszego sprzętu zdołamy potem wszystko odzyskać.

— Aha — mruknął Azufahan z miną człowieka, który nigdy w życiu nie słyszał o obszarach wirtualnych. — Dobrze. W razie czego możecie użyć dowolnych połączeń, jakich będziecie

potrzebować. Jakoś się z tego potem wytłumaczymy. Tylko mam to mieć jak najszybciej!

Aż uśmiechnął się w duchu na widok radości, która odbiła się po tych słowach na twarzy Le Corve'a Pozwolił mu wrócić do terminalu i wyszedł z pokoju. Przez moment zamajaczyła mu jakaś niejasna obawa, że polecenie „użyj, czego będziesz potrzebował", dane człowiekowi rozmiłowanemu w bebeszeniu programów bez oglądania się na koszta i sens swojej zabawy, może mu przysporzyć kłopotów. Zaraz jednak zapomniał o tym, spojrzawszy na ustawioną na stole w korytarzu końcówkę interkomu wozu. Przez chwilę zajęty był tylko układaniem życzeń pod adresem swojej Osoby Zwierzchniej, Chantalla Dacous.

Azufahan nigdy nie pałał do Chantalla szczególną sympatią. Uważał, że z białą rasą musi już być naprawdę fatalnie, skoro desygnowała na kierownicze stanowisko taką rozlazłą kluchę. Najprawdopodobniej zresztą miała to być ostatnia biała Osoba Zwierzchnia w tym wydziale marsylskiej prefektury. W ciągu ostatnich trzech lat struktura ludności zmieniła się bardzo na korzyść rodaków Azufahana i Islamski Samorząd już zażądał od rady municypalnej uaktualnienia klucza personalnego, według którego obsadzano stanowiska.

Tym razem jednak, niezależnie od wszystkiego, Mehmet miał bardzo konkretny powód, żeby przeklinać swojego zwierzchnika do siódmego pokolenia. Prowadzona przez Mehmeta operacja zaklasyfikowana została w Paryżu jako przeciwdziałanie zagrożeniu wolności obywatelskiej. Pozwalało to Azufahanowi korzystać z pomocy Sûreté, ale poddawało śledztwo bezpośredniemu nadzorowi Chantalla. Oznaczało to, że bez oficjalnego polecenia Osoby Zwierzchniej, potwierdzonego i zidentyfikowanego przez system danych, Mehmet, bezpośrednio kierujący akcją, nie mógł zrobić literalnie nic. Nie mógł, na przykład, formalnie aresztować zatrzymanych i odstawić ich na najbliższy posterunek. Nie mógł przedstawić im formalnych zarzutów, a co za tym idzie — przystąpić do przesłuchania.

Tymczasem ta cholerna bryła sadła nie raczyła się od rana odezwać. Być może szanowna osoba w ogóle jeszcze nie dotarła do prefektury i odsypia nocne szaleństwa… Nie, przecież wczoraj siedział razem z nimi w centrali operacyjnej systemu danych. Zdobył się na takie niesłychane poświęcenie. Musiał, operatorzy wykryli, że coś im się wcina w system, ale w świetle prawa nie mogli nic zrobić bez jego obecności. No, więc odsypiał pracę. Albo nie miał chęci reagować na wściekłe przypomnienia, zostawiane przez Azufahana na bazie danych jego sekretariatu.

Dokładnie w chwili, gdy Mehmet miał już się odwrócić i zająć czymś innym, interkom zabuczał nagle sygnałem przywołania. Azufahan wręcz rzucił się na aparat.

To, co miała mu do oznajmienia Jacqueline, kierownik sekretariatu Chantalla, wprawiło go w kompletne zdumienie.

— Co to znaczy „zaniechać"?! — krzyknął wreszcie. — Czy pani w ogóle zdaje sobie sprawę…

Jacqueline wzruszyła tylko ramionami i przerwała połączenie.

Przez długą chwilę Mehmet nie mógł opanować wściekłości. Czy ten idiota zupełnie oszalał?! Odstawić zatrzymanych do jego osobistej dyspozycji, zaniechać czynności śledczych… I, jak gdyby chodziło o jakiś zupełny drobiazg, przekazuje tę wiadomość przez sekretariat, bo jest zbyt zajęty, żeby zaszczycić Azufahana chwilą rozmowy?

W co on grał?

Z pokoju wyjrzał jeden z członków specgrupy, zmuszonej od godziny do nudnego pilnowania zatrzymanych.

— Wezwij więźniarkę — rzucił do niego Mehmet, opanowawszy się nieco — Muszę odkonwojować prawiczków do prefektury.

Nie było to całą prawdą. Musiał, przede wszystkim, spotkać się z Chantallem i wydobyć od

niego parę wyjaśnień.

Chantall istotnie był zbyt zajęty, żeby zareagować na informacje Azufahana. Z początku nawet o tym pamiętał, jeszcze wysiadając w podziemnym garażu prefektury, układał sobie w myślach rozmowę z Mehmetem. Krótką i zwięzłą, aby podwładny nie wyczytał z niej śladów dziwnej słabości, która tego dnia ogarnęła Chantalla.

Kiedy jednak znalazł się w swoim gabinecie, zapomniał zupełnie o wyznawcach samozwańczego biskupa i o — jak ustalili poprzedniego wieczora — maskującej ich działalność firmie „France–Britt UKC", buszującej po systemie danych prefektury. Jego uwagę przykuł niepodzielnie jeden z ostatnich punktów, zapisanych w rozkładzie dnia. Na ciemnozielonym ekranie notesu lśniło wypisane drobnymi literami: kardynał Teasar, przyjąć w wolnej chwili.

Poczuł nagle irracjonalną pewność, że Teasar jest TYM CZŁOWIEKIEM.

Co to znaczyło — być TYM CZŁOWIEKIEM? Nie wiedział. Człowiekiem, który mógł mu pomóc. Który miał mu pomóc.

Chyba.

W każdym razie rozmowa z kardynałem wydała mu się nagle szalenie ważna.

— Tak, oczywiście… — Jacqueline sprawiała wrażenie zdumionej — On czeka, prefekcie. Ale… Właśnie kontaktował się kapitan Azufahan…

— Przyślij do mnie Teasara — musiał przez moment przypominać sobie, jak zazwyczaj się do niej zwracał. — *Chérie.*

Uśmiechnął się przy tym do interkomu — właściwie to jego twarz uśmiechnęła się sama. Z Jacqueline, smukłą Libanką o ostrych, semickich rysach, przespał się kiedyś parę razy bez większego entuzjazmu; z jej strony zresztą także go nie było. Wypadało po tym od czasu do czasu cmoknąć Kierownika Sekretariatu w policzek i udawać, że się jest zainteresowanym jej względami. Na szczęście Jacqueline nie była nachalna.

Skinęła głową i zniknęła z interkomu. Chantall, ogarnięty nagle niewytłumaczalnym podnieceniem, wstał zza biurka i zaczął przechadzać się po gabinecie.

Przez chwilę zdawało mu się, że powraca do niego wizja ze snu. Gdzieś na granicy postrzegania. Mdląca woń palonych ziół, zapach rozgrzanego wosku, pogłos sandałów na kamiennych posadzkach, pełgający blask świec…

— Kardynał Teasar.

Wizja zniknęła natychmiast, jeśli w ogóle istniała. Odwrócił się W drzwiach stał siwy, nobliwie wyglądający starzec w jasnym, rozpiętym pod szyją garniturze.

— Dlaczego pan się tak ubrał? — zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie Chantall.

Na dobrą sprawę — rozumował Mehmet — postępowanie Chantalla dawało się rozumieć tylko w jeden sposób. Człowiek, którego udało się Mehmetowi zatrzymać w biurowcu, był dla prefektury zbyt cennym łupem, aby pozwolono Azufahanowi prowadzić sprawę według normalnych procedur. Rozumiał to, ale z drugiej strony, nie miał zamiaru dopuścić, by całą zasługę wziął na siebie Dacous.

Chociaż zasługa i tak z urzędu należała do tej kluchy, jako formalnie prowadzącego śledztwo. Można było jedynie zadbać o należyte uwypuklenie swojego udziału w sprawie.

Azufahan cały czas pamiętał, że następny zwierzchnik — następna Osoba Zwierzchnia, poprawił się w myślach — od przestępstw przeciwko tolerancji religijnej nie będzie już białym.

Dlatego postanowił odkonwojować swój łup osobiście. Prawiczek nie wydawał się przerażony jazdą opancerzonym furgonem — zastygł nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach, w takim skupieniu, że trudno się było Mehmetowi zorientować, czy miała to być modlitwa, czy próba eksterioryzacji.

Przez kilkanaście minut, zanim Mehmeta nie znudziło przyglądanie się, zatrzymany nawet nie drgnął. Niewiarygodne, w jaki sposób był do tego zdolny. Ani też, dodał po chwili w myślach, jak potrafił wytrzymać przy takim skwarze w swoim idiotycznym, czarnym stroju, zapinanym na mnóstwo drobniutkich guzików. Legalni prawiczkowie od dawna już tego nie nosili.

Zresztą, ten wysuszony postami mężczyzna o twarzy i oczach szaleńca w świetle prawa nawet nie był już księdzem. Kardynał Teasar ekskomunikował go przed siedmioma laty za szerzenie nienawiści na tle wyznaniowym i niepodporządkowanie się zarządzeniom episkopatu Francji. Ale ekskomunikowany okazał się człowiekiem nieustępliwym. Po prostu — ekskomunikował kardynała i cały episkopat. I nadal robił swoje.

Robił swoje, to znaczy judził przeciwko podstawowym prawom człowieka i ustrojowym zasadom tolerancji, szerzył wyznaniową nienawiść i ciemnotę. Ściągał do siebie innych fanatyków. Znajdował ich nawet wielu. Coraz więcej. Wydawało się to niepojęte — oficjalny kościół, choć w jakimś tam stopniu starał się podążać za duchem czasu, był dla ludzi zbyt konserwatywny. Ginął śmiercią naturalną, stawał się pośmiewiskiem. Tymczasem ten szalony fanatyk, kultywujący średniowieczne obrzędy, bredzący o piekle i zabraniający właściwie wszystkiego, począwszy od seksu, skończywszy na jedzeniu mięsa — zbierał coraz większe tłumy.

W dodatku był niezwykle sprytny. Wykorzystywał zręcznie na swoją korzyść prawo o tolerancji wyznaniowej. Jego wyznawców wyłapywano czasem za konkretne przestępstwa, ale zwierzchnikowi sekty niewiele można było zrobić. Z początku zresztą prefektura pokpiła sprawę, uznano, że samozwańczy biskup przepadnie sam. Potem liczba jego zwolenników wzrosła, sekta zdobyła wpływy… Nie chciało się wierzyć, ale pojawiali się w niej ludzie młodzi, wykształceni, atrakcyjne kobiety…

Trzeba było, krótko mówiąc, wreszcie coś na tego uprzykrzonego człowieka znaleźć.

I oto właśnie Mehmetowi udało się go osaczyć w grupie winnych poważnego przestępstwa komputerowego! Mehmetowi, formalnie działającemu pod kontrolą Chantalla Dacous, który — jak widać — też postanowił wyciągnąć z tego dla siebie możliwie najwięcej korzyści.

Nie pamiętał tylko o jednym; że to Azufahan sprawuje nadal bezpośrednią kontrolę nad akcją, i chociaż aresztowanie należy do prefektury, w innych sprawach — na przykład istoty naruszenia systemu danych Biura Ochrony Praw Człowieka — ma prawo zwracać się bezpośrednio do Sûreté.

Kardynał Teasar spodziewał się ciężkiego dnia, odkąd tylko dowiedział się, że Chantall Dacous wzywa go na rozmowę do prefektury. Nie żeby nie lubił Chantalla, przeciwnie, naprawdę się cieszył, że to stanowisko przypadło komuś takiemu jak on. Zwierzchnik wydziału swobód religijnych mógł, gdyby chciał, naprawdę ciężko uprzykrzyć kardynałowi życie. Gdyby chciał.

Chantall, grubawy, nieco niezgrabny i o nalanej twarzy nie tyle może nie chciał, co nie chciało mu się. Teasar zdążył go poznać jako człowieka niezbyt przejętego swymi obowiązkami, o zawsze jakby nieco znudzonej twarzy i rozleniwionym spojrzeniu, w którym dawało się wyczytać przede wszystkim „a dajcie wy mi wszyscy święty spokój”. Właśnie to rozleniwienie czyniło Chantalla w gruncie rzeczy dobrym. Kardynał wolał nie wyobrażać sobie, jak wyglądałyby jego stosunki z konkurującą do tego samego stanowiska Vanellie Auroud, wściekłą feministką usuniętą z Paryża za jakieś podpadnięcie ministrowi. Z punktu widzenia prefektury, jako kandydatka biła Chantalla na głowę pod każdym względem. Bogu dzięki, że kierownicze stanowiska prefektury były już w przewidzianym procencie obsadzone kobietami, i nominacja przypaść musiała mężczyźnie. Klucz personalny, wprowadzony w urzędach państwowych pod naciskiem feministek, raz przynajmniej zadziałał przeciwko nim.

Mimo wszystko, Chantall miewał dni, kiedy stawał się nieprzyjemny. I Teasar miał wszelkie powody spodziewać się, że oto właśnie jeden z takich dni nadszedł.

Tym bardziej, że domyślał się przyczyny tak nagłego wezwania. Dostał tę informację jeszcze wczoraj, za pośrednictwem spowiednika, od jednego z cichych katolików w prefekturze Biuro Ochrony Praw Człowieka wpadło na trop jakiegoś grubszego przewinienia schizmatyków Leserve'a i szykowało się do zdecydowanej akcji przeciwko nim. Każde takie zdarzenie natychmiast odbijało się na Kościele mimo, iż nie mógł on formalnie odpowiadać za poczynania oderwanej od niego sekty. Było to ironią losu; właśnie przemożna chęć niezadrażniania stosunków z władzami zadecydowała przecież przed kilku laty o naciskach całej francuskiej hierarchii na ówczesnego papieża, by usunął Leserve'a z kościoła.

Na wszelki wypadek Teasar przyszedł do prefektury rano, zabierając ze sobą — by nie tracić czasu — sekretarza. Ten ostatni nie zdążył się jednak przepracować. Już w połowie dyktowania drugiego listu odezwał się w poczekalni wzywający go głos sekretarki. Zdecydowanie za wcześnie. Zazwyczaj Teasar czekał do południa, nawet dłużej.

Kardynał powstrzymał próbującego pójść za nim sekretarza i, pełen najgorszych przeczuć, ruszył w stronę gabinetu Chantalla.

Szybko okazało się, że jego najgorsze przeczucia i tak były przesadnie optymistyczne. Jedno spojrzenie Chantalla wystarczyło kardynałowi, by przekonać się, że zwierzchnik wydziału jest tego dnia wyjątkowo wściekły. Jego twarz wydawała się ściągnięta, wyłupiaste oczy spoglądały z niezwykłą srogością. Chodził nerwowo po gabinecie, długimi krokami.

Słowem, zachowywał się w sposób zupełnie do niego niepodobny. Zmierzył Teasara spojrzeniem, od którego przeszły go ciarki, i ni stąd, ni zowąd, wypalił."

— Dlaczego pan się tak ubrał?

W pierwszej chwili kardynał nie zrozumiał w ogóle, o co mu mogło chodzić.

— Jest pan przecież kardynałem. Dostojnikiem kościoła. Czy to jest stosowny do tej godności strój?

Zapadło długie, niezręczne milczenie. Teasar nadal nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Wiedział jedno — że Chantall najwyraźniej zastawia na niego jakąś pułapkę.

— Prawda, nie należy ludzi drażnić. Kościół ubogi, czyż nie tak?

— Chrystus był ubogi — odezwał się ostrożnie Teasar. Chantall znowu zrobił kilka długich, szybkich kroków po gabinecie.

— I dlatego wzgardził pan kardynalską purpurą? Skoro chciał pan tak dokładnie naśladować ubóstwo Chrystusa, powinien pan raczej zostać pustelnikiem, a nie kardynałem. Kardynał to książę kościoła. Odpowiada za instytucję, za narzędzie w ręku Pana. Za dochowanie wierności apostolskiej tradycji.

Teasar, speszony, z trudem wydobył z siebie głos.

— Już od dawna nie używa się w kościele katolickim tradycyjnych strojów. Czasy się zmieniły… Nikt już nie nosi sutanny ani infuły…

— Dlaczego? — powtórzył uporczywie Chantall.

Co to miało być? Egzamin z lojalności? Wstęp do jakichś decyzji? Chantall mógł wiele. Mógł cofnąć zezwolenia na użytkowanie miejsc kultu, zmienić klasyfikacje podatkowe, zarządzić weryfikację..

— Pokora — oznajmił kardynał zmęczonym głosem. — Czasy się zmieniły, epoki totalizmu i fundamentalizmu minęły. Nikomu nie wolno narzucać swych poglądów, a kłucie niewierzących w oczy naszymi rytuałami mogłoby być w ten sposób odbierane, obrażałoby uczucia religijne innych. Dzisiejszy kościół pragnie być pocieszycielem i duchowym oparciem, krzewić czystą ideę Chrystusa, ideę miłości bliźniego…

— Boga i bliźniego — poprawił Chantall.

— Boga… — o mały włos dałby się złapać. — Czy istnieje Bóg, to kwestia wiary.

Chantall podniósł na moment wzrok. Mrużył oczy, jakby starał się coś zrozumieć, i przez chwilę kardynałowi wydawało się, że jego pierwsze wrażenie — wściekłości — było mylne; że zwierzchnik wydziału raczej chce się czegoś dowiedzieć. Ale zaraz potem Dacous nagle znowu odezwał się tym zgrzytliwym, napastliwym tonem:

— Ale p a n chyba w niego wierzy?

— Naturalnie… w swoim sumieniu, oczywiście. Nie można jednak… nie można dyskryminować nikogo, komu jego światło rozumu wskazało inną drogę…

— Więc wiara mahometan jest równie dobra i równie prawdziwa jak chrześcijańska?

— Wszystkie religie…

— Przecież to absurd! Skoro tak pan uważa, pan, kardynał, to dlaczego nie jest pan mahometaninem?!

Teasar nabrał głęboko powietrza, ale Dacous uprzedził go, pokazując nagle zdobiący ścianę herb republiki. Wzrok kardynała prześliznął się po okalających herbową tarczę wstęgach ze złotymi napisami w alfabetach łacińskim i arabskim: *liberté, egalité, fraternité* oraz *La illach l’Allach, Mohamed rasul Allach.*

— Nie będę się wypowiadał na tematy polityczne — odrzekł kardynał. — Zresztą wie pan doskonale, że przepisy mi tego zabraniają. Prawa mniejszości należą do kompetencji władz. A co do ostatniego pytania, mogę odpowiedzieć tak: wierzę w miłość bliźniego. Ona jest esencją chrześcijaństwa, ją będziemy głosić. Ale nie odstąpimy nigdy od podstawowych zasad. Zwłaszcza od zasady tolerancji.

— Dla grzechu? Czy kościół może być tolerancyjny wobec zła? Rozwiązłości, kłamstwa, nie wypełniania obowiązków wobec Boga i bliźnich? Jak może nazywać się kapłanem Chrystusa ten, który nie napomina grzesznika, nie uświadamia mu jego grzechu?

— Grzechu? Grzech jest sprawą sumienia…

— A czyją sprawą jest budzić sumienia? — Chantall nagle znowu stał się napastliwy — Czy pan jest jeszcze kapłanem?! Czy zwierzchność kościelna toleruje pańskie wypowiedzi?!

— Pan przecież wie, że Watykan stał się ostatnio siedliskiem ludzi bardzo konserwatywnych… Ja nie potępiam naszego papieża, to co robi jest zapewne konieczne dla Afryki i południowej Ameryki, tam gdzie ogólny poziom wiernych jest znacznie niższy. No, ale cóż, w pewnych sprawach, zwłaszcza w kwestii obyczajów, mamy naturalnie inne zdanie.

Chantall milczał. O dziwo, wciąż sprawiał wrażenie niezadowolonego z wypowiedzi kardynała.

— Mówienie o grzechu jest potrzebne dla prostych, niewykształconych wiernych. To do nich przemawia. Co do naszej sytuacji…

— …to kto by przychodził słuchać jakichś historii o grzechach — dokończył Dacous. — Kapłan nie może mówić rzeczy ponurych, odstraszać słuchaczy od kościoła… — Nagle podszedł do Teasara i, z rozpłomienionymi oczami, chwyciwszy go za ramiona, powiedział:

— Kapłan musi być przekonany do swej wiary, kapłan służy Bogu. Nie kaprysom ani zachceniom tłumu. *Dopóki niebo i ziemia nie przeminą, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie.* Święci męczennicy oddawali za wiarę życie. Czego wy się boicie? Czego? Gwizdów? Drwin?

Przez moment Teasar omal nie uległ tym słowom. W ostatniej chwili błysnęła mu w umyśle ostrzegawcza myśl. Chantall prowokował. Mówiąc o męczennikach prowokował bezczelnie. Kardynał wreszcie przejrzał jego grę — musiał mieć sygnały, że część niższego duchowieństwa zaczyna się ostatnimi czasy skłaniać do schizmy Leserve’a, okazując sekcie życzliwość i nawet

konkretną pomoc. Wytrzymał przenikliwe spojrzenie Chantalla.

— Jesteśmy lojalni, prefekcie — odparł spokojnie, ledwie rejestrując fakt, że jego głos zabrzmiał jak głos bezbrzeżnie zmęczonego starca. — Całkowicie lojalni wobec republiki.

Dacous puścił go i równie gwałtownie; jak przed chwilą się zbliżył, odsunął się w kierunku szerokiego biurka. Po raz pierwszy od początku tej rozmowy usiadł w fotelu, kryjąc na chwilę twarz w dłoniach.

— Nie jesteś t y m c z ł o w i e k i e m — oznajmił.

Kardynał wolał na wszelki wypadek milczeć. Zresztą Chantall nagle jakby stracił zainteresowanie jego osobą. Nie wyglądał teraz na wściekłego Nie wyglądał też, jak gdyby chciał się czegokolwiek dowiedzieć.

Szczerze mówiąc, sprawiał po prostu wrażenie szaleńca.

— Inkwizycja… — wyszeptał Chantall ledwie dosłyszal—nie, a potem podniósł głowę, wyraźnie szykując się do zadania Teasarowi jakiegoś pytania. Otwierał już usta. Dla kardynała ta chwila trwała całe godziny. Czuł, że za chwilę padnie oskarżenie, oskarżenie nawet bez prawa do obrony — i spoglądając na otwierające się usta wiceprefekta modlił się w duchu, by coś się stało, coś, co go powstrzyma.

Ale Chantall powtórzył tylko „nie jesteś tym człowiekiem” i straciwszy nagle wszelkie zainteresowanie Teasarem pochylił się gwałtownie nad interkomem.

— Połącz mnie z Azufahanem… *cherie.* Nie, poczekaj. Przekaż mu, żeby wstrzymał czynności śledcze i odesłał mi głównego zatrzymanego. Ze względu na wagę sprawy, chcę go przesłuchać osobiście.

Kardynał nie próbował słuchać Powoli, niepewnie zaczął się wycofywać z gabinetu. W miarę, jak zbliżał się do drzwi i nie rozlegało się za nim żadne „dokąd?” ani „jeszcze nie skończyliśmy”, przyspieszał kroku.

Gdy wreszcie znalazł się za drzwiami, musiał oprzeć się drżącą ręką o ścianę i chwilę poczekać, aż mu wrócą siły.

Nigdy nie miał uzyskać pewności, czy Chantall za wszelką cenę starał się go sprowokować, czy po prostu oszalał.

Jacqueline, nachylona nad interkomem, obrzuciła opuszczającego gabinet kardynała ukradkowym spojrzeniem. W pierwszej chwili miała ochotę podbiec i podtrzymać go — z trudem zdołała tę chęć ukryć. Jak gdyby nigdy nic dokończyła rozmowę z Chantallem i zaczęła wybierać kod terminalu używanego przez Azufahana, cały czas obserwując ostrożnie opartego o ścianę duchownego.

Nawet biorąc poprawkę na podeszły wiek kardynała, musiało się stać coś niezwykłego. Nigdy jeszcze nikt tak nie wyglądał po rozmowie z Chantallem. Dacous nie był tym typem człowieka, wiedziała to doskonale.

To nie znaczy, że nie umiał być świnią albo draniem, broń Boże. Ale kiedy robił jakieś łajdactwo, to zawsze za plecami i po cichu. Po prostu fizycznie nie był w stanie walnąć pięścią w stół ani rozedrzeć się na kogoś. Nie był w stanie niszczyć człowieka, patrząc mu w oczy.

Przynajmniej tak dotąd sądziła.

Azufahan usiłował protestować, ale nie miała głowy ani zamiaru się z nim użerać. Wzruszyła tylko ramionami i rozłączyła linię, by móc podejść do opartego o ścianę starszego mężczyzny i zapytać, czy nie trzeba mu pomóc.

— Dziękuję pani bardzo… Nic mi nie jest, już stąd idę, już…

Do diabła, przecież wcale nie kazała mu wychodzić! Przez moment czuła w sobie straszliwą chęć, żeby ścisnąć go za rękę i pochyliwszy się, szepnąć do ucha, że jest po jego stronie, żeby się

nie martwił, że w razie czego uprzedzi zawczasu…

Na litość boską, nie mogła tego zrobić! Zwłaszcza tutaj, w tym nafaszerowanym elektroniką sekretariacie. Osoby Zwierzchniej. Zostawiła kardynała i otworzywszy drzwi do poczekalni skinęła na siedzącego tam sekretarza. Tyle nie powinno wzbudzać żadnych podejrzeń — zwykła kobieca opiekuńczość. Ale na wszelki wypadek, kiedy po chwili sekretarz wyprowadzał swego pracodawcę, trzymając go pod ramię, starała się nie patrzeć za nimi.

Usiadła przy pulpicie w oczekiwaniu na kolejne wezwanie Chantalla. Ponieważ się nie odzywał, wydobyła z bazy danych najnowsze meldunki, te, które dotarły do niej dopiero w ostatnich godzinach i nie zostały jeszcze nigdzie przetransmitowane. Na razie jednak nie przeglądała ich. Wyświetlone na ekranie, miały w razie czego sprawiać wrażenie, że Jacqueline jest niezwykle zajęta. W rzeczywistości była jedynie zamyślona. Jacqueline często się tak zamyślała, wpatrzona w sprawozdania i katalogi sekretariatu. W zasadzie nic innego jej, poza rozmyślaniami, nie pozostawało. Miała trzydzieści dwa lata, ale nie to było jej problemem — nie widziała jeszcze po swoim cedrowozłocistym ciele upływu łat. Była samotna, ale to także nie stanowiło problemu — mając trzydzieści dwa lata i wciąż nienaganną figurę nie pragnęła już jakichkolwiek związków z mężczyznami ani kobietami. Parę razy obsłużyła na wszelki wypadek Chantalla, dopiero poniewczasie stwierdzając, że nie było to potrzebne. Gdyby chciał się jej pozbyć, tych paru razy nie uznałby za zobowiązujące do czegokolwiek — chyba nigdy jeszcze nikt nie zabierał się do niej z taką męczenniczą desperacją. Nie miała wątpliwości, że dziwkarska sława Chantalla miała osłaniać jego faktyczny homoseksualizm. Ten ostatni nie był oczywiście jakoś źle przyjmowany, ale pedały stanowili wszędzie zwarte, występujące jednogłośnie *lobbies* — a Chantall widocznie chciał robić karierę poza tym układem.

Jacqueline nie zrobiła kariery — ale i ta sprawa nie martwiła jej. Osiągnęła już wszystko, co chciała. Kosztem kilku lat pilnej pracy, od czasu do czasu wspomaganej ruchami lędźwi, wkręciła się do państwowego biura na funkcję na tyle nieznaczącą, że nikogo nie kusiło pod nią ryć. Prefekci i kierownicy wydziałów mogą się zmieniać bardzo często, ale nie sekretarki. Miała więc stałe zajęcie, dające jej miejsce w życiu i dość czasu na rozmyślania.

W wieku trzydziestu dwóch lat Jacqueline miała wszystkiego serdecznie dosyć. Czuła się pusta, wydrążona w środku i zarazem splugawiona, zgwałcona raz na zawsze wszczepionym w jej układ nerwowy paskudztwem. Jakby ten świat, w którym przyszło żyć, napluł jej głęboko w duszę i nie dawało się już tego wyczyścić.

To była cena za przeżycie — ten wszczep. W kilka miesięcy po tym, jak handlarze wywieźli ją z Bejrutu, wszyscy, których znała, zginęli. Jej rodzice i rodzeństwo także.

Nie miała do nich żalu, że ją sprzedali. Bejrut należał do wolnego świata i oczywiście każdy mógł go opuścić, jeżeli tylko miał dokąd jechać Jej rodzina nie miała. Jedynym, na co mogła liczyć, była egzotyczna dla Europejczyków uroda córki. Po kilku latach pracy w pornobiznesie miała zarobić dość, żeby ściągnąć pozostałych.

Nic z tego nie wyszło. Do Bejrutu weszli Syryjczycy, pod opieką których mahometanie spokojnie, przez nikogo nie niepokojeni, wyrżnęli chrześcijan do ostatniego. Rodzina Jacqueline miała to nieszczęście, że byli maronitami.

Nie wiedziała, co się z nimi stało. Europa nie spisywała zbrodni, na które sama pozwoliła. A na tę pozwoliła, by w zamian pchnąć jednych Arabów przeciwko innym Arabom.

Kontrakt, podpisany za niepełnoletnią córkę przez rodziców, okalał się być niejednoznaczny. Wystarczył jeden kaprys urzędnika imigracyjnego, by wróciła do Bejrutu i dołączyła do najbliższych. Wystarczyło, by przestała spełniać stawiane przez firmę wymagania.

Nie mogła mieć pretensji do firmy. Umiałaby znienawidzieć człowieka, który za nią odpowiadał, ale nikt nawet nie wiedział, do kogo właściwie firma należała — trochę do tego,

trochę do tamtego, trochę do paru innych firm, w których z kolei sama miała udziały. Firma zresztą do niczego jej nie zmuszała, przestrzegała ściśle prawa. Po prostu takie było prawo. Czy można mieć pretensje do wydanego nie wiadomo już nawet przez kogo przepisu?

Wszczep był zgodny z prawem, zresztą kontrakt stanowił jej zgodę na ten zabieg. Lalka na sznurku — neuroprocesorowy afrodyzjak. Uwaga, mała, czas być namiętną — naciskamy guzik. Będziesz nie do zdarcia, bezkonkurencyjna.

Więc była.

Nie było sensu tego wspominać. Minęło. Miała teraz obywatelstwo, pracę i święty spokój.

Nie miała tylko niczego, co by nadawało jej życiu sens. Nawet religii. Po tym wszystkim, co przeżyła w dzieciństwie, nie potrafiła pokochać Allacha, a prawo o samorządach mniejszości nie pozostawiało jej wyboru wyznania.

Przeżuta i wypluta przez najlepszy ze światów, któremu powinna być wdzięczna, że w ogóle ją zechciał, wiedząca wszystko o seksie i niczego o miłości, pusta w środku…

Jakież to banalne — pomyślała po raz nie wiadomo który, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w szeregi znaków na ekranie.

— Kapitan Mehmet Azufahan z zatrzymanym, zgodnie z poleceniem — oznajmił, kiedy po przemierzeniu labiryntu korytarzy i sztolni wind stanęli wreszcie przed drzwiami biura Osoby Zwierzchniej wydziału.

Przez długą chwilę nie działo się nic. Wreszcie sekretarka najwyraźniej raczyła zwrócić na nich uwagę; rybie oko kamery poruszyło się nieznacznie w srebrnej okładzinie futryny, szczęknęły rygle. Drzwi rozsunęły się, odsłaniając kilkumetrowy korytarz, pełen ukrytych w ścianach i podłodze czujników. Lekko popchnął przed sobą zatrzymanego i wszedł za nim.

Obwody osobiste, wtopione w służbowy strój Mehmeta, ożyły, pobudzając cichy świergot kasety przy wejściu. System sprawdził ich obu, zidentyfikował swojego pracownika i zweryfikował dane w kartotece Biura. Jeszcze raz szczęknęły rygle i otworzyły się drugie drzwi, u wylotu korytarza.

Przeszli przez poczekalnię do sekretariatu, gdzie na wprost wejścia strzegła wstępu do gabinetu Osoby Zwierzchniej ciemnowłosa dziewczyna. Przez chwilę przypatrywała się nieruchomo sponad terminalu — nie był w stanie powiedzieć, jemu, czy zatrzymanemu.

— Pierre Leserve?

Nie brzmiało to jak pytanie. Chłodne, rzeczowe stwierdzenie faktu.

Jego kontakty z sekretarką Chantalla ograniczały się wyłącznie do spraw służbowych, ale to jedno zdążył już zapamiętać. Wyniosły, lodowaty chłód, jakim darzyła otoczenie. Jakby chciała każdemu powiedzieć: „nie dla takich jak ty”.

— Biskup Pierre Leserve — odpowiedział zatrzymany, chyba po raz pierwszy głośno. Jego głos drżał lekko. Wreszcie zaczął się bać. I słusznie.

Sekretarka pochyliła się nad interkomem, by po chwili podnieść się i wyjść zza swojego pulpitu.

— Proszę za mną — rzuciła do Leserve’a.

— Chwileczkę — zaprotestował Azufahan. — Chcę najpierw porozmawiać z prefektem.

— Prefekt wzywał tylko zatrzymanego, kapitanie. Ze względu na jego podeszły wiek i nikłe zagrożenie fizyczne zrezygnował z przewidzianych przepisami środków bezpieczeństwa.

— Chcę najpierw porozmawiać z prefektem — powtórzył z naciskiem, podchodząc.

Jacqueline wzruszyła tylko ramionami i wróciła do terminalu.

— Kapitan Azufahan prosi o rozmowę, prefekcie…

Nie czekał na odpowiedź. W końcu znał Chantalla od dawna. Po prostu otworzył drzwi i

wszedł, prowadząc przed sobą Leserve'a. Chciał tylko rzucić parę zrozumiałych dla przełożonego aluzji, że nie da się tego zatrzymania uprawomocnić bez niego.

Dacous zmierzył go lodowato zimnym wzrokiem. To było po prostu niesamowite; nigdy w życiu nie widział u Chantalla takiego wzroku!

— Proszę się wynosić — oznajmił nie znoszącym sprzeciwu tonem.

— Chciałem tylko… — zaczął z rozpędu Mehmet, słysząc za plecami kroki nadbiegającej dziewczyny. Ale Chantall nagle rozdarł się na cały głos:

— Wyjść, kapitanie!!!

Jacqueline nigdy jeszcze nie słyszała, żeby Chantall na kogoś krzyknął. Zastygła tuż za Azufahanem, zszokowana; zarazem nie potrafiła ukryć satysfakcji, że prefekt zgasił tego bezczelnego Beduina. Kapitan najwyraźniej zgłupiał. Wymamrotał „tak jest" i wycofał się tyłem, omal nie rozdeptując przy tym dziewczyny.

Na szczęście w porę odsunęła się na bok. Zmierzywszy Azufahana złym wzrokiem, odwróciła się raz jeszcze i powolnym ruchem, by nie trzaskać, zamknęła drzwi gabinetu.

— Witaj, ojcze Bernardzie — dobiegło ją przez wąziutką szczelinę w ostatniej chwili, zanim pokryte drewnem odrzwia zetknęły się, uruchamiając pole wytłumiające.

Witaj, ojcze Bernardzie? — powtórzyła w myślach, wracając na swoje miejsce.

Te słowa wypowiedział drżący ze wzruszenia głos biskupa Leserve'a.

— Witaj, ojcze Bernardzie — wypowiedział słowa hasła. Słowa, na których możliwość wypowiedzenia czekał sześć długich lat. I zanim jeszcze je wyrzekł, był już pewien. Już wiedział, że nie czekał nadaremnie. Człowiek, siedzący naprzeciwko niego, przymrużył oczy. Po jego twarzy przemknął jakiś cień, jakby skurcz bólu…

— *Laudetur Iesus Christus…*

Stary, ekskomunikowany biskup poczuł nagle, jak długo tłumione łkanie wzbiera mu w piersi i rozlewa się niepowstrzymaną falą. Świat zamglił się przed oczami, w piersiach zabrakło na chwilę tchu. Chciał podejść do ojca Bernarda, ucałować jego dłoń, ale nagle zakręciło mu się w głowie i musiał osunąć się na stojące w pobliżu krzesło.

Ojcze Bernardzie… Wszystko wskoczyło na swoje miejsca. Zapach kadzideł i rozgrzanego wosku, rozchybotane płomienie świec, pogłos sandałów na kamiennych posadzkach katedry. To Tuluza, z której wypędzono Katarów. Rok pański 1322. Ocalała w ruinach katedra i dziękczynne modły…

Już nie ma Tuluzy, nie ma Prowansji… Pozostał ten dziwny, pogański kraj na gruzach dawnej Europy.

Ojciec Bernard Gui, wielki inkwizytor Tuluzy ukrył twarz w dłoniach.

— Przywołałeś mnie — odezwał się wreszcie Bernard po długich, długich latach, po całych wiekach znieruchomiałego milczenia. Po wiekach, w czasie których rwały się granice i wymierały dynastie, rewolucje zmiatały trony, rządy i tyranie, zastępując je innymi, a miecze wyrastały w termonuklearne rakiety.

Leserve jeszcze nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Potrząsnął tylko głową, przełykając gorące łzy.

— Przed chwilą byłem w Tuluzie, kończyłem pisać mój podręcznik… Znasz mój podręcznik? Tak, prawda, wiem… To dzięki niemu przywołałeś mnie do swojego czasu. Który to rok? Dwa tysiące szósty? Siedem wieków… Niezbadane są wyroki pańskie…

— To całkiem inna Europa, ojcze. Pogańska Europa. Nie ma w niej Boga, nie ma prawa, nie ma obyczaju.

— Pamiętam, bracie — odrzekł łagodnie Bernard. — Pamiętam wszystko, co wiedział ten człowiek… Chantall Dacous. I to, co znalazło się w programie przywołania.

Wielki Inkwizytor westchnął głęboko i w zadumie odchylił głowę na oparcie fotela.

— Pogański świat, jak ten, po którym pozostały jeszcze w moich czasach resztki dróg i ruiny akweduktów. Cielesność i użycie, a potem choćby i piekło miało pochłonąć. Wiedza bez wiary.

— Wszystko się zmieniło, ojcze — powtórzył, wciąż jeszcze drżącym głosem, biskup Leserve.

— Więc chcesz sądu?

— Tak, chcę sądu. Także i nad sobą. Poddam się twojemu wyrokowi, ojcze.

— Oskarżaj.

— Złamałem śluby. Wymówiłem posłuszeństwo biskupom i Ojcu Świętemu. A co więcej, ojcze, nie żałuję tego. Gdybym nawet miał dziś szansę powrotu na łono kościoła, za cenę odwołania swych kazań — nie zrobiłbym tego.

— Kim jesteś, że tak mówisz? Twoja kapłańska władza i mądrość była władzą i mądrością kościoła. Kim pozostajesz, tracąc z nim łączność? Liściem na wietrze… Schizmy nie da się oddzielić od herezji. A skąd bierze się herezja?

— Z zadufania — odpowiedział pokornie biskup.

— Z zadufania — powtórzył Bernard. — Człowiek wbija się w pychę i zaczyna uważać, że on jeden posiadł prawdę. Że wieki zbiorowego wysiłku ojców kościoła to nic, że wszyscy, począwszy od świętych apostołów, błądzili, a tylko on jedyny dostąpił boskiego objawienia. Czy ty, bracie, uważasz się za wybranego? Czy sądzisz, że jako jedyny otrzymałeś i przechowujesz *depositum fidei?*

Starzec milczał przez długą chwilę, z trudem zbierając siły, by słowo to zabrzmiało z odpowiednią mocą.

— Tak, ojcze.

— Dość tego, kapitanie — zirytowała się Jacqueline. — Proszę wrócić do poczekalni, albo…

Miał na końcu języka prowokacyjne „albo co?", ale powstrzymał się i zmusił do uprzejmego, wręcz pokornego tonu, chociaż miał ochotę chwycić dziewczynę za łeb i wybić nią dziurę w drzwiach, a potem wpaść do gabinetu i nakłaść Chantallowi po mordzie.

— Bardzo proszę… Chciałbym skorzystać z pani terminalu.

Zamilkła na moment. Wahała się.

— Mam do tego prawo — dodał. — Jeśli uznać, że stanowię eskortę aresztanta, który podlega obecnie przesłuchaniu, nie mogę jako taki oddalać się poza sektor.

— Tak — przyznała niechętnie po chwili zastanowienia. — Ma pan do tego prawo.

Obróciła się na fotelu i sięgnęła po dodatkową końcówkę interkomu. Podłączyła ją do pulpitu i pełnym dystynkcji ruchem postawiła przed Mehmetem na górnej pokrywie jednego z odgradzających ją od świata monitorów.

— Terminal wozu mojej specgrupy. Nie pamiętam dzisiejszego kodu.

Skinęła milcząco głową.

Mehmet stanął przed mikrokamerą interkomu, opierając się dłonią o monitor. Miał ochotę kogoś zabić. Czekał, aż skończą się procedury szyfrowe i identyfikacyjne.

— Azufahan. Zawołać Le Corve'a No to niech przerwie. — Milczenie. — Na razie czekajcie, decyzje podejmie wiceprefekt po przesłuchaniu głównego podejrzanego. No, gdzie ten Le Corve?

Znowu milczenie i obraz pustej ściany w pomieszczeniach „France–Britt UKC". Zerknął spod

oka na Jacqueline. Wyglądała, jakby w ogóle nie przyjmowała jego istnienia do wiadomości.

Wyglądała też, z tym swoim chłodem w ułożeniu ust i w spojrzeniu, cholernie wyzywająco.

— Tak, panie kapitanie? — odezwał się Le Corve. Mehmet nabrał głęboko powietrza… i nagle uświadomił sobie, że to, co chciał polecić Le Corve'owi, zabrzmi jak więcej niż niesubordynacja.

— No i co, znaleźliście coś? — zapytał, by zyskać na czasie.

— Kościół zbłądził. Ugiął się przed wolą tyrana. — Leserve mówił powoli, z namysłem dobierając słowa swej obrony. — Nie wolno mu było ustąpić, choćby groziły prześladowania, choćby nawet tyran zagroził fizyczną zagładą Ciała Chrystusa. Należało ufać Bogu i nie odstępować dla chwilowego kaprysu władcy. Kościołowi zabrakło wiary

— Kim był tyran? I czym groził?

— Przyszło mi żyć w czasach tyranii najgorszej z możliwych. Dawni dyktatorzy prędzej czy później umierali. Obecny — zginie dopiero razem z nami. Tłum, ojcze. Tłuszcza. Motłoch. To on rządzi dzisiaj światem. On pragnie rozstrzygać, co jest dobre, a co złe. Co moralne, a co niemoralne. Co wolno, a czego nie wolno. Tłum… To szatańska sprawa, podpowiedzieć ludziom, że oni są władni rozstrzygać o prawach. — Biskup westchnął głęboko i boleśnie. — A tłum jest tym wszystkim, co w nas najgorsze. Wiara, by istnieć, musi kazać wspinać się wciąż pod górę. Musi być jak wędzidło i ostrogi, zmuszać do wysiłku, do wyrzeczenia, by człowiek mógł się doskonalić. Dziecko pozostawione same sobie nie podejmie nauki, dziecku nie wolno zostawiać decyzji co do swojego losu. Nawet jeśli płacze, bo czegoś nie dostało — musi mieć wychowawcę, który wie, że to, czego dziecko pragnie, w istocie obróciłoby się na jego szkodę. Jak wyglądałby świat dzieci pozostawionych samym sobie? A tak się stało w szatańskiej religii, jaką jest demokracja. Bo przecież w obliczu Boga wszyscy jesteśmy dziećmi. On wie, do czego zostaliśmy przeznaczeni, czego potrzebujemy. My tego nie znamy i nie moglibyśmy pojąć. Czy wykładam rzecz jasno, ojcze?

— Mów dalej, bracie.

— Zatem, po innych tyraniach nastała tyrania tłumu. Jeśli władza nie pochodzi od Boga, lecz od narodu, to sprawować ją będą ci, którzy najbardziej przypochlebią się tłuszczy. I tylko kilka lat, więc, tak samo jak i tłum, nie spojrzą dalej własnego nosa. Byle powiększyć poklask dla siebie, choćby za sto lat świat miał zginąć.

A jeśli kaprys tłumu stał się prawem, kto się odważy mu nakazać, by postępował wbrew sobie, wbrew bydlęcym instynktom człowieka? Przykazania, zamiast ich słuchać, zaczęto głosować. Zamiast jednego Boga, surowego, choć kochającego, pojawiły się miliony pogańskich bożków, uśmiechniętych, przymilających się o względy. Ludzie przestali szukać szczęścia, pogrążywszy się w przyjemnościach, przestali myśleć o duszy, zaczęli o ułatwianiu sobie życia, o uprzątaniu z drogi wszelkich zakazów, uwolnieniu się od wszelkiej odpowiedzialności… Ojcze, uznałem, że nie może być prawowiernym chrześcijaninem, kto uzna demokrację za władną rozstrzygać o sprawach kościoła. Następca Piotra i jego biskupi pogodzili się z władzą tłumu. Odstąpili od Prawa, przerażeni pustkami w świątyniach i brakiem ofiar, zapragnęli przypodobać się motłochowi. Dlatego złamałem ślub posłuszeństwa, ojcze Bernardzie.

— No, tak, coś niecoś znalazłem… — zaczął Le Corve. Mehmet od razu wyczuł w jego sposobie mówienia coś dziwnego. — To znaczy… Przede wszystkim, przegrzebałem im pamięć wewnętrzną. To znaczy, odtworzyłem proces programowania tego, z czym się tutaj ścigamy. Musiałem się podpiąć pod centralę Sûreté, ale za to prawie już zrekonstruowaliśmy…

— No i co tam jest takiego? — przerwał Mehmet, pomyślawszy, ile wpadnie na rachunek

prefektury marsylskiej za wykorzystywanie centrali obliczeniowej Sûreté.

— Jakaś stara księga z czternastego wieku, coś w rodzaju podręcznika dla inkwizytora. Napisał to niejaki Bernard Gui. I bardzo ciekawy program do sporządzania charakterystyki osobowościowej. Odtwarzali tego inkwizytora. To znaczy, jestem pewien, że na podstawie tej księgi zrekonstruowali już jego zasadniczą osobowość, ale nie wiem, dlaczego ją wykasowali.

Miał wrażenie, że w którymś momencie twarz dziewczyny drgnęła.

— Czekajcie, Le Corve. Co z tymi programami, wpuszczonymi w nasz system?

Haker natychmiast stracił na elokwencji. Zaczął coś bąkać o problemach.

— Kurwa mać! Bawicie się, zamiast szukać tego, co ważne, tak?! — pytanie było czystą retoryką. Bez najmniejszej wątpliwości: wziął się, sukinsyn, za to, co go bardziej ciekawiło, zamiast za najważniejsze.

— Nie mogliśmy siedzieć we dwóch w jednym programie. Młody siedział nad tym wirusem, a ja…

Mehmet zaciął wargi.

— Dobra — wycedził. — Chcę wiedzieć, co on zwojował.

— No, trochę mamy — twarz Le Corve'a, gdy ponownie pokazał się na ekranie, wydawała się spokojniejsza. — Mamy kod osobisty, na który nastawione było to coś. Podać?

Popatrzył tylko na niego.

— A co do reszty… Młody twierdzi, że to ma zakodowaną jakąś dziwną sekwencję znaków. Jakby miało uruchomić pewien powtarzający się rytm. Niby, że wyczekiwało w systemie, aż zacznie w nim operować ta osoba, czepiało się jej i generowało w kółko tę serię impulsów.

— Dobra. Wracajcie do pracy, wkrótce tam będę. Delikatnie przytrzymał końcówkę, po którą już sięgała Jacqueline.

— Archiwum — rzucił. I po chwili dodał. — Proszę. Miała wrażenie, że ten Beduin kompletnie zwariował.

Oczy świeciły mu się jak jakiemuś szaleńcowi. Połączyła go z archiwum i wpisała podany kod.

ZASTRZEŻENIE

— Na litość boską, niechże pani coś zrobi!

Rozłożyła bezradnie ręce.

— Na pewno pani może. Proszę. To ważne. Naprawdę ważne.

— Nie mam sposobu, żeby przekonać program archiwum. Przyglądał jej się przenikliwie.

— A prefekt? — zapytał nagle. — Niech pani wpisze jego kod.

Nie wiedziała, dlaczego mu uległa. Sięgnęła ku klawiaturze… I zastygła nieruchomo.

— To jest właśnie jego kod — powiedziała. Niepotrzebnie. Zupełnie bez sensu. W ogóle nie powinna łączyć go z archiwum.

Twarz oficera ściągnęła się. Jacqueline, choć nie wszystko zrozumiała z jego rozmowy, także poczuła nagły ucisk w gardle.

— Archiwum — zakomenderował. — Klucz „sekwencja".

Wystukała to posłusznie. Lista haseł była długa Przyglądał jej się w skupieniu, z coraz większą rezygnacją na twarzy.

— Rytm — zażądał jeszcze po długim milczeniu. Wpisała posłusznie: rytm.

Zauważyli to niemal jednocześnie: rytmy mózgu, stymulacja elektrohipnotyczna.

Wpatrzona w pojawiające się na ekranie informacje nawet nie zauważyła, kiedy Azufahan władował się za jej terminal.

— Skąd jestem pewien, że i ta tyrania upadnie? Ojcze, każdy system władzy ma swój zmierzch. Demokracja w czasach spokojnych wynosi na szczyty ludzi przeciętnych, którzy nikomu nie wadzą i niczego wielkiego nie przedsięwezmą. A w chwilach trwogi albo załamania — wielkich demagogów i szaleńców. Tak czy owak, sprzyja zawsze krótkowzroczności. Nie liczy się nic, co nastąpi po zakończeniu kadencji. Demokracja zawsze wybierze pozorną korzyść i chwilowy zysk, nawet kosztem przyszłej tragedii.

Islam nie zna demokracji. Wcisnął się już głęboko do Europy, wykształcił swoich naukowców i specjalistów na najlepszych uczelniach. Trzyma swoich wyznawców żelazną ręką — nie pozwala odstępować od obyczaju i przechodzić na stronę przeciwną.

Pięć lat temu rzucili na Europę tłumy terrorystów. Tłum chciał uwierzyć, że opanowano tę falę i zmuszono wroga do rokowań dzięki komputerowej ochronie miejsc publicznych i nowym technologiom bezpieczeństwa. Ale to nieprawda. Nowy Saladyn podpisał z białymi diabłami pokój. Na swoich warunkach. Poczeka trochę i Europa wpadnie mu w ręce bezsilna, nawet nie zniszczona wojną.

Leserve dyszał ciężko. Podniósł zmęczone oczy na Wielkiego Inkwizytora.

— Kościół musi przetrwać zwycięstwo barbarzyńców. I nawrócić ich. Tak, jak już raz było… Kościół prawdziwy, nie jego parodia, konkurująca z sektami i salami sportowymi. Ojcze, mój czas się kończy. Poświęciliśmy lata na przywołanie cię, na obdarzenie cię władzą. Oczyść Europę i kościół z zepsucia… Ocal go jeszcze raz, jak kiedyś przed Katarami.

Pochylił się w milczeniu i znieruchomiał na dłuższą chwilę.

— To wszystko, ojcze Bernardzie. Czekam na twój wyrok.

Chciała mu przeszkodzić, ale Arab tylko bezceremonialnie zatkał jej usta dłonią.

— Milcz, rozumiesz? Mam ci ukręcić ten pusty łeb? — dyszał. — Włącz podsłuch gabinetu. No, na co czekasz?! Nie dociera do ciebie, co się tu dzieje?!

— Nie mogę cię potępić, bracie — usłyszeli głos Chantalla. — Nie mogę potępić nikogo. Gdzieś po drodze biały człowiek zboczył o jeden drobny krok z drogi. Wyznaczył sobie jeden drobny skrót, jedno ułatwienie. A potem drugie. I trzecie… Kościół poszedł za innymi. Ostatni, ale poszedł także na manowce. Może nie mógł zrobić niczego innego, skoro stracił posłuch? A może musimy odkupić błędy męczeństwem, przebyć raz jeszcze tą samą drogę, co na początku dziejów?

Myślę, że ty także zbłądziłeś, bracie Piotrze. Kościół upadał wielokrotnie. Zdarzali się niegodni papieże, zdarzało się, że zgnilizna przeżerała wszystkie hierarchie, sięgała samego serca Watykanu. I mimo to kościół się odradzał, bo jakikolwiek by był, zawsze działa w nim Pan. W kościele jest łączność z Bogiem, poza kościołem jej nie ma. Zgrzeszyłeś, bracie Piotrze. Nie popadłeś w herezję i nie mogę cię potępić, ale zgrzeszyłeś.

Niech ci to Bóg wybaczy, bo zgrzeszyłeś z miłości do niego. Pomódlmy się o to, bracie Piotrze.

Bracie Piotrze…

Trzask interkomu. Azufahan groźnym gestem położył palec na ustach.

— Jacqueline, środki nasercowe. Prędko.

— Tak, prefekcie. — Szarpnęła się, odpychając Mehmeta i podniosła z fotela.

— Stój. Weź broń — rozkazał.

— Nie mam broni — rzuciła, przetrząsając apteczkę. Nic w niej nie było, poza tabletkami przeciwbólowymi. Chwyciła je.

— Musisz mieć broń. Znam przepisy. No, już! — popchnął ją, aż zatoczyła się na pulpit.

Nie wyobrażał sobie, że może w ogóle istnieć tak lodowato zimne spojrzenie jak to, które wbiła w niego, rozcierając stłuczoną rękę. Przez chwilę aż poczuł lodowate ciarki na plecach.

Powoli, wciąż przypatrując mu się zimno, otworzyła schowek pod pulpitem i wyciągnęła z niego sześciostrzałowy rewolwer.

Skinął głową, by szła za nim i ruszył do gabinetu Chantalla Prefekt — Wielki Inkwizytor klęczał obok fotela, na którym leżał bezwładny samozwaniec.

Samozwańczy biskup. Fanatyk. Prawiczek, który przez całe życie nie zerżnął ani jednej dupy, który całe życie spędził na wdzieraniu się w nie swoje sprawy, na pouczaniu wolnych ludzi, co mogą, a czego nie, na kultywowaniu fanatyzmu i przesądów. Żałosny, śmieszny, godny pogardy.

Godny nienawiści. Gorącej nienawiści narodu, którego częścią czuł się Azufahan — mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie mógłby mieć do niego Allach i jego kapłani.

— Już nie potrzeba — powiedział głębokim głosem Chantall. Puścił rękę Leserve'a i litościwym gestem zamknął mu powieki. Potem wstał.

— Wynoś się stąd, Azufahan — powiedział, podniósłszy głowę.

Mehmet wydobył z kabury pistolet. Był rozładowany, z wyjętym magazynkiem — inaczej Azufahan nie zostałby wpuszczony do sektora. Ale z zewnątrz nie było tego widać.

Obejrzał się. Jacqueline stała w progu gabinetu, z rewolwerem w ręku.

— Zastrzel go — rozkazał dziewczynie. — Rzucił się na mnie.

Przeraźliwa, nieruchoma cisza. Twarz Jacqueline przypominała wyrżniętą z lodu maskę.

— Zrób to, bo o wszystkim dowiedzą się Imamowie. Ten człowiek jest groźny, rozumiesz?!

Poruszyła wargami.

— Tak.

— Zastrzel go.

Patrzył, jak powoli, niezwykle powoli Jacqueline podnosi broń, jak ściąga spust i w tej samej chwili poczuł ból; zatoczył się, pchnięty potężnym uderzeniem w brzuch, nie słyszał nic, zdążył tylko zauważyć, jak raz jeszcze z lufy bucha płomień i jeszcze jedno uderzenie, twarz dziewczyny ściągnięta, pełna nienawiści.

Upadł i zasnął, niejasno zdając sobie sprawę, że to śmierć.

Opuściła rękę z pistoletem i przez długą chwilę przyglądała się twarzy inkwizytora. W znanych dobrze rysach Chantalla zdawały się pojawiać nowe, zupełnie inne. A może była to zwykła autosugestia.

— Tak, ojcze Wiem, co zrobiłam.

Nie odpowiedział. Chciała go zasypać pytaniami. Dziesiątkami, setkami pytań.

A potem pomyślała, że będzie jeszcze po temu dość okazji.

Odwróciła się bez słowa i poszła do swojego terminalu, wezwać strażników.

listopad 1991

Rafał A. Ziemkiewicz

Urodził się w 1964 roku, ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, w stolicy też mieszka i pracuje — ostatnio jako naczelny miesięcznika „Fenix”.

Debiutował dość szybko, w 1982 roku opowiadaniem „Z palcem na spuście” w łódzkich „Odgłosach”, które udostępniły swoje łamy grupie literackiej TRUST. Napisał kilkanaście opowiadań, które publikował w prasie, a większość umieścił w dwóch autorskich zbiorach: „Władca szczurów” (Alfa, 1987) i „Zero złudzeń” (Białowieża, 1991), które łączy oryginalne spoiwo, jakim jest odautorski notatnik. Opowiadanie „Jawnogrzesznica” dało tytuł retrospektywnej antologii polskich opowiadań SF lat 80–tych (Przedświt 1991).

W 1990 roku KAW wydała jego powieść fantasy „Skarby stolinów”, a rok później ukazała się powieść mieszcząca się w nurcie social fiction — „Wybrańcy Bogów” (Przedświt). Ostatnio pisze mało, sądząc po wstępie do powyższego tekstu, Rafał ma zamiar odsunąć się od SF, uważam, jednak, że to tylko chwilowy kryzys — wszak tyle dzieje się wkoło rzeczy ciekawych i bulwersujących, że każdego chyba korci, aby włączyć się w nurt codziennych wydarzeń, zamiast zamykać się w literackim getcie i otaczać rekwizytami SF. Sam przecież udowadnia „Źródłem bez wody”, że jest bacznym obserwatorem tego, co w Polsce się dzieje i że fantastyka może być forum do głoszenia swoich poglądów i przekonań dotyczących spraw jak najbardziej aktualnych.

Swoim ostatnim opowiadaniem Rafał oddaje swoisty hołd zmarłemu przed rokiem arcybiskupowi Marcelowi Lefebvre i małej schizmie z Ecóne, której dał on początek, spotykamy się w nim z autentyczną postacią Bernarda Gui (pamiętną z „Imienia róży”) i z oryginalnym pomysłem wiary złożonej w depozyt, która zostanie użyta do walki z… demokracją.

Mam tę satysfakcję, że swoje ostatnie teksty Rafał napisał specjalnie do antologii i dołożę starań, aby gościł w niej za każdym razem. Gdy raz wdepnęło się w fantastykę, rozsmakowało w niej, to nie ma już od niej ucieczki.

O „…WIĘC CHYBA TO BYŁ ON”

Kilkanaście lat temu przeczytałem o istnieniu plemienia, które zakosztowawszy kiedyś dobrodziejstw cywilizacji, oczekuje jej powrotu, budując „pasy startowe” i „samoloty” z patyków i słomy. Jakiś czas później zobaczyłem to wszystko bodajże w filmie Daenikena. Wydało mi się to wtedy uroczo świeże i naiwne. Dobrodusznie pośmiałem się w duchu z prostaczków, którzy niemal bez przerwy obserwują niebo w oczekiwaniu na cud, który zrzuci im na głowy kupę magicznych przedmiotów — koce, żywność, drut mosiężny i paciorki.

Dzisiaj owi dzicy wydają mi się — w swoim nieświadomym pragmatyzmie — o wiele bliżej swego ideału niż my, cywilizowani, wykształceni i świadomi; wydają się być niezmiernie bliżsi realizacji swoich modlitw — my, boscy, potężni i świetnie zaopatrzeni prędzej czy później wylądujemy na ich wysepkach.

A co z naszymi wysepkami?

Eugeniusz Dębski

„…WIĘC CHYBA TO BYŁ ON"

— Strasznie jestem go ciekawa… — wydyszała Hamilton w ucho Sary da Fore.

Sara wzruszyła ramionami, starając się nie pochlapać puszystej bluzki zawartością niesionej do ust łyżki. Hamilton zjadliwie zmrużyła i tak małe oczka i prychnęła przez nos:

— Tylko nie udawaj, że on cię kompletniutko nic nie obchodzi — syknęła. Sara na ułamek sekundy zamarła, omal nie powtórzyła gestu sprzed kilkunastu sekund, ale zauważyła, że Hamilton–Królowa–Złośnic czyha na ten właśnie jej ruch, więc spokojnie zamieszała łyżką w talerzu i prowokująco ospałym spojrzeniem mierzyła koleżankę. Hamiłton zerknęła na drzwi.

— Mnie, złotko, nie nabierzesz — włożyłaś na siebie bluzkę, której tu jeszcze nikt nie widział. Może nawet już na starcie wiedziałaś, że zachowasz sobie jakiś łaszek dla naszego bohatera…

W udawanym podziwie pokręciła głową:

— Cztery lata! Masz cierpliwość!…

Da Fore wolno odłożyła łyżkę i wytarła usta serwetką.

— Mnie… — postarała się, żeby to jedno słowo zapanowało nad resztą zdania — …on zupełnie nie rusza. Ani nie jest w moim typie, ani…

— A kto jest w twoim typie? Może brat Lors…

— Zamknij się, idiotko!

Hamilton pojednawczo skinęła głową.

— Fizycznie to on mi też nie imponuje — przyznała. — Ale jego życiorys… — ostatnie słowo wymruczała niczym przeciągająca się kotka.

Da Fore ostro stuknęła kostką środkowego palca w wypukły pas biegnący przez środek stołu. Jedna z tworzących go płyt wysunęła się do góry. Sara wsunęła w powstałą niszę swój talerz i popatrzyła wyczekująco na koleżankę. Uniosła lewą brew:

— Życiorys?

— Pewnie! W końcu ilu ich jeszcze jest, tych śpiących rycerzy?! Dziesięciu?

— Ale co cię w tym tak podnieca?

— Jak to? Nawet nie to, że muszą mieć jakieś inne wnętrze, bo jeśli ktoś daje się zahibernować i w ciemno zgadza się na nie wiadomo jaki kontakt, byle mieścił się w przedziale warunków finansowych…

— Zwykłe ryzyko…

— Niech będzie, ale takich ryzykantów jest tylko dziesięciu! — Wyciągnęła w kierunku Da Fore obie dłonie z rozcapierzonymi palcami.

— Czy to znaczy, że gdyby wykryto na Ziemi jednego jedynego faceta z chorobą weneryczną, poszłabyś z nim do łóżka? — zapytała lekarka wstając od stołu.

— A czy to, że ilekroć sięgasz po jakiś przykład, zawsze dotyczy on łóżka, też coś znaczy?

Sara popatrzyła z politowaniem na nawigatora, ale i ona i autorka riposty zdawały sobie sprawę, że sztych był celny. Po niemal czterech latach wspólnego przebywania w zamkniętej przestrzeni kosmofrachtowca nie może być mowy o trudnościach z trafieniem współtowarzysza podróży. Na długą chwilę mesę opanowała cisza, niewidzialny i bezgłośny szósty członek wyprawy.

— Dobra, nie tnijmy się z powodu faceta, którego nawet nie znamy — wielkodusznie zaproponowała Hamilton.

Sara nie potrafiła jednak zapanować nad emocjami:

— Przecież obejrzałaś go sobie dokładnie, i to nie raz — mruknęła.
— A ty jako lekarz miałaś jego ciało do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy — warknęła nawigator. — Trans hibernetyczny podobno wyklucza erekcję, ale od czego mamy na pokładzie lekarza? — Mówiąc to odsunęła nieco krzesło od stołu Da Fore bliska była bezpośredniego ataku na nawigatora.
Chrząknięcie od wejścia spowodowało, że drgnęły obie i zaskoczone popatrzyły na drzwi do sterówki. Na ich tle stał mężczyzna, który był przedmiotem sprzeczki. Krępej budowy, chyba najniższy z męskiej części załogi, mocno opalony — Sara nie szczędziła mu solexu — świeżo ostrzyżony przez automat. Jeśli się uśmiechał, to tylko oczami.
— Nirke Doumat — przedstawił się.
— Jestem Hamilton, Hamilton, tylko tyle — powiedziała nawigator. — Nawigator „Pasji" — uzupełniła prezentację. — A to nasza lekarka… — wskazała palcem i na pół sekundy zawiesiła głos. Miała ochotę dodać coś w stylu: „Ona zna cię dobrze, nie musisz się rozbierać", ale powstrzymała się w ostatniej chwili. — Sara Da Fore.
Lekarka opanowała zmieszanie, uśmiechnęła się do Doumata:
— Jak się czujesz?
— Wszystko w normie — skinął głową i podszedł do stołu. — Mogę pić? — zapytał.
— Ile tylko dasz rady. Biegunka?
— Och, i to jaka!
— Czyli nic nowego — rzuciła Hamilton ironicznie. — Zawiadomię dowódcę. Pewnie ma już dla ciebie jakąś robotę.
Nirke zrobił krok do przodu, odsłaniając drzwi. Hamilton już zza jego pleców rzuciła w kierunku Sary znaczące spojrzenie i wyszła. Zaciężny tropiciel zmarszczył czoło, jednocześnie obrzucając spojrzeniem całą mesę. Sara drgnęła, jakby chciała ruszyć do drzwi.
— Co to mamy za lot? — zapytał Nirke, podchodząc do stołu i sięgając po menu.
— Lepiej niech ci powie dowódca…
— A ty nie wiesz?
— Mnie możesz nie uwierzyć.
— Uwierzę — zapewnił ją Nirke, sięgając po wypełniony gęstym, jadowicie zielonym pistacjowym mleczem walec.
— Szukamy Boga — rzuciła lekkim tonem Sara. Pijąc zerknął na nią znad brzegu naczynia. Dokończył i dopiero po wytarciu warg zapytał:
— A jakiego?
— Jak to: jakiego?
— Manitou? Budda? Allach? Jehova? Thor? Kriszna?
Sara pokręciła w podziwie głową.
— Czy to jakaś różnica?
— Zapytaj wyznawców — przerwał studiowanie wykazu posiłków, żeby zerknąć na dziewczynę. Wcześniej, zanim oderwał spojrzenie od menu, przyłożył czubek palca wskazującego do tafli ekranu.
Nie lubi tracić czasu na szukanie czegoś jeszcze raz, pomyślała Sara. Roześmiała się głośno.
— Nawet jeśli twoje opanowanie jest udawane, to i tak cię podziwiam — powiedziała. — Ja, mimo że siedzą w tym… — teatralnym spojrzeniem omiotła dwie ściany mesy — już cztery lata nie potrafię wygasić w sobie zdumienia.
Doumat stuknął końcem palca w wybraną pozycję jadłospisu, odczekał chwilę, wyjął kubek z podajnika, ale nie zaczął pić — wpatrywał się chwilę w falującą powierzchnię cieczy, a potem zaczął unosić naczynie do ust, jednocześnie mówiąc:

— Brałem już udział w dziwniejszych wyprawach…
— Oj, pieprzysz, bracie! — rzuciła rozeźlona Sara.
— Swoboda językowa panuje tu, jak widzę, duża. To mnie cieszy. Lubię móc, na przykład, powiedzieć po prostu, że mam sraczkę…
— No to do zobaczenia! — Da Fore poderwała się z krzesła i szybkim krokiem zmierzała do drzwi.
— Dziękuję — zawołał za nią Nirke. — Za opiekowanie się moim ciałem — dodał, jakby obawiając się, że może opacznie zrozumieć jego słowa.
Sara na ułamek sekundy zwolniła, wyglądało to, jakby potknęła się albo uderzyła piersią w niewidzialną przeszkodę, ale nie zatrzymała się. Drzwi uskoczyły przed nią i równie cicho zamknęły, gdy tylko przekroczyła ich próg. Doumat dopił swoją mleczną mieszanką, wolno nabrał powietrza do płuc i długo je wypuszczał, aż klatka piersiowa zapadła się w sobie. Stał chwilę nieruchomo, potem westchnął jeszcze raz i położył rękę na oparciu krzesła zamierzając odsunąć je od stołu, ale głośne burczenie w brzuchu spowodowało, że szybko przyłożył dłoń powyżej pępka i mocno przycisnął.
— Dobrze, że ta mała Ha nie wciągnęła mnie jeszcze do swojego łoża — powiedział śmiejąc się cicho. — To takie mało eroty–ycz–ne–e… — zaśpiewał do „ad hoc” ułożonej melodyjki. Odbiło mu się potężnie. — Oo–u–pa! Cholera, za każdym razem mam nadzieję, że już wynaleźli coś na rewolucję we flakach po hibernie…
Usłyszał szelest ocierającego się o poruszone drzwi powietrza, powstrzymał szybką, tajemniczą reakcję, spokojnie odwrócił głowę, popatrzył przez ramię na przekraczającego próg Tracedilla.
— Cześć! — dowódca energicznie pokonał dzielące go od Doumata cztery metry przestrzeni i mocno uścisnął dłoń najemnika. — Dość dziwnie się czuję, poznając dopiero po kilku latach lotu nowego członka załogi — oznajmił, przez kilka sekund nie wypuszczając dłoni Nirke ze swojej.
— Rozumiem to — Doumat uwolnił dłoń i — jakby obawiając się o jej stan, założył ręce za plecy i splótł dłonie.
— Ze mną jest podobnie, co się obudzę, to w innym towarzystwie… — ułożył wargi w uśmiech, ale oczy pozostały spokojne i poważne.
— No tak… — Tracedill ominął Doumata, odsunął od stołu krzesło i usiadł na nim. — Sara obudziła cię w idealnym momencie — właśnie teraz nadeszła twoja kolej. Jesteśmy w tym kawałku przestrzeni, na którym się znasz…
Omal nie powiedział: „…na którym się podobno znasz…”, pomyślał Nirke.
— Co to za kawałek? — zapytał.
— Alfa do zero, szesnaście do siedem…
— O? Przedmieście wszechświata — Nirke, nie spuszczając spojrzenia z dowódcy, usiadł na krześle.
— Ale opanowałeś jego penetrację?
— Jasne, chociażby ze względów taktycznych — wobec konkurencji innych śpiących tropicieli musiałem mieć jakiś rejon, na którym mógłbym złapać klienta.
— No i masz klienta…
— To znaczy?
— Zakon Prawdziwego Wyboru!
— Który szuka Boga?
— Sara ci powiedziała?
— Tak, a miała nie mówić?
— Dlaczego? Przecież to nie jest tajemnica… — Tracedill jakby zawiesił głos. Nirke

zrozumiał, że oczekuje jego pytania, zastanowił się.

— Tylko? — zapytał.

— Tylko dość niecodzienne zlecenie, prawda?

— Yhy…

— Ale ciebie to nie rusza!

— Jestem najemnikiem — powiedział miękko Nirke. — Gdybym za każdym razem, kiedy zlecenie wydawało mi się głupie, mówił to zleceniodawcom, spałbym kilka razy więcej niż moi konkurenci. Albo i w ogóle nie byłbym budzony — przyjrzał się dowódcy. — Wolałbyś, żebym był zaskoczony?

— Chyba tak, bo ja byłem — Tracediil majtnął głową, jednocześnie wzruszając ramionami.

— No to jeśli ma ci ulżyć, to ja też jestem zdumiony.

— Zdumiony… Zaskoczony… Niby to samo, a jednak…

— Owszem. Jest różnica.

— Dobra, przejdźmy do konkretów; chciałbym, żebyś jeszcze dzisiaj podłączył się do komputera i zaczął penetracją obszaru…

— A kto wymyślił, że akurat tutaj można znaleźć Boga?

— Że akurat tutaj, to nikt nie ma pewności. Takich wypraw jak nasza wystartowało siedemnaście, a wszystkie kierowały się… Cholera, nie jest tak łatwo wytłumaczyć komuś, kto nie ma pojęcia… Wiesz, co to jest Smok Bancrofta?

— Nie.

— A o Y–procesach masz pojęcie?

— Szczątkowe quasi–równania z nieostrymi rozwiązaniami?..

— Dobrze. Niejaki Bancroft wprowadził pewną ich mutację, nazwano je Smokiem, bo zawsze mają trzy rozwiązania, jak trzygłowy smok. No i, pomijając pewne mniej istotne etapy, dochodzimy do momentu, kiedy ojciec Promo wyliczył przy pomocy Smoka Bancrofta pewne stwierdzenia, właściwie jedno ze stwierdzeń. Mianowicie, że jeśli Wszechświat jest nieskończony, to nie ma w nim miejsca dla Boga. Stąd prosty wniosek…

— Udowodnijmy, że Uniwersum ma granice, a łatwo znajdziemy na którejś z nich Boga?! — zakpił Nirke.

— Zdziwisz się, ale tak. Może nie zupełnie, jak powiedziałeś, ale prawie.

Doumat poderwał się z krzesła, niemal pobiegł w kierunku najbliższej ściany, tuż przed nią zawrócił unikając zderzenia. Wpatrywał się uważnie dłuższą chwilę w oczy dowódcy.

— Aż takie to proste

— Nie mówię, że moim zdaniem, ale tak. Można inaczej — jeśli Bóg jest nieskończony to nie mógł stworzyć równie nieskończonego Wszechświata. To stara pułapka na wierzących; jeśli Bóg wszystko może, to czy może stworzyć głaz, którego sam nie udźwignie? Tak więc, kierując się jedną z głów Smoka Bancrofta, dochodzimy do wniosku, że Bóg mógł co najwyżej stworzyć coś skończonego. Bo inaczej stworzyłby coś równego sobie. I tu wracamy do początku: skoro już wiemy, że Wszechświat jest skończony, a w ogóle, że istnieją co najmniej trzy Wszechświaty…

— Trzy?

— No: nieskończony, skończony i nieskończenie płaski… — Tracedill uśmiechnął się zachęcająco, ale Doumat powstrzymał się od kolejnych pytań. Dowódca odczekał chwilę i kontynuował:

— W naszym wariancie pozostaje odnalezienie Stwórcy. Kropka.

— Nadmiernie proste, przynajmniej w twojej relacji.

— Może, ale zawsze możesz porozmawiać z bratem Lorsem. Motywacja podróży to jego działka, my mamy kierować statkiem — Tracedill podniósł się i odwrócił w kierunku drzwi,

gestem zaprosił Doumata do przechadzki po statku. Nirke skinął głową, wstał również.

— Możesz zacząć dzisiaj? — zapytał dowódca ruszając do drzwi.

— Dobrze, wezmę tylko swój kask.

Wyszli na korytarz, gdzie Tracedill wskazał kierunek i bez słowa ruszył w swoją stronę, a Nirke zawrócił, zamierzając przed pojawieniem się sterowca zabrać z kajuty swój kask. Na pierwszym zakręcie omal nie zderzył się z Sarą. Idąc przeglądała niesione w lewej dłoni kartony wydruków, a kiedy — ułamek sekundy po niedoszłym zderzeniu — podniosła wzrok i rozpoznała Doumata, gorący rumieniec wykwitł na jej policzkach. Nirke nie musiał zerkać w plik papierów, by zrozumieć, że Sara zajmowała się akurat jego osobą. Odruchowo uśmiechnął się i usunął z przejścia. Lekarka zrobiła dwa kroki do przodu, odwróciła się i zapytała:

— Nadal nie uważasz naszej wyprawy za dziwną? — A kiedy Doumat wolno pokręcił głową dodała: — No to ci powiem, że nie wydają nam nowych kombinezonów. Oszczędzamy. Musimy prać używane, rozumiesz?

Roześmiała się głośno, pokazała Nirke plecy i chichocząc oddaliła się korytarzem. Tropiciel uśmiechnął się również, tym razem szczerze i szeroko, szybko odwrócił się, żeby nie wystawiać uczuć na widok publiczny i pomaszerował do swojej kabiny.

Hamilton oderwała na pół sekundy wzrok od monotonnie płynącej przez zestaw ekranów rzeki liczb i symboli nawigacyjnych. Termometr uparcie wskazywał dwadzieścia dwa stopnie. Hamilton westchnęła, stłumiła chęć wypicia jeszcze jednej porcji zimnego soku. Wróciła spojrzeniem do ekranu. Zmusiła wzrok, by ślizgał się po fali symboli, nie usiłując nawet wczytać się w treść. Cienka, ciepła strużka potu szybko spłynęła pomiędzy jej piersiami i wyhamowała gdzieś na fałdach brzucha. Cholera, pomyślała, dlaczego ten gnój tak mi się podoba? Sfiksowałam! Zacisnęła zęby, żeby skoncentrować się na informacji z ekranów, przejechała opuszkami palców po rowku między piersiami, ścierając pot i zupełnie niespodziewanie zrozumiała, że dotyk palców w tym miejscu podnieca ją i sprawia przyjemność. Sprawdziła w odbiciu, co robi Nirke i wolno, muskając tylko skórę, przesunęła palcami od nasady szyi do zagłębienia pod mostkiem: To on powinien mi to robić, pomyślała czując, że wzbiera w niej złość. I niekoniecznie muszą to być palce… Może przełknąć dumę i zgłosić się do naszej świętej, żeby mi powiększyła cycki? Nigdy dotąd nie uważałam, że powinnam coś takiego ze sobą zrobić. Czyżbym się starzała? Dlaczego ni stąd, ni zowąd zaczyna mi brakować cyca? Włożyła szybko dłoń pod klapę kombinezonu i nakryła nią całą lewą pierś. Była jędrna i kształtna i miała na szczycie nabrzmiałą twardą sutkę. Odbicie Doumata w ekranie poruszyło się, Hamilton szybko wyszarpnęła dłoń i żeby zamaskować ten ruch uderzyła palcem w klawisz spowalniający przepływ informacji przez ekran Z lewej strony coś się poruszyło, jednocześnie Nirke mruknął coś do siebie i znużonym ruchem zdjął z głowy kask.

— Nic — powiedział do ekranów przed sobą. Odwrócił głowę do Hamilton, przemknął spojrzeniem po jej twarzy i skierował je w bok. — Dzień dobry, ojcze Lors.

— Witaj, bracie — brat Lors ominął Hamilton, uścisnął dłoń Nirke i usiadł obok niego w wolnym fotelu. — Ciągle nic…

— Dlaczego od razu nic? — Nirke uruchomił swój dobrze już znany na pokładzie „uśmiech bez uśmiechu”. — Nic, to chyba nawet bardziej kategoryczne niż pustka, a na razie mamy do czynienia tylko z nią.

— A na dodatek sądzę, że nie bardzo wiesz, czego szukać…

— Wiem tyle, ile mi powiedział Tracedill.

— Och — Lors zatarł dłonie delikatnym ruchem. Nie był to gest człowieka zabierającego się do pracy, raczej odruchowa manipulacja bankiera finalizującego korzystną umowę. — Nie

wtrącam się do dowodzenia statkiem, ale wiem, że Tracedill proponuje dość wulgarną wersję drogi postępowania umysłowego…

Nirke poprawił ułożenie kasku na kolanach i zaraz potem chwycił go i odłożył na konsolę kompa. Kątem oka zauważył, że Hamilton wpatruje się w ścianę za jego plecami, a pustka w jej oczach świadczy o tym, że ani tej ściany nie widzi, ani nie słyszy rozmowy. Opuszkami palców wskazującego i serdecznego głaskała rowek między piersiami. Przedramię zasłaniało prawą sutkę, ale lewa aż nadto wyraźnie świadczyła o podnieceniu nawigatora. Doumat szybko skierował pełen uprzejmego zainteresowania wzrok na brata Lorsa.

— Słyszałem, jak tłumaczył innym załogantom…, jeszcze, zanim cię, bracie, obudzono — ciągnął Lors — sensowność naszej wyprawy. Przyznam, że pewnie sam był zwątpił w logikę postępowania…

Nirke pokręcił głową, co Lors wziął za próbę przerwania swojego wywodu. Natychmiast zamilkł i Nirke, zły na siebie za brak opanowania, musiał zabrać głos:

— Nie musi mnie oj… brat przekonywać. Jestem z góry przekonany do wszystkich zleceń — poczuł, że wypowiedział najgorszą chyba z możliwych kwestię, rozzłościł się na siebie i zaraz potem na zakonnika. — Bez tego byłbym nic nie wart jako Tropiciel… — dokończył.

Lors nie wyglądał na przejętego zakłopotaniem Doumata. Z wyrazu twarzy sądząc, w ogóle nie słuchał, co się doń mówi, czekał, aż w sterówce zapanuje cisza, by móc kontynuować swoje rozważania.

— Oczywiście, rozumiem — rzucił pospiesznie, żeby tylko nawiązać jakoś do wypowiedzi rozmówcy. — Bancroft Udowodnił naszym zdaniem niemożność istnienia nieskończoności, co jest największym matematycznym odkryciem człowieka od czasów Einsteina, a niektórzy twierdzą, że nawet większym. I dopiero na tym opiera się konieczność, z której zrodziły się nasze wyprawy!

— A czy to nie stoi w jaskrawej sprzeczności z doktryną Kościoła?

— Ha! — Lors szeroko uśmiechnął się, najwidoczniej brak mu było nowego interlokutora i cieszyła go możliwość dysputy. — Z „niektórymi” doktrynami „niektórych” kościołów — tak…

Nirke był pewien, że w ustach Lorsa słowo „kościołów” zabrzmiało właśnie z małej litery.

— Ale my uważamy, że Twórca nawet skończonego Uniwersum, po którym my poruszamy się, tracąc na to pokolenia i nie poznając nawet drobiny ułamka jego, jest Bogiem.

— I w ten sposób religia wreszcie nie stoi w sprzeczności z nauką — wtrąciła się niespodziewanie Hamilton.

Obaj rozmówcy zapomnieli na chwilę o jej obecności w sterówce i obaj byli zaskoczeni, gdy się odezwała

— Oczywiście! — zgodził się Lors. Odwrócił się nieco wraz z fotelem i popatrzył na Hamilton. — Kto powiedział, że wiara musi być ascjentyczna? Dlaczego ludzkość musi być rozdarta? Dlaczego fizyk ma kilka razy dziennie skakać duchem, od swojego profesjonalnego credo w pracy do ideologii w kaplicy?

— Bancroft wykonał zatem kawał dobrej roboty i pewnie dlatego został świętym!

— Mówisz to, siostro, z sarkazmem, ale ja powtórzę twoje słowa z inną intonacją: Bancroft wykonał kawał dobrej roboty i dlatego został świętym!

— Powtórzył brat niezbyt dokładnie. Brakuje słów… — Hamilton uśmiechnęła się do Lorsa. — … „zatem” i „pewnie”.

— Bo ty — mimo wszystko — wątpisz jeszcze, a ja nie — również uśmiechnął się Lors.

— A więc w tym składzie jestem przegłosowana. Nirke również nie wątpi. Inaczej nic by z jego pracy nie wyszło… — dziewczyna wstała i przeciągnęła się. Kombinezon naprężył się na jej piersiach. Nirke zauważył, że sutki przestały napierać na materiał. — A przy okazji mógłbyś mi

opisać, jak tropisz? Pytałam już o to jednego fachowca, i ciekawa jestem, jak ty to odczuwasz?

Doumat kątem oka zauważył lekki grymas na twarzy brata Lorsa, wziął do ręki swój kask, podrzucił go i złapał za ten sam uchwyt.

— Wyobraź sobie, że jesteś w pomieszczeniu wypełnionym do wysokości metra lekkimi piłeczkami. A gdzieś wśród nich jest jedna, na pozór identyczna, ale metalowa. No i chodzisz po tym pokoju, rozgarniasz piłeczki i starasz się wyczuć, w którym miejscu opór jest nieco większy niż w innych. Kiedy już poczujesz kierunek, posuwasz się w tę stronę, ucieszona, jeśli opór rośnie, i zwalniając, kiedy maleje. Wtedy musisz ostrożnie zanurzyć ręce w piłeczkach i rozgarnąć je wokół siebie i robić to tak długo, aż znowu wyda ci się, że akurat w jakimś tym jednym kierunku jakby rośnie opór. Więc robisz w tamtą stronę krok…

— A dlaczego nie mógłby tego zrobić komputer? — zapytał Lors, gdy Nirke zawiesił głos, a po chwili oczekiwania okazało się, że skończył wyjaśnienie.

— Sam tego nie rozumiem, ale tak jest. Po prostu nie może… — Nirke wykonał ruch, jakby chciał jeszcze raz podrzucić kask, ale wstrzymał rękę, zanim skończyła zataczanie łuku o czterocalowej cięciwie. — A poza tym jedna sprawa — czy brat chciałby, żeby poszukiwaniem Boga zajął się komputer?

— A dlaczego nie? Jeśli byłby sprawniejszy od człowieka?!

Hamilton parsknęła śmiechem. Nirke oderwał nieprzytomne spojrzenie od Lorsa i popatrzył na nią.

— My to już mamy za sobą — powiedziała, odrzucając głowę do tyłu. — Brat Lors skutecznie powyłamywał nam szczęki o wiele wcześniej, już po pierwszej debacie w mesie.

— Zaraz! Spokojnie… To mi się nie podoba — Nirke pokręcił głową. — Mogę się pogodzić z tym, że ktoś wierzy w Boga, ale tego — że tak powiem — w klasycznej postaci. A brat proponuje mi w tej chwili zupełnie inną rzecz — mam uwierzyć w istotę, którą może zidentyfikować komputer, a więc różniącą się ode mnie najprawdopodobniej tylko potencjałem umysłowym? Po prostu i tylko Nadczłowiek? Superman?

Lors rozłożył dłonie, jakby chciał powiedzieć: „To nie moja wina, stary”!

— A czy ty — i to słusznie — nie byłbyś bóstwem dla neandertalczyka? — Poderwał się ze swojego fotela i — zanim Nirke otrząsnął się z oszołomienia — bez pożegnania wyszedł ze sterówki.

Doumat szybko uniósł kilka razy lewą brew na przemian z prawą. Zdawał sobie sprawę, że jego twarz straciła wiele ze zwykłej profesjonalnej obojętności, ale tym się nie przejmował.

— Zaliczyłbyś to do plusów czy minusów swojego trybu życia? — zapytała Hamilton.

— Co masz na myśli?

— To, że wychodząc z hibernacji za każdym razem trafiasz do nieco innego świata. — Hamilton zsunęła się nieco w fotelu i skrzyżowała stopy. — Ile masz lat?

— Bezwzględnych? Trzydzieści… — zmarszczył czoło i liczył chwilę — …cztery.

— No więc męczy cię to czy nie?

— Czy ja wiem? — Doumat wzruszył ramionami. — Dopóki jest do czego się budzić… Co mnie obchodzą zmiany? Na ogół dotyczą tylko wycinków obyczajowości; raz wypada kląć na ulicy, a następnym razem społeczeństwo wytrzeszcza gały, gdy się powie „cholera”. Albo wypada nosić spodnie z klapami na tyłku albo uważa się to za obrazę moralności. Albo wielożeństwo, albo monogamia, i tak dalej…

Podrzucił kask, chwycił go w podstawione na kształt świecznika palce i zakręciwszy utrzymał kilka sekund na czubku wskazującego palca. Potem szybko opuścił rękę, złapał kask drugą i poderwał się z fotela.

— Zanosi się na to, że za chwilę znowu mnie zaprzęgną, idę się zrelaksować.

Wyszedł ze sterówki odprowadzany pełnym niewypowiedzianego pytania spojrzeniem Hamilton. Westchnęła. Drzwi niemal niesłyszalnym mlaśnięciem skwitowały trzask rygli. Hamilton wstała i — kontrolując odbicie w ekranie — przeciągnęła się. Wygięta w łuk dwa razy strzeliła biodrem w kierunku monitora.

— To takie ma–ało eroty–y–yczne!… — wykrzywiła twarz do swojego odbicia, powtarzając podsłuchany występ Nirke Doumata.

— Nie przeczę, łatwiej jest sobie wyobrazić Wszechświat w ograniczonym, choć gigantycznym — przynajmniej dla nas — wymiarze… — tropiciel Doumat rysując w powietrzu koła, usiłował przedstawić w ten sposób kulę…

— Błąd! — przerwał komputyk Rawno. — Takie Uniwersum, wyliczone i określone przez Bancrofta, jest podobne do jeżowca, mniej więcej kuli ze sterczącymi we wszystkie strony szpilami. Tymi szpilami styka się z innym Wszechświatem, a może nawet przenika do niego.

— I my, twoim zdaniem, jesteśmy właśnie w takiej szpili?

— Tak.

— Hm? Idąc dalej pytam: tu spodziewacie się znaleźć Boga?

— Może nie tu, ale uczeni bracia z zakonu udowodnili, że musi przebywać gdzieś na uboczu. Bo jeśli nie ma go w centrum, a wiemy, że Ziemia jest centrum naszego Wszechświata…

— O?

— Oczywiście! Weź pod uwagę, że tylko na Ziemi rozwinęło się rozumne życie…

— Zostało rozwinięte, chciałeś powiedzieć!

— To oczywiste.

— Oczywiste — powtórzył z przekąsem Doumat. — I co dalej?

— Co dalej… Skoro przetrząsnęliśmy przestrzeń wokół Centrum…

— Przecież nie szukaliśmy w niej Boga!

— Po pierwsze, podświadomie zawsze Go szukaliśmy, a po drugie, myślisz, że przeoczylibyśmy Go nawet natknąwszy się przypadkiem?

— Może nie chce, żebyśmy go odkryli?

— Może… — zgodził się Rawno.

— Tu też może nie chcieć — atakował Nirke.

— Może — ponownie zgodził się komputyk. — Ale tu nie było jeszcze człowieka, trudniej będzie się zamaskować.

Doumat wstał z fotela i dwa razy trzepnął płasko dłonią w udo, jakby przywoływał psa.

— Wszystko to jest nićmi z powietrza szyte — powiedział. — Pseudorównanie…

— Quasi — poprawił go Rawno.

— Quasi — zgodził się Doumat. — Ale do tego nieostre rozwiązanie, a nawet trzy, cały frachtowiec przypuszczeń, hipotez, domysłów…

— I mocna wiara!

— Właśnie. I wydaje mi się, że to jest najmocniejsza rzecz w tym układzie — Nirke sięgnął po nieodłączny kask, zakręcił go odruchowo na czubku palca i posławszy Rawno przelotny uśmiech, wyszedł z jego kabiny.

Perspektywę korytarza zamykała ściana, na której wyświetlany był czterowariantowy zestaw czasów. Nirke szybko obliczył, ile zostało mu do wachty i z pewnym żalem zarzucił myśl o krótkiej wizycie w kajucie Hamilton. Kilkoma krokami zdobył przestrzeń korytarza dzielącą go od zegara, skręcił w lewo, minął dwie pary drzwi — z kajuty Lorsa sączyła się uroczysta melodia któregoś z Klasyków Uczucia — skręcił w prawo i wszedł do sterówki. Tracedill ziewał właśnie, szeroko otwierając usta. Widząc Nirke zdołał zamknąć oczy i wymruczeć coś kręcąc głową.

— O r–rany… Ale mnie przymuliły te dwie godziny dyżuru… — powiedział niskim głosem. Wstał, przecierając twarz prawą dłonią. — Podłączaj się, ja będę u siebie.

Wbrew własnym słowom zmienił tylko fotel — podszedł do najbliższego i ziewając ponownie zwalił się, wyciągnął przed siebie nogi i zamknąwszy oczy oparł brodę na piersi. Doumat odłożył kask na konsolę, podszedł do niszy podajnika i zupełnie nie czując pragnienia wypił pół szklanki soku. Potrzebował tej chwili, żeby nie siadać w nagrzanym przez Tracedilla fotelu. Wrzucił kubek na dno niszy, podszedł do fotela i pochylił się w kierunku ekranów opierając dłoń na siedzisku. Wystygło już. Nie odrywając spojrzenia od ekranów usiadł w fotelu i nałożył kask. Wpiął zwisającą do podłogi końcówkę interfejsu w gniazdo kasku, oparł nadgarstki na brzegu konsoli i uruchomił obwód tropiący. Krótka kaskada dźwięków zaperliła się w pomieszczeniu i wsiąkła w matowe, niemal czarne ściany. Doumat odchylił się w fotelu i znieruchomiał, natomiast Tracedill poruszył się, otworzył oczy i ziewnął jeszcze raz.

— Czego ja tu jeszcze siedzę? — mruknął w przestrzeń. Podkurczył nogi i wyrzucił je przed siebie podnosząc się zrywem z fotela. Poczłapał do wnęki podajnika, ziewnął ponownie, przez zaciśnięte zęby tym razem, wystukując jednocześnie kod coffeneexu. Wypił duszkiem połowę zawartości kubka i sapnął przeciągle. Odstawił kubek do wnęki, ale zaraz wyjął go i trzymając w ręku wrócił na fotel. — Ciekaw jestem… — mruknął i zamilkł, zatrzymując spojrzenie na jasnobrązowym płynie falującym w naczyniu.

Nieruchomo siedzący dotychczas Nirke drgnął. Głowa poruszyła się, przekręciła, wychylił tułów do przodu i zamarł na długą chwilę, przypominając do złudzenia nasłuchującego pilnie człowieka. Tracedill napiął mięśnie, ostrożnie, nie spuszczając czujnego spojrzenia z tropiciela pochylił się i bezgłośnie postawił kubek na podłodze. Doumat szarpnął jeszcze raz głową, wysunął lewą rękę i delikatnym pieszczotliwym niemal ruchem opuścił ją na klawiaturę przed sobą. Nacisnął kilka klawiszy, odczekał chwilę, nieco szybciej, pewniej wystukał inną sekwencję i wsłuchując się w odzew z komputera, wolno podniósł prawą rękę i wolno ułożył na konsoli komputera.

— Zmieniam kurs — powiedział w przestrzeń.

— Masz coś? — zapytał dowódca. Zorientował się, że mówi szeptem. Odchrząknął cicho. — Masz namiar?..

Doumat nie odpowiedział. Jego palce uderzyły kilka razy w klawiaturę, komp zareagował uruchamiając ekrany kursowe i żądając potwierdzenia rozkazów. Nirke wprowadził swój kod i zaczął wystukiwać nowe sekwencje kursowe. Szkliste spojrzenie utkwił w centralnym ekranie, palce wykonały kilka uderzeń, zamierały na sekundę, dwie, czasem dłoń przesuwała się w bok udostępniając palcom klawisze potwierdzenia lub zmiany dyspozycji. Najwyraźniej kurs dawał się wyczuwać, ale namiar nie był namacalny w oczywisty sposób. W sterówce panowała cisza przerywana tylko nerwowym głośnym oddechem Tracedilla i miękkimi uderzeniami opuszków palców w klawiaturę, potem na niemal pół minuty cielisty werbel zagłuszył sapanie… i ustał. Tracedill otworzył usta i zapomniał je zamknąć. Wpatrywał się w napięciu w tropiciela, który równie nieruchomo tkwił ze spojrzeniem ugrzęzłym w ekranie centralnym. Potem poruszył się: oderwał nagłym ruchem palce od klawiatury, odrzucił głowę do tyłu, aż do zetknięcia kasku z wysokim zagłówkiem fotela. Chwycił kask w dłonie i energicznie szarpnął do góry.

— Jeden mały skok — powiedział do wpatrującego się w niego w napięciu dowódcy.

— I?

— I będziemy na wlocie do igły jeżowca…

Tracedill zamrugał oczami. Potem szurnął nogami chcąc wstać, ale jego stopa trafiła w stojący na podłodze kubek. Coffeneex chlustnął na podłogę, największe odgałęzienie kałuży skierowało się w stronę fotela Doumata. Tropiciel obserwował chwilę jasnobrązową odnogę.

— No, do ślepego rękawa do innego wszechświata… — i widząc rozczarowanie rozlewające się po twarzy Tracedilla dodał: — chyba nie oczekiwałeś ode mnie, że…

Patrzył długą chwilę na dowódcę, a potem wzruszył ramionami.

— To już chyba nie moja sprawa? Powiedziałbym „nie moja parafia”, gdyby nie nabierało to nowego wydźwięku…

Wpatrywał się uważnie w twarz dowódcy, z której nader jasno promieniowało rozczarowanie. Nirke parsknął fałszywie brzmiącym śmiechem.

— Zostałem zakontraktowany na przeszukanie fragmentu przestrzeni, który sam znam wyłącznie teoretycznie. Tak działają wszyscy tropiciele, prawda? Tak, czy nie? — Tracedill westchnął i skinął głową. — Pracowałem nad tym kawałkiem kosmosu nie wiedząc nawet dokładnie, o co chodzi, zgoda? — doczekał się kolejnego kiwnięcia głowy rozmówcy i ciągnął dalej, nieco spokojniej wobec spolegliwej postawy Tracedilla: — Znalazłem coś, czego nikt dotychczas nie znalazł — granicę Wszechświata, niesamowity paradoks — koniec nieskończonego! Rozumiesz?! Może przejdziesz do historii — Paradoks Tracedilla! — sapnął ze złością — A ty robisz ponurą minę… — dokończył z pretensją w głosie.

— Nasza wyprawa ma inne zadanie…

— Zgoda, cholera, zgoda! Ale ty wynająłeś przewodnika…

— Okay, już się nie sprzeczajmy — Tracedill poderwał się z fotela z uniesionymi do góry rękami. — Masz pod każdym względem rację — opuścił ręce, zerknął pod nogi nie chcąc wdepnąć w kałużę i kopnął pusty już kubek pod ścianę. Patrzyli obaj, jak turla się podskakując, zakręca ostro po okręgu wyznaczonym przez budowę ścianki, jak w końcu wpada w strugę zasysanego przez cleaner powietrza i znika w szczelinie. — Komputer — okólną! — Tracedill zrobił krok omijając kałużę i rzucił się w swój fotel. — Mamy nadzieję… — powiedział ze zmarszczonym czołem wpatrując się w centralny monitor — …że po małym skoku znajdziemy się w okolicy… — zawahał się szukając odpowiedniego określenia — …wlotu… kanału czy też… hm, odnogi…

Komputer potasował ekrany, centralny poszatkował na kilkanaście sekcji i zasygnalizował gotowość do wykonania skoku wibrującym, o zmiennym nasileniu i wysokości dźwiękiem. Tracedill wzruszył ramionami i wystukał sekwencję kodów przyzwolenia. Nirke odchylił maksymalnie oparcie swojego fotela i ułożył się na plecach z nieodłącznym kaskiem na brzuchu. Komputer przełknął kody, warknął niskim basem, a potem gdzieś za ścianami — zawsze ten dźwięk słyszalny był jak zza ściany, obojętnie skąd się go słuchało — rozległo się miaukliwe „ji–iau–u–umm”, co znaczyło, że przestrzeń wokół nich zmieniła się: albo reagowała tak na ich zniknięcie, albo na ich pojawienie, tego nikt tak do końca nie wiedział.

— Jesteśmy… — zaczął Tracedill.

W tym samym momencie do sterówki weszła Sara wyprzedzając o krok Lorsa, a zanim drzwi zatrzasnęły się, przemknął przez próg Rawno.

— Czy mam rozumieć… — uroczystym tonem zaczął Lors.

— I co mamy?… — jednocześnie zawołała Sara.

Oboje umilkli i popatrzyli na siebie ze zniecierpliwieniem. Sara zacisnęła usta i szybko odeszła na bok. Lors nabrał powietrza, żeby dokończyć rozpoczętą wypowiedź, ale w tym samym momencie drzwi do sterówki otworzyły się i pojawił się w progu Foquet popychany przez Hamilton. Lors sapnął ze zniecierpliwieniem, uniósł ręce do góry i klasnął w dłonie ściągając na siebie uwagę obecnych.

— Bracia i siostry…

Komputer pisnął przenikliwie i ponownie przetasował zawartość ekranów.

— Na kursie zbieżnym… — oświadczył płaski sztuczny głos — …obiekt o klasie asteroidu.

Ustalam prędkość zero względem obiektu i proszę o potwierdzenie decyzji lub alternatywę.

— Jak wiadomo… — powiedział głośno Lors. Nie krył irytacji i czuło się, że tym razem nie pozwoli już nikomu sobie przerwać — …nasza wyprawa…

— Na asteroidzie znajduje się obiekt pochodzenia organicznego — beznamiętnie zakomunikował komputer.

Tracedill zawirował na swoim fotelu, ustawiając go przodem do konsoli operatora. Hamilton rzuciła się na swoje miejsce, bezceremonialnie odrzucając łokciami ze swej drogi brata Lorsa. Zakonnik zawirował w miejscu z trudem łapiąc równowagę. Jego twarz odzwierciedlała toczącą się w duszy walkę, w której złość i irytacja walczyły z rozsądkiem i opanowaniem. Doumat, spokojnie obserwujący rozgardiasz w sterówce, stłumił uśmiech i odwrócił się do zestawu ekranów. Na centralnym i przylegających doń sześciu wspomagających Tracedill z furią niemal przeglądał asteroid pod każdym możliwym kątem i w kilkunastu przekrojach. Hamilton wprowadzała w gotowość użytkową ładownię numer cztery i wszystkie znajdujące się w niej pojazdy. Rawno z Foquetem odstrzelili kilkanaście sekund temu po dwie małe sondy i na cztery ręce gnali na nich w stronę asteroidu.

— Niemal czysta ruda żelaza — rzucił Tracedill. — Gdyby można go było zaholować…

— Zajdź do „trzeciej” — zawołał Rawno, nie zwracając uwagi na słowa dowódcy.

— Dobra, tylko się nie wpieprz we mnie…

— Dwa promy gotowe! — zameldowała Hamilton w przestrzeń sterówki.

Sara podeszła do fotela Nirke i nie odrywając spojrzenia od pasjansa z ekranów, przysiadła na oparciu fotela. Tropiciel odchylił się w przeciwną stronę, obrzucił lekarkę pytającym spojrzeniem.

— Bracia i siostry! — wrzasnął z tyłu Lors. — Stanęliśmy w obliczu chwili…

— Cisza, do cholery!!! — ryknął Tracedill. — Zdąży jeszcze brat… — odwrócił się wściekły i urwał w pół słowa.

Doumat i Sara jednocześnie obejrzeli się zaintrygowani zachowaniem dowódcy. Brat Lors stał na tle jedynej nie upstrzonej monitorami ściany z uniesionymi w modlitewnym geście rękami. Zrzucił swój szaro–bezbarwny kombinezon, pod którym miał — jak się okazało — jaskrawożółtą sutannę z czarnymi mankietami i tego samego koloru koloratką, cienki łańcuch przewleczony przez pętelki na ramionach opadał na pierś, gdzie wisiał krzyż, którego ramiona przecinały się w małej, pobrużdżonej południkami i równoleżnikami kuli. Niedokończony okrzyk Tracedilla zainteresował pozostałych obecnych, rzucali spojrzenia przez ramiona i zamierali ze spojrzeniem utkwionym w Lorsie. Zakonnik uniósł wyżej ręce i odetchnął głęboko.

— Pan, którego poznać chcemy i mieć zawsze w sobie… — zaintonował — …objawił naszemu bratu drogę do krainy swojej. Natchnął tu obecnych…

Komputer zaterkotał natarczywie, Foquet jęknął i odwrócił się do konsoli, ale było już za późno. Co najmniej cztery ekrany pokazały zgon jednej z dwu prowadzonych przez niego sond — uderzyła w asteroid, a jeden z ekranów zgasł na chwilę, a potem wyświetlił propozycję przełączenia się na inną kamerę.

— Kur… — Foquet przełknął połowę inwektywy.

— Od tej chwili ktokolwiek nieregulaminowo przerwie ciszę w sterówce, zostanie umieszczony w ścisłym domowym areszcie! — ryknął rozjuszony Tracedill. — Na co czekacie? — warknął w kierunku Rawno i Foqueta.

Komputyk i pilot rzucili się do swoich paneli. W sterówce zapanowała tak głęboka cisza, że niemal słychać było, jak zmieniają się litery i cyfry na monitorach, stopniowo obecni otrząsnęli się z szoku, w jaki wpędził ich wybuch flegmatycznego dowódcy i zainteresowali informacją z trzech sond. Okrążały asteroid po różnych orbitach i z różnymi prędkościami, ale przekazywany

obraz nie różnił się specjalnie od siebie. Aż do chwili, kiedy ocalała sonda Foqueta…

— Ludzie… — jęknął komputyk. — Czy ja dobrze widzę?…

Siedząca na podłokietniku fotela Nirke Sara wydała z siebie dziwny szlochający dźwięk i natychmiast sama go stłumiła przyciskając dłoń do ust. Tropiciel poderwał się ze swojego miejsca, ale natychmiast zamarł w miejscu. Foquet obejrzał się na dowódcę, ale nie znalazł w nim pomocy. Tracedill, jak i wszyscy obecni w sterówce, wytrzeszczał oczy wpatrując się w ekran, na którym widniał obraz przekazywany z sondy komputyka.

Część naturalnego wgłębienia w nieregularnej bryle asteroidu została w niewątpliwie sztuczny sposób wygładzona, połyskiwała w świetle reflektora sondy. W centrum niecki, na wyciętym w podłożu postumencie siedział mężczyzna. Kamera pokazała go z boku, a potem, nie otrzymując innych rozkazów, kontynuowała lot po orbicie wokół asteroidu. Siedzący na sztucznej wypukłości mężczyzna przesuwał się w polu widzenia kamery, aż — pół sekundy przed zniknięciem z kadru — poruszył głową, jakby chciał spojrzeć w obiektyw kamery.

— Chwała na wysokości!.. — zaszlochał Lors.

— Wróć tam kamerą — wykrztusił Tracedill. Głos miał drżący i chrapliwo–szeleszczący zarazem. Jakby nie z krtani się wydobywał, ale z suchej trzęsącej się tekturowej tuby. — Pośpiesz… — zakrztusił się i rozkaszlał.

Foquet uderzył w klawisze, obraz na ekranie zawirował, któryś z bocznych sterowych silników sondy uderzył zbyt mocnym ciągiem. Przez ekran matową smugą przeleciał rozmazany obraz asteroidu. Sonda kręcąc opętańcze bąki, smagała światłem reflektora ciemną kosmiczną pustkę.

— C–co robisz?… —— wychrypiał Tracedill.

— Nie… nie mogę — żałośnie przyznał Foquet. — Ręce… Nirke wysunął do przodu jedną nogę. Spojrzał w dół, dostawił drugą nogę, zmusił się do jeszcze jednego kroku i chwycił się pulpitu drżącymi rękami. Myląc się i co kilka sekund sięgając do klawisza kasującego poprzednie dyspozycje zdołał usunąć z sondy poprzedni program i zwolnić komputerowe naprowadzanie na najbliższy materialny obiekt. Tracedill zerknął nieśmiało na tropiciela, z wysiłkiem poruszył dłonią wyprowadzając przekaz z kamery na centralny największy monitor. Zobaczyli ponownie asteroid, nieckę i mężczyznę w niej, wszystko pod nieco innym kątem, ale wyraźnie i kategorycznie. Doumat głośno przełknął ślinę, a potem trącił drżącymi palcami kilka klawiszy powiększając obraz na ekranie. Kamera pokazała twarz siedzącego spokojnie w kosmicznej próżni mężczyzny. Miał gęste siwe brwi i równie białe wąsy i ta biel dominowała w prześwietlonym obrazie na ekranie. Włosy miały zupełnie inny kolor — szaro–brązowe, dość długie, falowały w nieważkim środowisku. Mężczyzna wolno podniósł wzrok i spojrzał prosto w obiektyw kamery. Lekko zmrużył powieki, jak gdyby światło reflektora — a tak musiało być — oślepiało go. Spokojnie i nieco ironicznie wpatrywał się w szeroko otwarte oczy załogi „Pasji” i w trakcie tych kilkunastu sekund nikt z ludzi przed ekranami nie poruszył się ani nie wydał z siebie dźwięku. A potem mężczyzna odwrócił się i zamarł w poprzedniej pozycji.

— Boję się… — szeptem złamała ciszę Da Fore.

Nirke oderwał spojrzenie od ekranu i popatrzył na nią z dołu, napotkał szkliste spojrzenie, kruche, bo bliskie wybuchu histerii. Wstał z fotela i chwycił Sarę za ramiona. Nie stawiała oporu, ale jej ciało było sztywne; niemal przeniósł ją w niezmienionej pozycji z oparcia na siedzenie fotela.

— Polecę tam — powiedział nie patrząc na ekrany. Tracedill oderwał się od pulpitu. Jego fotel kierowany odbiciem nóg okręcił się na swej osi. Miał podobne szkliwo w spojrzeniu co Sara. Nirke zrozumiał, że wszyscy w sterówce reagują identycznie.

— Lecę — powiedział dowódca.

— Boję się — powtórzyła lekarka, nieco głośniej.

— Zażyj coś na odprężenie — powiedział Tracedill. — Najlepiej daj to coś nam wszystkim. No? — ponaglił. Sara patrzyła na niego chwilę a potem mechanicznie pokręciła głową. — Saro!

— Ja też się boję! — krzyknęła Hamilton. Przebiegła całą sterówkę i zatrzymała się za fotelem Sary.

Tracedill patrzył na nie chwilę, otwierając i zamykając bezgłośnie usta, w końcu poderwał się z fotela i skierował do drzwi.

— To się bójcie, nie będę przeszkadzał. Lecisz? — rzucił przez ramię do Nirke.

— Cham? — pisnęła Hamilton i nagle, jakby ten okrzyk potrzebny jej był do zdarcia jakiejś zasłony, odzyskała większość ze swego zwykłego sarkazmu. Chwyciła lekarkę za ramię i wyszarpnęła z fotela. — Chodź…

Wlokła Da Fore za sobą przez całe pomieszczenie z furią i determinacją, ale — jak zauważył Nirke — ani razu nie spojrzała w stronę ściany z ekranami. Wszyscy unikali patrzenia na tę ścianę.

— Polecę z wami… — sapnął Rawno.

— Ja też — szybko dorzucił Foquet.

Tracedill skinął głową i pierwszy ruszył do drzwi, zaraz za nim pomaszerował Lors. Jego wargi poruszały się, ale żaden dźwięk nie ulatywał z ust. Zwartą grupą dotarli do hangaru. Tracedill bez słowa skierował się do segmentów ze skafandrami i w milczeniu zaczął wciągać na siebie model próżniowy. Pierwszy skończył zakładanie skorupy i pomógł Lorsowi.

— Nirke z Foquetem — rzucił i przecisnął się przez wąskie drzwi do wnętrza pojazdu.

Sześć minut później oba promy jednocześnie wynurzyły się ze swych śluz. Pierwszy odpalił silniki Tracedill i ostro przyspieszając, jakby dowódca chciał możliwie szybko skończyć z kłopotliwą sprawą, pomknął do oświetlonego wąskim strumieniem reflektoru asteroidu.

— Słuchaj… — odezwał się Foquet, ale Nirke przerwał mu w pół słowa:

— Nie szukaj we mnie wsparcia ani jakiejkolwiek odpowiedzi. Weź się, człowieku w garść, po prostu weź się w garść i czekaj.

Zwiększył siłę ciągu, dogonił niemal prom Tracedilla, odsunął się trochę w bok i mknął w kierunku bryły uważnie wpatrując się w cel.

— Lecę prosto na tę nieckę — usłyszeli z Foquetem głos Tracedilla w słuchawkach. — A ty odbij trzydzieści stopni na dwunastą i obserwuj nas z góry. Potem możesz lądować…

Nirke pociągnął na siebie szynę steru. Czub jego promu poderwał się w górę, Nirke przyspieszył, zerknął na licznik i przyspieszył powtórnie. Wyprzedzał teraz prom dowódcy, ale równocześnie oddalał się od celu. Gdy prom Tracedilla zawisł nieruchomo nad brzegiem niecki, odczekał chwilę, a potem na wzór jastrzębia runął w dół. Wylądował dwie minuty po pierwszym promie, trzyosobowa załoga czekała na nich. W ostrym świetle lamp czołowych i wciąż świecącego reflektora sondy, ich oczy błyszczały chorobliwie i wszyscy nerwowo oblizywali wargi. Lors trzymał w ciężkiej rękawicy zdjęty podczas ubierania skafandra łańcuch z krzyżem.

— Idziemy — usłyszeli w głośnikach.

Topornie wykreślona sylwetka człowieka chybotliwie okręciła się na pięcie i Tracedill pierwszy ruszył w kierunku dwumetrowej wysokości grzędy, dzielącej ich lądowisko od niecki. Skalny grzebień forsowali parami, i natychmiast, kiedy ich stopy przywierały do gładkiej, wyciętej w bryle rudy jednym ruchem gigantycznej mocy lasera płaszczyźnie, zamierali przesuwając się do przodu tylko tyle, żeby następna para mogła sforsować krawędź i stanąć za ich plecami. Kiedy wszyscy już stali zgrupowani w nastroszony, spazmatycznie oddychający oddział, Lors zrobił krok do przodu wysuwając do przodu prawą dłoń z krzyżem.

— Panie… — wychrypiał. Zakołysał się, jakby zamierzał uklęknąć, ale nie potrafił tego

zrobić w ciężkim podróżnym skafandrze. — Panie… Wejrzyj na sługi swoje…

Jego głos nabierał mocy, znane, powtarzane miliony razy słowa uspokajały zakonnika.

— Powiedziane jest…

Półleżąca na skalnym fotelu postać przekręciła nieco głowę i skierowała twarz na grupę w skafandrach. Ponownie jej długie włosy, wbrew wszelkiej logice, zafalowały jakby uwolnione tym ruchem od absurdalnie działającej w stanie spoczynku siły przyciągania. Mężczyzna spokojnym spojrzeniem powiódł po zamarłym zespole. Lors kiwnął się w przód, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

I wtedy mężczyzna zniknął.

kwiecień–lipiec 1991, Wrocław

EUGENIUSZ DĘBSKI

Urodził się w 1952 roku w Truskawcu. Z wykształcenia jest rusycystą, mieszka i pracuje we Wrocławiu. Debiutował, nie licząc fanzinów, opowiadaniem „Najważniejszy dzień 111394 roku" („Fantastyka" 5/1984). Pod tym samym tytułem ukazała się jego pierwsza książka, będąca zbiorem nowel (Śląsk, 1985). W trzy lata później Almapress wydał następny zbiór, zatytułowany „Krach operacji Szept Tygrysa".

Dębski znany jest jednak głównie z cyklu o detektywie przyszłości noszącym dźwięczne imię Owen Yeates (wydawca twierdzi, że Dębski to artystyczny pseudonim Yeatesa). Do tej pory ukazały się cztery tomy: „Podwójna śmierć" (KAW, 1989 — właściwy tytuł „Ludzie z tamtej strony świata"), „Ludzie z tamtej strony czasu" (CIA Books, 1991). Piąty tom — „Krótka podróż do wspomnień" czeka na wydanie, a sam autor zapowiada, że na tym nie koniec.

Gienek ma szczęście do wydawców, w ciągu ostatnich lat wydaje po parę tytułów rocznie. Jego bibliografię uzupełniają powieści: „Śmierć Magów z Yara" (KAW, 1990), „Upiór z playbacku" (CIA Books, 1990) i zbiór opowiadań „Czy to Pan zamawiał tortury?" (MARK, 1991). W zapowiedziach wydawców znajduje się jeszcze kilka innych jego książek.

Zamieszczone powyżej opowiadanie Dębskiego, podobnie zresztą jak innego wrocławianina — Drzewińskiego, reprezentuje klasyczną SF, rozgrywającą się w kosmicznej otchłani na pokładzie statku badawczego. Myślę, że niniejsza antologia nie byłaby pełna bez takiego właśnie potraktowania tematu.

O „Korporacji Mesjasz”

„Korporacja Mesjasz” — cóż mogę napisać? Nie lubię wstępów, wszak pisze się opowiadanie jako zamkniętą całość i doprawianie mu potem koronek może tylko zepsuć efekt. Żeby nie wypaczyć treści, trzeba ciągnąć opowieść o niczym, bez związku z utworem, bo inaczej chcąc nie chcąc odchyli się uwagę czytelnika w jakimś kierunku.

Jeżeli ktoś przeczytawszy „Korporację” dalej nie wie, w co gwiżdżę, to już raczej go nie oświecę. Jeśli natomiast wydaje mu się, że pojął wszystko, to jedną rzecz powiedzieć mogą: napisałem stanowczo za jednoznaczne zakończenie. W założeniu wariantowych, równoległych rozwiązań miało być trzy, w tekście czytelne są dwa. Przymocno to wszystko zaplątałem. No, ale tak to już jest, że autorowi zawsze widzi się utwór lepszy, niż wychodzi i potem jest rozczarowany. A że w taki akurat sposób bawię się religią? Cóż, nie dlatego ludzie zasypiają nad „Panem Tadeuszem”, że historia ich nudzi, ale dlatego, że forma dla nich niestrawna.

Jacek Dukaj

Korporacja Mesjasz

Byli to prawdziwi fachowcy; eksperci wśród ekspertów, mordercy morderców. Elita elit. Nie powiedziano im, z kim będą mieli do czynienia, powiedziano: zabić — więc zabrali się do roboty najlepiej, jak potrafili, a byli w tym dobrzy. I tego po nich oczekiwano: absolutnej, bezlitosnej fachowości. Ofiara nie powinna mieć najmniejszych szans, to znaczy: umrzeć powinna, gdyby nie była tym, za kogo ją uważano.

Czterech ich było, szczupłych, węźlasto żylastych mężczyzn o myląco przyjemnych twarzach. Rozłożyli się po dwóch stronach alejki, na wielkich, mięsistych drzewonach, z których sięgali wzrokiem aż do bramy słupa osi. Kilka metrów za ich posterunkami alejka skręcała i znaczna część jej dalszego odcinka przesłonięta była bujną, różnokolorową roślinnością parku, póki jego pierścień nie wygiął się na tyle, by można było ją dojrzeć już na „ścianie". A potem znowuż ginęła połknięta przez „niebo". Wiedzieli, z której strony nadejdzie ofiara, było więc to miejsce idealne na zasadzkę — ujrzą ją, gdy tylko pojawi się na tej śmiertelnej alejce.

Ponieważ byli tym, kim byli i niczego nie pozostawiali przypadkowi — on, jak wiadomo, jest największym wrogiem przestępcy — zabezpieczyli się nawet przed tym, co było równie mało prawdopodobne, jak nagłe trafienie parku przez przelatujący obok meteoryt. Na kilka dni przed akcją (by nikt nie zauważył nagłej różnicy) przyssali do wybranych drzewonów małe, cienkoskóre myślaki, aby pochłonęły mogące zdradzić ich obecność myśli. Zleceniodawca słowem nie wspomniał o telepatycznych zdolnościach ofiary, ale też przypuszczał, że nie będzie to potrzebne — wiedział, komu płaci. Nie wynajmuje się najlepszych tylko po to, żeby załatwili jakiegoś przeciętnego szaraka; najlepszych wynajmuje się do załatwiania najlepszych. To nie zwyczaj, to reguła: po cóż płacić ciężkie pieniądze, skoro za niższą cenę mógłby to zrobić kto inny? Nie, oni byli ci niezastąpieni.

Etka szedł powoli, z tą charakterystyczną delikatnością kaleki, stawiając stopy na szarym paśmie alei. Naparstek obejmujący wskazujący palec lewej ręki informował go nieustannie o odległości od najbliższej przeszkody — Etka poruszał palcem, niby owad czułkiem, odbierając przez nieludzko wyczulony opuszek dane o przestrzeni wokół.

Przed jego zamkniętymi oczyma migotały falujące w ósemkę pasma czerni. Dla niego jednakże nie była to ozdoba, lecz ochrona na te nieliczne chwile, kiedy unosił powieki; ochrona przed nagłym milczeniem, zamieraniem przechodniów w pół ruchu, przed ludźmi. Niepełnosprawny w świecie, gdzie niepełnosprawnych już po prostu nie powinno być, jest czymś więcej niż nieprzyjemnym widokiem — to już obraza.

Był ślepcem, a jednak ślepcem nie był. Jego oczy były martwe, jego oczu już nie było, lecz — widział. Pod nieprawdziwie zielonym niebem szybował leniwie źrenicznik i to on był jego okiem. To siatka komórek ocznych pokrywająca brzuch owego drapieżnika przesyłała Normanowi dziwnie wykrzywione obcym zmysłem obrazy parku w dole; rozsiadł się ślepiec w mózgu źrenicznika i opanował go, bez cienia skrupułów wykorzystując jako czasowy przekaźnik. Już dawno ostatnie przebłyski litości zgasły w na pół szalonym umyśle Etki, nie tylko dlatego, że i świat nie miał dla niego litości. Norman Orde Etka pogrążony w zawiłych kombinacjach wariantowych przyszłości, w straszliwie nieuchronnych wizjach napływających i odpływających na każde skinienie, a czasem i mimo sprzeciwu, w możliwości i niemożliwości, jak zmianie akcentu w niezrozumiałym wyrazie — gdzieś zgubił tę człowieczą niekonsekwencję, te błędnie podejmowane decyzje, chwile wahania. Im bardziej próbował pojąć przeznaczenie, tym bardziej

przeznaczenie oplatało go siecią zdarzeń, co jeszcze nie nastąpiły, a już zaistniały w jego umyśle i nie pozostawiały mu wyboru.

A Reflektor sunął za nim krok w krok — to jego łańcuch był w tej chwili najważniejszym punktem wszechświata (według „czyjego” kryterium?). I chociaż łańcuch ten, z jego niezliczonymi, usychającymi systematycznie odgałęzieniami był tak ważny, dla Etki przestał być łańcuchem — on już „wiedział”, że tak naprawdę nie ma żadnych odgałęzień, i mimo, iż nie znał wszystkich ogniw (dlatego był szalony tylko częściowo), tylko Reflektor zauważał, na pozostałych wizjach dostrzegając pieczęć przeznaczenia. To ono było jego wrogiem, to przed nim bronił się zamykając rozpaczliwie umysł, by móc cieszyć się jak największą ilością złudnej władzy nad sobą i swym życiem, by nie zginąć, ostatecznie przygnieciony skończoną wiedzą — zmieniony w robota. Wciąż posiadał „władzę” nad takimi małymi decyzjami: co zjem na obiad, co na kolację; czasami i większych węzłów udawało mu się nie dopuścić do świadomości. Jakże się wówczas delektował wyborem między układami, do których miał się udać!

Doszedł do zakrętu i zatrzymał się. Miał nastąpić atak; mieli go tu zabić. Czemu więc nie atakują?

Atakowali. Zaniepokoiło ich trochę jego zatrzymanie się tuż przed zasadzką, bo to akurat było im na rękę, przywódca więc, niejaki Brodziec, przesłał przez obciskające nadgarstki bransoletowe czuwacze sygnał — i pomknęły pociski. Z przylegających do przedramieni miotaczy, niby zwierzątek–maskotek, plunęły w ciszy smugi gradokul. Żadna z nich jednak nie wybuchła — ich móżdżki zaprogramowane miały jako cel tego mężczyznę, jego ciało, a uderzyły z ostrym zgrzytem w alejkę za nim. Przez Etkę przeszły jak przez dym, w ogóle go nie zauważając i nie wyrządzając najmniejszej krzywdy.

Chociaż dusze zapewne zatrzepotały w zabójcach, nie zawahali się ani na moment — trzasnęli w bransolety, które natychmiast rozwinęły się w dżdżownicowate, płaskie, długie a ostre głasnoże, co swym połyskującym metalowym tułowiem objęły prawe dłonie i teleskopowo wystrzeliły dalej, na prawie pół metra.

Nie zdążył Etka nawet nakazać źrenicznikowi zniżyć lot, a mordercy już zeskoczyli na alejkę. Zachybotały się głasnoże szukając ofiary i skierowały ku Normanowi — jak języki wężów drgały, gdy otaczali go szybko, pewnie zacieśniając krąg. Nie było wątpliwości, kto tu jest ofiarą, a kto myśliwym.

Aż do chwili, gdy Etka próbując zwalczyć obcy kolorystycznie obraz widziany okiem źrenicznika, wyobraził sobie głasnóż, wyobraził sobie jego mozolne przeginanie się do wewnątrz i… Szarpnął silną myślą. Broń zachodzącego go z tyłu zabójcy wywinęła się nagle i dotknęła śmiertelnym końcem piersi właściciela. Chudzielec zwalił się jak ścięty.

Pozostali trzej mordercy na ten widok zareagowali bez namysłu — naprawdę byli najlepsi. Rozszerzyli krąg zamykając dziurę w kordonie, i sięgnęli po Bąki — wszystko to szybko, płynnie; najwyraźniej samo przebywanie w towarzystwie tego człowieka, ofiary, było niebezpieczne. Prawie nie myśleli, działali odruchowo — myśli w takich sytuacjach są za wolne, a poza tym czasami bywają nieodpowiednie.

Norman pozostawił w spokoju źrenicznika, na moment rzeczywiście ślepnąc, i przerzucił się w umysł Brodźca, zagarniając i tłamsząc wszelką wolę. Przeprowadził to tak gładko, że podwładni zniewolonego nie zauważyli różnicy, dopóki opętany nie rozpłatał głasnożem sunącego obok do ofiary, zarośniętego bruneta. Wówczas jedyny pozostały przy życiu wolny zabójca odskoczył w bok, a Brodziec — brodźcowato intuicyjnie — przebiegł na jego miejsce. Zagradzając w ten sposób drogę do stojącego nieruchomo, skupionego na obcocielesnej walce Normana. Ciało chroni mózg.

Ostatni, czerwonooki morderca po raz pierwszy okazał wahanie — uciekać, czy podjąć walkę

przeciwko swemu dowódcy, który już dowódcą nie jest? — i skończyło się to dla niego fatalnie. Brodziec zdecydowanym wyrzutem wypuścił z dłoni Bąka. Urządzenie zakreślając w powietrzu nieco nachyloną w stosunku do powierzchni gruntu elipsę pozostawiło za sobą jasną, aż oślepiającą smugę, i przeleciawszy za kilkoma drzewonami, czerwonookim i rosnącym na granicy alejki pnączakiem — wróciło do Brodźca. W chwili gdy złapał je z powrotem, przestrzeń zamknięta w elipsie ścisnęła się do jednego punktu i z mokrym plaśnięciem rozprężyła, połykając świecącą linię przelotu Bąka. Pół tułowia czerwonookiego, kilka rozciętych równo drzewonów i pnączak — grzmotnęło o ziemię.

Następnie Etka nakazał zimną myślą Brodźcowi jeszcze jeden ruch, i przywódca zadźgany przez własny głasnóż miękko osunął się w błoto utworzone z krwi jego towarzyszy i soku pnączaka.

Etka odetchnął głębiej — nie co dzień zdarzało mu się umierać, nawet w cudzej skórze. Wrócił umysłem do źrenicznika i wolną spiralą ściągnął go w dół, najniżej jak potrafił. Potem podjął swój marsz. Za nim leniwie parowała krew.

Za zakrętem alei czekał na niego, wygodnie rozłożony na ławeczce, Erdan Adam. Na widok Normana uniósł elegancko brwi i wskazał miejsce obok siebie.

— Miło mi pana widzieć, panie Etka, czy też… Orde to pana drugie imię?

— Nazwa mojego klanu — rzucił Norman siadając.

— Klanu?

— Pochodzę z Gospodina. O czym pan doskonale wie.

— Jest pan na mnie wściekły, co? — cień uśmiechu.

— Za to, że usiłował mnie pan zabić? Nie.

— Ależ…

— Bo pan wcale nie chciał mnie zabić; tak myślę. To był tylko test. Prawda? Tylko test. Mylę się?

— Szybki pan jesteś.

— Och, oczekiwał pan tego ode mnie. Inaczej nie byłbym panu potrzebny. Może teraz się mylę?

— Zastanawiam się, czy nie za szybki.

— Pan się wcale nad tym nie może zastanawiać.

— Takie blefy nie chwycą. Mój umysł jest zamknięty.

— Gdybym był tylko telepatą, również by mnie pan nie potrzebował.

— Skąd…

— Nie jestem pewien, czy to również nie test.

— Co?

— To. Pan. Ta rozmowa.

— Co to znaczy?

— Proszę się nie unosić. Pan naprawdę jest świetnym sobowtórem. Gesty, mimika i tak dalej.

— To..

— Niestety — przerwał mu Etka, wciąż siedząc nieruchomo, z przekoloryzowanym, źrenicznikowym obrazem w mózgu — są pewne rzeczy, które po prostu wiem, i dlatego jestem potrzebny panu Erdanowi Adamowi, którym, jak już zauważyłem, pan nie jest.

— Chyba to był test, co?

— Możliwe — mruknął sobowtór ciszej, zmieniając pozę. — Mnie o tym nic nie wiadomo.

— Proszę więc powiedzieć, co ma mi pan do powiedzenia.

— A co? To też pan wie? Że powiem?

— Aha.

— …
— No?
— Chwileczkę.
Sobowtór trwał nieruchomo, niewidzącym wzrokiem gapiąc się na przeciwległą ścianę zieleni (dla Normana był to fiolet) — jak drugi ślepiec.
Wreszcie zamrugał oczyma i wrócił do rzeczywistości.
— Ma pan wszczepkę? — spytał go Etka.
— Co to pana…
— Zgodził się pan zrobić z siebie niewolnika? Za jakie pieniądze? — ciągnął smutno Norman. — Pozbawić wolności, woli, zdolności podejmowania decyzji. Dlaczego pan to…
— Zamknij się! — syknął sobowtór. — Może jesteś jasnowidzem, ale…
— No? Czterech zawodowców leży tam, kilka metrów stąd. Pan następny?
Wszczepniak ochłonął.
— Pan Adam upoważnił mnie do przekazania panu…
— Hm?
— Zanim jednak to powiem, muszę pana ostrzec. Pan Adam ma pewne kontakty z Braćmi Materii…
Etka zrozumiał aluzję. Tego szantażu nie przewidział. Poprawiło mu to nastrój. Jego szaleństwo miało wiele twarzy.
— Nagrywaliście to? — spytał. — Tę walkę?
— Nie wiem.
— Oczywiście, że nagrywaliście. Wystarczy im pokazać te pociski przechodzące przeze mnie… Nie musicie mnie wynajmować. Wystarczy zwykły szantaż.
— Pan Adam chce pana wynająć.
— O, to szlachetnie z jego strony. Że nie ograniczył się do bata.
— Mogę mówić?
— Mów, mów.
— …czy wie pan też, co chcę powiedzieć?
— Chłopcze, nie ma jasnowidzów doskonałych. I w mojej skazie jest skaza. Gdybym znał odpowiedzi na wszystkie Pytania, nie byłoby pytań… Tak, jestem szalony. Pan Adam „ylby idiotą przystępując do układów z szaleńcem, nie mając zabezpieczenia. To szczęście dla niego, że jestem duchownikiem. Mów, mów.

— Korporacja Mesjasz, której pan Erdan Adam jest prezesem, jak pan może się orientuje, zajmuje się specjalistycznymi badaniami religii różnych ras, na zlecenie rządów wielu układów, a także na zlecenie prywatnych placówek naukowych. Posiada ponad osiemdziesiąt stałych stacji orbitalnych i dwadzieścia trzy ziemne, oczywiście na planetach o dopuszczającym to statusie.
— Kogo mogą interesować wierzenia jakichś dzikusów z dalekich planet?
— Są tacy ludzie, zapewniam pana. W ubiegłym studniu Korporacja przyniosła…
— Tak, tak, wierzę.
— Dwadzieścia pięć dni, standartni, temu, na jednej z naszych stacji orbitalnych zdarzył się wypadek… Trzy wypadki. Zginęły trzy osoby. Ponieważ zdarzyło się ich trzy i w tym samym czasie…
— Trudno to uznać za wypadki.
— Właśnie. Nie będę się tu wdawał w szczegóły, w każdym razie…
— Zaraz! A agencje rządowe?
— Słucham? — sobowtór był zimno uprzejmy.

— Dlaczego nie zajęły się tym agencje rządowe? Przecież pracujecie dla rządów, nie?

— Raczy pan zauważyć: dla rządów. Liczba mnoga. Większość prac, które wykonujemy, jest tajna i wpuszczając jedną agencję… Rozumie pan.

— Jak to — tajna? Co tajnego może być…

— Czwarta poprawka do poprawki o planetach patronackich Kongresu — wymamrotał wszczepniak.

— No tak. — Wiele rządów miało chętkę na bogate planety, których mieszkańcy wykazywaliby pożądanie, niski stopień rozwoju.

— Wewnętrzne śledztwo Korporacji niczego nie wykazało. Tak więc… zwracamy się do pana. Podejmuje się pan?

— Oczywiście.

— Ani chwili namysłu, co?

— Ja musiałem się tego podjąć.

— To też pan wiedział? — spytał Adam, co nie był Adamem, wstając i podając ślepcowi kartę informacyjną. — Z tego dowie się pan reszty. Swoją drogą… czemu nie sprawił pan sobie nowych oczu?

— Nie mogę.

— Nie ma pan dość pieniędzy?

— Pieniędzy? Nie, z tym nie mam kłopotu.

— Loteria, co?

— I owszem. Chociaż tyle mam z tego jasnowidztwa.

— No więc?

— Co?

— Dlaczego nie sprawił pan sobie oczu?

Etka w odpowiedzi podsunął mu lewą dłoń pod nos.

— Pierścień Salomona — oświadczył.

Sobowtór zmarszczył brwi nie rozumiejąc. Żadnego pierścienia — pierścienia w podstawowym tego słowa znaczeniu — Etka nie posiadał.

Norman westchnął.

— Gospodin nie należy do najbardziej rozwiniętych planet. Ludzie z mojej wioski uznali, że jestem dzieckiem czarownicy i wypalili mi oczy.

— No to co?

— Obłożyli je także klątwą.

— Klątwą?

— Klątwą. Nie mogę mieć nowych oczu.

— Pan wierzy w takie bzdury?

— Och, nie o to chodzi, czy wierzę. Ja wiem, że nie mogę mieć nowych oczu.

Wszczepniak kręcąc z niedowierzaniem głową odwrócił się i ruszył alejką w stronę przeciwną do słupa osi. Po kilku krokach zatrzymał się i ponownie odwrócił.

— A kiedy pan umrze, też pan wie?

— Tak.

— Pan jest szalony.

— Tak. Wiem.

— Pan musi być szalony… — powtarzał sobowtór podejmując swą przerwaną wędrówkę w głąb parku.

Etka wsunął kartę do kieszeni i wypuścił powietrze z płuc, rozprostowując plecy. W chwilach napięcia mimowolnie się garbił — ostatnio wciąż chodził przygięty do ziemi.

Źrenicznik na powrót wzbił się wysoko, prawie pod granicę nieba. Przez mózg Normana przesączały się powoli obrazy parku. Jakaś para zapędziwszy się w gąszcz nie mogła znaleźć wyjścia. Siedzieli i rechotali dziko. Ktoś rozpalił ognisko i przypatrywał się dziwnie układającemu się dymowi. Grupka manlarzy zebrała się na szczycie jednego ze wzgórz, zapewne zaraz chwalić się będą, jakie to cierpienia sobie zadali, jak oszukali siebie i innych — coraz więcej ostatnio pojawia się takich sekt. Z bramy słupa wynurzyła się rozwrzeszczana wycieczka niedoletnich. Ruszyli szarą alejką.

Życie toczyło się mozolnie, bez finezji, tą samą koleiną. A Reflektor uparcie spoczywał na Normanie. To on w tym ogłupiałym świecie był najważniejszy. Śmiać mu się z tego chciało.

Tego dnia bogowie mu sprzyjali — ograł w Ślepego Samuraja swego towarzysza podróży, podstarzałego archeologa, co jeszcze samo w sobie nie było niczym dziwnym, bo i nie „oszukując” często wygrywał — lecz gdy szczęście zaczęło go opuszczać, rozbrzmiał sygnał odpalenia i gra skończyła się, pozostawiając mu znaczną część wygranej sumy, i to było oznaką dobrego humoru bogów: zwykle gdy się rozegrał, początkowe zwycięstwa spływały po nim razem z forsą, jak woda, i kończył biedniejszy niż na początku. Ta zasada odnosiła się nie tylko do gry, w życiu tak samo (jeśli tylko pozostawiono mu „wolną rękę”) — początek kusił go wspaniałościami finału, który następował przy jęku żałobnych trąb. Jednak wolał to, niż pasmo zwycięstw, które nie były jego zwycięstwami, a igraszką przeznaczenia.

Wszystko było jego igraszką, ale teraz przynajmniej mógł pozwolić sobie nie zdawać z tego sprawy.

W ciasnym wnętrzu Jaja zapiszczał głos Jeźdźca ogłaszającego czas pozostały do wypchnięcia pasażerów w zwykłą przestrzeń. Norman, archeolog i trzej pozostali podróżni tkwili już w ochronnych kokonach o podobnie białych, przejrzystych powłokach jak powłoka Jaja, wymieniając bezsensowne uwagi, które miały rozładować atmosferę, a jedynie informowały o zdenerwowaniu rozmawiających. Etka swego czasu podróżował w Zwierzętach między gwiazdami częściej, niż zwykłymi statkami w obrębie układów, między innymi na tym polegała jego praca; i teraz denerwował się bardziej z powodu spodziewanej kontroli na orbicie, niż samego lotu Jajem.

Kiedy wreszcie potężne, niewidoczne, uplecione z mroku mięśnie Zwierzęcia wypchnęły ich z jego wnętrzności w kosmos, poczuł jedynie ulgę — przyspieszenie zamknęło usta gadającym i rozpętała się jedynie stosowna w takich chwilach cisza. Jajo zakręciło się, rzucając im w oczy pełną panoramę tego punktu przestrzeni. Dla wszystkich, prócz Normana, nie różnił się on od innych niczym; ta sama gwiezdna grochówka. Norman jednak czuł wiele innych rzeczy, których w żaden sposób nikt inny nie mógł odczuć, choć sam widok był dla niego tak samo suchy i niezrozumiały.

Rozłożona na jego czole kolonia komórek zveurxa przekazywała mu obraz o straszliwie wykrzywionej perspektywie, ale w zamkniętych pomieszczeniach nie mógł wykorzystywać niczego innego i pozostało mu pogodzić się z paraboliczną, prostą i łzawą kulą. Prawdziwym jego zmartwieniem było co innego. Przewiezieni przez odławiacz do portówki zostaną prawie przenicowani. Duchowość Etki, która uratowała mu życie w orbitalnym parku, wyjdzie na jaw — nie ma siły. Po wystąpieniu (wygnaniu) z Mos–Mozu Norman podróżował wyłącznie nielegalnie — Zwierzętami i statkami przemytników, rebeliantów, niezależnych. Teraz, poganiany przez Korporację, nie miał takiej możliwości — musiał legalnie wpakować się w Jajo. Przy starcie Korporacja jakoś go upchnęła bez kontroli, lecz jak sobie poradzi na orbicie Azelfafage II? Tej rzeczy akurat nie wiedział. Erdan Adam nie przejmował się takim drobiazgiem — a powinien. Idiotą nie był, czego dowiódł nie raz. Więc? (Zresztą — jak można dowieść, że się nie jest

idiotą? Łamigłówki słowne, cholera).

Po godzinie dryfowania w przestrzeni dostrzegli wykluwający się cieniem pośród gwiazd kształt odławiacza. Statek zaszedł ich od tyłu, wyhamował zrównując swoją prędkość z ich prędkością i rozwinął skrzydła. Mroczne powierzchnie zamknęły ich i uniosły, choć nie zdawali sobie z tego sprawy. Chwilę potem błysnęło światło i powłoka Jaja stopiła się w nim jak lód. Kokony otworzyły się i wyszli na rampę objętą zewsząd sieciami asekuracyjnymi. Statek przyspieszał; skokroki stawały się coraz krótsze. Do wrót poczekalni doszli już normalnie.

Przekroczyli jej próg i rozproszyli się po wielkim pomieszczeniu, w którym przebywało już ponad trzydzieścioro odłowionych wcześniej podróżników. Rozmawiali, czytali, odpoczywali, czuwali, posilali się w dajni i opijali w barku. Jednak Etka stanąwszy na wzorzystym dywanie poczekalni nie zrobił już ani jednego kroku: zamarł jak trafiony zlodowcem. Ciężkie wrota zawarły się za nim ze stekiem, lecz nawet na ich przełamanie się nie zwróciłby uwagi. Stała się jeszcze jedna rzecz, której nie udało mu się przewidzieć, ale tym razem nie był z tego zadowolony.

Jak dwaj śmiertelni wrogowie, co za moment mają rozpocząć pojedynek, stali na dwóch końcach sali, naprzeciwko siebie, znieruchomiali, cisi i zamknięci na cały świat poza nimi dwoma: on i Obcy.

Mówiono na nich: Obcy — i wiadomo było, o kogo chodzi. Nie było w poznanym kosmosie trzeciej rasy na tak wysokim poziomie rozwoju, by można ją było uznać za partnera. Oni, rzecz jasna, na siebie mówili: ludzie, lecz brzmienie tego słowa nie mogło być przekręcone na użytek ziemskiej nazwy, po prostu dlatego, że nie było takiego brzmienia — porozumiewali się za pomocą wymiennych świadomości. Zostali więc Obcymi (choć śmieszne i banalne było to imię), tym bardziej, że naprawdę byli obcy.

Nie w sensie fizycznym — najlepszy dowód, że oddychali ziemskim powietrzem. Chociaż wyglądem nie przypominali człowieka — skrzyżowanie modliszki z kretem, a i to naciągane porównanie. Największy dowód antymiłości u Obcych (albowiem coś takiego, jak czysta miłość nie istniało u nich, taka irracjonalność nie była w ich naturze; co w niej było?) to morderstwo. I tu znowuż trudno wyjaśnić, co to jest antymiłość — na pewno nie nienawiść. Głównie z powodu takich właśnie trudności w porozumieniu się ludzie i Obcy trzymali się od siebie z daleka, nie kontaktując się, a przynajmniej nie wchodząc sobie w drogę. Jeśli już musieli, to zachowywali się jak ten tutaj — ignorowali przedstawicieli innej rasy.

Ten pierwszy kontakt — prawdziwy kontakt, bo pomniejszych cywilizacji pierwotniaków znaleziono sporo — nie dał ludzkości niczego, a mógł dać wiele; Obcy niewątpliwie stali wyżej. Nie było jednak śmiałków, którzy wyprawialiby się w przestrzeń. Ci, którzy na fali pierwszej euforii polecieli tam, już nie wrócili. Skoro morderstwo jest u nich dowodem przyjaznych uczuć (czy w ogóle znają coś takiego, jak przyjazne uczucia?), to w takim razie…

Obcy „stał” tuż przy ścianie, grzbiet jego kurtki śmierci dotykał puszystego gobelinu. Mechanizmy ukryte w jego odzieniu bez przerwy zadawały mu ból, a on ten ból spijał jak narkotyk. Żaden człowiek nie potrafił pojąć Obcego, nawet nie próbowano — dlaczego oni tak rozpaczliwie potrzebowali cierpienia, do czego im służyło? Nie było mostowych pojęć, a jeśli były, to jeszcze na nie nie natrafiono; każda rzecz okazywała się być owym wykrzywionym odbiciem. Ciągi myślowe ich i ludzi po prostu się nie przecinały.

Teraz jednak przecięły się łańcuchy Etki i tego Obcego — stali, jak dwaj wrogowie, co mają przystąpić do pojedynku. O co? Musiał być powód, wspólny powód. Rolę tłumacza wzięło na siebie przeznaczenie, to ono ukazywało Normanowi takie, a nie inne obrazy, stawiając go na drodze Obcego. Lecz czy Obcy też był jasnowidzem?

Trwali tak nie zwracając uwagi na innych podróżników, a oni nie zwracali uwagi na nich —

jakby ktoś nałożył dwa różne obrazy. Reflektor wszechświata walił w Etkę nieprzerwanym snopem uwagi.

Norman nie mógł oderwać wzroku od Obcego. Nie była to hipnoza, nie zniewolenie, nawet nie widział przymusu stania tak i gapienia się na tego potwora. To coś jak węzeł losu, jak…

— Panie Etka!

— …

— Panie Etka? — mężczyzna zamachał mu ręką przed oczyma, zanim zdał sobie sprawę, że ma do czynienia ze ślepcem. Kolonia komórek zveurxa była nie do odróżnienia od prawdziwej skóry czoła. Mężczyzna na moment zamilkł skonsternowany.

— Panie Etka, proszę! — stanął przed nim i chwycił go za ramię, mocno ściskając. Był młody, miał na sobie oblun załoganta i wyglądał na przestraszonego.

Etka oprzytomniał.

— Co?

— Pan jest Normanem Orde Etką, tak?

— Owszem…

— Proszę za mną.

— Słu–cham?

— Proszę za mną — załogant przybrał zrozpaczony wyraz twarzy. — Panie Etka, bardzo pana proszę…

— Idę. Pan jest z Korporacji, co?

— Korporacji? Korporacji? Panie Etka…

— Dobrze, dobrze, chodźmy. Poszli.

Zagłębili się w labirynt wielopodłogowych korytarzy przystosowanych do lotów nieważkościowych, który wreszcie wypluł ich w luk awaryjny nr 6, gdzie pulsowało światło dehermetyzacji jednej z szalup. Młodzieniec prawie wepchnął do niej Etkę, ciągle oglądając się za siebie i mrucząc pod nosem coś o własnej głupocie. Wyszeptał na pożegnanie jakieś informacje o kursie i zniknął. Po jego wyjściu szalupa automatycznie zasklepiła się.

Etka spytał mózg o kurs. Był już wytyczony. Ekran rozkwitł jego trójwymiarowym obrazem: cienkiej, poskręcanej nitki prowadzącej na orbitę księżyca Azelfafage IV, przez większą część ciągnącej się łagodnym łukiem, a przy końcu plączącej się w grawitacyjnym szaleństwie.

Szalupa została wypchnięta ze statku i po kilku minutach swobodnego dryfowania włączyła silniki. Norman rozpłaszczony w kokonie kolejnymi korekcyjnymi salwami myślał o tym, jak daleko sięgają macki Korporacji. Teraz rzeczywiście nie będzie musiał poddawać się kontroli w porcie.

Korporacja była potężna, Adam był potężny. Czy nie za potężny, jak na prezesa zwykłej agencji badawczej?

— Hej tam, przeznaczenie! Twoja lalka wykonała kolejny ruch.

Gdy tylko trzasnęło za nimi złącze kabiny, odcinając ją od reszty stacji, Etka wyczuł w zamiarach Ananiasha kłamstwo.

Główny nadzorca Sekobby był niesamowicie chudym, wysokim człowiekiem, o zaskakująco małej twarzy i rozpełzłym na niej dziwnym uśmiechu gościnności. Chodził przygięty do ziemi, podobnie jak Norman w chwilach zdenerwowania, ale u niego wyglądało to na stały zwyczaj — jakby nawet ta namiastka ciążenia w Pasie stanowiła dla niego udrękę. Poruszał się tak długimi krokami, że Etka musiał podbiegać, by go dogonić. Zdyszał się, nim dotarli do przejścia z osi (do której na moment przycumowała szalupa, by zaraz odlecieć pusta, jedynie z ładunkiem wybuchowym w tylnej części) do przydzielonej mu kabiny.

Ananiash usiadł w sidłaku wystawiając swe długie, kościste nogi przed siebie i wskazał Normanowi przyścienną pufę. Najwyraźniej wiedział o kolonii zveurxa. Gdy Etka uspokajał oddech, Nadzorca rozsunął drzwiczki i wyjął zeń dwie wąskoszyjne szklanki, rżnięte w zawiłe wzory, oraz butelkę Quinocca. Uniósł pytająco brwi. Etka pokręcił głową. Wyczuwał kłamstwo i coś jeszcze, wolał więc pozostawać na pełnych obrotach.

— Powiedziano mi, że od pana otrzymam odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Ananiash skinął głową.

— Mnie powiedziano, bym tych odpowiedzi udzielił — kłamał. — Proszę więc pytać.

— Przede wszystkim chciałbym usłyszeć wszystko, co pan wie o tych… wypadkach. Poskąpiono mi informacji. A w końcu pan, jako dowódca stacji…

— Nie jestem dowódcą stacji.

— Jak to?

— Pełna nazwa mojego stanowiska brzmi: Główny Nadzorca Personelu Technicznego Stacji Badawczej Sekobba Korporacji Mesjasz. Tylko personelu technicznego. Nad naukowym nie mam żadnej władzy. Nad nimi chyba nikt nie ma władzy. W obrębie swoich specjalności mają przełożonych, ale tak w ogóle… Wolne stado.

— Tak, czy inaczej, jest pan jedynym dowódcą tutaj, skoro oni żadnego nie mają…

— Można i tak. — A więc?

Ananiash westchnął.

— Proszę. Czterdzieści dni temu…

— Czterdzieści?

— Och. Cykl dzienny naszej stacji dostosowany jest do cyklu Zagnova, i różni się nieco od standardowego. Czterdzieści n a s z y c h dni temu, kilka minut po drugiej, nieznormalizowanej, godzinie — szczegóły może pan wyciągnąć z mózgu — znaleziono zwłoki pierwszego ze zmarłych, inżyniera historyka, Stockpoffa. Usy Stockpoffa.

— Kto znalazł?

— Nikt.

Co pan przez to rozumie? Same się znalazły?

— Można to i tak określić.

— A inaczej?

— Widzi pan, my tu prowadzimy różne tajne… hm…

— Mówiono mi o tym. Poprawka poprawki i takie tam.

— No właśnie… Kłamstwo? Niedopowiedzenie?

— I co z tego? — Norman splótł palce w pancerzyk. „Zaślepiony” naparstek powodował uporczywe swędzenie opuszka.

— Pan Adam życzył sobie, by na wszystkich placówkach Korporacji, które zajmują się badaniami pod pieczęcią, zostały zamontowane systemy KOS–a.

Etka zmarszczył brwi.

— Macie tu pełnego KOS–a?

— Pełnego nieeee… Sieć publiczna. Korytarze, sale operatorów, obserwatoria, badaniówki, hale. Prywatne pomieszczenia nie.

— I KOS wykrył to ciało? — Niezupełnie.

— Co to jest, na Chresa, w dwadzieścia pytań mam się bawić?!

Ananiash teatralnie westchnął.

— Sprawa nie jest prosta. Rankiem tamtego dnia ktoś wyczyścił zupełnie KOS–a i nasz mózg został przełączony na jego przegląd i uruchomienie. Dopiero koło drugiej KOS ruszył.

— Co za bajki mi tu pan wstawia?! KOS–a nie da się wyczyścić. Nie da się nawet spróbować.

System zamknięcia dwustronnego.

Ananiash uśmiechnął się przepraszająco.

— Nasz został wyczyszczony.

Etka za pasami czerni zamrugał uderzony obrazem.

— Przepraszam. Proszę mówić dalej.

— Ich KOS naprawdę został złamany!

— Kiedy tylko ruszył, wykrył ciało na trzecim poziomie hali próbników. A właściwie to mózg je wykrył, wówczas leciał jeszcze z KOS–em na próbnej pętli.

— Ktoś miał jeszcze wątpliwości, czy to był wypadek? Złamanie systemu i…

Główny Nadzorca zignorował pytanie.

— Stockpoff miał rozpruty brzuch, od mostka do krocza. Kiedy wyszliśmy zza zakrętu w otwartą śluzę, najpierw zobaczyliśmy jego wnętrzności. Były rozwleczone przez pół poziomu — pokręcił głową. — Widok… niezapomniany.

— Kto konkretnie go tam znalazł? To znaczy, kto pierwszy był na miejscu, jak zaalarmował was KOS?

— Ja i jeszcze dwóch ludzi. Ponieważ mózg był nieczynny i wyłączenie KOS–a to była sensacja dnia, chyba wszyscy byli w głównej operacyjnej — no, prawie wszyscy — i równocześnie zobaczyliśmy go na ekranach. Wtedy wziąłem dwóch ludzi, Kalemata i Żelemskiego i… pognaliśmy tam.

— Jak to w ogóle mogło być sklasyfikowane jako wypadek? Jak można przez przypadek popełnić takie harakiri?

— Co?

— Harakiri. Samobójstwo. A, nieważne.

Etka przyzwyczaił się, iż wiele obiegowych pojęć z Gospodina w świecie bardziej cywilizowanym, bardziej posuniętym w dziele grzebania przeszłości pod rosnącą w postępie geometrycznym masą cudów teraźniejszości — po prostu zginęło. I nawet po tylu latach — łapał się na słownych przebiciach z dzieciństwa.

Ananiash pociągnął Quinocca.

— Widzi pan, hala próbników znajduje się w Kuli, która jest częścią głównej osi. W tej hali prowadzi się remonty, przeglądy i tak dalej; wszystkiego, co wysyłamy na Zagnova. Mnóstwo tam ostrych krawędzi. A w nieważkości… To duże pomieszczenie. Wystarczy nieodpowiednie odbicie. Są zabezpieczenia, ale… mogło się zdarzyć. Nie miał jak wyhamować i nadział się.

— A ci dwaj następni?

— Jedna z nich to kobieta. Skurrude, bez imienia.

— Z Mienioo?

— Otóż to. I heretyczka. Skurrude i tyle — jeszcze jeden łyk Quinocca. — Była religioznawcą trzeciego stopnia. Prowadziła Soudeny. To takie wyspy na Zagnovie. Chodzi mi o…

— Rozumiem. Nadzór terenowy.

— Była kierowniczką działu… Piękna kobieta.

— Do jakiego stopnia była heretyczka?

— Och, to…

— Partnera nie miała? Stałego?

W ogóle. Prawdę mówiąc, nie wiem, czemu ją wygnano z Mienioo. I czemu tutaj ją przydzielono.

— Miał pan przez nią kłopoty?

— Pan jest telepatą i…

— I.

— Mógłbym…
— Póki ludzie mnie szanują, ja szanuję ludzi.
— Pan Adam mógł panu kazać…
— Nie, pan Adam nie kazał mi się włamywać do waszych mózgów. Poza tym wszyscy, jak leci, macie tu blokady. Kosztowne to utajnienie.
— Ale…
— Tak. Pozostaje to „i”.
Nadzorca odstawił szklankę.
— Owszem, miałem przez nią kłopoty. Miałem nawet próbę gwałtu.
— O?
— Udusiła faceta gołymi rękami.
— Mienioo — stwierdził Etka z lekkim uśmiechem.
— W każdym calu.
— No i co się stało z tą waszą żelazną dziewicą? Przepraszam. Lubił ją pan; przynajmniej. Nie, nie włamałem się. Powiedziałem. Proszę się nauczyć panować nad swoją twarzą.
— Nie ma pan zbyt wielu przyjaciół.
— Nie mam żadnego. Słucham, słucham.
—— Stosunek kobiet do mężczyzn na stacji wynosi mniej więcej dwa do trzech, ale ona naprawdę była… Gdyby nie pochodziła z Mienioo, z jej urodą i figurą — a zwłaszcza figurą, mogłaby zostać gwiazdą Solo.
— Gdyby nie pochodziła z Mienioo, nie zadusiłaby tego faceta. Co się z tym potem stało?
— Z czym?
— Nie było sprawy o morderstwo? A tak, tajne badania.
— Właśnie. Zresztą mało kto go żałował. Tego gwałciciela.
— Wróćmy do sprawy.
— No więc… Powiesiła się.
— Co?!
— Tak też na to zareagowałem. Żeby Mienioonka… Ale ona naprawdę się powiesiła. W swojej własnej kabinie. — Ananiash demonstracyjnie podrzucił butelkę. — W takim ciążeniu…
— Oczywiście KOS nie zarejestrował, kto ostatni do niej wchodził?
— Oczywiście. Ktoś z jej zespołu wpadł tam, żeby jej powiedzieć o Stockpoffie i tak ją znaleziono.
— Musiano ją powiesić, zanim jeszcze system się włączył.
— Jasno stawia pan sprawę.
— Sprowadzono mnie tutaj, żebym stwierdził, iż to nie są wypadki i udowodnił to. Do udowadniania ściąga się debili z policji. Jak przypuszczam, trzeci „wypadek” zdarzył się również podczas ślepoty KOS–a. Tak, może pan używać przy mnie słowa „ślepota”.
— Mam nadzieję, że nie będę musiał często przeprowadzać z panem takich rozmów.
— …
— Ma pan rację. Źwuna znaleziono w jednym z próbników. Był mechanikiem, pracował wtedy nad jakimś jego podsystemem.
— Pracował w tej hali próbników, w której wypatroszono Stockpoffa? A właśnie, znaleziono na jakiejś z tych pana ostrych krawędzi ślady jego wypadku?
— Znaleziono.
— Dokładny był ten zabójca. No i co z tym Źwunem? Zawał serca?
Ananiash wydął wargi.
— Udusił się zamknięty w bocznym pojemniku próbnika. Pokrywa musiała się zatrzasnąć.

— Wszystko jest możliwe, wystarczy tylko odpowiednio silnie w to wierzyć.

— Panie Etka, jeśli myśli pan, że ja wierzę w te bzdurne „wypadki”, w takie zbiegi okoliczności…

— To jestem idiotą. Nie. Nie myślę, żeby ktokolwiek na stacji miał co do tego wątpliwości. Nie zatrudniacie tu półgłówków.

Ananiash ponuro przytaknął.

— Dwie próby linczu przez czterdzieści dni. I to przyspiesza. Dla tych na zewnątrz to mogą być wypadki — machnął ręką. — I my tak mówimy. Ale każdy nosi skalpel w kieszeni. Taka jest prawda. I jeżeli pan szybko tej sprawy nie skończy, to atmosfera jeszcze się pogorszy. Już i tak prawie nikt nie pracuje.

— Może o to chodziło.

— Hm…?

Proszę posłuchać mojej teoryjki. Z tego, co pan powiedział, wnoszę, iż Stockpoff i Skurrude byli głównymi naukowcami stacji — sondował Norman. — Jeśli zamiarem mordercy było zatrzymanie badań, to przez ich zabójstwo zyskiwał podwójną korzyść. Nie tylko stwarzał atmosferę zagrożenia i niepewności, która w takich zamkniętych obiektach jest równie trująca jak simitoll, ale jednocześnie wyciął dwa z podstawowych umysłów — badania stają.

— A Źwun…

— Źwun musiał się nawinąć przypadkiem podczas szlachtowania Stockpoffa.

— Widzi pan… Wariant wypadków ma jedną zaletę. Niemałą zaletę.

— Wiem. KOS.

— KOS — potwierdził Ananiash. — Z przypadkową awarią systemu wszyscy są w stanie się pogodzić, ale jeśli działał morderca, to on musiał złamać KOS–a, by móc mordować. Rzecz w tym, że KOS jest nie do złamania — westchnienie.

— Ale sam pan mówił, że ktoś go wyczyścił.

— I również mówiłem, że nikt nie wierzy w wypadki. Ale równocześnie nikt nie wierzy w to, że istnieje sposób złamania zamknięcia dwustronnego. To jest szaleństwo.

Zostało ponad wszelką wątpliwość udowodnione, że złamanie systemów zamknięcia dwustronnego jest niemożliwe. Tego uczono małe dzieci zaraz po $E=mc^2$.

— Mam nadzieję, że będę mógł się swobodnie poruszać po stacji, zadawać pytania…

— Oczywiście.

To było to! Ślad kłamstwa, niedomówienia, zamknięcia.

Gdyby nie te blokady… Etka bynajmniej nie miał takich obiekcji natury moralnej przed podglądaniem cudzych umysłów, jakie zadeklarował.

— Chciałbym także zobaczyć ciała.

— A to po co? Przeprowadziliśmy dokładne badania. Zginęli taką, a nie inną śmiercią. Może mi pan wierzyć.

— Ja panu wierzę. Zapomina pan jednak o tym moim „i”.

Ananiash wstał i wzruszył ramionami.

— Jak pan chce — w drzwiach obrócił się. — Aha. Zapewne zauważył pan, że mamy teraz noc…

— Niech pan się nie obawia. Aż taki gorliwy to ja nie jestem. Zacznę rano.

— No to dobranoc.

— Wzajemnie. A Quinocca może pan zostawić. Łyknę sobie przed snem.

Nadzorca wściekły rzucił mu butelkę i zniknął w korytarzu. Drzwi za nim trzasnęły też jakoś tak gniewnie.

Etka wstawił butelkę z powrotem do schowka i włączył przeziernik. Zawsze najlepiej się

otwierał, kiedy przed okiem, czy oczyma, którymi akurat się posługiwał, migały w szalonym tempie wiadomości z różnych kątów galaktyki, które nikogo tak naprawdę nie obchodziły. W ich powodzi, lawinie nieopanowanej, wychwytywał jakiś szczegół — i na jego podstawie budował obraz.

Przez przestrzeń przeziernika przewalał się prawdziwy obraz Zjednoczonej Floty Izraela znowu przez kogoś atakowanej, po sprzątnięciu jej sprzed nosa kolejnej planety, która już miała być ich. Głos spikera przeszedł w szemranie i zaginął wreszcie, pozostawiając tylko wizję. Norman macał przyszłość.

Miał wrażenie — wrażenie — że zanim się dowie, co tu się stało czterdzieści dni temu, będzie się musiał dowiedzieć tego, czego Ananiash nie powiedział, a co również tu się działo, a nie było bez znaczenia dla tych zabójstw. Znowu mu czegoś nie powiedziano, znowu zmuszano do przegryzania kolejnych warstw pianowych atrap. Następny test?

Pospolite owo wrażenie zniknęło i pojawiło się następne, bardziej ciężkie, odległe i nieludzkie. To będzie trudna noc.

Stacja orbitalna Sekobba składała się z dwóch części. Główną — z konstrukcyjnego punktu widzenia — stanowiła oś, dookoła której biegł Pas — część ważniejsza z punktu widzenia mieszkańców Sekobby; stacja miała standartową budowę, niezbyt odbiegającą od tysięcy innych próżniowych puszek rozsianych po galaktyce. Na „górnym” końcu osi umieszczony był dyskowaty zlepek urządzeń komunikacyjnych, obserwatoriów, a trochę niżej ośmiokąt zaczepny, przy którym aktualnie cumowały dwa stateczki. „Dolny” koniec wybrzuszał się Kulą: gruszkowa tym garażem sond, próbników i wszelakiego ruchomego żelastwa. Pas obiegający oś w dwóch trzecich jej „wysokości” mieścił wszystkie pozostałe pomieszczenia, na najniższych poziomach — mieszkalne.

Sekobba okrążała Zagnova po wysokiej orbicie, która bardzo często zmieniała się i musiała być korygowana — Azelfafage IV była układowym śmietnikiem. Niemal gwiezdną masą (jedna z największych znanych planet) zgarniała wszelkie kosmiczne rupiecie. Ze swymi pięćdziesięcioma sześcioma księżycami o planetarnych masach i niezliczonymi pomniejszymi satelitami była układem w układzie. Stacja okrążała Zagnova, osiemnasty, co do wielkości, księżyc olbrzyma, na którym życie wykrzywiło twarz w krzywym uśmiechu inteligencji.

Zagnov, nazwany tak od marki ulubionych papierosów odkrywcy, miał nieco ponad 10 tys. km średnicy, lecz ze względu na nieprawdopodobne skupienie ciężkich pierwiastków w jądrze posiadał masę przewyższającą wzorcową masę ziemską. Jego atmosfera składała się w przeważającej części z gazów szlachetnych, po czym szedł tlen, azot, chlor i para wodna. Ponad pięć szóstych powierzchni Zagnova zajmowały oceany, niesamowicie wręcz zasolone, na pozostałe zaś 184,5 mln km^2 jedna trzecia przypadała na czapy lodowe. W efekcie tych skrawków stałego lądu, którymi był upstrzony, nie można było nazwać kontynentami: Zagnov był planetą wysp.

Azelfafage IV okrążały swe słońce, gwiazdę o typie widmowym B3, w czasie 458,47 standartdni. Znajdowała się na granicy ekosfery, lecz jako taki gigant — karykatura planety, że prawie gwiazda (choć jej albedo nie przekraczało 80%) nie była zdolna do spłodzenia życia — takiego, które dostrzegłby człowiek — za to jej dzieci, z urodzenia, czy też adoptowane przez pułapkę jej wielkiej masy — na nich życie aż trzęsło się od przełamywania form i praw. Zagnov celował między nimi, jako najbardziej zaawansowany w dziele rozwoju, i to na nim kamieniowate zbarakła przezierały swe żołądkomózgi ku inteligencji. Sekobba przyglądała się temu procesowi z mroków kosmosu już półtora tysiąca standartdni.

W układzie Azelfafage życie rzygnęło również na drugą planetę, i tam znajdowało się ubogie

„centrum” i portówka. Nie było jednak wielu chętnych do osiedlania się tutaj: daleko od szlaków i blisko Obcych.

W trzy godziny po tym, jak przez skomplikowane, delikatne pasma pierścieni giganta strzeliły pierwsze promienie wynurzającego się zza niego słońca i Zagnov zapłonął purpurą, i stacja błysnęła kryształowym blaskiem — nastał dla ludzi „dzień”. Etka dotrzymał słowa: poczekał na sygnał początku podstawowego cyklu, nim rozesłał przez interkodeo wezwania do siebie. Przebywał tu jak najbardziej oficjalnie — z punktu widzenia Korporacji.

— Czym się pan zajmuje?

Odpowiedź.

— Naprawdę?

Odpowiedź (niemrawa).

— To interesujące. A jak… szczegółowe pytanie. Odpowiedź (szczegółów unikająca, a sypiąca danymi, w których pytający powinien się pogubić — pozornie entuzjastyczna).

— Nie sądzi pan… — zapytanie o sprawę, która według Etki tego człowieka powinna najbardziej ukłuć.

Odpowiedź (wściekło–pokorna, przerywana przymilnymi wstawkami w głębi duszy podgrywana przekleństwami).

A Norman wsłuchiwał się w brzmienie każdego słowa; każdy gest, minę, a jeszcze bardziej w to, co niewidoczne, co tylko on mógł spostrzec — poddawał drobiazgowej analizie.

I tak to szło.

Przesłuchawszy pięć osób wiedział już dość, by pozwolić sobie na dokładne wejrzenie w łańcuchy możliwości. Och, to było takie łatwe, tak bardzo mu przypisane — musiało się stać. Szedł krętą ścieżką, lecz w odróżnieniu od wszystkich innych ścieżek, nie wiedział, co znajdzie na jej końcu. Wiedział, gdzie on jest i kiedy do niego dojdzie, i czego doświadczy podczas drogi, ale ostateczna maska tej przepowiedni była przed nim zakryta. I teraz już nie miał pojęcia — czy cieszyć się z tego, jak cieszyłby się jeszcze niedawno z takiej odrobiny wolności, czy też kląć, że akurat w tym momencie, najmniej odpowiednim (dla niego, i nie tylko) przyszłość zamknęła się przed nim.

Drogę jednak znał.

Zablokował drzwi i z przepastnego traka wygrzebał kartę, na której znajdował się między innymi symbol specjalnej ziernikówki Erdana Adama — do użycia tylko w nagłych wypadkach! Wystukał go i zażądał błyskawicznego połączenia. Z takiej zapadłej dziury nawet błyskawiczne nie było błyskawiczne, i prezes Korporacji Mesjasz wykwitł w przezierniku po ponad pół godzinie.

Najwyraźniej został wyrwany ze snu — sam w kokonie przyćmionego blasku ścian spalni. Jak się można było spodziewać, sobowtór nie różnił się od niego nawet kształtem zmarszczek gniewu, które ścinały się na czole Adama w chwilach takich, jak ta.

— Mam nadzieję, panie Etka, że posiada już pan jakieś konkretne wyniki, skoro…

— …ośmielam się budzić wielkiego prezesa? I przerywać mu? O, mam wyniki, mam.

— Więc?

Etka żałował, że przegrodzony od Adama setkami lat świetlnych może polegać jedynie na słuchu i, straszliwie wykrzywionym wzroku. Zlizanie szczątków uczuć prezesa z jego blokady umysłowej wiele by mu dało. Musiał się jednak zadowolić tym, co ma. Przynajmniej miał pewność, że rozmawia z autentycznym prezesem; angażowanie sobowtóra, teraz, kiedy ze strony tak odległego Normana nic nie groziło, mogłoby tylko utrudnić rozmowę.

— Mam wyniki, ale, że się wyrażę tak melodramatycznie, nie takie, jak pan myśli.

— Och.

— Och — przytaknął Etka. — Następny test?
— Nie rozumiem, o czym pan, do cholery, gada!
— Noo, musi mieć pan pewność, zanim odkryje karty. Tak, to byłoby przykre, dać się złapać na tak prosty blef. Niestety, a może na szczęście, bo jak już mówiłem, nie wiem, czy to nie test — to nie jest blef. Ja zacznę mówić, a jak pan stwierdzi, że przekroczyłem granicę przypadku, może mi pan przerwać i zaprezentować swoją wersję.
— Co za mowa.
— I dalszy ciąg. Była sobie Korporacja. Korporacja naukowa, której placówki rozrzucone były po połowie galaktyki, Korporacja z odpowiednimi pozwoleniami i wspaniałymi, legalnymi podkładami. I był sobie prezes tej Korporacji. Prezes miał pomysły. A jeden największy, jego wspaniały Pomysł. Umiał też liczyć. I pomyślał sobie: co mi szkodzi? Pomysł dobry, jak każdy inny, a nawet lepszy, a sumka też większa od każdej innej, jaką mógłbym w ten sposób wyciągnąć, wyciągnijmy więc w inny. Ponieważ może mieć pan kłopoty ze zrozumieniem tego Pomysłu, wyłuszczę go dokładnie. Są planety bogate i planety biedne — swymi zasobami, rzecz jasna. Tymi drugimi nikt się nie interesuje, za to te pierwsze… Te pierwsze chętnie widziałyby pod swoją kuratelą wszystkie rządy. Istnieje jednak pewna przeszkoda. Planet bogatych jest mało, a na dodatek żyją na nich jakieś pokurcze, które z mocy idiotycznego prawa są posiadaczami tych bogactw, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy, a nawet gdyby zrozumiały, na czym siedzą, to i tak nie miałyby co z tym zrobić. Toż to marnotrawstwo! Kongres był innego zdania i rządy musiały obejść się smakiem. Istnieje jednak i pewien haczyk, zawsze istnieje jakiś haczyk. Mianowicie: zwierzęta nie mogą posiadać niczego. A granica między istotą inteligentną, stojącą na bardzo niskim poziomie rozwoju i do tego obcą nie do pojęcia, a zwierzęciem, jest prawie niedostrzegalna. Kongres jednak ją dostrzegł i podzielił planety: na niczyje i nietykalne. Ale zawsze może się okazać, że był w błędzie, prawda? Że jakaś „cywilizacja” to pomyłka i w rzeczywistości pospolite bydło. Przylatuje druga komisja i ze zdumieniem kręci głowami. Patrzcie państwo, jak to się wszystko zmieniło! Rzeczywiście, przecież to tylko zwierzęta. Całkiem przypadkiem na orbicie tej niczyjej nagle planety znajduje się stacja Korporacji naszego pomysłowego prezesa. Wyjaśnienie…
— Daruje sobie pan dalszy ciąg tych idiotyzmów? — przerwał mu Adam.
— Jeśli idiotyzmów, to nie.
— Świetnie. Jak pan chce — to był test, a pan go zdał. Norman odprężył się.
— Przypuszczam, że teraz zaprezentuje mi pan swoją wersję…
— Gdyby pan nie wiedział: wszystkie kanały moich stacji są kodowane systemem dwustronnie zamkniętym, jeśli to jeszcze cokolwiek znaczy. Dlatego zaprezentuję panu moją prawdziwą wersję. A także dlatego, że gdybym zechciał…
— Tak?
— Pana nie ma, panie Etka. Wiem. Zginąłem w tej szalupie. Skąd…? Ach, no tak, jasnowidz.
— Jasnowidz.
— Tak. Ma pan rację. Oficjalnie już pan nie istnieje.
— A nieoficjalnie?
— A nieoficjalnie może pan przestać istnieć w każdej chwili. Znajduje się pan na jednej z placówek Korporacji i ja tam jestem prawem, a to znaczy, że prawa nie ma. Czy pan mnie zrozumiał?
— Jak najbardziej. Szantaż w szantażu.
— Otóż to. Ja wiem, pan jest telepatą, jasnowidzem, duchownikiem i czymś tam jeszcze… Ale właśnie dlatego, że jest pan tym, kim jest…
— Bracia Materii…

— Między innymi. Pan po prostu nie ma innego wyjścia, jak skończyć dla mnie tę robotę. A ten test, jak go pan nazywa, był mimowolny. I tak miałem panu powiedzieć prawdę.

— Pana pracownicy jej nie mówili.

— Nie mogli. Jeszcze nie zezwoliłem.

— Po co ta cała maskarada?

— Słucham?

— Maskarada. Gra. Udawanie.

— To bardzo proste. Pan nie mógł się dowiedzieć prawdy, póki nie był pod całkowitą kontrolą. Na Sekobbie jest pan pod nią.

— A teraz otworzy pan przede mną wrota tajemnicy. — Pan mi nie wierzy.

— Wręcz przeciwnie. Ta bajęda to była dekoracja, musiałem coś takiego stworzyć, bo miałem za mało danych, a wiedziałem, że powie mi pan prawdę, dopiero gdy tak postawię sprawę. Nie uwierzy pan, od jakich głupot zależą czasami największe decyzje. Rząd może podać się do dymisji tylko dlatego, że jakiś żebrak miał katar. Nie żartuję. Wszystko zależy od długości łańcucha. No tak… Proszę mówić.

— Ile jeszcze pan wie?

— Tłumaczyłem to temu wszczepniakowi. Nie wiem wszystkiego. Nie mogę wiedzieć. Prowadzę ciągłą grę, i jej kolejne fragmenty pojawiają się dopiero, gdy ułożę poprzednie, i wtedy tamte giną w teraźniejszości. To jak schody w ciemności. Idzie pan po nich z nadzieją, że następny stopień nie jest spróchniały. Ja wiem, który jest spróchniały, a który nie, ale to nie uwalnia mnie od konieczności wspinania się. Zresztą, wiedza o tych stopniach — zdarzeniach — i tak zwykle objawia się „za późno”. Po prostu, jak to pan stwierdził, nie mam wyboru. Dookoła mojej przyszłości widzę wiele rzeczy, lecz droga moja pozostaje w ciemności, dopóki nie przetnie się z czymś, co świeci własnym światłem, co przychodzi spoza niej. Wtedy mogę przewidzieć własną przyszłość, mogę…

— Powiedział pan, że zna datę swej śmierci.

— Tak. Koniec jest oświetlony. — „Dlaczego?”

— Tyle pan wie, a jednak nie może mi pan powiedzieć, kto…

— Ja i przeznaczenie jesteśmy wrogami. W takim sensie, w jakim pana wrogiem jest robak, któremu stawia pan na drodze kamyki, źdźbła trawy, ziarna piasku. Wszyscy jesteśmy takimi robakami, lecz nie zdając sobie sprawy z własnego położenia, możemy być szczęśliwi pozorami władzy nad sobą. Ja widzę więcej, i to jest moje przekleństwo. Jakie to tragiczne, prawda? Cóż za gadka…

— Pan musi być nieszczęśliwy.

— O wiele łatwiej jest powiedzieć: szalony. Zresztą — cóż to jest szczęście?

— Szczęście, panie Etka, to nieświadomość nieszczęścia. Może mi pan wierzyć; w tym to ja jestem specjalistą.

— Dlaczego ci, którzy powinni być szczęśliwi, właśnie nie są?

— Lepiej już zejdźmy z tego. — Adam ułożył się wygodniej. — Wciąż nie mogę zrozumieć, jak to jest, że jasnowidz nie zna przyszłości.

— Bardzo prosto. To jak ze zgubionymi rzeczami. Znajdują się wtedy, gdy są niepotrzebne. Kiedy chcę znaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu, to właśnie ten łańcuch gdzieś ginie. A te zbędne walą we mnie obrazami, że muszę zamykać umysł. Poza tym rozwiązania tej zagadki należy szukać w przeszłości, a nie przyszłości. Będę musiał znaleźć, a po części stworzyć, łańcuch jej rozwiązania, żeby z niego je odczytać, i stworzyć ten łańcuch, i tak dalej. Potrzebny mi jest jednak jakiś zapalnik, iskra. Cokolwiek — szczegół: przedmiot, słowo, gest, sytuacja. Właśnie dlatego nie jestem w stanie zbudować żadnej konstrukcji, dopóki moja rzeczywistość

tego łańcucha będzie nieprzystająca. Wiem, że wyrażam się mętnie, kiedy byłem mały, też próbowano opisać mi kolory…

Pan nie od początku był telepatą?

— Ale od początku ślepym. Z tego też proponuję zejść. Miał mi pan opowiedzieć prawdziwą wersję.

— Nie tak to sobie planowałem. Cóż… — Erdan Adam potarł czoło — Korporacja Mesjasz jest agendą Kongresu. Dosłownie. Te zlecenia rządów różnych układów, badania, poprawki do poprawek — to wszystko fikcja, przykrywka. W rzeczywistości jesteśmy ręką Kongresu, a ja też nie jestem prawdziwym prezesem, tylko z nadania. Miałem być wyższym komisarzem, ale to jest nawet więcej niż komisarstwo. Chcę, żeby pan zrozumiał, jak wielką wagę Kongres przywiązuje do tej sprawy. Pamięta pan katastrofę „Stufona"?

— Krążownik MosMozu zestrzelił przez pomyłkę pasażerski liniowiec.

— To nie była pomyłka. Na pokładzie tego liniowca znajdował się człowiek, który mógł zagrozić Korporacji, jej istnieniu i celom. Więc Kongres wydał rozkaz, a MosMoz go wykonał.

— Tego nie wiedziałem. Ciekawe, cóż takiego robi ta pana, no, Kongresu, Korporacja, że piętnaście tysięcy ludzi przy tym to nic.

— Cierpliwości. Jeszcze jedna sprawa. Czy wie pan, że Obcy wypowiedzieli nam wojnę?

— Co?!

— Wypowiedzieli nam wojnę, a my ją przyjęliśmy, rozumie pan, przyjęliśmy wojnę, i tylko dlatego jeszcze żyjemy.

— To jakaś parodia…

— Teraz mogę…

— Chwileczkę!

— A co? Kłamię?

W głowie Etki splątało się kilka przyszłości.

— Nie. Przepraszam.

— Głównym i nadrzędnym celem Korporacji — podjął Erdan — jest ochrona interesów ludzkości. To znaczy niedopuszczenie, by powtórzyła się sytuacja z Obcymi, dla których pokój oznacza wojnę, z którymi nie można się porozumieć, bo żądają śmierci negocjatorów w dowód przyjaźni, która zresztą chyba u nich nie istnieje. Obcy fizycznie stosunkowo mało się od nas różnią, w każdym razie w skali galaktycznej są niemal braćmi, lecz psychicznie… — dmuchnął, odpędzając jakieś wspomnienie. — Dlatego podjęto decyzję o stworzeniu agencji, która pod przykrywką badawczej korporacji kontrolowałaby i wpływała na rozwój innych ras. Ras, z którymi prędzej czy później — bo nie jest powiedziane, że wszystkie cywilizacje muszą się rozwijać w tym samym tempie — będziemy się musieli spotkać jak z równymi i wówczas… Nie chcemy mieć więcej takich Obcych.

— Utaczacie więc tych pierwotniaków na nasz obraz i podobieństwo.

— Nie fizycznie. Ograniczamy się do psychiki. Staramy się już teraz jak najbardziej ją skręcić w naszym kierunku, wciągnąć na nasz tor. Jako optymalny środek, jak już się pan zapewne domyślił, stosujemy religię. Każda, którąkolwiek z ras by pan nie wskazał, każda ma jakieś tam wierzenia, i my wchodzimy w nie, sterujemy nimi; one są rylcem, którym kształtujemy drogę rozwoju myślowego, tor osobowości, charakter przyszłych cywilizacji.

— Jak…?

— Och, sprawy techniczne, to akurat najmniejszy problem. Naprawdę myśli pan, że tak trudno odgrywać bogów przed jaskiniowcami, chociażby — prezes krzywo się uśmiechnął — byli to jaskiniowcy z trzema nogami, czy mózgami?

— Ale…

— Oczywiście, nie możemy wyjść poza ograniczenia fizyczne; stopniujemy wzorce i kierując, i zmieniając ich religie, czynimy ich bardziej „człowieczymi”. No, proszę pomyśleć, czym byłaby teraz ludzkość, gdyby tysiące lat temu te wszystkie religie, wierzenia… Gdyby Jezus miał pięć żon, gdyby Budda był kobietą, gdyby dobrem było zło, czy jak byśmy to nie nazywali; odwrócenie pojęć… Bylibyśmy zupełnie inną cywilizacją, „ludźmi” według zupełnie innego wzorca, a pan, ja, tacy jak teraz — obcy. Obcy. Rozumie pan? Może pan sobie wyobrazić lepsze narzędzie, niż wiara? Nie mówię już: religia; wiara. — Adam Pytająco rozłożył ręce i na moment zastygł w tej pozie, jakby wyczekując od jasnowidza odpowiedzi — jesteśmy Intergalaktycznym Mesjaszem. Tak, jesteśmy brutalni, bezwzględni, ale wchodzimy w ich umysły nie dla zysku, jak to pan przedstawił, ale po to, by ochronić te przyszłe biliony rozsiane po galaktyce; żeby nie musiały stanąć pewnego dnia naprzeciw takich wyrafinowanych technicznie istot, dla których zabójstwo jest pocałunkiem miłości, że się posłużę najbliższym przykładem; stanąć i co zrobić? — walczyć, nie walczyć, tak jak z Obcymi wojować „pokojem”? Tak to wygląda. Zdaję sobie sprawę, że niezbyt pięknie, ale nie ma innego wyjścia. Coś takiego jak sumienie nie wchodzi tu w grę. Sumienie pojedynczych ludzi nie może decydować o losach ludzkości.

— Wie pan, kto podobnie myślał?

— Moim zadaniem nie jest przekonanie pana do celów Korporacji! Mam umożliwić rozwiązanie sprawy tych zabójstw — powiedział: „zabójstw” — i czynię to. Poinformuję Ananiasha, by ogłosił zdjęcie… cenzury. Szczegółów technicznych dowie się pan od niego.

— Wchodzicie z butami w największe świętości tych…

— To nie pański interes, w co wchodzimy. Chce się pan im nająć za adwokata?

— Panie Adam, jestem zbyt wielkim egoistą, żeby przejmować się uczuciami mówiących kamieni z jakiegoś pod—planetarnego bagna. Ja po prostu usiłuję zrozumieć… Muszę zrozumieć. Zwykły człowiek lepiej zniósłby taką rewelację. Dotychczas to ja byłem najlepiej poinformowany. Chcę tylko zrozumieć — powtórzył Etka.

— No? — warknął zniecierpliwiony Erdan. — Czego pan nie rozumie?

— To dziwne, że nie macie problemu ze sterowaniem rozwojem tylu różnych ras, a z jednymi Obcymi nie możecie dać sobie rady.

— Proszę pana, żeby porozumieć się z Obcymi, trzeba ich pojąć. Tego nie dokona żaden człowiek…

W głowie Normana coś zadrgało. „Czyżby?”

— …natomiast żeby uczłowieczać takie prawie zwierzęta, wystarczy fachowość i technika. Wcale nie zależy nam na zrozumieniu ich. To właśnie dlatego to robimy: żebyśmy nie musieli się wczuwać w jakieś pokraczne filozofie. Nie możemy natomiast pokierować Obcymi. Coś jeszcze?

— Tak. Religia. Dlaczego ona?

— Proszę mi powiedzieć, co robili starożytni ziemscy odkrywcy, chcąc nawiązać handel z dzikusami z dziczy? Przywozili misjonarzy. Prymitywne to było i szło na żywioł, misjonarze leźli w tę dzicz w charakterze mięsa armatniego, ale skutkowało. Myśli pan, że gdyby ludożercy nie zaczęli wierzyć w zbawienie duszy, to tak łatwo poszedłby naszym przodkom ich podbój? Nie mówię, że by się im nie udało, ale czy tak łatwo? Walka psychologiczna jest znacznie bardziej skuteczna od krwawych jatek i mniej bolesna, choć akurat z tym możnaby się spierać.

„To niebezpieczna gra. Bogowie tak łatwo nie poddadzą się”.

— Ale żeby tak uogólniać… To jest niemożliwe, żeby każda rasa wierzyła w duchy, czy inne takie. Przecież…

— Te dane są zatajane i fałszowane, ale właśnie tak jest. Każda z poznanych ras posiada religie. Nikt nie jest wyjątkiem. Każdy w coś wierzy. Pan na przykład wierzy w to swoje przeznaczenie. Jest pana Szatanem, wrogiem, ale wierzy pan w nie. Wiara jest naturalnym

dopełnieniem wiedzy. W takiej czy innej postaci znajdzie ją pan u każdego, nawet u tych, którzy wierzą w to, że nie wierzą. I w tym tkwi siła Korporacji. — Erdan znowu potarł czoło. — Nie wiem, jak tam, ale u mnie zaczyna świtać. Prezes tak potężnej i bogatej korporacji musi dobrze wyglądać. Żegnam. W razie czego — do Ananiasha.

— Jeszcze jedno! Dlaczego ja? Przecież Kongres…

— Na to pytanie zna pan odpowiedź. Nie będę mówił, że jest pan najlepszy, bo nie istnieją uniwersalne kryteria oceny, ale niewątpliwie drugiego takiego w galaktyce nie ma.

Adam zniknął.

Etka natomiast za dużo już wiedział, by nawet próbować sprzeciwiać się przeznaczeniu. Z tępym uporem przystąpił do poszukiwania tej swojej iskry, czegokolwiek. Tak musiało być.

Blask Reflektora parzył jego wolę.

Obejrzał te trzy ciała ścięte w przechowywaczu w skale. Były ułożone w kolejności znalezienia, a ponieważ Adam zakazał, nie zcofano ich, i leżeli mesjaszowcy jak zginęli; z ciężkimi stygmatami śmierci utrwaleni. Stockpoff rozcięty prawie na pół, z przykrywającymi go — jak Chrystusa nienaturalna szata biodrowa — szarokrwistymi wnętrznościami. Skurrude z wytrzeszczem oczu, których nikt nie zamknął, uszanowano bowiem jej pochodzenie; i straszliwą pręgą popękanej skóry na szyi, co była niegdyś bosko gładka. Źwun, który po śmierci, zauważalnej tylko przez straszliwy bezruch, wyglądał jak za życia — nijako. Nikt nie przeszkadzał Normanowi, gdy tak szukał pomocy — przeszłości — w trupiarni.

Ananiash poinformował załogę, iż nie obowiązuje już ich milczenie w tajnych sprawach Korporacji, co przyjęli z ulgą, lecz bynajmniej nie stali się przez to bardziej rozmowni. Etka nadal musiał z nich wszystko niemal wyciągać. Blokady, w które Korporacja zaopatruje każdego pracownika, teraz stały się przeszkodą: gdyby nie one, po prostu wejrzałby po kolei do umysłów — i znalazł mordercę. A tak czuł się jak psychiatra, któremu zakazano rozmowy z pacjentem. Nie był detektywem — wewnętrzna policja Korporacji, w której pracowali na pewno specjaliści najwyższej klasy, niczego nie wykryła — jego „praca” polegała nie na mozolnym gromadzeniu i analizowaniu danych. Od niego oczekiwano nagłego i ostatecznego przebłysku intuicji, jasnowidztwa, wrażenia — a to nie nadchodziło. Z upływem czasu Ananiash coraz krzywiej na niego patrzył, a i załoga nie darzyła go sympatią; w każdej chwili mógł wskazać na jednego z nich jako na mordercę. Lecz Norman już dawno uniezależnił się od uczuć. Po prostu ewoluował.

— Skoro nic nie możesz znaleźć — mówił Nadzorca — to przekaż taką wiadomość. Nic nie znalazłeś.

— Chyba nie zależy ci na tym, żeby tak to wszystko zostało?

— Oczywiście, że nie. Możesz być pewien, że po twoim odlocie tak to nie zostanie.

Norman wzruszał ramionami. Ananiash już się poddał; on nie mógł. Przeznaczenie. (Człowiek został obdarzony rozumem i wolną wolą; jaki byłby teraz, gdyby nie wierzył w to złudzenie?)

Zwiedził całą stację, a nie była ona mała — z tymi wszystkimi korytarzami, magazynami, laboratoriami, Kulą, gdzie skonali Stockpoff i Źwun, i salami operacyjnymi, skąd kierowano mechanicznymi duchami, stalowokrzemowymi aniołami i holograficznymi bogami; skąd zsyłano na brudnego Zagnova przekleństwa, błogosławieństwa, objawienia; gdzie naprawdę mieściło się elektroniczne niebo i zawarte w niezniszczalnych, kryształowych pamięciach piekło. Żaden szczegół nie zapalił w Etce ognia, od którego mogłaby się zająć przyszłość. Gdyby nie to, iż wiedział, że tak być musi, zapewne porwałby się na jakieś szaleństwo. Atmosfera naprawdę była trująca.

Rozmawiał z informatykami, którym z chwilą złamania KOS–a zawalił się świat. Ta ich część, która nie była ogarnięta fatalizmem, przekonywała go o przypadkowości tych trzech śmierci, lecz słuchał tego z niesmakiem. Ich argumenty były jękami rozpaczy skazywanych na

śmierć.
Gdy nadeszła ta chwila, w której miało mu się objawić rozwiązanie, a znał ją od początku, czuł tylko zmęczenie i niechęć — już do wszystkiego; niesmakiem napawał go świat.
Siedział w rogu mesy i przyglądał się rozmawiającym niemrawo technikom.
Zaraz — zaraz — zaraz — już!
Przez te wszystkie dni wykonywał posłusznie czynności podsuwane mu przez przeznaczenie, by łańcuch mógł się dopełnić chwilą wglądu w pączkujący ciąg jego wiedzy o zabójcy. Jeden łańcuch skończył się, drugi zaczął.
Norman poderwał się jak szalony i rzucił w kierunku czterech ponurych techników. Przez moment przyglądali mu się ze zdumieniem, potem jeden z nich, wysoki brodacz o ciemnych oczach, wstał i pognał nie oglądając się w boczny korytarz. Etka, smutny jeszcze jednym zwycięstwem przeznaczenia, sunął za nim.
W tak małym ciążeniu biegli bardziej odepchnięciami od ścian, niż właściwymi krokami. Technik kluczył, mając nadzieję, iż jako lepiej znający stację zgubi Etkę, lecz Norman na długo wcześniej, niż on o tym pomyślał, wiedział, gdzie skręci — i mogliby tak gonić przez Sekobbę do zmęczenia jednego z nich, gdyby brodacz nie wpadł na wychodzącą z magazynu parę. Rzuciło ich w przeciwne strony i technik w panice pociągnął się w bok, żeby nie wlecieć na pędzącego za nim Etkę. Miał pecha — to był ślepy zaułek. Norman natychmiast wyhamował, zawrócił i stanął w przejściu.
Długie polowanie zbiegami łańcuchów możliwości dobiegło końca.
Technik dyszał ciężko, jakby przygnieciony czolnym spojrzeniem jasnowidza. Był dokładnym, doskonałym mordercą, lecz nie mógł uciec przed przyszłością. Nie popełnił błędu: błąd tkwił w założeniu — tak musiało się stać. Etka, Po raz kolejny w swym przeklętym życiu, został świadomym sługą losu (w odróżnieniu od wszystkich innych — nieświadomych), jego pięścią, wykonawcą. Podobnie brodacz — sam był częścią wszechogarniającej teraźniejszości.
Norman wolno podszedł do niego.
— Teraz…
Morderca szybkim jak myśl ruchem sięgnął do kieszeni po nornóż, włączył go i rzucił. Etka w tak ciasnym zaułku nie miał jak się uchylić. Rozprężył się więc i zduchowił swe ciało, a nornóż przeszedł przez nie, podobnie jak pociski najemników, nie czyniąc szkody. Z sykiem zagłębił się w wykładzinę przeciwległej ściany. Technik wytrzeszczył oczy.
Norman wziął głęboki oddech i uderzył w blokadę mordercy; aż stracił na moment kontakt z kolonią komórek ocznych i oślepł. Brodacz jęknął.
Nie można złamać blokady, lecz można ją „ścisnąć”, wydusić myśli; te myśli, których strzępki dotąd — właśnie mimo blokad — zlizywał Etka z umysłów rozmówców, rozpoznając kłamstwo i prawdę, strach i niedopowiedzenie. Niebezpieczny jest to sposób — zarówno dla przesłuchującego, jak i dla przesłuchiwanego; torturom równoważny. Na pewno nie niezauważalny.
Technik cierpiał straszliwe męki, gnieciony obcą wolą. Wił się i szlochał. Norman nie potrafił się dobrać do jego świadomości, ale był w stanie zmusić go do odpowiadania na pytania, i do mówienia prawdy. Z blokadą — to było nieprawdopodobne osiągnięcie.
— Dlaczego ich zabiłeś?
— Oooo… musiałem…
— Dlaczego?
— Ka–zali mi!
— Kto?
— Hhh…

— Kto?!
— Oni!
— Kto? Kto ci kazał ich zabić?
— Nie mogę… nie mogę!
— Jak złamałeś KOS–a?
— To oni… powiedzieli mi… kazali…
— Kto?
— Nie mogę… ja nie mogę! Hhh…
— Mów! .
Morderca rzucał się jak przypiekany.
— Mów! Kto?
— Oni…
Technik się powtarzał; Norman tracił siły. Zabójca, jak na razie, nie powiedział mu niczego. Jakby miał wszczepkę.
— A dlaczego? Co takiego zrobili, że musieli zginąć?
— Tak, musieli zginąć…
— Ale dlaczego?
— Bo… — brodacz wyprężył się, jakby wąż ukąsił go w plecy.
I eksplodował.
Krew, kawałki ciała, kości — poleciały we wszystkie strony. W zupełnej ciszy, jeśli nie liczyć cichego plaśnięcia rozrywanego ciała i chlupotu tryskającej posoki.
Etkę ten wybuch rzucił o ścianę. Cały w czerwieni i szczątkach mordercy, stał oniemiały i wsłuchiwał się uchem woli w czyjąś potężną obecność, co cofała się teraz po wykonaniu zadania — i złamaniu przyszłości.
Para naukowców, których morderca odrzucił w zderzeniu, wróciła teraz i gapiła się na korytarz i zaułek, jak wyjęte z horroru.
— Co tu się…?
Etka ocknął się z transu, w którym przyszłość defilowała mu szalonymi wizjami.
— Nie żyje — powiedział wciąż oszołomiony, i ruszył równym krokiem szubienicznika do swojej kabiny, by zawiadomić Adama, o czym nie będzie mógł go zawiadomić. I tak dowie się z zapisu KOS–a. A to, czego się nie dowie…

Zdawało się, że dzień nie minął od ich poprzedniego spotkania w tym parku. To samo niebo, ta sama dzika roślinność. Lecz tym razem Etka pozostał przy zveurxie, uznając źrenicznika za niewygodnego, bo nie dość, że posiada wolę, to jeszcze się samodzielnie porusza i trzeba nim kierować — za dużo by skupiał uwagi. Norman chciał być wolny, jak tylko pozwalało mu na to jego przekleństwo.
Szedł tą samą szarą alejką; nie było na niej zasadzki. Tym razem zwrócony na niego Reflektor wszechświata znalazł swe odbicie w teraźniejszości — Etka był najważniejszy, a przynajmniej tak sądzili ci, którzy decydowali (czy wydawało się im, że decydują) o ważności ludzi. Norman, rzecz jasna, wiedział, że jego cena dla tych ludzi jest złudna, wiedział już wszystko — tak blisko światła końca nic nie mogło się ukryć — lecz nie robiło mu to różnicy. Nic już nie robiło mu różnicy. Tak, był szalony. Musiał być.
Ten sektor parku został zamknięty dla spacerowiczów pod pretekstem śledztwa w sprawie tych czterech niedawnych morderstw, i objęty Kontrolą Całkowitą — takie wpływy miała Korporacja, to znaczy Konkres. Etka postawił sprawę jasno: nie może być mowy o sobowtórach, ani innych takich. Prezes musi przybyć osobiście. Prezes przybył osobiście i dlatego

przeprowadzono taką mobilizację — przez Kontrolę Całkowitą nic się nie przebije; kula, promień, głos, myśl — nic. Teraz cały sektor był pusty i tylko oni dwaj w tym sektorze, znowuż jak przed pojedynkiem: on i Erdan Adam.

Autentyczny prezes czekał na niego w tym samym miejscu, co jego sobowtór czternaście standartdni temu.

Gdy Norman podszedł do ławki, Erdan poderwał się i zrobił krok w tył.

— Nie zbliżaj się — ostrzegł. — Kontrola jest obsadzona moimi ludźmi. Kichnij na mnie, źle pomyśl — i zasypiasz.

— A zabić się mnie nie odważycie.

— Oczywiście. A diabli wiedzą, co ci strzeli do łba. Jesteś szalony, nie pamiętasz? — na odległość byłeś „panem”, teraz tylko „tym szaleńcem”. Ponieważ „ci szaleńcy” z bliska są czymś więcej, niż oryginalnymi potworkami. Mogą cię dotknąć.

Norman skinął głową i dziwnie ciężko usiadł na ławce. Prezes stał dwa metry od niego. Etka zdawał się go nie zauważać. Wystawił twarz do pseudosłońca i z lekkim uśmiechem trwał tak, jakby zamierzał się opalić w jego promieniach.

— Podoba mi się ten park — mruknął.

— I dlatego mnie tu ściągnąłeś? Nie mogłeś mi powiedzieć ze stacji? W co ty grasz? A może myślisz, że jak już wykonasz zadanie, to każę się ciebie pozbyć — a na stacji wygodniej? Etka! A może honorarium…

— Nie. Mnie się po prostu podoba ten park. Naprawdę.

— No? Świetnie, podoba ci się. I co dalej? Mów, do cholery!

— Czym się tak denerwujesz? — głos Normana był niesamowicie spokojny.

— Czym się denerwuję? Czym się denerwuję? Ludzie mi giną…

— Znowu?

— Tak, znowu! W innej stacji, czterech głównych naukowców zarżniętych jak świnie, nie ma mowy o wypadkach, po prostu zarżnięci, śledztwo niczego nie może wykazać, stoją w miejscu. A ten się bawi w wielkiego człowieka! Powiesz wreszcie, kto za tym stoi? No?

— Nie denerwuj się, powiem ci, chociaż nie, właściwie nie powiem…

— Etka, ty sukinsynu…

— Piękny park.

Erdan zagryzł wargi.

— Dokąd to będziesz ciągnął?

Norman odwrócił twarz od słońca.

— Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jaki teraz jesteś…

— No? Śmieszny?

— A–tam. Słuchaj. Ten technik z Sekobby i wszyscy następni mordercy, którzy ni z tego, ni z owego będą się pojawiać, działają na zlecenie, a raczej z przymusu, z woli kogoś, komu zależy na tym, żeby Mesjasz zaprzestał swej roboty.

— Co za odkrycie.

— Nie przerywaj mi. Muszę cię tak podprowadzać, nie mogę wszystkiego powiedzieć naraz, potem zrozumiesz dlaczego. W gruncie rzeczy to takie proste, że aż dziw, że jeszcze nikt na to nie wpadł. Ja ci tego nie powiem, to znaczy nie tak, jak myślisz, powiem, ale… To, co potem pomyślisz, co będzie tak oczywiste — to nieprawda. Słyszysz? Zapamiętaj to. To, co się wyda idealnym rozwiązaniem, nie jest nim. — Reflektor zaczął zbaczać.

— A co nim jest?

— Tego nie mogę ci powiedzieć. Ale słuchaj dalej. Niech to się już skończy. No, komu może zależeć na tym, żeby przyszłe cywilizacje nie były podobne do ludzkości? Towarzystwu Ochrony

Uciśnionych Ras? Niewątpliwie. Ale Towarzystwo nie złamie KOS–a, a temu mordercy powiedziano, jak to zrobić, jak zrobić to, co niemożliwe. Kto? No?

— Gdybym wiedział…

KOS został napisany przez ludzi, stworzony w oparciu o ludzką wiedzę i ludzki sposób myślenia. Nie podchodź, odsuń się. Dla kogoś, kto nie jest ograniczony takim schematem…

I eksplodował.

Ludzie z Kontroli zaszemrali w uchu Erdana. Bardzo przepraszamy, ale… nie wiemy, co… jak to się stało… kto to..

Adam, uczerwieniony jak kilka dni temu Norman, zamarł w pół ruchu. Jego oczy patrzyły na nieziemską roślinność oblepioną szczątkami jasnowidza, co znał datę swej śmierci, na alejkę, ławkę, pnączaki upstrzone ciepłymi kawałkami ciała — ale umysł oddzielnie biegł swoimi ścieżkami. **Zatrzymaj się!**

Spacerująca na wzgórzu sąsiedniego sektora manlarka ujrzawszy eksplozję Normana, zdarła z siebie ubranie i zaczęła w natchnieniu kaleczyć się długimi paznokciami, albowiem cierpienie potrzebne jej było do życia jak narkotyk. Wyła przy tym ze szczęścia i nieszczęścia, bo wniebowzięta była w tym bólu, i upodlona w radości, ale Erdan otoczony Całkowitą Kontrolą, która okazała się nie być taką całkowitą, nie słyszał wycia, tylko obraz do niego docierał — i to wystarczyło. **Stop!**

„To, co się wyda idealnym rozwiązaniem, nie jest nim". Czy jego przeznaczeniem było powiedzieć to?

Stał tak, czerwony od ofiarnej krwi gwałconej po raz kolejny przyszłości, i starał się nie myśleć.

Gdzieś coś — ktoś — czekało, obserwując; gotowe w każdej chwili do ingerencji. Zgodnie z wzorcem.

Nie myśleć. Tylko nie myś…

kwiecień (wrzesień) 1991

Jacek Dukaj

Urodził się w 1974 roku, mieszka w Tarnowie. Mając piętnaście lat wysłał na konkurs „Fantastyki" opowiadanie „Złota Galera", które wprawiło w zdumienie i wzbudziło zawiść kilku moich znajomych, a stało się tak bynajmniej nie z powodu młodego wieku autora (nie widzę tu nic szokującego, to, że nastolatkowie potrafią, pokazał przed laty choćby Marek Pąkciński), lecz dojrzałości i tzw. sprawności warsztatowej w debiutanckim przecież opowiadaniu. Wkrótce mogliśmy się zapoznać z innymi tekstami Dukają — „Śmierć Matadora" („Nowa Fantastyka", 1/91) i „Opętani" („Fenix", 1/91) — które pokazały, że nie mamy do czynienia z autorem jednego tekstu.

Wydawnictwo REPORTER zapowiada autorski zbiór opowiadań Dukaja, on sam zaś pracuje w tej chwili nad dużą powieścią.

O „Spotkaniu na końcu drogi”

Od czasów biblijnych, z ich niewątpliwą prostotą stosunków społecznych, kontakty człowieka z Bogiem mocno się skomplikowały. Patriarchowie obcowali z Nim niemal na równej stopie, ale już Mojżesz widywał Boga jedynie pod rozmaitymi maskującymi postaciami, i choć był Jego poufałym, to swobodnego przystępu doń nie miał.

Potem łączność stała się jeszcze trudniejsza — potrzebni byli do tego wieszczowie i prorocy nawiedzani przez sny i wieloznaczne objawienia, aż w końcu Pan na dobre skrył się w niebiosach.

Jezus, co prawda, przestawał za pan brat i wodził się z ludzką hałastrą po Palestynie, ale od momentu jego ukrzyżowania, do kontaktów Boga z niebezpiecznym dlań człowiekiem stało się według wielu konieczne zbudowanie urządzenia komunikacyjnego, zwanego Kościołem. Jak każdy urząd, podzielił się on na departamenty, wydziały, biura i komórki — mechanizm ten funkcjonuje wyłącznie dla siebie samego, czerpiąc jednakowoż soki z komunikantów z jednej strony, oraz wydając zaświadczenia, zezwolenia, zakazy i nakazy, wpływając na losy jednostek i całego świata z drugiej.

Co zatem mieliby sobie do powiedzenia Bóg i szef tego urzędu — papież, gdyby przy końcu świata stanęli oko w oko, na Ziemi jeszcze bardziej pustej, niż w zaraniu historii?

Mirosław P. Jabłoński

Spotkanie na końcu drogi

Telestyczne, zachodzące słońce oparzało niezdrową, przedagonalną purpurą kopuły budynków Citta del Vaticano i leżącego poniżej opustoszałe wymarłego Wiecznego Miasta. Jego uliczki wypełniała kalejdoskopowa mozaika granatowych cieni i krwawych blasków. W czarnych, głucho—studziennych zaułkach zwielokrotnione ciszą piski, skowyty i bulgotliwe rzężenia świadczyły o morderczych walkach szczurów z bezpańskimi już teraz psami i kotami pożerającymi padlinę. Poza tym panował bolesny bezruch i cisza. Zamknięte pod hermetycznymi kloszami drzewa więdły statecznie pozbawione dopływu wody, którą tknięte mechaniczną dementia praecox urządzenia nawadniające zapomniały dostarczać z podziemnego morza Sahary.

— Pić… — wyszeptał umierający jedyny mieszkaniec miasta, a może i całej Ziemi. — Pić…

Wielka renesansowa sala, w której konał ospale na łożu z wyżartym przez czas baldachimem, powtórzyła szyderczo jego szept i z bezczelnym chichotem, który wykluł się zza stojących w zakurzonym cieniu rzeźb, zwróciła go starcowi. Zapadła znów cisza, przerywana paciorkami chrapnięć mozolnego oddechu umierającego.

Komuś, kto stałby w tym leniwym, spowalniającym swój bieg czasie na jednym z niepotrzebnych rzymskich mostów zdawać by się mogło, że wody w Tybrze jest w bród — w dole poruszało się coś błyskotliwie i czerwieniało odbitym światłem chorego słońca, ale kundel chudy kościstością przywodzącą na myśl obrazy kubistów i wędrujący z Via Appia Nuova w stronę Wzgórz Watykańskich, choć spragniony, nie dał się na to nabrać. Liczne liszajowate, ledwo zagojone rany na jego pysku, łapach i soczewkowo wklęsłych bokach świadczyły, iż wie, że wyschniętym, spękanym i twardym jak klinkier korytem rzeki wędrują do Morza Tyrreńskiego miriady szczurów, których sierść — lśniąca zbrodniczo po niedawnych orgiastycznych ucztach — odbija blaski puchnącego, gorejącego słońca niczym lekka fala rzeczna, marszczona delikatnym podmuchem znad Kwirynału.

— Pić… — wyszeptał znowu umierający i ź niespodziewaną siłą targnął szarfę dzwonka u wezgłowia łóżka zapominając, że wokół nie ma już nikogo. Wstęga materii została mu w spotniałej dłoni, nie usłyszał żadnego dźwięku; prawdopodobnie dzwonek urwał się już dawno temu, lub odłączono go w czasie, kiedy starzec dopiero zaczął umierać i ciągłym dzwonieniem niepokoił znerwicowaną służbę.

Wychudły kundel po wejściu na most zawahał się lękliwie. Przyczyną tego nie była żywa, szemrząca zgrzytem pazurków i tchnąca śmiercią rzeka, a przerażające w swej nieodpartości wrażenie, że mimo iż na moście nie dostrzegał nikogo, wyczuwał jednak czyjąś obezwładniającą obecność.

Obecność przerażającą lękiem.

Pies zaczął drżeć na całym wyliniałym ciele, podkulił ogon pod siebie i przykucnął wyszczerzywszy kły ze strachu, ale nie był nawet zdolny do cofania się — zamarł wstrząsany cholerycznymi drgawkami. Zdawało mu się, że ktoś potężnie niewidzialny stoi na moście i patrzy w dół. A potem upiorne wrażenie minęło. Kundel rozejrzał się, już bardziej zdziwiony niż przestraszony, otrzepał jak po wyjściu z wody i znowu poczuł pragnienie. Mimo, iż był dużo inteligentniejszy od swych psich przodków (a to za sprawą ciągłego przestawania z ludźmi, niezwykle sprytnymi w pośpiesznym dążeniu do samozagłady), nie był w stanie zanalizować w swym pomniejszonym mózgu niedawnego zajścia. Zwłaszcza, że węch był dla jego rasy ważniejszym drogowskazem na krętych, wytyczanych kopniakami ścieżkach trudnej

koegzystencji, niż wzrok mamiący nierzadko obiecankami psiego raju.

Zaczął nerwowo węszyć — sam nie wiedział, czy w poszukiwaniu śladów przepadłej wilgoci, czy starając się dociec, co go spotkało przed chwilą. Wszędzie czuł pustkę i pylistą suchość. Zrezygnowany zwiesił łeb i wtedy, przy samej niegościnnej ziemi, odkrył strzęp woni tak nieoczekiwanej i nieprawdopodobnej, iż zamarł rozpaczliwie nie wierząc w nią, czy nie rozpoznając. Nagle, w bolesnym olśnieniu uwierzył — zapach człowieka!

Po pierwszej, poddańczej radości skonstatował, że człowiek ten umiera, a nawet być może już skonał z ulgą w odległym i niewiadomym miejscu, a zapach, który czuje, jest niczym światło odległych o milionlecia gwiazd.

Które nie istnieją.

Musiał się spieszyć. Pies ruszył z nosem przy ziemi, a potem, gdy woń stawała się coraz wyraźniejsza gwałcąc jego wyposzczone nozdrza, pognał przed siebie na sztywnych łapach, robiąc ciężko bokami z wycieńczenia.

— Pić — powtórzył z denerwującym uporem człowiek.

Który umierał.

Mówił to z przyzwyczajenia, jakby przekonany, że samym usilnym powtarzaniem tego zaklęcia wywoła ze złośliwego niebytu jeżeli nie deszcz, to chociaż szklankę wody. Przez moment był nawet przekonany, iż tak się stało — w otoczeniu zaszła jakaś zastanawiająca zmiana, której subtelnego charakteru nie był w stanie uchwycić. Może majaczył zresztą, był przecież bardzo stary, umierał pierwszy raz w życiu i bardzo się do tej czynności przykładał. Jego duch wyrywał się w zaświaty, daleko poza historyczne mury pałacu, poza kolumnadę Berniniego i dalej — poza granice Stato delia Citta del Vaticano, poza obwodnię Grandę Riccordo Annulare, daleko poza Ziemię w końcu.

W nieznane.

Spragniony usiłował się podnieść rachitycznie, ale niemal natychmiast z bezwładnością bryły wysychającej gliny opadł na szarą od jego potu poduszkę — zdążył zauważyć tylko coś na kształt monstrualnie rozdętej i zdeformowanej greckiej amfory czarno—figurowej — kopuła bazyliki za jego oknem z jednej strony płonęła bezgłośną purpurą, z drugiej tajała czernią. Wzgórza, w tym Watykańskie, korzystały niechętnie z resztek czerwonego światła słońca; doliny Tybru, Aniene, Marco Simone i promieniście rozchodzących się z Capus Mundi dróg — Via Tiburtina, Via Portuense, Via Aurelia czy Via Salaria krył podstępny mrok. Zapalały się już samoczynnie pierwsze latarnie, zasilane z ładowanych przemocą za dnia solarnych baterii.

Wyczekujący na śmierć usłyszał kroki na posadzce. Słuch, jak zwykle w chwilach impotencji innych zmysłów, miał wyczulony strunnie. Nawet się nie zdziwił. Kroki rozlegały się gdzieś bardzo daleko jeszcze — nie był nawet pewien, czy w samym pałacu, czy też może w bazylice, skąd akrosoniczne echo przynosi je do jego sypialni, czy może ktoś złowieszczo przechadza się po bibliotece lub muzeum watykańskim.

Był jedynym człowiekiem na osieroconej planecie, więc mógł to wszystko słyszeć nietoperzowym zmysłem, wszystkie dźwięki przeznaczone były wyłącznie dla jego pożyłkowanych, pergaminowych uszu.

— Ktoś wrócił — pomyślał bez sensu.

Bo nikt nie mógł powrócić stamtąd, dokąd odeszli wszyscy.

Zapominając o nim.

Goniący resztkami sił kundel również usłyszał kroki i zatrzymał się, spazmatycznie strzygąc uszami. Zwiesił biały, obłożony gorączkowo jęzor i dyszał. Wokół robiło się ciemniej, ale wcale nie chłodniej — mury domów, zziajane jeszcze niedawno od pośpiechu trotuary, stojące bezzasadnie i śmierdzące gumą, olejem i rozgrzaną blachą samochody milczkiem oddawały

ciepło. Pies ruszył powoli w górę, a mrok potulnie postępował za nim. Kundlowi zdawało się, że słyszy właśnie kroki ciemności, bo czuł nadal tylko jednego człowieka — wiekowego, umierającego ze starczym mozołem, bo w tym wieku wszystko przychodzi okrutnie trudno — a słyszał chód innego, który nie wydawał woni, ani nie odbijał światła.

Który był.

— Pić — wypowiedział zaklęcie umierający, kiedy kroki — jak wahadło w punkcie zwrotu — zamarły na chwilę przed otwartymi dla Niej zachęcająco drzwiami, a po chwili rozbrzmiewały już wewnątrz. — Pić…

Ktoś wszedł uroczyście do komnaty i leżący starzec przestał odczuwać pragnienie. Zaskoczony nawet zapomniał, że łaknął jeszcze przed chwilą.

Która trwała i była piękna.

Z przyzwyczajenia wywołanego długim pontyfikatem, zbyt długim, jak to teraz przenikliwie wiedział, zastanowił się, dlaczego Szwajcarzy wpuścili obcego, ale wnet przypomniał sobie, iż nacja wytrwale dostarczająca od wieków strażników jego królestwa wymarła wiele lat temu od dobrobytu.

Przybyły istotnie wyglądał na obcego, choć jednocześnie na nieprzyjemnie znajomego — starcowi kojarzył się z asyryjskimi płaskorzeźbami, jak te alabastrowe z pałacu w Niniwie, czy Durszarrukin. Przybrany w powłóczystą szatę bogato tkaną złotem, z czarnymi, starannie pokarbowanymi włosami głowy i prostokątnie przystrzyżonej brody oraz ostrymi rysami twarzy przypominał Sardanapala. Wyraz jego oblicza tchnął pierwotną, niepohamowaną dzikością, pełną władczej pychy i nieumiarkowania w gniewie.

Konający poczuł śliski strach w poruszanej płytkim oddechem piersi. Obawiał się, iż zostanie ukarany za to, że nie rozpoznał przybyłego. Poszukiwał nerwowo jego imienia, usiłując dopasować jego fizjonomię do wszystkich wyblakłych klisz ludzkich, jakie przechowywał w pamięci. Na próżno. W porywie niespodziewanego, lękiem wywołanego przypływu sił, pragnąc najgorsze mieć już za sobą, podniósł się i zapytał.

— Qui es?

I opadł na poduszki. Istotnie, kim był tamten, że w przebraniu przychodził straszyć człowieka umierającego, i tak pełnego niecierpliwej trwogi z powodu zwątpienia, co wkradło się do jego duszy?

Obcy usiadł na fotelu w nogach łóżka. Umierający zamknął oczy, bo dopiero teraz, przy szacie tamtego, widać było wyraźnie, jak ów mebel jest koślawy, jak bardzo rozchwierutane są pozbawione złotej powłoki poręcze, a amarantowy plusz obić wytarty do osnowy.

„Żeby się tylko nie rozleciał pod nim” — zatroskał się nad okazałą postacią starzec.

— Powinieneś mnie znać — odparł przybyły. — Modliłeś się do mnie.

„Modliłem się? — zasumował się konający. — Pracowałem całe życie, zarządzałem, administrowałem, wysyłałem misjonarzy, odbierałem ich tajne meldunki, pomnażałem majątek kościoła na Ziemi… Kiedyż ja miałem czas modlić się?”

— A więc jesteś moim Bogiem — powiedział ze starczą rezygnacją.

— Jam jest Pan. Powedział przybyły.

I roztroił się przed oczami umierającego, choć ten z powodu gorączki, słabego wzroku i wrodzonej niewidzialności Ducha Świętego, dostrzegał tylko dwie postaci — asyryjskiego gwałtownika i semickiego młodzieńca w garniturze, z czarną dyplomatką i solarnym zegarkiem na opalonym przegubie lewej ręki.

— Ty zaś jesteś ostatnim papieżem…

„Tak, jestem ostatnim Twoim namiestnikiem — pomyślał umierający, bo tak było istotnie — nie stało już na Ziemi kardynałów, by zwołać konklawe i spośród nich wybrać kolejnego

następcę Piotra.
Gdzieś zarżał koń, ale starzec nie zwrócił na to uwagi.
— Jestem stary — powiedział zamiast tego.
— Obaj jesteśmy starzy — sprostował młodzieniec w garniturze. — Zapominasz, że byłem przy narodzinach tego świata — potwierdził asyryjski samowładca.
Pies, któremu zmęczone strachem, sztywne łapy rozjeżdżały się na marmurowej posadzce przeraźliwie długiej kolumnady przystanął nasłuchując, ale poza własnym ziajaniem i dudnieniem serca gdzieś pod stropem ażurowego tunelu niewiele słyszał. Zwiesił z rezygnacją łeb i wtedy wyczuł lekkie drgnienie gruntu, łagodną falę ziemi — niczym skurcz przebiegający po śliskiej, choć suchej, skórze węża. Kundel podkulił ogon i wstrząsnął się niecierpliwie i bez przekonania. Czuł w powietrzu napięcie elektrostatyczne, jakie zwykło poprzedzać burze.
Wielkie burze.
Tajfuny.
Huragany.
Erupcje wulkanów.
Trzęsienia ziemi.
Które były złowrogie.
— Czy to już? — zapytał umierający.
Przez trzepotliwą chwilę był w komnacie sam i słyszał jedynie powolny, ciężki szum smolnej krwi we własnych skroniach. Krew gęstniała. Z trudem przeciskała się poprzez zatorowane sklerotycznymi zmianami żyły. Nie tętniła, ale przepychała się z trudem. Jak miód przez kapilarę. Serce starca było za słabe, by tłoczyć tak ciężką, lepką ciecz. Która już tylko z nazwy była krwią.
— Wypełniły się znaki — usłyszał. — Nie wiedziałeś? Starzec nie otwierał oczu.
— Dawno nie wychodziłem — powiedział w stronę łaskotliwego mroku pod powiekami. — Nikt mi nic nie mówi — poskarżył się.
— Nie ma już nikogo…
Gdzieś daleko rozległo się wyraźniejsze rżenie konia, ziemia drgnęła, zdumiona, i na posłanie umierającego posypało się nieco kurzu i zaprawy ze spękanego sklepienia.
— Grzmi — powiedział starzec. — Będzie burza… Młodzieniec pod oknem skinął głową, choć wiedział, że nikt tego gestu nie dostrzeże.
— Wielka burza — potwierdził ze zdecydowaniem świadczącym o znajomości rzeczy. — Tajfun o imieniu Armageddon spustoszy Ziemię…
Umierający z nadzieją otworzył oczy.
— Spadnie deszcz — zamamlał niewyraźnie i pokazał blade, pomarszczone dziąsła w bezzębnym uśmiechu. — Ulewa. Która zmiecie kurz, zmiecie wszystko.
— Gdzie jesteś? — zapytał.
— Z tobą — odparł asyryjski gwałtownik odwracając się od okna, którym wyglądał na plac zalany światłem słońca i księżyca jednocześnie. Srebrne i złote promienie przecinały się niczym po przejściu przez siatkę dyfrakcyjną. Mimo to pokój nadal tonął w mroku.
Jakby komnata zawierała się pod powiekami starca.
— Czy to już nowy dzień? — spytał.
— To ostatni dzień. Cisza.
— Jak cicho — powiedział konający. — C2y poznam kiedy umrę?
Złoto—srebrna krata drżała za oknem niczym wzór na czarnej zasłonie poruszanej lekkim wiatrem. Nie pozwalała wiedzieć, co jest poza nią, chociaż stojący przy oknie to wiedział.
Drgnęła ziemia. Potężny, gargantuiczny skurcz przetoczył się pod pałacem, rozchwierutał kolumny Berniniego, poruszył płyty na placu Świętego Piotra, pomiędzy którymi powstały

czarne, ziejące zimnem szczeliny. Siatka pęknięć pokryła rzeczywistość.

— Widzę jak przez mgłę — poskarżył się umierający. — Zrób coś — poprosił.

Wstrząs rzucił psa na posadzkę. Zwierzę z cichym skowytem trwogi usiłowało wstać, nie dość szybko jednak, by kundel nie usłyszał krzyku skargi kamienia.

Który przypominał zgrzyt granitu pod znienawidzonym dłutem.

Krzyk przebrzmiał. Zginął.

Pies wstał. Z trudem. Bo coś się zmieniło.

Widział świat jakby przez drobny raster.

Świat pękał.

Pies zawył.

— Co to? — przeraził się dziecinnym przestrachem starzec.

Kundel na sztywnych łapach wszedł do komnaty i potoczył dookoła z wyrzutem niewidzącymi oczyma, w których szczątek półmrocznego obrazu rozpadł się niczym w rozbitym lustrze. Kiedy wzrok asyryjskiego rozbójnika spoczął na nim przelotnie, pies stanął w bezgłośnie trawiącym go ogniu.

Na woń przyjemną dla Pana.

— Co się stało temu psu? — zainteresował się poniewczasie umierający, wdychając roznoszący się po komnacie smród tlącej się sierści. Kichnął.

Kundel zgorzał ze szczętem, bez skargi. Szary kopczyk pyłu wskazywał miejsce, gdzie jeszcze stał zbytecznie przed chwilą.

Tętent konia, cwałującego na oślep tysiące kilometrów dalej, rozdzielił pauzą pytanie od odpowiedzi.

— Już czas — powiedział asyryjski gwałtownik. — Czy chcesz mi coś wyznać?

Starzec wpatrzył się w niego przenikliwym wzrokiem; sił miał więcej niż kiedykolwiek wcześniej, kiedy jeszcze nie umierał.

— Błądziłem… — wychrypiał.

Pan odwrócił się do niego plecami wpatrzony w apokaliptyczny spektakl za oknem.

— Ja też — powiedział. — Obaj popełnialiśmy błędy, dlatego tak często zaczynaliśmy wszystko od początku. Sam wiesz, jak było — Praadam, potop, Sodoma…

— Ty… — zaczął starzec.

Który umarł.

Młodzieniec w ciemnym garniturze i o semickiej twarzy odwrócił się od okna, jakby widok nagle przestał być dlań interesujący. Podszedł do ciała starca i przysiadł na brzegu łóżka. Patrząc na swój solarny zegarek zbadał puls.

Którego nie było.

Otworzył skórzaną, czarną walizcczkę, wyjął przygotowany na najgorsze stetoskop i rozchyliwszy na piersi trupa przepoconą, cuchnącą śmiertelną męką koszulę, wsłuchał się w bezruch jego wnętrza. Z cichym trzaskiem ebonitowych końcówek wyszarpnął przewody z uszu i wrzucił słuchawki do walizeczki. Z butonierki wyjął malutką latarkę i podnosząc powieki zmarłego, poświecił w zamglone ulgą oczy.

Exitus.

Akrosoniczne rżenie konia wstrząsnęło murami pałacu.

Wstrząsnęło posadami świata.

Który zużył swój czas.

— Czas, czas! — powiedział młodzieniec podrywając się — Mówię ci, Łazarzu, wstań!

Bezruch opanował komnatę.

W bezwładnym ciele starca poczęły powoli krążyć życiowe miszkulancje, oddalając czający

się „rigor mortis”, i ruch ten, niczym kamień, który porywa za sobą lawinę, podniósł w płytkim oddechu jego klatkę piersiową, zaróżowił policzki niezdrowym szkarłatem, wprawił w golemowe drżenie mięśnie.

Z tyłu, za plecami dokonującego rutynowego cudu, zmartwychwstały kundel otrzepywał się niepewnie z pokrywającego go zdziwienia i spadłego ze stropu tynku.

Starzec, tak samo wiekowy, lecz żywy, usiadł na łożu.

— Umarłem? — zapytał retorycznie.

— Zmartwychwstałeś…

— To już? — zacukał się w zadziwieniu ożywiony i rozejrzał się podejrzliwie wokoło. — Co się znów stało temu psu? On też…

Z cichym westchnieniem wybawienia pękło sklepienie sypialni, kundel przysiadł na zadzie.

— Musimy iść — powiedział młodzieniec gładząc brodę. — Czekają na nas.

— Kto? Gdzie?

— Nie słyszysz?

Zza okna dopadł go balistyczny łomot końskich kopyt o bruk, komnata rozkołysała się jak nawa na wzburzonym morzu, zarysowały się nerwowo ściany, z góry spadały z rezygnacją całe połacie zmurszałego wapna.

Inaczej wyobrażałem sobie koniec świata — westchnął zmartwychwstały starzec. — Nic nigdy nie wygląda tak, jak to sobie wyobrażamy.

Zsunął się z łoża i wzuł na nogi rozczłapane kapcie; w Starej koszuli nocnej był gotowy do czekającej go drogi.

— Chodź — powiedział młodzieniec, i obaj: człowiek i pies poszli za nim.

Konie niecierpliwiły się coraz bardziej, idący długimi korytarzami i przemierzający pełne białego, duszącego pyłu sale czuli to doskonale poprzez tańczące pod ich stopami posadzki, zataczające się na nich ściany i wykusze z przedrzeźniającymi ich postacie weneckimi oknami. Portrety ze ścian, w przeciwieństwie do rozpadających się z determinacją, niczym stare truchła, figur z fresków i rzeźb, zdawały się ożywać i wyrywać z ram, gdy je mijali.

Poprzez otwory po wypadłych oknach widać było ciemność przecinaną potężnymi błyskawicami, ale huk wyzwalanych z maestrią milionów elektronowoltów nie był w stanie zagłuszyć turkotu, z jakim coś toczyło się po placu.

Rzeki ognia strzelały spod końskich kopyt, para bijąca z nozdrzy potworów nadtapiała marmurowe kolumny i gzymsy.

Które ściekały kamiennymi łzami.

Kamienie płakały.

Kamieniami.

Pękały kopuły bazylik, waliły się wieże kościołów Wiecznego Miasta zapadającego się w niebyt, kamienne płyty pod nogami zamieniały się w lotne piaski i grzęzawisko.

Cztery bestie, podobne do wszystkiego tylko nie do koni, szarpały uprząż wiążącą je nieustępliwie do dwukołowego wozu.

Kwadryga apokalipsy.

Która ruszyła.

Zmartwychwstały starzec z niesmakiem przyglądał się rozpętanym na jego cześć żywiołom; usiłował w bezdennej ćmie dostrzec psa, który przepadł gdzieś w podstępnym wirze Armageddonu. Jego skowyt rozległ się w czarnej dziurze oka cyklonu i zamarł zaduszony czerwono–złotymi wężami ogni krzesanych przez piasty i obręcze kół powozu.

Był sam.

Ale jakaś siła powoziła zaprzęgiem zmierzającym z płynną determinacją przez niebyt.

Który był.

A po drugiej jego stronie rozwidniło się znienacka posępnie i podróżnik dostrzegł — gdy bestie zwolniły swój groteskowy na pokaz bieg — miasto, nieprzyjemnie znajome, a w nim wiecznie murszejący pałac z jedynym, konającym uparcie lokatorem w środku.

To był on.

Właśnie zajęty był umieraniem, kiedy wrócił do siebie.

Otworzył oczy. Nie był spragniony, choć pamiętał majaczenia o szklance wody.

— Śniłem Boga — powiedział z bolesnym zwątpieniem do chudego psa, który jakby wyrzucony z raniącego go niebytu wkroczył chwiejnie do komnaty.

— *Który jest…?*

Kraków, VI–IX 1991

Mirosław Piotr Jabłoński

Urodził się w 1955 roku w Zakopanem, mieszka w Krakowie, gdzie ukończył studia na Wydziale Mechanicznym tamtejszej Politechniki.

Zadebiutował w prasie („Nurt”, 1978), a pierwszą książkę opublikował w 1982 roku — powieść „Kryptonim Psima” (Iskry). Przez kilka lat było o nim cicho, dopiero w 1986 roku Nasza Księgarnia wydała zbiorek pt. „Posłaniec”, gdzie obok kilku opowiadań Andrzeja Drzewińskiego znalazły się również dwa teksty Mirka. Najobfitszy był dla niego rok 1987, kiedy to na rynku ukazały się jego trzy powieści: „Nieśmiertelny z Oxa” (Glob), „Schron” (Glob) i „Trzy dni Tygrysa” (Iskry).

Woli większe formy, stąd znamy niewiele jego opowiadań, zresztą głównie z prasy („Młody Technik”, „Przegląd Techniczny”, „Fantastyka”), sporo z nich ukazało się w jego autorskim zbiorze „Czas wodnika” (Iskry, 1990).

W tym roku zaprezentował Czytelnikowi swoje dwie następne powieści: „Dubler” i „Duch czasu”, obie wydała oficyna Białowieża. Fragment tej ostatniej był ozdobą ,,Wizji alternatywnych”.

O „Domu Na Krawędzi Światła”

Była chyba pierwsza w nocy. Siedzieliśmy z Jackiem Piekarą u niego w kuchni i wznosząc puchary toczyliśmy konwersację na tematy przyziemne. Zupełnie niespodziewanie rozmowa zmieniła charakter i zeszła na rzeczy ostateczne. Bodaj, że najpierw zaczęliśmy mówić o ateizmie jako takim, a potem wręcz przeciwnie — o piekle. Opowiedziałem wtedy historię pewnego mnicha, który straciwszy życie na rozmyślaniach o wieczności i karze, doszedł był do wniosku, że niezależnie od win, na wieczne cierpienie nie zasługuje nikt. Tysiąc lat, milion — zgoda. Ale nie wiecznie… Mnich ów, powodowany chrześcijańskim współczuciem, doszedł do wniosku, że jeżeli ktokolwiek jest na nie skazany, to on powinien być tam razem z nim.

Jacek podchwycił historię i zaczęliśmy adaptować ją na potrzeby literatury. Zatem pomysł jest wspólny…

Jarosław Grzędowicz

DOM NA KRAWĘDZI ŚWIATŁA

A kiedy przyjdzie także po mnie
Zegarmistrz światła purpurowy
By mi zabełtać błękit w głowie
To będę jasny i gotowy
Spłyną przeze mnie dni na przestrzał
Zgasną podłogi i powietrza
Na wszystko jeszcze raz popatrzę
I pójdę nie wiem gdzie — na zawsze.
Bogdan Chorążak

Najpierw go wyczułem. Jako tępy ból w tyle głowy, pulsujący gdzieś pod potylicą. Skoncentrowałem się i ból odszedł, a wtedy odebrałem go naprawdę.

Całe spektrum: rozpacz, poczucie krzywdy, żal, zmęczenie i przede wszystkim strach. Całe morze przeraźliwego lęku.

Odrzuciłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy, żeby zobaczyć. Wolę widzieć.

I zobaczyłem go. Szedł potykając się, połykając łzy, przerażony, na mdlejących nogach. Szedł przez pustkowie nakryte czarnym niebem, wśród gorących, bazaltowych skał, okruchów pumeksu i gorących źródeł bulgocących cuchnącymi oparami.

Szedł Autostradą Styksu — Drogą W Jedną Stronę. Szedł sam. Każdy idzie sam i nie dostrzega nikogo innego. Nie wiem, jak to się dzieje, bo przecież idą ich tysiące w każdej chwili, a jednak każdy idzie sam.

Może każdy ma swoją własną Autostradę, a w rzeczywistości wszyscy podążają jedną i tą samą. Tą, która prowadzi tędy. Nie próbuję tego zrozumieć.

Ja też szedłem sam — tak jak on. Dawno, bardzo dawno temu. Może dziesiątki lat, może setki, może tysiące lat temu. To nic nie znaczy. „Rok” to puste słowo. Dawno. Kiedyś.

Też byłem sam. Szedłem Drogą i pamiętam jej gorącą, gładką nawierzchnię, palącą w podeszwy. Też byłem przerażony.

Autostrada przepalała mnie na wylot, ale nie mogłem z niej zejść, bo pustkowie pokryte ostrym jak szkło, gorącym, bazaltowym tłuczniem było jeszcze gorsze. Wrzało i płonęło.

Mogłem zawrócić i iść w przeciwną stronę, ale to nie miało najmniejszego znaczenia, bo to była Autostrada Styksu. Droga w Jedną Stronę.

Próbowałem różnych rzeczy.

Próbowałem chodzić w kółko, albo na przełaj. W przód, do tyłu. Wtedy zaczęła się zwężać. Ale gdyby tak nie było, to i tak wszystkie próby mogłyby okazać się daremne.

Nie próbowałem uciekać — przynajmniej tyle rozumiałem, i na tym polegała moja przewaga. Chciałem się zatrzymać.

Śmieszne. Zatrzymać się na Autostradzie Styksu. Na Drodze W Jedną Stronę. Nie miałem żadnych szans. Żadnej nadziei.

Udało mi się. Zobaczyłem Dom Na Krawędzi Światła. Na krawędzi mojego światła. Było jeszcze dosyć silne, dlatego wypatrzyłem dom. Był pusty. Wtedy myślałem, że nie jestem pierwszy, tylko, że poprzedni Pan Domu odszedł. Teraz sądzę, że to ja go stworzyłem. Bo ja nie chciałem stąd uciec. Wiedziałem, że nie mam dokąd. Chciałem mieć Dom Na Krawędzi Światła.

I mam go.
Otworzyłem oczy i wstałem. Wyszedłem na szczyt Czatowni, chciałem to widzieć. Lodowaty wiatr szarpnął moim kapturem i łopotał połami płaszcza.
Światło tamtego było bladożółte, z białymi pobłyskami, ale jeszcze dosyć silne. Rzucało wokół jego nóg wyraźny okrąg, ale zaczynało już pełzać. Migotało jak kaganek na wietrze. Ostatnie chwile. Przyjrzałem się uważnie, bo wydało mi się, że dostrzegam zieleń. Była. Lekkie, zielonkawe iskierki, pryskające przez jego światło od czasu do czasu. To dawało mu jakąś szansę. Zieleń, to oczywiście nadzieja.
Sprawiłem, by na dole, w Sali Spokoju zapłonęły wszystkie świece. By zapłonął ogień na kominku. Dużo własnego lśnienia posłałem tam, na dół, by były świece i ogień na Palenisku, by stało się jasno i dobrze. Potem otworzyłem drzwi. Oba skrzydła na oścież, żeby rzucić blask aż na nawierzchnię Drogi.
Bardzo chciałem mu pomóc, ale nie mogłem. Wszystko zależało od tego, czy ma dość własnego światła, by dostrzec Dom na jego krawędzi i czy wystarczy mu tych zielonych iskierek, by do niego dojść.
Lux zaskomlał merdając ogonem i ziewnął ze zdenerwowania.
— Idź na dół, jeżeli chcesz — powiedziałem. — To i tak nic nie zmieni. — Szczeknął nerwowo i pobiegł stukając pazurami na schodach.
Czekałem. Właściwie zawsze czekam, więc nie odczuwałem już niecierpliwości, tylko nadzieję. Patrzyłem, jak idzie, potykając się ze zmęczenia, a potem stanął. Ucieszyłem się, bo wiedziałem, ile bólu musi go to kosztować. A potem jego emanacja zapłonęła snopem zielonych iskier, zmieszanych z żółtymi płomieniami strachu. Skręcił z drogi i ruszył przez płonącą pustynię, wśród ostrych jak brzytwy skał. Zobaczył Dom. Czekałem.
Czekałem nawet, kiedy usłyszałem kroki na posadzce Sali Spokoju. Wiedziałem, że zwali się na fotel, niepomny na nic, prócz ulgi w poparzonych nogach, w dygocących z wysiłku mięśniach, prócz słabej nadziei. Dałem mu trochę czasu.
Tu też jest czas. Jest przedtem i potem, jest następstwo zdarzeń. Tylko nie można tego mierzyć. Zegar, który kiedyś stworzyłem, stoi teraz, ale dawno temu działał, tylko że pokazywał cyfry pozbawione znaczenia. Płoną świece, ale przecież nie są prawdziwe. To są moje świece, więc płoną płacząc kroplami wosku, ale nie zmieniają długości. Tutaj rzeczy mają początek, ale nie mają końca. Tutaj jest trwanie.
Siedziałem przy stole i liniowałem rylcem kartę pergaminu. Powoli, dokładnie i starannie. Trzydzieści jeden linii, każda w odległości od sąsiedniej na szerokość palca wskazującego.
Pozwalałem mu odpoczywać i rozkoszować się ulgą. Potem przyjdzie czas na rozmowy i na pytania, na które nie ma odpowiedzi.
Ja miałem czas, i nie przypuszczałem też, by mój gość się gdzieś spieszył.
Poliniowałem kartę z obu stron i uznałem, że to wystarczy. Sprawiłem, by światła zapłonęły na schodach, bo nie chciałem zaplątać się po ciemku w płaszcz i stoczyć pod nogi przybysza. Zszedłem powoli i cicho, a potem pchnąłem drzwi do Sali Spokoju.
Przestraszył się oczywiście, ale mniej, niż gdybym wszedł od razu. Patrzyliśmy na siebie. Pamiętałem, żeby zrzucić kaptur i pokazać mu od razu swoją zwyczajną twarz. Gdyby zniknęła gdzieś w cieniu, byłby przerażony. Tak jak ja na jego miejscu.
— Witaj — powiedziałem — jesteś w Domu Na Skraju Światła.
Oddali mu ciało, ale na litość, w jakim stanie. Wychudzone, chore i nieszczęsne. Suche, pomarszczone ręce dygotały mu nawet, kiedy splótł palce. Ze strachu, albo ze zmęczenia, albo z obydwu powodów. Z trudem podniósł na mnie wilgotny, przerażony wzrok.
— Kim jesteś? — głos drżał tak samo jak jego ciało.

— Jestem człowiekiem — powiedziałem łagodnie. Nie uwierzył mi. — Jestem też panem tego Domu. Jestem przeklęty tak jak ty, ale nie poszedłem do końca Drogi. Sprzeciwiłem się i zostałem w połowie. Napełniłem kubek, ten który zdobiłem w goniące się gazele i liście akantu, i podałem mu.

— Napij się wody — powiedziałem — jest chłodna. Wypił chciwie, a potem oparł czoło na stole i zaczął płakać.

— Dlaczego… — zaszlochał. — Dlaczego muszę tu być? To jest właśnie jedno z tych pytań. Wszyscy je zadają.

Ja również. Tylko że nie ma na nie odpowiedzi.

— Sam powinieneś wiedzieć — powiedziałem bardzo łagodnie.

— Ale ja żałuję — jęknął — żałuję wszystkiego, ale nie wiem, co było naprawdę złe. Nigdy nie miałem wyboru. Jeśli byłem słaby, to przecież nie moja wina… to znaczy moja, ale co mogłem zrobić… a teraz wieczność… czy nie ma nadziei?

Nie wiem. Pozwoliłem mu płakać. Nalałem jeszcze wody. Położyłem rękę na ramieniu. Wypił dzwoniąc zębami o metal kubka, a potem zaczął się spowiadać.

Żył w jakimś złym miejscu i złym czasie. Krzywdził ludzi, żeby przeżyć, ale nie zabił nikogo. Nie mógł inaczej, próbował poprawiać swój los, ale mógł to robić tylko kosztem innych.

Całe życie szkodził i sam był nieszczęśliwy, i tak już pozostanie. Banalna historia. Było mi go żal. Było mi żal też tamtych ludzi, bo dla nich to też już straciło znaczenie, albo wkrótce straci.

Wielu z nich też wędruje Autostradą Styksu, a większość nie wie dlaczego. Zagubieni i nieszczęśliwi. Kaci i ofiary.

— Nie jestem spowiednikiem — odezwałem się. — Nie musisz niczego mówić. To i tak niczego nie zmieni. Po prostu tak jest, sam nie wiem dlaczego.

— A ty… dlaczego tu jesteś? — zapytał nieśmiało.

— Zabiłem kogoś… — walczył ze mną, a ja i tak go zabiłem, a potem nie żałowałem tego zbytnio. Uważałem, że zasłużył na śmierć. Spałem też z kobietami, ale do dziś nie wiem, co miało by być w tym złego. Chyba żadnej nie skrzywdziłem świadomie. Skrzywdziłem też kogoś, kto usiłował mnie skrzywdzić. Nie byłem święty i nie byłem gorszy od innych. Nie wiem, co było przyczyną. Może coś, o czym nie wiem, a może właśnie to, że nie wiem. Pamiętam, że chciałem być dobrym człowiekiem, ale najwyraźniej mi się nie udało.

Zresztą, to było tak dawno i trwało tak krótko… Dokładnie już nie pamiętam. Jestem tu o wiele dłużej niż byłem tam. O wiele, wiele dłużej.

— A czy wierzyłeś… — zaciął się i ścisnęło mu krtań, próbował przez chwilę z tym walczyć.

— Nie uda ci się tego powiedzieć — powiedziałem. — Tak już tu jest. Nie uda ci się także modlić. Możesz powiedzieć Światło.

— Światło?

— Tak. Jakoś sobie trzeba radzić. A ja… cóż. Wierzyłem w… Światło, ale nie byłem religijny. Zawsze stałem jakoś na pograniczu. Może dlatego tu jestem. Też na pograniczu — na krawędzi światła. Tym razem światła, nie: Światła.

— Jak to możliwe, że nie poszedłeś dalej?

— Nie wiem dokładnie. Każdy człowiek ma swoją jasność. Kiedy idziesz Autostradą Styksu, ona gdzieś zmienia się, słabnie, ale dopóki jeszcze jest, możesz stawiać opór. Dlatego istnieje Droga.

— Nic nie widzę — rzekł bezradnie.

— Widzisz. Ten dom, to moje światło. Tu się mogę bronić.

— Bronić?! Przed potęgą? To śmieszne.

— Dlaczego? Ten tutaj nie jest wszechmogący, tylko mu się tak wydaje. Popełnia błędy, ma

swoje słabe strony. Moim zdaniem jest trochę nienormalny. Jego też mi żal.

— Jak możesz! — przeraził się. — Jeżeli go rozwścieczysz…

— Ależ jest wściekły. To jego normalny stan. I stale próbuję zgasić moje światło. Także w tej chwili.

Siedzieliśmy w milczeniu. Lux podrapał się hałaśliwie i ziewnął.

— On jest częścią domu?

— Nie. On jest żywy. Nie mogę stworzyć niczego żywego. Ja w ogóle przecież nic nie stwarzam. To tylko moje światło. Mogę mieć skórę, stopić wosk, czy spalić drewno, ale to przecież iluzja. Nie mogę stworzyć zwierzęcia, ani rośliny.

Lux jest człowiekiem. Jedynym, który zdecydował się zostać. Jedynym, który zdobył się na odwagę. Pewnego dnia zaczął się zmieniać. Stał się psem. Nie wiem, dlaczego. On też nie wiedział.

— To straszne.

— Tu wszystko jest straszne. Pamiętaj, gdzie jesteś.

— Czy jeśli ja zostanę…

— Nie wiem. Przecież nie wiem nawet, jak długo sam wytrzymam ten prywatny Armageddon. W każdym razie, masz wolny wybór, możesz zaryzykować albo wstąpić na Autostradę Styksu. Zapewniam cię, że na jej końcu znajdziesz się w znacznie gorszym położeniu, niż Lux tutaj.

— Skąd wiesz? — zapytał zaczepnie. — Przecież nie doszedłeś do końca?

— Czy na pewno wiesz, gdzie jesteś?

— W połowie drogi — wycedził. Lux wstał, parsknął i otrzepał się. Traktował to jako oznakę zniecierpliwienia i politowania. Przybysz oklapł nagle i znów zaczął się bać.

Wstałem.

— Przemyśl to i odpocznij — rzekłem. — Do niczego cię nie zmuszam. Sądzę tylko, że razem będziemy silniejsi. Możemy połączyć nasze światła.

Kiedy to powiedziałem, poczułem jednocześnie, że nic z niego nie będzie. Nie sprzeciwił się nigdy za życia, więc dlaczego miałby to zrobić teraz? Odejdzie… a być może moje światło słabnie? A gdyby spróbować wypić jego emanację? Jemu już nic nie pomoże, a ja bym się wzmocnił.

Podłe, oczywiście, ale kogo to może obchodzić, skoro jestem tutaj? Przecież nie tego, który mnie przeklął.

To była nowa myśl, a przy tym dość mi obca. Przynajmniej jak dotąd. Ściany jakoś przyblakły i stały się przeźroczyste, a blask świec przygasł. Zrobiło się zimno. Lux zaskomlił ostrzegawczo.

— Wiem, przyjacielu — uśmiechnął się do niego.

— Ten pomysł nosi twoje znaki firmowe, Koziogłowy — mruknąłem pod nosem. — Każ się wypchać. To było kiepskie otwarcie.

— Tam, za kotarą znajdziesz pokoje — zwróciłem się głośno do przybysza — połóż się, odpocznij i przemyśl wszystko. Zdecydujesz się, kiedy będziesz chciał. Możesz też wziąć kąpiel. Mamy tu gorące źródła.

Ruszyłem po schodach na górę, żeby szkicować inicjał. Będzie piękny, zdobiony celtyckim motywem oplotowym i ornamentem roślinnym.

Na litość, jak chciałbym zobaczyć jakąś roślinę.

Na schodach ciosany kamień był znowu kamieniem, a kaganki wiszące co pięć stopni dawały równe, jasne światło.

Szkicowałem inicjał. To było „N”. Zaznaczone delikatnymi rysami rylca. Cienkie linie pionowe i mocne, skośne pociągnięcie, które będzie podstawą ornamentu.

Potem odpoczywałem, rozmyślałem, potem znowu rysowałem.

Rozmawiałem z Luxem. Patrzyłem na Autostradę. Odpierałem ataki.

W końcu zszedłem w dół.

Nie zdecydował się, ale przynajmniej zwlekał, a to już był dobry znak. Próbował się nawet uśmiechać, ale mu nie wychodziło. Usiłował naprawić zbutwiałe pogrzebowe łachmany, więc poradziłem mu, żeby posłużył się światłem. Nie udało mu się.

Przez jakiś czas trwaliśmy razem. Rozmawialiśmy, graliśmy w szachy. Grał jeszcze gorzej ode mnie.

A potem minął mu strach i przybysz zaczął się nudzić. Bałem się o niego.

Byłem na dole, kiedy to się stało, ale i tak wyczułem, że dzieje się coś złego. Stał na szczycie Czatowni i przyzywał mnie.

Pobiegłem na górę przeskakując stopnie. Stał tam z rozpromienioną twarzą, a lodowaty wiatr rozwiewał mu włosy.

— Patrz! — krzyknął. — Patrz na drogę!

Autostrada Styksu zmieniła się. Nadal ciągnęła się przez przeraźliwe pustkowie, ale teraz była oświetlona przytulnymi latarniami, jak jakaś nadmorska promenada. Na horyzoncie świeciło miasto. Tysiące ciepłych, złotych punkcików, jak stado robaczków świętojańskich. I neony. Wielobarwne, pulsujące i piękne. Kiedy patrzyłem uważniej, obraz przybliżał się, jak w obiektywie, i widziałem oświetlone dzielnice willowe, knajpy, bary, światło, ciepło i życie. Tysiące ludzików śmiało się, piło piwo, jadło coś, tańczyło i kochało się na estradach tanecznych, w oświetlanych ogródkach i knajpkach. Prześliczne, zgrabne dziewczątka tańczyły nago w pulsujących tęczowych światłach i skakały z estrad prosto w ramiona każdego, kto tylko dał znak.

Mój towarzysz był urzeczony.

— Daj spokój — powiedziałem. — Przecież to miraż. Spojrzał tak, jakbym go opluł.

— O czym ty mówisz?!

— O tym, co widzisz. To miraż. Propaganda. Tani pic.

— Bzdura. Co, z mojego powodu zrobili to wszystko?

— Chociażby.

— A skąd wiesz? Byłeś tam?

Nic nie odpowiedziałem. Nie, nie byłem. Natomiast wiem, gdzie jestem. Patrzył na mnie z pogardą. Tu, na szczycie baszty mogłem widzieć jego słabą emanację. Była prawie całkiem zielona.

— Jesteś tchórzem — wycedził. — Ta droga, to próba. Możesz sobie wsadzić w tyłek tę swoją ponurą dziurę i to swoje zasrane światło. Idę. Jeżeli jesteś mężczyzną, to też pójdziesz.

Odwrócił się i zszedł po schodach. Poszedłem za nim. Lux usiadł przed drzwiami i zjeżył grzbiet.

— Won, kundlu! — warknął gość.

— Puść go, Lux — powiedziałem cicho. — On wybrał.

Wilczur wstał z podkulonym smutno ogonem i odszedł na bok.

— Nie rób tego — poprosiłem — tam nie ma miasta.

— Chcesz mieć drugiego psa, co? — syknął.

Omal go nie uderzyłem. Naprawdę, bardzo chciałem i wiele mnie to kosztowało. —— Coś ci powiem — wycedziłem łamiącym się z wściekłości głosem — Lux jest psem, ale kiedy był człowiekiem, był… była kobietą. To moja żona.

— Otwieraj drzwi! — warknął z pogardą. Otworzyłem mu drzwi i poszedł w mrok do swojego miasta. Pewnie nawet będzie je widział przez jakiś czas.

Ciężkie skrzydła zamknęły się i zrobiło się bardzo cicho. Lux uniósł łeb i zawył przeraźliwie.

— Nawet nie wiem, jak miał na imię — powiedziałem głucho — nie wiem, dlaczego nie zapytałem. Ale nie był zły. Był naiwny. Nie zasługiwał na to. Nikt nie zasługuje.

Samotne trwanie popłynęło swoim torem. Myślałem. Rozmawiałem z Luxem, czytałem, skończyłem szkicować „N" i przygotowałem pióra do narysowania konturu.

A potem przyszli sprawdzić, czy porażka mnie nie rozmiękczyła. Widziałem ze szczytu baszty, jak stoją na krawędzi światła niczym czarne cienie wśród mroku, i próbują muru. Był wciąż mocny.

Nawet sam książę się pojawił, a jakże. Na tym swoim wierzchowcu, przypominającym skrzyżowanie ogiera, barana i rozkładającego się trupa. Łopocąca purpura i trupie czachy. Taka faszystowsko–psychopatyczna estetyka. Bałem się oczywiście, ale jeszcze trwałem.

Upłynęło bardzo dużo czasu. Wciąż próbowali mnie zmiękczyć, a ja wciąż trwałem. Byłem znużony. Byłem zmęczony. Potrzebowałem kobiety. Tak bardzo, aż mnie wszystko bolało. Gdybym w ogóle nie miał ciała, byłoby znacznie łatwiej.

I przyszła kobieta. Naga, zgrabna, piękna, z płomiennymi włosami. Szła do Domu jak po drucie, mimo że wcale nie otworzyłem drzwi. Jej emanacja aż płonęła miłością i pożądaniem. Błagała pod drzwiami i zaklinała mnie. Kołysała się na klęczkach z jedną dłonią wciśniętą między długie uda, a z drugą ugniatającą piersi. Gryzłem ręce i wyłem jak wilk, ale nie otworzyłem.

Pragnąłem jej jak końca piekła, ale pamiętałem o stawce.

— Niektórzy nigdy się nie nauczą — powiedziałem do zamkniętych drzwi — a ty jesteś wśród nich.

Wróciłem do ucierania tuszu. Jedną z gorszych rzeczy tutaj jest to, że nie da się oszaleć, choćbyś nie wiem jak pragnął. Myślałem o wieczności, i to były przerażające myśli, bez względu na to, jak o niej myślałem. Myślałem o Domu.

Nie panuję nad nim całkowicie. Nie mogę zrobić żadnego symbolu. Nie mogę go wyrzeźbić, ani wyryć, ani namalować.

Ani krzyża, ani półksiężyca, ani gwiazdy Dawida, ani mandali. Chciałem zrobić wziernik w kształcie krzyża w drzwiach. Jeśli światło przez niego zacznie padać na drogę, to może każdy będzie mógł z niej zejść.

Nic z tego nie wychodzi. Materiał, który mogę kształtować w dowolny sposób, zamiera, kiedy usiłuję zrobić znak.

Kiedyś mi się to uda. Stopniowo.

Tego wędrowca wyczułem z daleka. Jego emanacja była nie tylko potężna. Była też trochę inna. Niewiele strachu, całe pokłady żalu i jeszcze coś innego, czego nie umiałem w ogóle odczytać. Coś dobrego, w każdym razie. Nie zauważyłem natomiast poczucia krzywdy. Nie widziałem też nadziei.

Patrzyłem z Czatowni, kiedy się pojawił. To było tak, jakby na autostradę padał snop światła potężnego reflektora.

Jakby w tym miejscu świeciło słońce.

Jego światło oślepiało. Kiedy był w zasięgu wzroku, nie mogłem go czytać. Patrzyłem tylko, jak idzie Autostradą Styksu wolnym, równym krokiem.

Nie musiałem zapalać świateł ani otwierać drzwi. Czuł Dom i to ze znacznie większej odległości, niż ja czułem jego. Po prostu skręcił z drogi i ruszył prosto w kierunku drzwi.

Zbiegłem na dół. Lux stał patrząc na wrota, całą postawą przekazując zdumienie. Postawione uszy, zjeżona sierść, ogon prosty jak drut.

Nic nie zdążyłem zrobić, po prostu patrzyłem, jak skrzydła drzwi odchylają się na boki i gość wchodzi do Sali Spokoju.

Wyglądał zwyczajnie. Był młody, ciemnowłosy, w podniszczonym prostym ubraniu. Spodnie, schodzone buty. Nic szczególnego, tyle, że zrobiło się jaśniej, kiedy wszedł. Naprawdę. Zapłonęły wszystkie świece, zapalił się ogień na kominku. Na ścianach zatańczyły cienie.

— Witaj — powiedział.

— Kim jesteś? — to głupie pytanie, zwłaszcza, że słyszałem je tyle razy, ale nie mogłem się powstrzymać.

— Jestem człowiekiem — powiedział i uśmiechnął się smutno. Wtedy zrozumiałem i ogarnął mnie lęk.

— Przyszedłeś zająć moje miejsce? — Te wszystkie emanacje, których nie wypiłem, choć mogłem, i które mógłbym przeciwstawić jego niesamowitemu blaskowi…

— Przecież to twój dom — uśmiechnął się pobłażliwie, i przestałem rozumieć.

— Mogę usiąść? — spytał łagodnie.

— Proszę…

— Dlaczego twoja kobieta klęczy? — Znów ten sam łagodny ton, z nutą życzliwej pobłażliwości. Spojrzałem odruchowo na Luxa, ale wilczur zniknął. Moja żona klęczała z wyprostowanymi plecami, wsparta pięściami o kamienną posadzkę. Była naga, a długie włosy zwisały w dół, aż do podłogi. Przysiadła, potem spojrzała na swoje dłonie i powoli wyprostowała palce. Nie mogłem się ruszyć. Byłem jak skamieniały. Wstała niepewnie, i zrobiła chwiejny krok w moim kierunku. Podbiegłem i padliśmy sobie w ramiona. Dosłownie. To żadna przenośnia. Płakaliśmy oboje, a przybysz uśmiechał się.

Owinąłem żonę swoim płaszczem.

— Dlaczego tu jesteś? — spytałem. — Ty nie jesteś przeklęty.

— A czy ktokolwiek jest? A może każdy? — znów ten sam uśmiech. — Tu są ludzie. A ja jestem człowiekiem.

— Jesteś innym człowiekiem. Jak to zrobiłeś? — miałem na myśli żonę, ale zrozumiał. I wzruszył ramionami.

— Ty zrobiłeś ten dom. Każdy coś umie.

— Dziękuję — zamilkłem na chwilę. — Proszę cię, nie chodź tam!

— Muszę. Tam są ludzie, więc i ja tam muszę być.

— Oni są tam z własnej woli.

— Ja też — spojrzał na mnie łagodnie i dodał. — Wcale nie musisz iść ze mną. To nie jest konieczne, więc nie rób sobie potem wyrzutów. Twoje miejsce jest tutaj.

Wstał jak gość, który wpadł na chwilę. Jakby przyszedł pożyczyć soli.

— Życzę ci szczęścia — powiedziałem.

— Szczęścia?! — uśmiechnął się tylko rozbrajająco i ruszył do drzwi.

— Bądźcie zdrowi — rzucił przez ramię i pchnął oba skrzydła drzwi. Nie chciałem uwierzyć, że odchodzi.

— Zaczekaj! — krzyknąłem.

Stanął w pół zbocza i odwrócił się.

— Już raz byłeś człowiekiem! — zawołałem.

Rozłożył tylko ręce.

— Wrócisz? — krzyknąłem znowu.

Stanął i znowu się odwrócił.

— A zagrałbyś ze mną w kości? — rzekł, jakby to miała być odpowiedź. I odszedł. Drzwi zamknęły się i przez jakiś czas mogłem oglądać blask jego światła przez wziernik w kształcie krzyża na ich środku.

Odwróciłem się i zobaczyłem małe drzewko wyrastające spomiędzy bazaltowych płyt, w

miejscu gdzie siedział. Oliwne. Kpiny.

— Może zostawił nam pod nim prezenty? — zapytała żona.

— Jesteś tu za złośliwość — powiedziałem i objąłem ją. Właściwie nic się nie zmieniło i tak naprawdę, nie wiem, czy się kiedyś zmieni, ale przynajmniej mam na co czekać. Nadal równina bulgocąca siarką, i nadal płaczący i mdlejący ze zmęczenia i strachu nieszczęśnicy wloką się Autostradą Styksu — Drogi W Jedną Stronę. Nadal cierpią o całe wieki dłużej niż zadawali cierpienie. Nadal kara jest niewspółmierna.

Mam jednak na co czekać. Stoimy oboje na podeście Czatowni i patrzymy, czy niebo się nie rozjaśnia, albo czy nie pojawią się sylwetki, które będą wracały Autostradą Styksu. Wypatrujemy słonecznej emanacji człowieka w zniszczonym ubraniu, który Jest–Tym——Który–Jest.

Być może nigdy to nie nastąpi, ale my będziemy czekali. Mamy czas. Mamy wieczność.

Jeżeli natomiast nastąpi i cała ta przeklęta pustynia za—rośnie drzewami, popłyną przez nią strumienie, a niebo powlecze się błękitem, też nie odejdziemy. Zostaniemy tutaj, na uboczu. W Domu Na Krawędzi Światła.

Warszawa 13.10.1991

Jarosław Grzędowicz

Urodził się w 1965 roku, mieszka w Warszawie. Założyciel w 1982 roku grupy autorskiej TRUST, z której wywodzą się m.in. Rafał Ziemkiewicz i Jacek Piekara. Debiutował na łamach łódzkiego tygodnika „Odgłosy”. Jego nazwisko jest znane miłośnikom fantastyki, choć nadal nie ma na swoim koncie książki. Publikował dotąd jedynie w prasie, w „Fantastyce” i „Fenixie”, pisze jednak mało i jak mi się przyznał, „Wizje alternatywne” i niniejsza antologia jakoś szczególnie motywują go do pisania, i to w tempie — jak na niego — ekspresowym.

Tymczasem pracuje nad powieścią, która ma być horrorem umiejscowionym w realiach polskiej wsi, lecz zgodnie z nieskromnym zamiarem Jarosława ma być mądrzejsza od zachodnich horrorów zalegających tysiącami nasze księgarnie.

„Dom Na Krawędzi Światła”, po opowiadaniu Mirka Jabłońskiego wydał mi się znakomitą kropką nad „i” oraz odpowiednim zamknięciem antologii.

O „Domu Na Krawędzi Ciemności"

Razem z Jarkiem Grzędowiczem wymyśliliśmy opowiadanie, a raczej tylko jego szkielet, oparty na motywie Chrystusa zstępującego do Piekła, gdyż to wyłącznie Jego poświęcenie może zbawić świat. Jarek, który słynie z powolnego tempa realizowania pomysłów, tym razem zaskoczył mnie i nagle przyniósł gotowy tekst. Był to „Dom na Krawędzi Światła". Miałem do wyboru: albo napisać historię alternatywną opartą na naszym schemacie, albo stworzyć kontynuację opowiadania Jarka. Wybrałem to drugie i mam nadzieję, że wprowadziłem pewne igły Ciemności do tej Jarkowej, w sumie dość krzepiącej wizji Piekła. Idea cierpiącego władcy Królestwa Mroku zawsze mi się podobała, przecież czynienie zła przez Wieczność musi w końcu stać się zajęciem nudnym. Chodzi mi po głowie taki tekst z „Siły strachu" Mac Leana, kiedy zawodowy, cyniczny morderca na zarzut, że rozkoszuje się zadawaniem śmierci, odpowiada: „a widziałeś kiedyś kopacza dołów, który lubiłby kopać doły?". Szatan musi być potężnie znudzony monotonią swojej roboty, a w takim razie totalnie wściekły na tego, kto go w ten kanał wpuścił.

Poniższe opowiadanie można oczywiście potraktować także jako przestrogę przed piciem alkoholu z byle kim, ale w żadnym wypadku nie należy go rozumieć jako krytyki picia alkoholu w ogóle.

Jacek Piekara

DOM NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

Koniec Drogi ginie gdzieś na krawędzi horyzontu, gdzieś pod czarnym jak studnia niebem. Przez dygoczące żarem powietrze suną ludzie niczym upiory o rozpalonych szaleństwem oczach. Skowyt z tysięcy gardeł niknie pośród żółto——burych siarkowych oparów, rozbija się o smoczozębie bazaltowe skały, drga wśród pumeksowych okruchów. Ludzie ocierają się o siebie, obijają, padają sobie pod nogi, a każdy jest tak doskonale i absolutnie sam. Nie dano im łaski dzielenia cierpień z bliźnimi. W ogóle nie dano im żadnej łaski. To słowo jak setki, a może tysiące innych, jest jedynie pustym, pozbawionym znaczenia dźwiękiem. Dźwiękiem określającym nieistniejące pojęcie. Nawet nic zapomniane czy zagubione. Po prostu nie istniejące. Oczywiście, tylko tutaj, na Drodze W Jedną Stronę, na nieskończonej Autostradzie Styksu. Gdyż gdzieś pośród bazaltowych iglic jaśnieje, pulsuje i przyzywa zielone światło. Brama dla potępionych nie do końca. Nadzieja, nawet nic na wyzwolenie, a na przetrwanie. Lekarstwo na odroczenie rozpaczy i bólu. Oaza chwilowego, a może wiecznego ukojenia. Chwilowego, wiecznego — te słowa nic nie znaczą, a raczej znaczą to samo. Tu czas nie płynie dla wszystkich jednakowo, a sączy się tylko leniwymi strugami cierpienia, innymi dla każdego. Tu nie ma znaczenia, czy błądzi się minutę, czy wieczność. Tu zawsze jest zawsze.

Przechodzę przez Zieloną Bramę, moje światło otwiera mi ją na oścież. Idę pośród ostrych jak brzytwa okruchów pumeksu, omijam wrzące, brudnożółte kałuże. Przede mną wznoszą się mury Domu Na Krawędzi Światła. Widzę pęd oliwnego drzewka przeciskający się poprzez kamienne złomy ku czarnemu niebu, widzę wziernik w kształcie krzyża wycięty na grubych dębowych drzwiach i człowieka w szarym płaszczu przyglądającego mi się uważnie ze szczytu wieży, którą sam nazywa Czatownią. Moje światło otwarłoby drzwi, ale nie zamierzam wchodzić tu bez zgody gospodarza. Stukam mocno w chropowate, poznaczone sękami belki i czekam. W końcu wrota uchylają się. Stoi przede mną, skupiony, poważny, a w aurze żółto płoną ognie niepokoju. Wiem, że oślepiam go moim blaskiem, czuję jego f przerażenie i widzę je. Różowe smugi wokół głowy.

— Witaj — mówię spokojnie.

— Witaj — odpowiada w końcu, po długiej chwili wahania i ustępuje o krok. Krótkim gestem zaprasza do środka. Wchodzę i idę długą sienią w stronę sali, którą on nazywa Salą Spokoju. Wokół czarnego stołu o ośmiokątnym blacie stoi sześć ciężkich, rzeźbionych zydli. Na środku stołu trójramienny świecznik z grubymi na dwa palce, białymi świecami. Będą płonąć tu przez wieczność, zawsze tak samo długie, płaczące grubymi łzami wosku, lecz nigdy się nie zmniejszą i nigdy nie dopalą. Siadam na zydlu i spoglądam w martwą tarczę zegara. Wskazówki o strzałkach w kształcie serc zatrzymały się, pokazując cyfry, które nic nie znaczą. Które nic nie znaczyły i nie będą znaczyć.

Człowiek podaje mi chleb i ser. Czarny, gruboziarnisty chleb i twardy ser o ostrym zapachu. Jem popijając wodą, która jak wszystko tu nie ma smaku, lecz przynajmniej gasi pragnienie. Człowiek przygląda mi się. Nadal jego aura j pulsuje niepokojem.

— Kim jesteś? — pyta.

Podnoszę głowę i uśmiecham się.

— To przecież nieważne — mówię łagodnie — czy chcesz I wiedzieć, kim byłem? Czy chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem? Moje życie, tam na górze, było tak krótkim epizodem, że dawno o nim zapomniałem. Odkąd pamiętam, jestem tu, na Drodze W Jedną Stronę.

— Nie starasz się sobie przypomnieć? — iskierki niebieskiego zdumienia.

— Po co? — wzruszam ramionami — komuż potrzebna j wiedza o tym, czy byłem mordercą, a może kazirodcą, a może cudzołożnikiem. A może jestem przez pomyłkę w rejestrach, przez znaczek wpisany nie tam, gdzie trzeba?

Nie sądzisz, iż wiedza o tym mogłaby nieść dodatkowe cierpienie?

— Nie sądzę — mówi lekko rozdrażniony, przez aurę przemykają fioletowe błyski zniecierpliwienia.

Słyszę stuk obcasów na drewnianych schodach, odwracam się i wstaję. Z piętra schodzi ona. Jego towarzyszka od zawsze i na zawsze. W błyszczącej czarnej sukni bez rękawów, z brylantowym diademem we włosach i złotym grubym łańcuchem spływającym na piersi. Ten ubiór, który mąż stworzył dla niej, widać, na specjalną okazję, nie dodaje jej urody. Ma zbyt grube rysy, za duże usta, mięsisty nos. Czarna suknia opina ciało o wiele pulchniejsze niż być powinno. Pod błyszczącą materią rysują się wałeczki tłuszczu. Ale on patrzy na nią z czułością i miłością. Jego blask rośnie. Ona podaje mu dłoń, zbyt szeroką, o nierówno przyciętych paznokciach.

— Jak dobrze, że trafiłeś do nas — mówi, a jej głos zdumiewa. Ciepły, miękki, pełen spokoju i ufny. Tak jakby witał dawno nie widzianego, upragnionego przyjaciela. Całuję jej dłoń, a absurdalność tego gestu trochę mnie śmieszy. Choć zapewne coraz mniej. Może tu, pośrodku Mrocznego Królestwa, dbałość o konwenanse pomaga utrzymać resztki człowieczeństwa.

Siada przy stole, a my dopiero po niej.

— Jesteś bardzo spokojny — mówi — ludzie, którzy czasem do nas trafiają, są przerażeni i zdumieni. Dlaczego jesteś inny?

— Byłem kiedyś tutaj, a może gdzie indziej, czy to ważne, w każdym razie po drugiej stronie Zielonej Bramy.

— I co się stało? — patrzą na mnie z napięciem.

— Któż może wiedzieć — rozkładam ręce —— nagle była tylko Droga bez Końca.

W ich oczach i aurze czytam obawę. Nie chcieliby znów trafić na pustkowie pełne ludzi o wypalonych oczach. Na Autostradę Rozpaczy. Na Szlak Samotności.

— Ale jesteś tu — ona przerywa ciężkie milczenie — i tylko to się liczy. Czy możemy ci pomóc? Czy chcesz zamieszkać z nami?

— Nie — kręcę głową — moja droga nie kończy się tutaj.

— Twój blask — mówi on — wiesz, że niezwykle mocno jaśniejesz?

— Wiem, ale to blask odbity z Jego blasku — mówię, tak akcentując przedostatnie słowo, że nie ma wątpliwości, o kogo chodzi.

— A więc wiesz, że tu był? — aura zdziwienia.

— Któż inny mógłby pozostawić krzyż i zasadzić oliwne drzewko — odpowiadam pytaniem na pytanie — ja idę Jego śladem i kiedyś, kiedyś — prawie czuję, jak mój blask wybucha zielenią — kiedyś Go spotkam.

— I co wtedy? — pyta ona łagodnie.

— Wtedy skończy się moja droga — mówię — i odnajdę spokój.

— Możemy ci tylko tego życzyć — on nieco się rozpogadza, widać przypomniał sobie spotkanie z Nim — możemy tylko próbować się modlić.

— Być może kiedyś odnajdziesz w pamięci właściwe słowa — odpowiadam łagodnie, wiedząc, że nigdy się tak nie stanie.

Jestem w Domu Na Krawędzi Światła. Nie wiem, jak długo, bo tu czas ginie, rozmywa się, wciąż zwęża i rozszerza. Ale trzeba już odejść. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Spędzamy razem długie wieczory, rozmawiamy, ba — nawet śmiejemy się i żartujemy. Traktują mnie, jakbym był

tu od zawsze. Mój blask stworzył czarnoskrzydły, olbrzymi fortepian i ona czasem długo gra na nim, a muzyka zielonymi błyskawicami pędzi ku czarnemu niebu. On pokazał mi pergamin, starannie poliniowany, z pierwszymi inicjałami. Litery zdobione celtyckim motywem oplotowym i ornamentem roślinnym. Trzy. Każda wyrysowana z niewiarygodną starannością. ,,N" jak zamek z dwiema basztami. „A" jak rozłożone do lotu skrzydła ptaka i „J" niczym hartowany miecz o prostej klindze. Zostało mu jeszcze wiele liter. Wiele słów, nim stworzą zdania. Ale wydaje mu się, że ma przed sobą całą Wieczność, a skończoną pracę można przecież wykonać w nieskończonym czasie.

Niekiedy patrzę, jak uciera atrament, jak ostrzy pióro, obserwuję precyzyjne ruchy palców, podziwiam spokój i bezruch przygarbionych pleców. On jest pełen spokoju. Kiedyś z Czatowni, gdy gorący wicher owiewał nam twarze, pokazał mi stojącego przed zieloną bramą Koziogłowego. Patrzyli sobie prosto w oczy. Książę Ciemności na ognistym rumaku o bazaltowych kopytach i on, człowiek o pochyłych plecach i wątłych ramionach. Milczeli. Długo, bardzo długo, podczas gdy sfora niewolników Koziogłowego obrzucała nas stekiem wyzwisk i drwin. Ale nie próbowali nawet zgasić jego blasku. Książę Ciemności widział mnie i moją jasność. Mógł tylko stać i milczeć, a potem odwrócić się i zabierając jazgoczącą sforę odjechać. Nigdy już tu nie wróci.

Tego wieczora (używam słowa „wieczór", choć ani dzień ani noc, ani pory dnia i nocy nie istnieją) piliśmy wino z cynowych kubków. Wino z krwistoczerwonych winogron, które niczym purpurowa szata otulały grzejące się w słońcu wzgórza Szampanii. Tak przynajmniej je sobie wyobrażałem, gdyż przecież jest ono tylko z mojego blasku. Rozmawialiśmy długo, a wino z cynowego pucharu płynęło nieskończoną strugą. Aż wreszcie on zsunął się z zydla i upadł na podłogę, a ona się śmiała. Potem zanieśliśmy go do łóżka i rozebrali. Pocałowałem ją w policzek, poszedłem do swego pokoju, cicho zamykając drzwi. Odtąd wino towarzyszyło nam co dzień. Tylko on gubił po nim pamięć, krzyczał i bełkotał, śmiał się i płakał bez powodu. Ja i jego żona trwaliśmy w nastroju szczęśliwej euforii, zdawało się jej, że istniejemy nie w Domu Na Krawędzi Światła, na poboczu Autostrady Rozpaczy, a w samym Świetle. Prosiliśmy, by nie pił, ale zazdrościł nam i nie mógł się powstrzymać, a gdy nie zastał kiedyś na stole cynowego pucharu i kubków, obrzucił nas wyzwiskami grożąc, że mnie wyrzuci.

Atrament zaschnął w kałamarzu, brudne nieostrzone pióro zasnęło na stole, czwarta litera „P" miała jedynie nóżkę. Wiedziałem, że nigdy nie zostanie dokończona. Świece na czarnym stole nie jaśniały już tak mocno.

Jego blask powoli przygasał, a on sam nic o tym nie wiedział. Być może zobaczyłby to w lustrze, gdyby nie fakt, że tafle zwierciadeł nie odbijają tu postaci, zaś pełne są jedynie ciemności.

Ona być może dostrzegła to, ale ufała mojemu światłu. Kiedyś, gdy zasnął w poprzek łóżka, chrapliwie oddychając i ziejąc winem, przyszła do mnie i z radością dała mi swoje ciało. Sprawiłem, by krzyczała z rozkoszy, czułem jej paznokcie przeorujące moje plecy, słyszałem oszalały łomot serca. Dałem jej chwilę wszechogarniającego szczęścia, obudziłem w niej miłość. Będzie miała o czym myśleć w czasie nieskończonego marszu Drogą w Jedną Stronę.

Kiedy schodzi na dół, czuje, że stało się coś złego. Siedzę w Sali Spokoju przy umarłym świeczniku i patrzę na różowe gwiazdy przerażenia kołujące przy jego głowie. Wiem, że przez półprzeźroczyste, mgliste mury Domu widzi już tłum ludzi na Drodze Bez Końca. Może nawet widzi tam swoją żonę.

— Co się stało — krzyczy, a jego oczy robią się coraz bardziej szalone, w miarę jak gasną zielone plamki nadziei.

— Zawsze pytacie, co się stało — mówię obojętnym głosem. Kiedyś w takiej chwili

odczuwałem zawsze euforię zwycięstwa i rozkosz, pozwalałem sobie na drwiny, szyderstwa, żywiłem się ich rozpaczą i słabością, drażniłem, zwodziłem. Teraz chcę jak najszybciej skończyć.

— Kim ty jesteś? — wrzeszczy pulsując strachem, a oczy prawie wychodzą mu z orbit.

— Nie wiesz? —— wzruszam ramionami — współczuję ci więc — pokazuję na drzwi. Lite, dębowe drewno. Ani śladu wziernika w kształcie krzyża. — Kończmy zatem — mówię spokojnie — chodź — wyciągam dłoń.

On cofa się. Drży na całym ciele.

— Nie, nie, nie — kręci głową — nie dostaniesz mnie. Mam jeszcze blask!

To prawda. Ma jeszcze blask.

— Jak chcesz — siadam z powrotem — mam nieskończoną ilość czasu. Mogę czekać. Muszę ci tylko powiedzieć, że twoja żona nie była tak uparta. Właściwie, to ona powiodła mnie na pokuszenie — pozwalam sobie na lekki uśmiech, a potem opowiadam mu z detalami, zważywszy jej żądzę — dość gorszącymi detalami, o wszystkim, co zaszło.

Podciągam głos na wyższe rejestry, aby podrażnić ośrodki agresji. W końcu to skutkuje. Z zaciśniętymi zębami, z czerwoną aurą wściekłości chwyta ciężki świecznik ze stołu. Uderza mnie w głowę, która pęka jak orzech kokosowy, obryzgując go krwią i mózgiem.

I nagle stoimy już na Autostradzie Styksu, na otoczonej zębiskami skał, pogrążonej w siarkowym oparze Drodze Rozpaczy. On czepia się żałośnie rękawów mego płaszcza, tak jakbym ja (właśnie ja, cóż za ironia losu!) mógł przynieść mu ratunek.

— Nieee, nieee! — jego krzyk brunatną chmurą rozpaczy wzbija się pod czarne niebo.

— Przykro mi, stary — mówię i puszczam jego dłoń. Jest tylko jednym z tych koszmarnie krzyczących, przerażonych upiorów błądzących przez Wieczność. Dojdzie do krańca Autostrady Styksu, gdzie spędzi Wieczność tak straszną, iż Droga W Jedną Stronę wyda mu się Światłem.

Oczywiście, nie jest mi przykro. Zbyt długo szukam Zielonych Bram i zbyt wiele zgasiłem Domów Na Krawędzi Światła, aby odczuwać satysfakcję, ale nie mam żadnych powodów, bym popadał w rozpacz. W końcu to moja robota, zadanie na długo. Być może na Wieczność. Wciąż muszę iść za Nim i Jego ożywiającym światłem, za śladem rozbudzonej nadziei. Bo On potrafi rozbudzić ją nawet tu, na Szlaku Samotności. Idzie uparty i niestrudzony, pełniąc służbę, zdawałoby się, bezcelową, gdyż gaszę światła, które stworzy. Ale samo to, że zszedł do nich, że podał dłoń mordercom, gwałcicielom i podpalaczom, że wybaczył podłość i słabość, napełnia mnie strachem.

Może kiedyś Go spotkam i zgaszę ten przeklęty blask. Na razie wyrywam oliwne drzewko, rzucam je w otchłań nieba. Dosiadam czarnego rumaka o bazaltowych kopytach i galopuję przez tłum. Gdzieś znowu odnajdę plamę zieleni. Znowu ją zgaszę. Tak bez końca. Tylko On i ja. Kiedyś (a mamy przecież całą Wieczność) wreszcie Go dogonię i staniemy naprzeciw siebie. Jeżeli pokona mnie, wiem, że okaże litość (w końcu, gdyby tego nie uczynił, różnica między nami byłaby tylko umowna). Może nawet w niezmierzonym Świetle, które stworzy, ofiaruje mi miejsce, gdzie mógłbym odpocząć. Taki Dom Na Krawędzi Ciemności.

Musi wygrać, gdyż jeśli go pokonam, nigdy mu nie przebaczę. Nie przebaczę mu, że skazał mnie na wieczne podążanie Jego śladem Drogą Bez Końca. Nie umiem i nie chcę przebaczać. Spinam ostrogą rumaka, a on rży ogniście i huczy bazaltowymi kopytami.

— Szybciej — krzyczę, czując jak łzy na mych policzkach schną w palącym wietrze — szybciej, szybciej — drę ostrogami jego boki, niecierpliwie poganiam batem, choć wiem, że gnamy przez Wieczność, gdzie słowa „szybciej” czy „wolniej” nie znaczą nic.

W–wa październik ‘91

JACEK PIEKARA

Urodził się w 1965 roku w Krakowie. Mieszka i pracuje w Warszawie. Jeszcze jako osiemnastolatek debiutował opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana" („Fantastyka" 81 11983). Był jednym z założycieli grupy TRUST i jako pierwszy z nich debiutował książką — mikropowieścią „Labirynt" (Almapress, 1986). Jego koledzy z TRUSTU, Ziemkiewicz, Grzędowicz, musieli jeszcze parę lat oczekiwać na druk swoich utworów, Piekara zaś — może dzięki boomowi na fantasy — nie miał żadnych kłopotów ze znalezieniem wydawców. Jego następne książki: „Imperium — Smoki Haldoru" (Iskry, 1987), „Zaklęte Miasto" (Nasza Księgarnia, 1990) i „Imperium" (Białowieża, 1990) były również utrzymane w konwencji fantasy.

Wkrótce Białowieża wyda jego powieść „Czas klątwy", opartą na demonologii i mitologii słowiańskiej, oraz powieść fantasy „Pani Śmierć". Autor pracuje w tej chwili równocześnie nad dwoma następnymi powieściami, pierwsza nosi tytuł „Klucz do światów" i ma być pogodną i sympatyczną fantasy, a druga, o charakterze apokaliptyczno–katastroficznym, „Przenajświętsza Rzeczpospolita" będzie opowiadała o Polsce za lat dzieści i w zamiarze autora ma być mieszanką „Małej Apokalipsy" i „Mechanicznej pomarańczy".

W lipcu 1991 roku zmienił stan cywilny i jest pełen optymizmu, gdy idzie o przyszłość, zarówno w sprawach prywatnych jak i zawodowych.